

Świadek

Brown Sandra



calibre 0.9.43

SANDRA BROWN

ŚWIADEK

„Nie gub mnie z występnyimi
i z tymi, co czynią nieprawość,
co rozmawiają przyjaźnie z bliźnimi,
a w duszy żywią zły zamiar. „

PSALM 28:3

Prolog

Małe usteczka ssały pierś matki.

- Sprawia wrażenie szczęśliwego - zauważyła pielęgniarka. - Zazwyczaj da się wyczuć, czy dziecko jest zadowolone, czy nie. Powiedziałabym, że to jest.

Kendall zdobyła się na nikły uśmiech. Ledwie była zdolna logicznie myśleć, a co dopiero nawiązać z kimś rozmowę. Jakby nie w pełni jeszcze uwierzyła, że ona i dziecko jednak przeżyli wypadek.

W szpitalnej izbie przyjęć oddzielono od korytarza zasłonami niewielkie pomieszczenie, by zapewnić pacjentom choć minimum prywatności. Białe metalowe gablotki, wypełnione bandażami, strzykawkami i szynami, sąsiadowały ze zlewem z nieerdzewnej stali. Kendall siedziała na wyściełanym krześle stojącym pośrodku wydzielonego kącika, piastując synka w ramionach.

- Ile on ma? - spytała pielęgniarka.

- Trzy miesiące.

- Tylko trzy miesiące? Ależ jest duży!

- Tak. Silny i zdrowy.

- Jak pani powiedziała, że ma na imię?

- Kevin.

Pielęgniarka uśmiechnęła się spoglądając na nich, a potem potrząsnęła głową i stwierdziła na poły z niedowierzaniem, na poły ze zgrozą:

- To cud, że wy dwoje wydostaliście się z tego złomu.

Musiała pani przeżyć straszne chwile, złotko. Pewnie pani na pół oszalała ze strachu.

Wszystko jednak wydarzyło się zbyt szybko, by w ogóle uświadomiła sobie, że odczuwa strach. Samochód wpadł na zwalone drzewo niemal w tym samym momencie, gdy je zauważyli w strugach ulewy. Pasażerka na przednim siedzeniu wydała ostrzegawczy krzyk, kierowca skręcił gwałtownie i wcisnął pedał hamulca, koła straciły przyczepność na mokrej naawierzchni, wóz obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i zjechał z szosy uderzając w miękkie, wąskie nasyp pobocza. Wzniesienie okazało się niewystarczające, by ich zatrzymać.

Pamięć podsunęła Kendall odgłosy, jakie usłyszała, gdy auto zsuwało się w głąb porośniętego bujnie roślinnością wąwozu. Konary i gałęzie drzew zdzierające farbę, wyrrywające gumowe uszczelki i kołpaki kół. Drżenie szyb. Otoczaki wałące w podwozie. I co zadziwiające, kompletna cisza panująca we wnętrzu wozu. Jakby milczeniem wyrażali pogodzenie się z losem.

Czekała na ostateczne, nieuniknione uderzenie w ziemię, ale samochód walnął z ogromną siłą w masywny pień sosny, która nieoczekiwanie wyrosła na jego drodze.

Tylne koła wzniosły się w powietrze, a potem wóz opadł ciężko z powrotem, wydając głuchy

łomot, niczym walący się na ziemię śmiertelnie ranny bizon.

Przypięta na tylnym siedzeniu pasami Kendall ocalała. Zdołała nawet, z Kevinem w ramionach, wydostać się z balansującego niepewnie na stromym zboczu wraka.

- To urwisty wąwóz - zauważyła pielęgniarka. - Właściwie jakim cudem udało się pani wspiąć z powrotem na górę?

Nie przyszło jej to łatwo.

Spodziewała się, że wydostanie się na drogę będzie trudne, ale nie przypuszczała, że będzie ją kosztowało tyle wysiłku. Musiała w trakcie wspinaczki chronić Kevina, było jej więc podwójnie trudno.

Pogoda zupełnie jej nie sprzyjała, podłoże składało się z mieszaniny próchnicy i mułu, wśród spletanego bujnego poszycia sterczały kamienie. Niesiony wiatrem deszcz zaczął niemal poziomo i po paru minutach przemoczył ją do suchej nitki. Zdołała pokonać ledwie jedną trzecią drogi, gdy jej ramiona, nogi i plecy zaczęły drżeć z napięcia. Nie chronioną ubranie, chłostaną gałęziami skórek pokryły zadrapania, skaleczenia i siniaki. Wielokrotnie nachodziły ją myśli o daremności wysiłku i ogarniało pragnienie, by się poddać: zaprzestać wspinaczki, zasnąć, zrezygnować z walki o życie. Ale instynkt przetrwania, silniejszy od pokusy odpoczynku, pchał ją naprzód. Chwytając się pnączy i wykorzystując otoczkę jako podporę dla nóg, windowała się w górę, aż wreszcie dotarła do drogi i poszła nią, szukając pomocy.

Zaczynały ją opadać majaki, gdy poprzez deszcz dostrzegła

światła reflektorów. Ulga i wyczerpanie wzięły górę. Nie poobiegła w stronę samochodu; osunęła się na kolana na pasie wyznaczającym środek wąskiej wiejskiej szosy.

Jej wybawcą okazała się gadatliwa kobieta jadąca na wieczorne środowe nabożeństwo. Podwiozła Kendall do najbliższego domu i powiadomiła władze. Ku swemu zdumieniu Kendall dowiedziała się później, że zdołała oddalić się od miejsca wypadku ledwie o milę, podczas gdy jej zdawało się, że przeszła dziesięć.

Ona i Kevin zostali przewiezieni karetką do najbliższego

szpitala, gdzie ich zbadano. Kevin nie doznał żadnych obrażeń. Właśnie go karmiła, gdy samochód zaczął się zsuwać po urwisku; instynktownie przycisnęła synka do piersi i pochyliła się do przodu, ochraniając dziecko własnym ciałem.

Liczne zadrapania i skaleczenia na jej ciele okazały się powierzchowne, a tkwiące w ramieniu odłamki szkła zostały co do jednego wyciągnięte. Niezbyt przyjemny i długo trwający zabieg, lecz mogło być przecież znacznie gorzej. Zranienia potraktowano zasypką antyseptyczną, odmówiła jednak przyjęcia środka przeciwbólowego, wymawiając się, że karmi piersią.

A naprawdę dlatego, że skoro przeżyli i udzielono im już pomocy medycznej, musiała znaleźć sposób, by się stąd wymknąć. Otumaniona lekiem nie byłaby w stanie logicznie roozumować. Powinna mieć świeżą głowę, jeśli ma zaplanować kolejne zniknięcie..

- Czy zgadza się pani, żeby szeryf teraz przyszedł?

- Szeryf? - powtórzyła Kendall, wyrwana pytaniem pielęgniarki z zamyślenia.

- Czeka, aby porozmawiać, odkąd was przywieźli. Musi wypełnić swój obowiązek.

- Ależ oczywiście. Niech go pani poprosi.

Kevin spał spokojnie, nakarmiony do syta. Kendall zebrała poły szpitalnego szlafroka, w który ją ubrano, gdy zrzuciła własne przemoczone, brudne i zakrwawione rzeczy, żeby wziąć gorący prysznic. Pielęgniarka dała znak i w pomieszczeniu za zasłoną pojawił się przedstawiciel lokalnej władzy.

Skinął głową na powitanie.

- Jak się pani miewa? W porządku, proszę pani? - Zdjął kapelusz i popatrzył na nią z troską.

- Chyba oboje czujemy się dobrze. - Odchrząknęła i spróbowała powtórzyć to jeszcze raz, tak by zabrzmiało bardziej przekonująco. - Naprawdę dobrze.

- Powiedziałbym, że mieliście kupę szczęścia, żeście z tego wyszli, i to bez szwanku, proszę pani.

- Ma pan rację.

- Łatwo zgadnąć, jak do tego doszło, kiedy się zobaczy to drzewo zwalone w poprzek drogi, no i w ogóle to wszystko. Burza je zwała. Złamane dokładnie tuż przy ziemi. Leje od ładnych paru dni. I nie wygląda, żeby zamierzało przestać. Istny potop w okolicy. Nie ma co, Bingham Creek musiała wciągnąć pani samochód do cna.

Rzeka kłębiła się nie więcej niż dziesięć jardów od pogruchotanego wozu. Gdy Kendall wygrzebała się z wraka, przykucnęła w błocie i zagapiła na Bingham Creek z niedowierzaniem i fascynacją. Zmącone fale wznosiły się wysoko, niosąc ze sobą rumosz, i omywały drzewa, normalnie wyznaczające linię brzegową.

Zadrżała, uświadomiwszy sobie, jaki los stałby się jej udziałem, gdyby samochód od razu po zderzeniu się z pniem sosny ześliznął się jeszcze parę jardów dalej.

Widziała przecież, zdjęta przerażeniem, jak auto zsuwa się po zboczu, jakby przyciągane przez rozhukane wody. Przez jakiś czas wóz balansował na powierzchni rwącego nurtu, a potem w ciągu paru sekund zniknął pod spienioną powierzchnią, zupełnie jakby dawał nurka. Gdyby nie świeżo odłupane drewno na pniu sosny i głębokie bruzdy wryte przez opony, to miejsce wyglądałoby tak, jakby żaden wypadek się nie zdarzył.

- Cud, żeście się w czas wydostali i nie potopili, kiedy poszedł pod wodę - zauważył szeryf.

- Nie wszyscy - sprostowała Kendall bezbarwnym tonem. - Wieźliśmy pasażerkę. Zniknęła pod wodą razem z samochodem.

- Pasażerka? - spytał oficjalnym tonem, marszcząc brwi. Kendall, czując się, jakby to wszystko jej nie dotyczyło, zmarszczyła twarz w grymasie i zaczęła płakać; opóźniona reakcja na wstrząs.

- Przepraszam...

- W porządku, skarbie. - Pielęgniarka podsunęła jej pudełko chusteczek higienicznych i poklepała po ramieniu. - Po tym, czego pani dokonała, ma pani prawo wyrzucić to z siebie.

- Nie miałem pojęcia, że ktoś jeszcze był w samochodzie oprócz pani, dziecka i kierowcy - powiedział cicho szeryf, jakby szukając obrony wobec jej emocjonalnej reakcji.

Kendall wydmuchała nos.

- Siedziała obok kierowcy i nie żyła już w momencie, gdy samochód zatonął. Prawdopodobnie zginęła na miejscu.

Kiedy tylko upewniła się, że Kevin jest nietknięty, Kendall zbliżyła się do auta od strony pasażera; drżała przeczuwając, co zobaczy, ponieważ karoseria przyjęła na siebie cały impet zderzenia właśnie z tego boku. Drzwi były wgniecione, okno wybite.

Od razu zorientowała się, że kobieta nie żyje. Przystojna twarz była zniekształcona nie do rozpoznania. Deska rozdzielcza i części silnika zostały wgniecione w klatkę piersiową. Głowa, wykręcona pod nienaturalnym kątem, spoczywała na zagłówku. Próbując nie zwracać uwagi na krew, Kendall wyciągnęła rękę i przycisnęła palce do szyi kobiety. Nie wyczuła pulsu.

- Uważałam, że powinnam podjąć próbę uratowania nas wszystkich - wyjaśniła szeryfowi,

opisawszy mu sytuację. - Załuję, że nie udało mi się jej wyciągnąć, ale i tak już nie żyła...

- W tych okolicznościach zrobiła pani, co konieczne. Raatowała żywych. Nikt pani nie może winić za wybór, jakiego dokonała. - Pokazał ruchem głowy śpiące niemowlę. - Zrobiła pani i tak cholernie dużo, o niebo więcej, niż ktokolwiek mógłby wymagać. A jak się pani udało wyciągnąć kierowcę?

Gdy stwierdziła, że kobieta nie żyje, ułożyła Kevina na ziemi i osłoniła mu twarz rąbkiem koca; nie naj wygodnie sza pozycja, ale był bezpieczny. Potykając się, obeszła samochód. Głowa kierowcy leżała na kierownicy. Zdławiła strach i zawołała go po imieniu, a potem dotknęła jego ramienia. Dobrze pamiętała szok i strach, jakie odczuła, gdy ciało nagle przesunęło się bezwładnie na siedzeniu. Cofnęła się, zauważywszy krew sączącą się z kącika rozchylnych ust. Miał głęboko rozciętą prawą skroń, poza tym twarz była nienaruszona. Oczy miał zamknięte, powieki nieruchome; nie mogła stwierdzić, czy żyje. Wyciągnęła rękę i przyłożyła do jego piersi.

Wyczuła bicie serca.

Nieoczekiwanie wóz ześliznął się kilka stóp w dół po nierównym zboczu, pociągając ją za sobą. Jej ręka utkwiała we wnętrzu i omal jej sobie nie wykręciła. Auto zatrzymało się, kołyszac niepewnie. Fale pluskały uderzając o opony i Kendall wiedziała, że jest tylko kwestią czasu, kiedy wezbrane wody pochłoną samochód. Rozmiękła ziemia ustępowała pod ciężarem wozu. Nie było czasu na ocenianie sytuacji, rozważanie opcji ani myślenie o tym, jak bardzo chciałyby się od niego uwolnić. Bała się go wprawdzie i pogardała nim, ale nie życzyła mu śmierci. Nie, tego z pewnością nie chciała. Warto było ratować życie, czyjekolwiek życie.

Czując przyływ adrenaliny, wygarnęła gołymi dłońmi błoto i rozerwała nieustępliwe pnąca, blokujące drzwi. Kiedy zdołała je wreszcie otworzyć, jego bezwładny tułów osunął się w jej ramiona, a zakrwawiona głowa spoczęła na jej ramieniu. Opadła na kolana, przytłoczona ciężarem. Oplótszy rękami pierś mężczyzny, zaczęła wyciągać go zza kierownicy. Wielokrotnie jej stopy traciły oparcie na śliskim błocie i opadała ciężko na plecy, ale gramoliła się z powrotem, zapierała piętami i podejmowała na nowo straszliwy wysiłek, żeby go oswobodzić. W momencie gdy jego pięty dotknęły ziemi, samochód, jakby uwolniony z kotwicy, zsunął się do wody.

Kendall relacjonowała wydarzenia, nie dzieląc się oczywiście z szeryfem swymi myślami. Kiedy skończyła, stał niemal na baczność i sprawiał wrażenie, jakby miał jej za chwilę zasaluutować.

- Proszę pani, dostanie pani pewnie medal albo coś w tym rodzaju.

- Szczerze wątpię - wymamrotała.

Wyjął mały kołonotatnik i długopis z kieszeni koszuli.

- Nazwisko?

- Słucham...? - Chcąc zyskać na czasie, udała, że nie rozumie.

- Pani nazwisko.

Personel małego szpitala był miły i uprzejmy; przyjęto ich, nie domagając się wypełniania kwestionariuszy. Okazano im zaufanie, omijając formalne procedury - rzecz nie do pomyślenia w wielkomiejskiej lecznicy. Najwyraźniej w rolniczej Georggii współczucie ważyło więcej niż konieczność sprawdzenia, czy pacjent jest ubezpieczony.

Teraz jednak Kendall musiała stawić czoło ponurej rzeczywistości, a nie czuła się do tego zdolna. Nie zdążyła jeszcze zdecydować, co i ile powie ani dokąd się stąd uda. Nie czuła żadnych skrupułów naginając do swoich potrzeb fakty. Robiła to wielokrotnie w przeszłości. Właściwie całe życie. Okłamywanie policji było jednak poważną sprawą. Nie posunęła się dotąd tak daleko.

Pochyliła głowę i zaczęła pocierać palcami skronie, zastanawiając się, czy mimo wszystko nie poprosić o pigułkę, która by choć trochę stłumiła dudniący ból w głowie.

- Moje nazwisko? - powtórzyła, grając na zwłokę i modląc się w duchu, by przyszedł jej do głowy jakiś zbawienny pomysł. - Czy kobiety, która zginęła?

- Zaczniemy od pani.

Wstrzymała oddech i wreszcie powiedziała cicho:

- Kendall.

- K-e-n-d-a-l-l, czy tak? - zapytał, wpisując je do notesu.

Kiwnęła głową.

- No dobrze, pani Kendall. Czy takie samo nazwisko nosiła zmarła?

Zanim zdążyła sprostować pomyłkę, ktoś rozsunął energicznie zasłony, aż zazgrzytały metalowe kółka w nie naoliwionej szynie. Lekarz dyżurny dał duży krok do przodu.

Serce zamarło Kendall w piersi.

- Jak on się czuje? - spytała bez tchu.

- Żyje. Dzięki pani - uśmiechnął się lekarz.

- Odzyskał przytomność? Powiedział coś? Co panu powiedział?

- Chciałaby pani rzucić na niego okiem?

- Ja... no tak...

- Ej, doktorze, niech pan weźmie na wstrzymanie! Mam parę pytań do zadania! - zaprotestował szeryf. - Kupa papierkowej roboty, sam pan wie.

- Czy to nie może poczekać? Pani jest zdenerwowana, a ponieważ karmi, chciałbym zrobić co tylko możliwe, żeby ją uspokoić.

Szeryf spojrział na dziecko, potem przeniósł spojrzenie na piersi Kendall. Jego twarz przybrała kolor dojrzałego poomidora.

- No więc... myślę, że mogę ociupinę poczekać, ale muszę zrobić, co do mnie należy.

- Ależ oczywiście, oczywiście - zapewnił doktor.

- Znajdę jakieś łóżeczko na oddziale dziecięcym dla pani

skarba - powiedziała pielęgniarka, odbierając uspionego Keevina z rąk Kendall. - Niech się pani o niego nie martwi i idzie z doktorem.

- Posiedzę sobie tutaj - oświadczył szeryf, przestępując z nogi na nogę i skubiąc machinalnie brzeg kapelusza. - A jak już pani będzie gotowa, żebyśmy tu skończyli...

- Może napiłby się pan kawy? - zaproponował lekarz. Był młody, pewny siebie i jak się Kendall wydawało, bardzo przejęty swoją rolą. Atrament na jego dyplomie pewnie jeszcze dobrze nie wysechł, niemniej sprawiało mu wyraźną przyjemność okazywanie nawet ograniczonej władzy. Nie zaszczycił szeryfa powtórным spojrzeniem, poprowadził Kendall koorytarzem.

- Ma złamaną kość piszczelową i pękniętą kostkę przyśrodkową - mówił idąc - ale bez przemieszczenia, tak że nie zachodziła konieczność interwencji chirurgicznej ani gwoździowania. Zważywszy na okoliczności, miał niesłychane szczęście. Sądząc z pani opisu samochodu...

- Maską została sprasowana jak papierowy wachlarz. Aż trudno uwierzyć, że kierownica nie zmiażdżyła mu piersi.

- Właśnie. Spodziewałem się połamanych żeber, wewnętrznego krwawienia, uszkodzonych organów, tymczasem niczego takiego nie stwierdziłem. Wszelkie funkcje organizmu przebiegają normalnie. To dobry znak. Niestety, są i złe wiadomości. Doznał urazu głowy. Prześwietlenie

wykazało niewielkie pęknięcie czaszki na linii włosów i musiałem założyć parę szwów na rozciętą skórę. Nie wygląda to pięknie w tej chwili, ale z czasem włosy zarosną bliznę. Nie jest przez to ani odrobinę mniej przystojny - dodał, uśmiechając się do Kendall.

- Bardzo silnie krwawił.

- Zrobiliśmy na wszelki wypadek transfuzję. Doznał wstrząsu pourazowego, ale jeśli zapewnimy mu spokój przez następne dni, nic się nie stanie. Przy tego rodzaju złamaniu co najmniej przez miesiąc będzie musiał używać kuli. Powinien jak najwięcej leżeć w łóżku, leniuchować, wydobrzcć. No, jesteście - skierował ją do drzwi pokoju. - Przed kilkunastoma minutami odzyskał przytomność, ale wciąż jest oszołomiony.

Wszedł do skąpo oświetlonego pomieszczenia. Kendall zaatrzymała się w progu i obrzuciła pokój spojrzeniem. Na jednej ścianie wisiał szkaradny oleodruk przedstawiający wznoszącego się ku niebu Jezusa, a na drugiej plakat ostrzegający przed AIDS. We wnętrzu stały dwa łóżka, ale tylko jedno było zajęte.

Unieruchomiona noga spoczywała na wyciągu, podparta poduszką. Leżał ubrany w szpitalne kimono, sięgające mu do połowy ud. Silne nogi, pokryte kontrastującą z bielą prześcieraadła opalenizną, zupełnie nie kojarzyły się ze szpitalną separatką.

Pielęgniarka mierzyła mu ciśnienie krwi. Szeroki opatrunek z gazy spowijał jego głowę nad ściągniętymi zdziwieniem czarnymi brwiami. Włosy miał sklezione zakrzepłą krwią i środkiem antyseptycznym, a ramiona pokryte niezliczoną liczbą passkudnych siniaków. Opuchlizna i zadrapania zniekształciły jego twarz, ale i tak by go rozpoznała, choćby po pionowym wgłębieniu na brodzie i stanowczo zarysowanych ustach. Akurat trzymał w nich termometr.

Lekarz podszedł energicznym krokiem do łóżka i spojrzał na kartę pacjenta, na którą pielęgniarka zdążyła już nanieść pomiar ciśnienia.

- Z każdą chwilą wygląda to lepiej - oświadczył, a potem pokiwał z zadowoleniem głową, gdy siostra pokazała mu odczyt temperatury.

Kiedy Kendall stanęła niepewnie w drzwiach, natychmiast przylgnął do niej oczyma. Spoglądały z zapadłych oczodołów, podbite z bólu i upływu krwi głębokimi cieniami, ale patrzyły spokojnie i tak samo przenikliwie jak zawsze.

Gdy pierwszy raz spojrzała mu prosto w oczy, natychmiast zdała sobie sprawę, jak niezwykle jest spostrzegawczy. Poczowała respekt, nawet lęk. I nadal go czuła. Odnosiła niepokojące wrażenie, jakby posiadał niesamowitą zdolność widzenia ludzi na wylot. Ją przejrzał od pierwszego spotkania. Bezbłędnie rozpoznawał kłamcę, kiedy się z nim zetknął.

Ale teraz miała nadzieję, że dzięki umiejętności odczytywania cudzych myśli zrozumie, jak szczerze jej przykro z powodu wypadku. Gdyby nie ona, nigdy by do niego nie doszło. Owwszem, on prowadził, ale przyczyną bólu, jaki cierpiał, była ona. Ledwie wysnuła ten wniosek, ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Była z pewnością ostatnią osobą, którą chciałby widzieć przy szpitalnym łożu.

- Jest w zupełnie przyzwoitym stanie - powiedziała pielęgniarka, najwyraźniej błędnie oceniając powód jej wahania. Uśmiechnęła się i zachęciła ją gestem ręki, by weszła. - Proszę podejść.

Przez zwyciężając obawę, Kendall dała krok do środka i obdarzyła mężczyznę niepewnym uśmiechem.

- Cześć. Wszystko w porządku?

Utkwił w niej nieruchome oczy i patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Wreszcie odwrócił wzrok

w stronę lekarza, skierował go na pielęgniarkę i z powrotem na Kendall.

- Kto to? - spytał słabym, ochrypłym głosem.

- Czy to znaczy, że pan nie rozpoznaje tej osoby? - Lekarz pochylił się nad nim.

- Nie. A powinienem? Gdzie ja jestem? I kim jestem? Doktor zapatrzył się na swego pacjenta.

Pielęgniarka zaastygła w osłupieniu, gumowy wężyk aparatu do mierzenia ciśnienia zawisł w jej ręce. Kendall również sprawiała wrażenie ogłuszonej, choć aż się w niej gotowało z emocji, a mózg pracował gorączkowo, przetrawiając szokujący zwrot w sytuacji. Szukała sposobu, by obrócić całe zdarzenie na swoją korzyść.

Pierwszy otrząsnął się lekarz. Niepewny uśmiech zadawał kłam brawurze, z jaką oświadczył:

- Cóż, wygląda na to, że wstrząs spowodował u naszego chorego amnezję. Często się tak dzieje.

Ale to przejściowe. Będzie się pan z tego śmiał jutro lub za parę dni. - Odwrócił się do Kendall. - Jak na razie tylko pani może nam udzielić informacji. Dobrze by było, gdyby nam pani powiedziała... no i jemu, kim on jest.

Wahała się tak długo, że zrodziło się napięcie. Pielęgniarka i lekarz spoglądali na nią wyczekująco. Mężczyzna leżący na szpitalnym łóżku czekał na jej odpowiedź z zainteresowaniem, ale i nieufnością. Patrzył podejrzliwie zwężonymi oczyma,

jednak dla Kendall było oczywiste, że cudownym trafem bez wątpienia nic nie pamięta. Nic!

Błogosławiony, nieprzewidywalny, szczodry dar losu! Traf wręcz zbyt szczęśliwy, niemal ją przytłoczył, właściwie nie sposób go w pełni wykorzystać nie mając czasu na zastanowienie. Ale jednego była pewna: okazałaby się idiotką, gdyby nie chwyciła się tego obiema rękami.

Z godnym podziwu spokojem oświadczyła:

- To mój mąż.

Rozdział pierwszy

- Z woli Boga najwyższego i na mocy praw nadanych mi przez władze Karoliny Południowej ogłaszam was mężem i żoną. Matthew, możesz pocałować pannę młodą.

Goście weselni zaczęli bić brawo, gdy Matt Burnwood wziął Kendall Deaton w ramiona. Pocałunek przeciągał się ponad przyjętą na ślubach miarę, co wzbudziło śmiechy. Nowożeńiec zupełnie się tym nie przejął.

- Będziesz musiał niestety poczekać - wyszeptała Kendall tuż przy jego wargach.

Matt rzucił jej bolesne spojrzenie, po czym odwrócił się z miną „swojego chłopca” do tłumu ludzi, którzy zgromadzili się w najlepszych ubraniach, by asystować przy ślubnej ceremonii.

- Panie i panowie, mam zaszczyt zaprezentować państwu po raz pierwszy: pan i pani Matthew Burnwood - ogłosił pastor.

Kendall i Matt stali przed uśmiechającymi się gośćmi.

W pierwszym rzędzie siedział samotnie ojciec pana młodego. Wstał i rozłożył szeroko ramiona.

- Witaj w rodzinie - powiedział, obejmując Kendall. - Bóg cię nam zesłał. Brakowało nam w domu kobiety. Gdyby Laurelann żyła, z pewnością by cię pokochała. Tak samo jak ja.

- Dziękuję, Gibb. - Pocałowała go w policzek. - Jesteś cudowny.

Laurelann Burnwood odeszła, gdy Matt był jeszcze dzieckiem, ale Gibb zawsze mówił o tym tak, jakby utracił ją niedawno. Wysoki, wysportowany, z krótko przystrzyżonymi włosami sprawiał bardzo korzystne wrażenie. Niejedna wdowa czy rozwódka próbowała go usidlić, ale okazywane mu przez kobiety względy nieodmiennie pozostawały nieodwzajemnione. Znalazł już w życiu prawdziwą

miłość, zwykł powtarzać, i nie miał zamiaru szukać innej.

- Potrzebujemy siebie nawzajem. - Matt objął ramieniem szerokie barki ojca, drugim otoczył ramiona żony. - Stanoowimy teraz prawdziwą rodzinę.

- Żałuję tylko, że nie ma z nami babci - powiedziała Kendall ze smutkiem.

- Tak, szkoda, że nie czuła się na siłach, by przyjechać z Tennessee - Matt uśmiechnął się do Kendall ze współCZUCIEM.

- To by było dla niej zbyt wyczerpujące. Ale na pewno jest w tej chwili sercem z nami - odparła.

- Stajemy się okropnie sentymentalni - wtrącił się Gibb. - Ludzie przyszli się najeść, napić i zabawić. To twój dzień, Kendall, ciesz się nim.

Gibb nie szczędził pieniędzy i wysiłku, by o ich weselu pamiętano i mówiono przez długie lata. Kendall zaszokowała jego rozrzutność. Ona sama po przyjęciu oświadczyn Matta zaproponowała, by poprzestali na skromnej prywatnej ceremonii, ale Gibb nawet nie chciał o tym słyszeć. Zignorował tradycję nakazującą, by wesele finansowała rodzina panny młodej, i uparł się, że będzie pełnił rolę gospodarza. Kendall sprzeciwiła się oczywiście, ale Gibb, w zwykły dla siebie ujmuujący i rozbijający sposób, szybko zbił wszelkie jej argumenty.

- A nie powinnaś - powiedział Matt, gdy mu wyznała, że czuje się urażona. - Tata po prostu chciałby wydać przyjęcie, jakiego Prosper nie widziało. Chętnie popłaci rachunki, zwłaszcza że ani ty, ani twoja babcia nie możecie sobie na to pozwolić. Ma tylko mnie, więc jest to dla niego jedyna okazja w życiu. Pozwólmy mu działać i dajmy wolną rękę.

Wkrótce Kendall także ogarnęła gorączka przygotowań. Suknię ślubną wybrała sama, ale poza tym nad wszystkim pieczę miał Gibb. Co prawda okazał się na tyle delikatny, że wszelkie poważniejsze decyzje podejmował dopiero po zasięgnięciu jej opinii.

Jego dbałość o szczegóły dała wspaniałe rezultaty: dom i trawnik od frontu wyglądały imponująco. Ona i Matt zrobili do siebie miny i wymienili spojrzenia przechodząc pod przyy'strojoną gardeniami, białymi różami i liliami pergolą. W ollbrzymim namiocie urządzono zimny bufet; sałatki, przystawki i zakąski mogły zadowolić najwybredniejsze podniebienie. Tort weselny zapierał dech w piersiach - piętrowe dzieło sztuki cukierniczej, przyozdobione całymi girlandami pączków róż na kremowym lukrze. Był także czekoladowy placek pana młodego z truskawkami wielkimi niemal jak piłki tenisowe, upstrzony karmelkami w lukrowej polewie. W kubelkach wypełnionych lodem chłodziły się dwulitrowe butelki szampana. Goście sprawiali wrażenie ludzi zdolnych poświęcić się i wypić go do ostatniej kropli.

Mimo tej gali przyjęcie miało charakter rodzinnej uroczystości, uczestniczyły w nim bowiem również dzieci bawiące się w cieniu drzew. Po pierwszym walcu, który tradycyjnie należał do pary młodej, zaczęli tańczyć inni i wkrótce nie było nikogo, kto by stał pod ścianą.

Była to baśniowa uroczystość. Połączona z lukullusową ucztą.

Kendall, nieświadoma grozy, jaką przyjdzie jej przeżyć, czuła się niewyobrażalnie szczęśliwa. Płynęła w tańcu w ramionach Matta. Był wysoki, szczupły i niewiarygodnie przystojny. Klaasyczne rysy twarzy, gładko zaczesane proste włosy... przypoominał wyrafinowanego herszta bandy.

- Uwielbiam tę aurę eleganckiej powściągliwości, jaką wookół siebie roztaczasz - powiedziała mu kiedyś drocząc się z nim. - Zupełnie jak Wielki Gatsby.

Mogłaby z nim tańczyć godzinami, ale goście uparli się rywalizować między sobą o taniec z panną młodą, a wśród nich znalazł się także sędzia H. W. Fargo. Jęknęła w duchu, gdy pojawił się obok Matta; wdzięk, z jakim poruszał się na parkiecie, dorównywał zręczności, z jaką prowadził

rozprawy sądowe.

- Miałem wątpliwości co do pani osoby - oświadczył okręciwszy nią tak, że niemal utraciła równowagę. - Ogarnęły mnie złe przeczucia, gdy usłyszałem, że chcą zatrudnić kobietę w charakterze obrońcy z urzędu.

- Naprawdę? - spytała chłodno. Koszmarny tancerz, Booże zlituj się sędzia i obrzydliwy męski szowinista. Nie uczynił najmniejszego wysiłku, by ukryć, jak mocno nęka ją owe „złe przeczucia”, kiedy po raz pierwszy pojawiła się na sali rozpraw. - Czego pan się tak lękał, panie sędzio? - Próboowała zdobyć się na przyjazny uśmiech.

- To konserwatywny okręg i miasto. J cholernie jestem z tego dumny - oświadczył z emfazą. - Ludzie tutaj poostępują niezmiennie tak samo od pokoleń. Jesteśmy niechętni wszelkim nowościom i nie podoba nam się, gdy je ktoś narzuca. A kobieta prawnik to niewątpliwie coś nowego.

- Uważa pan, że miejsce kobiet jest w domu? Gotowanie, sprzątanie, opiekowanie się dziećmi, prawda? Nie powinny mieć żadnych aspiracji zawodowych.

- Tak bym tego nie ujął - odparł, odchrząknąwszy.

- Och, z pewnością nie. - Wiedziała, że tak otwarta wypowiedź mogłaby go kosztować głosy wyborców. Sędzia H. W. Fargo starannie kontrolował to, co mówił na forum publicznym. Profesjonalny polityk i nieprofesjonalny sędzia.

- Chciałem tylko przez to powiedzieć, że Prosper jest nieewielkim, praworządym miastem. Nie zetknę się tu pani z problemami, które nękają inne aglomeracje. Wszelkie objawy zepsucia moralnego niszczy w zarodku. Mówiąc „my”, mam na myśli siebie i innych przedstawicieli publicznego ładu... Stawiamy sobie wysoko poprzeczkę.

- Sądzi pan, że mogę być przejawem zepsucia moralnego, panie sędzio?

- Ależ nie... ależ nie...

- Zatrudniono mnie, by zapewnić możliwość zasięgnięcia porady prawnej także tym, których nie stać na adwokata. Konstytucja Stanów Zjednoczonych gwarantuje to obywatelom.

- Wiem, co gwarantuje obywatelom konstytucja - oznajmił z rozdrażnieniem.

- Czasami sama sobie muszę to przypominać. - Kendall uśmiechnęła się, próbując złagodzić obraźliwy ton swej wypowiedzi. - W mojej pracy często mam do czynienia z ludźmi, z którymi wolałabym nigdy się nie zetknąć. Ale właśnie dlatego, że są przestępcami, potrzebują kogoś, kto by ich reprezentował przed sądem. Muszę bronić moich klientów, choćby najprzykrzejszych, tak kompetentnie, jak tylko potrafię.

- Nikt nie kwestionuje pani kompetencji. Oczywiście jeśli nie brać pod uwagę tej śliskiej sprawy w Tennessee... - urwał i uśmiechnął się obłudnie. - Ale dlaczego mielibyśmy o tym mówić akurat dzisiaj?

Właśnie. Dlaczego? Poruszył ten temat celowo. Jeśli sądził, że ona uzna to za przypadkowo popełnioną gafę... Poczwała pogardę.

- Nieźle pani pracuje, całkiem nieźle - rzucił pochlebstwo sędzia. - Ale przyznaję, że niełatwo mi było przyzwyczać się do słuchania na sali sądowej kobiety dyskutującej o paraagrafach. - Jego śmiech zabrzmiał jak ujadanie. - Wie pani, zanim pojawiła się pani na rozmowie wstępnej, byliśmy pewni, że zatrudnimy mężczyznę.

- Moje imię może być mylące.

Izba Adwokacka w Prosper postanowiła zatrudnić publicznego obrońcę, by odciążyć swych członków od prowadzenia obrony z urzędu. Stosowano wprawdzie system rotacyjny, mimo to

adwokaci narzekali, że tracą czas i pieniądze, zajmując się sprawami biedoty. Członkowie Rady Adwokackiej osłupieli, gdy ujrzeli wkraczającą na wysokich obcasach, ubraną w sukienkę Kendall; spodziewali się krawata i garnitur. Resume kandydata zrobiło ogromne wrażenie, postanowili go więc natychmiast zatrudnić, nawet nie widząc na oczy. Rozmowa wstępna miała być zwykłą formalnością, ale przerodziła się w małe przesłuchanie, gdy ją zobaczyli.

Świadoma, że przyjdzie jej przebijać się przez mur szowinistycznych, męskich uprzedzeń, starannie przygotowała się do tej rozmowy, próbując tak dobrać słowa, by rozwiać ich wątpliwości, nie obrażając ich jednocześnie.

Ogromnie chciała dostać tę posadę. Miała wszelkie kwalifikacje, by wykonywać tę pracę, a że wiązała z nią całą swoją przyszłość, nie zawahała się przed niczym.

Jej determinacja dała rezultaty, ponieważ jednak ją zatrudniono. Jedyne błędne, jakie popełniła w swojej karierze, najwyraźniej ważył mniej na ich decyzji niż jej płeć. A może myśleli, że pozwoliła sobie na coś takiego właśnie z powodu płci; powinna jej się noga, no ale przecież była tylko kobietą...

Dla Kendall nie miało znaczenia, co myśleli ani dlaczego podjęli decyzję. W ciągu ośmiu miesięcy, które spędziła w Prosper, udowodniła im, że jest kompetentna. Ciężko pracowała, by zasłużyć sobie na szacunek kolegów i współobywateli. Sceptycy spokornieli. Nawet wydawca lokalnej gazety, który pod notatką o jej zatrudnieniu zamieścił własne rozważania na temat, czy kobiety potrafią wywiązać się z tak trudnej pracy, musiał przyznać, że zmienił zdanie.

Ów wydawca stał teraz za nią, obejmując ją w talii i całując w kark.

- Sędzio, nie może pan zaanektować najładniejszej dziewczyny.

- Mówisz zupełnie jak pan młody - powiedział Fargo i roześmiał się.

- Dzięki, żeś mnie wybawił - odezwała się Kendall, gdy oddalili się trochę w tańcu, westchnęła i oparłszy policzek o klapę smokinga Matta przytknęła oczy. - Wystarczy mi, że muszę toczyć słowne potyczki na sali sądowej z tym nawiedzonym bigotem w tocie. Tańczenie z nim na własnym weselu to doprawdy dowód przesadnego poczucia obowiązku.

- Masz być miła - skarcił ją.

- No i byłam. Wręcz czarująca, aż mnie to przyprawiło o mdłości.

- Sędzia potrafi być rzeczywiście uciążliwy, ale jest starym przyjacielem ojca.

Miał rację. Poza tym, przecież nie da sędziemu Fargo tej satysfakcji, że zepsuł jej przyjęcie weselne. Podniosła głowę i uśmiechnęła się do Matta.

- Kocham cię. Kiedy to ja ci coś podobnego ostatni raz mówiłam?

- Wieki temu. Co najmniej dziesięć minut.

Czulili się do siebie, gdy ktoś krzyknął tuż przy nich:

- Hej, robaczki, co za imprezka!

Kendall odwróciła się i zobaczyła swoją drużnę, tańczącą w rytm fokstrota z miejscowym farmaceutą, skromnym, zwykle usuwającym się w cień człowieczkiem, który sprawiał wrażenie kompletnie oszołomionego pełną życia partnerką o obfitych kształtach.

- Hej, Ricki Sue! - odkrzyknęła. - Dobrze się bawisz?

- A co, nie widać?

Upięte wysoko włosy trzęsły się w rytm muzyki, twarz połyskiwała od potu. Ricki Sue miała na sobie mocno wydekoltowaną bladoniebieską suknię. Kendall uznała to za prawdziwe wyzwanie: dobrać swojej drużnie toaletę, w której wyglądałaby naprawdę dobrze. Jasna cera przyjaciółki była

nierówno upstrzona piegami o kolorze miedzi, a jej włosy miały kolor świeżo wyciśniętego soku z marchewki. Zwykle upinała je w niezwykle skomplikowane fryzury o przedziwnych kształtach. Nie ukrywała szerokiej przerwy między górnymi jedynkami, szczerze obdarzając wszystkich uśmiechem. Pełne warrgi błyszcząły, pokryte szminką przypominającą barwę wozu strażackiego; raczej niefortunny wybór, zważywszy na kolor włosów.

- Mówiłaś mi, że twój mąż jest diabelnie przystojny, ale nie powiedziałaś, że także grzesznie bogaty! - zawołała ruda druha głosem brzmiącym równie donośnie jak sygnał trąbki wojskowej na pobudkę.

Kendall poczuła, że Matt sztywnieje. Wiedziała, że Ricki Sue nie chciała go obrazić; w jej mniemaniu był to komplement. Ale w Pros per nie wspomniano o pieniądzach w eleganckim towarzystwie. W każdym razie nie na forum publicznym.

- Byłoby uprzejmie, gdybyś poprosił ją do tańca, Matt - powiedziała Kendall, kiedy przyjaciółka wraz z oszołomionym farmaceutą oddaliła się od nich nieco.

- Boję się, że podeptałaby mi nogi - skrzywił się. Matt...!

- Bardzo mi przykro.

- Akurat. Wczoraj podczas obiadu niezwykle jasno dałeś do zrozumienia, że poczułeś do niej natychmiast antypatię. Mam nadzieję, że tego nie zauważyła.

- Niezupełnie przypomina osobę, jaką mi opisałaś.

- Mówiłam ci, że jest moją najlepszą przyjaciółką. To powinno wystarczyć za wszystkie opisy. - Ponieważ babcia podupadła ostatnio na zdrowiu i nie mogła przyjechać na wesele, Ricki Sue była jedynym gościem, jakiego Kendall zaaprosiła. Już choćby z tego powodu miała nadzieję, że Matt zdobędzie się na odrobinę serdeczności. Tymczasem gdy tylko Ricki Sue podjęła hałaśliwie konwersację, on i Gibb zeszywnieli. Zażenował ich zwłaszcza niepohamowany zmysłowy śmiech, wydobywający się z jej masywnych piersi. - Przyznaję, że nie jest dystygowaną damą z Południa, ale...

- Kendall! Jest grubiańska. Pospolita - odparł szyderrczo. - Spodziewałem się kogoś podobnego do ciebie. Kobieecej, pięknej, kulturalnie wyrażającej się dziewczyny.

- Jest piękna. Wewnętrznie.

Ricki Sue pracowała jako recepcjonistka w Bristol & Maathers, firmie prawniczej, z którą Kendall była także związana. Podczas ich pierwszego spotkania Kendall dostrzegła w niej wyłącznie krzykliwe rudowłose ladaco, ale wkrótce odkryła jej prawdziwe wnętrze. Ricki Sue była bezpretensjonalną, praktycznie myślącą, tolerancyjną kobietą, której można było całkowicie zaufać.

- Jestem przekonany, że musi mieć jakieś wspaniałe cechy charakteru - przyznał niechętnie Matt. - I być może nie ma rady na jej opasłość. Niemniej, gdziekolwiek się pojawia, robi szokujące wrażenie.

Kendall skrzywiła się na słowo „opasłość”; mógł użyć innego wyrazu. A jeszcze lepiej byłoby, gdyby w ogóle powstrzymał się od deprecjonujących Ricki Sue określeń.

- Nie dałeś jej nawet cienia szansy, żeby...

Położył palec na ustach Kendall.

- Będziemy się kłócić na naszym własnym weselu na oczach gości o coś tak nieistotnego?

Może powinna się spierać, że okazywanie niechęci jej najlepszej przyjaciółce trudno określić jako coś nieistotnego, ale miał rację, że dyskusowanie akurat teraz było bez sensu. Poza tym... ona

również nie przepadała za wieloma jego przyjaciółmi.

- No dobrze, rozejm - zgodziła się. - Już raczej powinienam zacząć klócić się z tobą o te wszystkie kobiety, których oczy ciskają na mnie gromy. Gdyby wzrok zabijał, już tysiąc razy padłabym martwa.

- Jakie kobiety? Gdzie? - Kręcił głową, udając, że szuka owych dam o złamanym sercach.

- Ależ skądże znowu, żadne! - burknęła groźnie i zaborczo zacisnęła dłonie na klapach jego smokinga. - Ale tak na serio: ile serc złamał nasz ślub?

- Na serio? - Zrobił przesadnie poważną minę. - Tak na serio to byłem w Prosper jednym z nielicznych kawalerów nie przechodzących wieku pokwitania i nie całkiem jeszcze zgrzybiałych. Statystycznie rzecz biorąc, szanse dorosłych kobiet na to, że prędzej piorun w nie trafi, niż wyjdą za mąż, są coraz większe.

Osiągnął cel: zaczęła się śmiać.

- Tak czy owak, jestem zadowolona, że czekałeś z ożennikiem, aż się zjawiłam.

Zatrzymał się w tańcu, przytulił ją do siebie, odchylił jej głowę do tyłu i pocałował.

- I ja też.

Trudno pozostać nie zauważoną w ślubnej sukni i welonie, ale pół godziny później Kendall udało się jednak umknąć niepostrzeżenie do domu.

Nie lubiła go. A już zwłaszcza ogromnego pokoju dziennego, którego wykładane boazerią ciemne ściany służyły za tło dla myśliwskich i wędkarskich trofeów Gibba. Nie umiała docenić widoku: wszystkie te spreparowane ryby, osadzone na płytach z drewna orzecha włoskiego budziły jej współczucie. Martwo patrzące oczy jeleni, łosi, dzików i innych okazów zwierzyny łownej rodziły wzruszenie i wewnętrzny sprzeciw. Przechodząc szybko przez pokój, rzuciła kose spojrzenie na przerażający łeb dzikiej świni z obnażonymi kłami.

Myślistwo i wędkarstwo stanowiły nie tylko hobby Gibba.

Przy głównej ulicy Prosper mieścił się jego sklep z artykułami sportowymi, zaopatrujący klientelę całego górzystego regionu Blue Ridge w Karolinie Południowej. Wielu pokonywało całkiem spore odległości, by wydać pieniądze w jego sklepie. Był naprawdę świetny w swoim zawodzie. Myśliwi i wędkarze ogałacali karty kredytowe na wabiki i gadzety, jakie im polecał, przepelnieni nadzieją łowieckich sukcesów, a potem często przyjeżdżali do niego z tym, co zabili lub złapali. Wlekli za sobą padlinę, by napawać się własną biegłością w używaniu strzelb, pułapek, wędek, kołowrotków. A Gibb nie szczędził pochwał i nie przypisywał sobie żadnych zasług. Uwielbiano go; ci, którzy nie mogli o sobie powiedzieć, że są jego przyjaciółmi, usilnie starali się nimi zostać.

Kiedy Kendall dotarła do łazienki z prysznicem, używanej zwykle przez Gibba, stwierdziła, że drzwi są zamknięte. Zapuukała delikatnie.

- Za moment wychodzę.

- Ricki Sue?

- To ty, dziecinko? - Ricki Sue otworzyła drzwi. Wycierała właśnie wilgotnym ręcznikiem dołek między piersiami. - Spociłam się jak mysz. Włóż.

Kendall zebrała w rękach tren i welon i weszła do niewielkiego pomieszczenia, zamykając za sobą drzwi. Było im trochę ciasno, ale cieszyła się na spokojne chwile sam na sam z przyjaciółką.

- Jesteś zadowolona z pokoju? - W Prosper trudno było znaleźć dobry motel. Kendall zarezerwowała wprawdzie najlepszy dostępny pokój, ale jego wyposażenie bynajmniej nie zachwycało.

- Spałam w gorszych. I pieprzyłam się też. - Ricki Sue zerknęła na odbicie Kendall w lustrze. - A skoro już o tym mowa, to czy ten twój ogier jest tak samo dobry, jak przyystojny?

- Nigdy nie opowiadam o tych sprawach - odparła Kendall z pełnym rezerwy uśmiechem.

- W takim razie sama sobie coś odbierasz, gadanie o tym to połowa przyjemności.

W Bristol & Mathers Ricki Sue czarowała urzędników i prawników opowieściami o swoich seksualnych wyczynach. Każdego ranka przy automacie z kawą dodawała kolejny epizod do opery mydlanej, osnutej na wydarzeniach wziętych z własnego życia. Niektóre wydawały się zbyt naciągane, by w nie wierzyć, tymczasem choć zdumiewające, były prawdziwe.

- Martwisz mnie, Ricki Sue. To niebezpieczne mieć tylu partnerów.

- Jestem ostrożna. Zawsze byłam.

- Jestem tego pewna, ale...

- Tylko mi nie rób wykładu, dziecinko. Radzę sobie najlepiej, jak umiem. Biorę od mężczyzn to, co mogę dostać przy moim wyglądzie. Nie znam takiego, co by wpadł po uszy dla czegoś podobnego - rozłożyła ręce. - Zamiast wciąż przeżywać zawody miłosne albo nieustannie siać pietruszkę, postanowiłam, i to już kawał czasu temu, przystosować się. Daję im, czego chcą, a mam do tego talent. Kiedy zgaśnie światło i leżą już obok ciebie nago, przestaje ich obchodzić, czy wyglądasz jak księżniczka z bajki czy jak maskara, bylebyś tylko miała ciasne ciepłe miejsce między udami, żeby ci mogli włożyć. W ciemnościach wszystkie koty są szare, rybko.

- Okropnie smutna i minimalistyczna filozofia.

- Mnie wystarcza.

- A skąd wiesz, czy któregoś dnia nie zainteresuje się tobą mężczyzna twego życia?

- Prędzej wygram na loterii. - Śmiech Ricki Sue brzmiał równie donośnie jak róg mgłowy, ale szybko zgasł. - Nie daj się zwieść. Zamieniłabym moje życie na twoje w mgnieniu oka. Chciałabym mieć cały komplet: męża i rozchuliganioną gromadkę dzieciaków, ale ponieważ to nieprawdopodobne, nie zamierzam obywać się smakiem. Biorę, co możliwe, i tak, jak możliwe. Wiem, co ludzie mówią za moimi plecami: dla czego pozwala, by mężczyźni tak ją wykorzystywali? Prawda jest taka, że to ja ich wykorzystuję. Bo niestety... - przerwała i obrzuciła Kendall zazdrosnym, choć pozbawionym zawiści spojrzeniem. - Kobiety nie rodzą się równe sobie, kotku. Wyglądam jak mors, który zafundował sobie hennę, a ty... no właśnie, ty to ty.

- Nie deprecjonuj sama siebie. Nawiasem mówiąc, myślałam, że podziwiasz mnie dla moich umysłowych zalet - rzuociła Kendall zaczepnie.

- Ależ oczywiście! Jesteś inteligentna, wręcz straszliwie inteligentna, tak że aż mnie przerażasz. No i masz charakter, więcej charakteru niż ktokolwiek, z kim się do tej pory zetknęłam, a spotykałam naprawdę twardych facetów. - Popatrzyła na Kendall poważnie i zaprzestając prawienia złościwości, powiedziała: - Cieszę się, że twoje sprawy tutaj dobrze idą. Cholernie dużo ryzykowałeś. A właściwie wciąż ryzykujesz.

- Owszem - zgodziła się Kendall. - Ale specjalnie się tym nie martwię. Gdyby coś tutaj miało się zawalić, dawno już by się zawaliło.

- No nie wiem - mruknęła Ricki Sue z powątpiewaniem. - Nadal myślę, że jesteś szalona jak koński giez, skoro w to brniesz. I gdyby nie to, że nie chciałabym się powtarzać, dalej bym cię od tego odwodziła. A Matt wie?

Kendall potrząsnęła głową.

- Powinnaś mu chyba powiedzieć.

- Po co?

- Bo jest twoim mężem, że ci przypomnę!

- No właśnie. Czy to mogłoby zmienić jego uczucia do mnie?

Ricki Sue zastanawiała się nad tym przez moment.

- A co babcia o tym sądzi?

- To samo, co ty - przyznała Kendall z ociąganiem. - Nalega, bym mu powiedziała.

Kendall nie pamiętała rodziców, którzy osierocili ją w wieku pięciu lat. Wychowywała ją z miłością, ale i twardą ręką babka, Elvie Hancock. Kendall podzielała jej punkt widzenia na większość istotnych w życiu spraw. Ufała instynktowi i mądrości starej kobiety, doceniała jej doświadczenie, ale co do pełnej szczerości wobec Matta miała odmienną opinię. Była przekonana, że jej sposób postępowania jest lepszy.

- Powinnyście mi zaufać w tej sprawie, Ricki Sue - poowiedziała ze spokojem.

- W porządku, kochana. Ale jeśli jakiś upiór z przeszłości wychynie z twojej szafy, by cię ugryźć w tyłek, nie mów, że cię nie ostrzegałam.

Kendall roześmiała się wyobraziwszy to sobie i objęła przyjaciółkę.

- Będę tęsknić. Obiecuj, że mnie od czasu do czasu odwiedzisz.

Ricki Sue z przesadną starannością złożyła ręcznik.

- Nie sądzę, by to był dobry pomysł.

- Dlaczego? - uśmiech Kendall zgasł.

- Ponieważ zarówno twój teść, jak i mąż nie ukrywali swoich uczuć wobec mnie. - Widząc, że Kendall chce zaprotestować, dorzuciła szybko: - Nie dałabym złamanego grosza za to, co o mnie myślą. Za bardzo mi przypominają moich faryzeuszowskich rodziców, żebym dbała o ich opinię... Cholera jasna, nie zamierzałam im przywalić, po prostu... _mocno zrobione oczy błagały o zrozumienie - nie chciałabym być przyczyną jakichkolwiek problemów.

Kendall doskonale wiedziała, co Ricki Sue chce powiedzieć.

- Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, że tak bardzo tęsknię za tobą i babcią - powiedziała. - Tennessee wydaje się leżeć tak daleko. Potrzebna mi przyjaciółka.

- Znajdź sobie jakąś.

- Próbowałam, ale jak dotąd bezskutecznie. Tutejsze kobiety są grzeczne i zarazem pełne rezerwy. Może czują urazę, że mnie przywiało do tego miasta i skradłam im Matta. Może odstrasza je to, że robię karierę. Zresztą i tak nikt mi nie zastąpi ciebie. Nie odrzucaj mnie.

- Nie odrzucam cię, Bóg mi świadkiem. Przecież nie mam zbyt wielu przyjaciół. - Ricki Sue ścisnęła Kendall za ramię - W Sheridan w Tennessee masz tylko mnie i babcię. Kiedy ona umrze, zapomnij o tym mieście i o mnie. Nie wyywołuj wilka z lasu.

Kendall, doceniając wartość rady, w zamyśleniu pokiwała głową.

- Wiem, że babcia nie będzie już długo żyła. Żałuję, że nie przeprowadziła się tutaj ze mną, ale nie chciała opuścić domu. To że nie jesteśmy razem, łamie mi serce. Wiesz, jak bardzo jest dla mnie ważna.

- Ty dla niej też. Kocha cię. Zawsze chciała dla ciebie tego, co najlepsze. Jest szczęśliwa, że ci się powiodło. Nie możesz życzyć sobie więcej.

Kendall wiedziała, że Ricki Sue ma rację. Gardło jej się ścisnęło.

- Opiekuj się nią za mnie - poprosiła.

- Codziennie dzwonię, a odwiedzam ją dwa razy w tygodniu, tak jak obiecałam. - Ricki Sue ujęła

dłoń Kendall i uściśnęła ją uspokajająco. - No, ale teraz chciałabym wrócić na przyjęcie, do tego wspaniałego jedzenia i szampana. Może wyproszę u mojego farmaceuty drugi taniec. Całkiem fajny facecik, co?

- Żonaty.

- Tak? Właśnie oni najbardziej pożądamy czulej miłości słynnej Ricki Sue. - Poglaskała obfite piersi.

- Wstydziałabyś się.

- Przepraszam, tego nie ma w moim słowniku. - Zachichotawszy, przepchnęła się do drzwi. - Już mnie nie ma. Chociaż wolałabym zostać w pobliżu i popatrzeć, jak się do tego zabierasz.

- Zabieram do czego?

- Do sikania w ślubnej sukience.

Rozdział drugi

- Czy to wszystko, proszę pani?

Pytanie sprzedawcy wyrwało Kendall z zamyślenia. Pamiętała nawet najdrobniejsze detale ze swego wesela, a jednocześnie ten dzień wydawał się jej nierzeczywisty, jakby działo się w innym życiu albo przydarzył komuś innemu.

- Tak, to wszystko, dziękuję - odpowiedziała.

Mimo deszczowej pogody w Wal-Mart tłoczyli się klienci.

Przejścia między sklepowymi półkami zapełniały wózki wyładowane różnorodnymi towarami, począwszy od wrotek, a na wałkach do ciasta skończywszy.

- Sto czterdzieści dwa, siedemdziesiąt siedem. Gotówka, czek czy na rachunek?

- Gotówka.

Chyba nie zwrócił na nią specjalnej uwagi. Była w końcu tylko jedną z setek klientek, które tego dnia płaciły w jego kasie. Nie zapamięta jej ani nie będzie w stanie opisać, gdyby go później o nią pytano. Musiała zachować anonimowość.

Ostatniej nocy, gdy wreszcie ułożyła się na łóżku w Szpitalu Miejskim Stephenville, poczuła straszliwe zmęczenie. To była ciężka próba - wydostać się z tamtego wąwozu. Całe ciało miała obolałe, wszystkie mięśnie pulsowały. Rany i siniaki dokuczały jej coraz bardziej w miarę upływu godzin nocy. Leżąc z otwartymi oczami, rozpaczliwie marzyła o śnie przynoszącym zapomnienie.

Kto to? Kim jestem? To mój mąż.

Te kilka słów bezustannie rozbrzmiewało w jej głowie. Czując piasek pod powiekami, patrzyła na wyłożony dźwiękooszczelnymi płytkami sufit i powtarzała je w myślach, zastanawiając się, czy to, że je wypowiedziała, obróci się na jej korzyść, czy też okaże się szaleństwem. Za późno, by je cofnąć, a nawet gdyby mogła, nie chciałaby.

Zanik pamięci był czasowy. Musiała jak najlepiej wykorzystać fakt, że trwał pogrążony w niepamięci. Dawało jej to nadzieję na ocalenie siebie i Kevina. Zresztą wszystko, co do tej pory zrobiła, miało na celu uratowanie Kevina. Warto było podjąć najmniejszą szansę, każde ryzyko, by ochronić synka.

Lekarz odegrał wielką scenę, informując go, że cierpi na amnezję. Tylko odpoczynek i spokój mogą przynieść poprawę. Ze względu na nogę również powinien się oszczędzać, czemu więc nie miałby potraktować tego wszystkiego jak małych wakacji? Im bardziej będzie wyęźzał mózg, chcąc odzyskać pamięć, tym bardziej przeszłość będzie mu umykać. Zablokowany umysł trudno zmusić do współpracy. Dlatego jako lekarz odpowiedzialny będzie nieustannie nalegał, by jego pacjent

wypoczywał.

Nie był ani przez chwilę zrelaksowany, nawet wtedy gdy Kendall na polecenie doktora przyniosła do jego pokoju Kevina. Na widok dziecka jego podniecenie wyraźnie wzrosło i dopiero kiedy pielęgniarka zabrała je z powrotem, trochę się uspokoił. Lekarz, zbity z tropu, poinstruował Kendall:

- Zalecałbym, aby go nie niepokoić w ciągu nocy, proszę pozwolić mu wypoczywać. Amnezja to coś nieprzewidywalnego. Prawdopodobnie przypomni sobie wszystko, gdy obudzi się jutro rano.

Ledwie się rozwidniło, włożyła strój pielęgniarski, który pożyczyła jej jedna z sióstr, i niecierpliwie pośpieszyła do jego pokoju. Pamięć mu nie wróciła.

Kiedy weszła, zażenowany podciągnął prześcieradło do pasa; siostra myślała go właśnie i najwyraźniej odczuwał z tego powodu zakłopotanie. Młoda pielęgniarka pozbierała przybory i wycofała się, zostawiając ich samych.

- Jestem pewna, że umyty od razu lepiej się poczujesz. Kendall zrobiła niezręczny gest ręką.

- Trochę. Ale to było okropne.

- Nie, to mężczyźni są na ogół okropnymi pacjentami. - Uśmiechnęła się do niego niepewnie i podeszła bliżej. - Czy mogę coś zrobić, żeby ci ulżyć?

- Nie, dziękuję, niczego mi nie trzeba. A ty i dziecko, dobrze się czujecie?

- Jakimś cudem ja i Kevin wyszliśmy z tego bez uszczerbku.

- To dobrze. - Skinął głową.

Kendall miała wrażenie, że nawet ta krótka wymiana zdań wymaga od niego dużego wysiłku.

- Jest parę rzeczy, którymi muszę się zająć, tak że gdybyś czegoś potrzebował, nie krępuj się wezwać pielęgniarki. Te dziewczyny wyglądają na bardzo kompetentne.

Ponownie skinął głową, ale tym razem się nie odezwał.

Miała już wyjść, po namyśle odwróciła się jednak, pochyliła nad nim i pocałowała go w czoło. Rozwarł powieki tak gwałtownie, że Kendall zniżyła głos do uspokajającego szeptu.

- Wypoczywaj spokojnie. Zajrzę do ciebie później. Pośpiesznie opuściła pokój i niemal od razu natknęła się na pielęgniarkę.

- Muszę załatwić parę sprawunków. Jak mogę wezwać stąd taksówkę? - zapytała.

- Lepiej niech pani o tym zapomni, kochana - roześmiała się siostra i wyciągnęła kluczyki samochodowe. - Moje auto jest do pani dyspozycji, dopóki nie zejdem z dyżuru, czyli do trzeciej po południu. Proszę wziąć także mój płaszcz przeciwdeszczowy.

- Och, dziękuję bardzo. - Z wdzięcznością przyjęła tę nieoczekiwaną pomoc. - Powinnam kupić kilka rzeczy Kevinowi, no i sama też nie mogę w nieskończoność chodzić w stroju pielęgniarki. Naprawdę muszę wybrać się na zakupy.

Dziewczyna wyjaśniła jej, jak dojechać do Wal-Mart, a potem zawaławszy się, spytała:

- Proszę wybaczyć, kochanie, że zadaję tak osobiste pytanie, ale skoro wszystkie pani rzeczy, nawet dokumenty, zostały zatopione wraz z samochodem, w jaki sposób zdobędzie pani gotówkę?

- Na szczęście miałam trochę pieniędzy w zapiętej na suwak kieszeni kurtki - odpowiedziała Kendall, dobrze wiedząc, że suma, jaką miała przy sobie, sprawiłaby w szok pielęgniarkę. Trudno było to określić jako „środki na bieżące wydatki”; sporo odłożyła, przewidując, że może dojść do podobnej sytuacji. Za to, co ze sobą miała, ona i Kevin mogli przeżyć wiele miesięcy. - Trochę zawilgotniały, ale nie straciły przez to na wartości. Mogę sobie pozwolić na kupienie kilku rzeczy dla siebie i dziecka i opłacenie jakiegoś lokum.

- W tej dziurze jest raptem jeden kiepski motel. Szkoda na niego pieniędzy. Dopóki pani będzie potrzebować noclegu, może pani zostać w szpitalu.

- Bardzo to uprzejme.

- Ależ nie ma o czym mówić. A poza tym powinna tu pani być cały czas, skoro pani mąż w każdej chwili może odzyskać pamięć. - Dotknęła ramienia Kendall, jakby ją chciała pocieszyć. - Sporo ma pani na głowie. Czy nie może pani do nikogo zadzwonić i poprosić o pomoc? Jakaś rodzina...?

- Nikogo. Nie mamy już żadnych krewnych. Nawiasem mówiąc, chciałabym podziękować pani i całemu personelowi za to, że zgodziliście się państwo nie wspominać o śmierci siostry mojemu mężowi. Jest wystarczająco zdenerwowany i zmartwiony. Nie ma powodu pogarszać sprawy.

Szeryf również podzielił jej punkt widzenia i przyznał, że nie ma sensu informowanie o podobnej sprawie osoby cierpiącej na amnezję. Przyszedł rano znowu do szpitala, aby przekazać Kendall najświeższe wiadomości. Na miejsce wypadku posłano nurków, ale nie udało im się zlokalizować wraku. Najwidoczniej został gdzieś dalej poniesiony z prądem. Potrząsając z uboolewaniem głową, stwierdził, że nikt nie jest w stanie przewidzieć, kiedy i gdzie go odkryją.

- Bingham Creek płynie literalnie przez odludzie, a grunt rozmiękł za bardzo, żeby mogli ściągnąć ciężki sprzęt. Wygląda na to, że jeszcze trochę tu popada, tak że minie z pewnością wiele dni, zanim będzie można zacząć szukać wraku, nikogo nie narażając.

Wiele dni.

Na razie nie byli w stanie jej zidentyfikować. Wrak i wszystko, co zawierał w swoim wnętrzu, zaginęło. Nikt nie wie, że ona i dziecko są tutaj. A jego dotknęła amnezja.. Miała trochę czasu.

Jeśli zachowa zimną krew i okaże się wystarczająco sprytna, zdoła im uciec i zyska sporą przewagę. Jeśli jej się nie uda, konsekwencje będą straszne. Ale czy kiedykolwiek wzgląd na konsekwencje powstrzymał ją od działania, gdy sytuacja tego wymagała? Czy nie była całkowicie pewna swego, gdy przeeprowadzała się do Prosper?

A kiedy stamtąd uciekała?

- Proszę pani...?

- Przepraszam. - Głos kasjera ponownie przywołał Kendall do przytomności. - Czy pan coś mówił?

- Zgadza się? - Patrzył na nią ze zdziwieniem.

Ostatnia rzecz, jakiej jej było trzeba: ściągnąć uwagę na kobietę w pielęgniarskim uniformie, sprawiającą wrażenie oszołomionej i zdezorientowanej.

- Ależ tak, dziękuję. - Pośpiesznie zgarnęła zakupy i skierowała się do wyjścia, gdzie klienci, ociągając się w drzwiach, zrobili mały zator.

Kendall się nie wahała - dała nura wprost w ulewę. Poddjechała pożyczonym autem pod najbliższą stację benzynową i kupiła lokalną gazetę. Przejrzała ją pobieżnie, a potem pobiegła do automatu telefonicznego.

- Halo! Dzwonię z ogłoszenia. Czy pan już sprzedał saamochód?

- Czyli fizyczne urazy nie są aż tak groźne?

- Złamana goleń, głębokie rozcięcie na głowie. To wszystko.

Kendall zasadziła się na lekarza w szpitalnym korytarzu, żeby go wypytać. Był już w zwykłym ubraniu i skropił się wodą kolońską tak obficie, że wystarczyłoby dla plutonu wojska. Najwyraźniej bardzo mu się śpieszyło, żeby zakończyć dyżur i zająć tym, co zaplanował na sobotni wieczór, ale

Kendall musiała uzyskać odpowiedź na pytania, które chciała zadać. Z ciężkim westchnieniem skapitulował pod jej uporczywym wzrokiem.

- Obrażenia, jakich doznał, to nie bułeczka z masłem, ale też nie są tragiczne. Noga wydobrzeje za jakieś sześć tygodni, pod warunkiem że nie będzie jej forsował. Wstawał już dzisiaj i próbował posługiwać się kulami. Nie wygrałby biegu na krótki dystans, ale może się o nich poruszać. Szwy powinny zostać zdjęte za tydzień do dziesięciu dni. Skóra na czasce będzie przez jakiś czas wrażliwa, zostanie też niewielka blizna, ale nie wpłynie to na wygląd pani męża.

- Już mi to pan mówił - przypomniała Kendall, ignorując jego złośliwy uśmiech. - Bardziej mnie obchodzi problem amnezji.

- Nie jest to coś niespotykanego po doznanym urazie czaszki i wstrząsie.

- Ale zwykle dotyczy kilku minut przed wstrząsem i wydarzeń, które nastąpiły bezpośrednio po nim, czy tak?

- „Zwykle” nie jest słowem używanym w medycynie.

- Niemniej rzadko spotyka się całkowity zanik pamięci, prawda?

- Rzadziej, tak - przyznał zwięźle.

Tego popołudnia Kendall przeczytała wszystko na temat rozmaitych form amnezji, co tylko mogła znaleźć w szczupłej szpitalnej bibliotece. Zgadzało się to z tym, co mówił lekarz. Ale jej nie wystarczało. Musiała zbadać wszelkie możliwości, nawet najbardziej nieprawdopodobne.

- A co pan mi powie o amnezji wstecznej? - zapytała.

- Niech pani sobie nie wynajduje problemów.

- Proszę mnie nie zbywać.

Splótł ręce na piersi i przybrał cierpienniczą minę. Zupełnie nie zbita z tropu jego brakiem cierpliwości, Kendall kontynuowała:

- Tak jak rozumiem, przy amnezji wstecznej mój mąż może nie być zdolny do gromadzenia w mózgu informacji dotyczących tego, co się dzieje teraz. Zatem jeśli nawet przyypomni sobie to, co się zdarzyło przed wypadkiem, nie będzie pamiętał wydarzeń, które miały miejsce między utratą pamięci a jej odzyskaniem. Przyypomni sobie wszystko poza tym, ale ten okres zostanie wykreślony z jego świadomości.

- To, co pani mówi, jest prawdopodobne. Ale tak jak powiedziałem, nie ma co się martwić na zapas. Nie sądzę, by coś takiego nastąpiło.

- Ale może.

- Może. Proszę być raczej dobrej myśli, zgoda?

- Czy potrzeba aż następnego uderzenia w głowę, by pamięć mu wróciła?

- Coś takiego zdarza się wyłącznie w kinie - zakpił. - Normalnie nie odbywa się to aż tak dramatycznie. Pamięć może mu wracać stopniowo, po trochu, albo powrócić całkowicie w jednym momencie.

- Albo nigdy.

- Raczej nieprawdopodobne. Chyba że istnieje powód, dla którego pani mąż chciałby, by pamięć mu nie wróciła.

Uniósł brwi, patrząc na nią pytająco.

Zignorowała jego źle skrywaną ciekawość, ale nie miał zamiaru zrezygnować z możliwości popisania się swoją wiedzą, skoro już mu ją dała.

- Bo widzi pani, podświadomie mógł uznać ten uraz głowy za świetną okazję, by zapomnieć o

czymś, czego nie chce pamiętać. O czymś wyjątkowo dla niego trudnym, a nawet niemożliwym do rozwiązania. - Rzucił jej przenikliwe spojrzenie. - Czy jest jakiś powód, dla którego podświadomie mógłbyś chcieć uciec w niepamięć?

- Jest pan także licencjonowanym psychoterapeutą, doktorze? - spytała zwoźniczo słodkim głosem, ale jej oczy wyraźnie mówiły, co myśli. Zacerwienił się, oburzony. - To mi nasuwa następne pytanie - powiedziała, nie dając mu szansy na replikę. - Czy nie powinniśmy się skonsultować ze specjalistą? Na przykład z neurologiem?

- Już to zrobiłem.

- Tak? - Trochę ją to zaskoczyło.

- Dzwoniłem do szpitala w Atlancie. Rozmawiałem z dyżurującym neurologiem i przesłałem mu faksem kartę pani męża. Powiadomiłem go, w jakiej znajduje się kondycji, jakie ma odruchy. Poinformowałem go także, że prześwietlenie nie wykazało krwawienia mózgowego, a u pacjenta nie stwierdza się objawów paraliżu ani drętwienia kończyn, bełkotliwej mowy, niewyraźnego widzenia czy mentalnej niewydolności, żadnego symptomu wskazującego na poważne uszkodzenie centralnego układu nerwowego. Neurolog oświadczył, że według jego opinii uderzenie w głowę spowodowało zamknięcie jakiejś klapki w mózgu pacjenta, a to co do joty potwierdza moją diagnozę - dokończył bardzo z siebie zadowolony.

Słuchała tego z ulgą. Chciała wykorzystać fakt, że cierpiał na amnezję, ale nie życzyła mu, by pozostał w tym stanie do śmierci. Niepokoiło ją jednak, że to, kiedy odzyska pamięć, wciąż pozostawało wielką niewiadomą. Za rok albo zaraz. Ile miała czasu? Powinna przyjąć, że niewiele, i stosownie do tego działać. Uśmiechnęła się do lekarza.

- Dziękuję, że poświęcił pan tyle czasu, by odpowiedzieć na moje pytania. Przepraszam, że trzymałam pana tak długo. Jakaś wspomniała randka dziś wieczór? - Skoro już dowiedziała się tego, co chciała, musi odwrócić jego uwagę od swoich pytań. Najprościej było go ugłaskać, kierując rozmowę na sprawy, które jego dotyczyły. Często stosowała tę taktykę, usiłując odwrócić uwagę sędziów od niekorzystnych dla jej klienta dowodów.

- Obiad i dancing w Elk's Lodge - pochwalił się.

- Brzmi obiecująco. Niech pan nie pozwala, bym pana dłużej zatrzymywała.

Pożegnał się i poszedł prosto do głównego wyjścia. Poczekwała, aż zniknął z pola widzenia, i dopiero wtedy wślizgnęła się do szpitalnego pokoju. Tuż za drzwiami przystanąła.

Nad łóżkiem paliła się mała nocna lampka, metalowy abażurek był odwrócony tak, by światło padało na sufit, nie na jego twarz. Wydawało jej się, że ma zamknięte oczy, zaskoczył ją więc zupełnie, gdy się odezwał.

- Nie śpię i chciałbym z tobą porozmawiać.

Rozdział trzeci

Gumowe podeszwy jej butów zapiszczały na winylowych płytkach, gdy podchodziła do łóżka. Leżał nieruchomo, proowadząc ją czujnym wzrokiem.

- Kevin zasnął i pomyślałam, że wykorzystam ten moment, by sprawdzić, co z tobą - powiedziała.

- Podobno zjadłeś dzisiaj lekką kolację. Apetyt to dobry znak. - Rozłożyła ramiona i wykonała zgrabny piruet. - Jak ci się podoba mój nowy strój? Pierwszorzędny, nie? Ostatni krzyk mody.

Nie uznał za stosowne odpowiedzieć, opuściła więc ramiona, sztuczny uśmiech zniknął. Na jego miejscu zareagowałaby tak samo wobec każdego, kto by próbował ją sobie zjednać paplaniną i wątpliwymi dowcipami. Cierpiał z bólu i upokorzenia, bezradny i zdany na innych. Prawdopodobnie

obawiał się także, że nigdy nie odzyska pamięci - a może bał się tego, czego się dowie o sobie, jeśli ją odzyska.

- Przykro mi, że to cię spotkało. - Mówiła szczerze. To musi być okropne uczucie nie pamiętać, kim się jest, skąd pochodzi, co się robiło, myślało czy czuło. Ale niedługo przyypomnisz sobie to wszystko.

Podniósł rękę do czoła i przycisnął kciukiem jedną skroń, a środkowym palcem drugą, jakby chciał wydusić z czaszki wiedzę o sobie.

- Nic nie pamiętam, ni cholery. - Opuścił dłoń i spojrzał na nią ponuro. - Gdzie właściwie jesteście?

- Stephenville, miasto w Georgii.

Powtórzył obie nazwy, jakby chciał je sobie wtłoczyć do głowy.

- Mieszkamy w Georgii?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Byliśmy w drodze do Karoliny Południowej.

- Prowadziłem samochód - powiedział. - Musiałem skrócić, żeby uniknąć zderzenia ze zwalonym drzewem blokującym drogę. Jezdnia była śliska. Wóz zjechał z szosy, osunął się w głęboki wąwóz, uderzył w inne drzewo, a potem zatonął.

- Pamiętasz to wszystko? - Kendall zrobiło się sucho w ustach.

- Nie, nie pamiętam. Szeryf mi opowiedział.

- Szeryf?

- Właśnie. - Wychwycił nutkę niepokoju w jej głosie i spojrzał na nią z zaciekawieniem. -

Przyszedł tu dzisiaj i zadał mi parę pytań.

- Ale po co?

- Pewnie chciał usłyszeć odpowiedzi.

- Udzieliłam mu wszelkich odpowiedzi.

Patrzył na nią z namysłem przez dłuższy czas, wreszcie powiedział łagodnie:

- Najwidoczniej uznał, że kłamałaś.

- Nie kłamałam!

- Boże! - Z grymasem bólu przyłożył rękę do czoła.

- Przepraszam - powiedziała Kendall ze skruchą. - Nie zamierzałam krzyknąć. Bardzo cię boli?

Wezwać pielęgniarkę? - Nie. - Zacisnął powieki i odetchnął głęboko. - Zaraz dojdę do siebie.

Czując się niezręcznie z powodu swego bezmyślnego wybuchu i chcąc to jakoś naprawić, Kendall nalala mu z pokrytej kropelkami wilgoci karafki wody do szklanki. Wsunęła rękę między poduszkę a jego głowę i uniosła ją ostrożnie. Zbliżyła naczynie do warg, a on pociągnął kilka łyków przez plastikową słomkę.

- Dostyc? - spytała, gdy oderwał usta.

Skinął głową, że tak. Delikatnie ułożyła go na poduszce i odstawiła szklankę na tacę.

- Dzięki. Ten ból w czaszce mnie wykończy - westchnął.

- Powinno być lepiej za parę dni.

- Aha - powiedział bez przekonania.

- Wiem, że cierpisz, ale ciesz się, że nie stwierdzono żadnych poważnych uszkodzeń. Lekarz konsultował się w tej sprawie z neurologiem w Atlancie.

- Słyszałem waszą rozmowę.
- Więc powinno cię to uspokoić. Pamięć może ci wrócić w każdej chwili.
- Albo niezbyt prędko. Co jak sądzę, bardziej ci odpowiada.

Nie spodziewała się podobnej uwagi i na moment straciła pewność siebie.

- Nie wiem, co... Nie wiem, o co ci chodzi.
- A nie wolałabyś, żebym odzyskał pamięć jak najpóźniej?
- Dlaczego miałabym tego chcieć?
- Nie mam pojęcia.

Najlepiej było nic nie odpowiadać.

Wskazał głową korytarz, w którym rozmawiała z lekarzem na temat jego stanu.

- Wyczytałaś o amnezji, co tylko mogłaś. Mówiłaś, jakbyś poznała wszystkie jej przyczyny, rozważyła wszelkie możliwości. Ciekawy jestem dlaczego.

- Żeby wiedzieć, czemu ty... czemu my mamy stawić czoło.

Czy to nie jest normalne? - Nie wiem. A jest?

- Dla mnie tak, jest. Wolę zawsze dokładnie wiedzieć, na czym stoję, być przygotowana na najgorsze, by nie przeżywać później rozczarowania. To chyba dlatego, że zostałam osierocona w dzieciństwie. Nigdy nie uporałam się ze strachem przed niespodziewanym. - Nagle zdała sobie sprawę, że powiedziała za wiele, i zamilkła.

- Dlaczego przerwałaś? - spytał. - Zaczęło mnie to innteresować.

- Nie chciałabym ci za bardzo tego wszystkiego zawikłać. - Uśmiechnęła się, mając nadzieję, że przyjmie to za żartobliwe ucięcie ewentualnej dyskusji. - Czy noga jeszcze cię boli?

- Właściwie nie. Bardziej czuję guzy i siniaki.

Jego prawe ramię leżało nieruchomo na prześcieradle. Skórę od nadgarstka po biceps pokrywały sinoczerwone wybroczyny, niknące w szerokim rękawie szpitalnej tuniki.

- Ten wygląda na szczególnie bolesny. - Musnęła palcami ciemny siniak, a potem położyła dłoń na jego ramieniu. Nie wiadomo dlaczego wydało jej się to znaczące, że go dotknęła.

Utkwił wzrok w jej ręce. A właściwie w obrączce na palcu.

Pod tym spojrzeniem doznała uczucia, jakby palce przekazywały jej ciału ciepło jego ciała. Nie powinna była go dotykać. Nie powinna pozwalać sobie na doznawanie żadnych uczuć. Ale nie mogła się zmusić, żeby cofnąć dłoń.

Obrócił lekko głowę i spojrzał jej w twarz. Na moment zapadła niezręczna cisza, gdy uważnie przyglądał się jej rysom. Podsiniowane oczy przesuwaly się po jej twarzy, przykute do niej przez chwile, które wydawały się Kendall tak nieznośnie długie, że niemal przestała oddychać. Wreszcie przesunął oczyma po układających się w fale gęstych włosach i zatrzymał wzrok na jej ramionach.

- Jakiś błysk rozpoznania? - spytała z duszą na ramieniu. Popatrzył jej prosto w oczy; zastanawiała się, czy pamięta, że miały rzadko spotykany szary kolor, który przyciągał uwagę większości ludzi i wprowadzał w zakłopotanie kłamiących świadków. Kiedy przesunął wzrok na usta, żołądek podjechał jej do gardła, jakby przyłapał ją na czymś zakazanym.

Próbowała zabrać dłoń, ale sięgnął szybko ręką i przytrzymał ją mocno. Przesunął wąską obrączkę na jej palcu.

- Niezbyt wyszukana.

Istotnie. Kupiła ją dzisiaj w Wal-Mart.

- Taką chciałam.

- Nie mogłem sobie pozwolić na lepszą?

- Nie chodziło o pieniądze.

- Nie pamiętam, żebym ci ją wsuwał na palec. - Rzucił jej szybkie spojrzenie, wciąż bawiąc się obrączką. - Ciebie też nie pamiętam. Na pewno byliśmy małżeństwem?

- Trudno się w tej sprawie mylić - roześmiała się trochę sztucznie.

- Tak, ale może kłamiesz.

Serce zatrzepotało jej w piersi; niezależnie od amnezji nadal zachował zdolność czytania w niej jak w otwartej książce.

- Dlaczego miałabym kłamać? I to co do takiej rzeczy?

- Nie wiem. Właśnie. Dlaczego miałabyś kłamać?

- To zaczyna być śmieszne. - Znowu spróbowała uwolnić rękę, ale trzymał ją mocno.

- Trudno mi to wszystko kupić.

- To znaczy co?

- Ciebie. Dziecko. Wszystko. - Zaczynał być zły.

- Dlaczego mi nie wierzysz?

- Bo cię nie pamiętam.

- Nic nie pamiętasz.

- Nie zapomina się pewnych rzeczy! - podniósł głos. - I mogę się założyć, że spanie z tobą do nich należy!

Nagle zapaliła się lampa na suficie, niemal ich oślepiając.

- Czy coś nie w porządku?

- Zgaście to przekłete światło! - Podniósł dłoń, chroniąc oczy przed białoniebieskim blaskiem.

- Proszę je zgasić - Kendall zwróciła się do pielęgniarki. - Przecież pani widzi, że razi go w oczy i wzmaga ból głowy.

Pielęgniarka zgasila lampę. Przez chwilę żadne z nich nic nie mówiło. Kendall wciąż dźwięczały w głowie jego ostatnie słowa. Wreszcie, niezdolna spojrzeć mu w oczy, odezwała się do siostry:

- Przepraszam, że na panią warknęłam. I że zdenerwowałam pani pacjenta, ale oboje mamy nadszarpnięte nerwy przez tę jego amnezję.

- Dlatego właśnie powinni państwo odpoczywać w nocy.

Lekarz zalecił, by nie próbował pan odzyskać pamięci na siłę. - Uniosła lekko tacę, na której leżała strzykawka. - Przyyszłam zrobić zastrzyk.

Kendall odwróciła się w stronę łóżka ze sztucznym uśmiechem przyklejonym do twarzy.

- Im usilniej będziesz się starał, tym bardziej twój umysł będzie się opierał. Śpij dobrze. Przyjdę do ciebie rano. - Dotknęła leciutko jego ramienia i umknęła, nie chcąc, by przy swoim talencie do odkrywania prawdy wyczytał z jej oczu, że kłamie.

Wyczekała trzy długie godziny, zanim zaczęła realizować swój plan.

Kevin spał spokojnie w nowej kołysce, podwinięte nóżki przycisnął do brzuszka, wypinając owiniętą pieluszką pupę. Co jakiś czas posapywał uroczo, ale dziś uszy Kendall były głuche na ten dźwięk. Tak bardzo starała się nie zasnąć, że ledwie mogła wyleżeć na szpitalnym łóżku. Gdyby zmęczenie przeważało nad pobudzonym umysłem i gdyby się zdrzemnęła, mogłaby na zawsze stracić swoją szansę.

Spojrzała na zegarek na ręku nie wiadomo który już raz z rzędu. Za piętnaście pierwsza. Jeszcze ten kwadrans, zdecydowała. Nie opracowała żadnego planu działania, nastawiła

się raczej na improwizację. Uznała jednak, że im więcej czasu upłynie między opuszczeniem Stephenville a świtem, tym lepiej dla niej.

Podeszła na palcach do okna, ostrożnie rozchyliła żaluzje i wyjrzała przez zamglone szyby. Deszcz wciąż padał, równo i nieubłaganie. Ciężko będzie prowadzić, ale zła pogoda już raz okazała się dla niej darem losu. Gdyby nie deszcz, nie zdecydowałaby się na objazd. Gdyby nie zboczył z drogi, wypadek by się nie wydarzył i byłaby teraz z powrotem w Prosper. Zła pogoda okazała się jej sprzymierzeńcem, nie mogła więc na nią narzekać.

Z okna widać było samochód - tam gdzie go zostawiła, pół przecznicy dalej, po drugiej stronie ulicy, na parkingu czynnej przez całą dobę pralni samoobsługowej.

- Opony ma zdarte - powiedział właściciel, kopnąwszy czubkiem buta lewe przednie koło - i nie wygląda najlepiej, ale silnik dobrze kręci.

Nie miała czasu na przebieranie, zresztą nie znalazła innej prywatnej oferty sprzedaży w rubryce ogłoszeń lokalnej gazety Stephenville.

- Mogę panu zapłacić tysiąc dolarów.

- Chciałem wziąć dwanaście stówek.

- Tysiąc. - Kendall wyciągnęła z kieszeni dziesięć studolarowych banknotów i wręczyła mu je.

Splunął gęstą strużką soku tytoniowego w błoto i drapiąc się po wąsach z namysłem spoglądał na pieniądze. Wreszcie podjął decyzję.

- Pani poczeka. Momencik i jestem z powrotem, kochaaniutka. Papiery mam w domu.

Pojechała z powrotem do szpitala samochodem pielęgniarki, a on ruszył za nią tym, który kupiła. Przy pralni przystanęła.

- Na razie zaparkuję tutaj - powiedziała, gdy wręczał jej dwa komplety kluczyków. - Potem przyjedziemy z mężem, żeby go zabrać. Odwiozę pana do domu. Przepraszam za kłopot.

Jeśli mu go sprawiła, czuł się z pewnością pocieszony tkwiącym w kieszeni tysiącem. Był oczywiście ciekaw, jak się nazywa, gdzie mieszka, gdzie pracuje mąż. Zadał co najmniej tuzin pytań, a ona grzecznie i z łatwością zbyła go kłamliwymi odpowiedziami.

- Urodzona z ciebie kłamczucha - stwierdziła kiedyś Ricki Sue. - Pewnie dlatego jesteś takim dobrym adwokatem.

Uśmiechnęła się z tęsknotą na to wspomnienie. Piekły wtedy we trzy ciasto w babcinej kuchni. Kendall niemal słyszała głosy obu kobiet, a ich twarze stanęły jej przed oczyma tak wyraźnie, jakby babcia i przyjaciółka były z nią w szpitalnym pokoju.

Ricki Sue zamierzyła szyderstwo, Kendall potraktowała je jako komplement.

- Uważaj, Ricki Sue - powiedziała babcia. - Mówienie czegoś takiego wpływa na nią zachęcająco. A Bóg jeden wie, że nie potrzebuje żadnej zachęty, by cyganić.

- Nie cyganię! - zaprotestowała Kendall.

- To najgorsze kłamstwo, jakie od ciebie słyszałam - skarciła ją babcia, grożąc oblepioną ciastem drewnianą łyżką. - Ile razy wzywano mnie do szkoły z powodu przedziwnych historii, których naopowiadałaś kolegom? Bez przerwy wymyślała jakieś bajki - wyjaśniła Ricki Sue.

- Po prostu ubarwiałam czasem prawdę, bo tak było bardziej interesująco - oznajmiła Kendall wyniośle. - Trudno to nazwać cyganieniem.

- Pewnie, że trudno. To się nazywa oszukiwanie - oświadczyła rzeczowym tonem przyjaciółka i wrzuciła do ust garść czekoladowych draży.

Gardło jej się ścisnęło na wspomnienie tych, za którymi tak ogromnie tęskniła. Gdyby dłużej o

nich myślała, mogłaby się rozkleić. A musiała działać, nie powinna tracić czasu. Nie wolno jej czekać, aż mężczyzna, który czytał w niej jak w otwartej książce, odzyska pamięć.

Spojrzała na zegarek. Pierwsza. Czas wychodzić.

Podeszła na palcach do drzwi, uchyliła je i ostrożnie wyjrzała na korytarz. Dyżur pełniły dwie pielęgniarki. Uwagę jednej pochłaniała książka, druga rozmawiała przez telefon.

Już raz dzisiaj Kendall wymknęła się niepostrzeżenie ze szpitala, by ukryć w samochodzie swój szczupły dobytek, teraz pozostawało tylko zabrać synka. Wróciła do kołyski, wsunęła dłonie pod jego brzusek i delikatnie przewróciła na plecki. Zrobił niezadowoloną minę, ale się nie przebudził. Uniosła go i przytuliła do piersi.

- Grzeczny z ciebie chłopczyk - wyszeptala. - Wiesz, że mamusia cię kocha, prawda? I zrobi wszystko, ale to wszystko, żeby cię ochronić.

Wyśliznęła się na korytarz, który po godzinach spędzonych w ciemnościach wydał się jej nienaturalnie jaskrawo oświetlony. Straciła kilka cennych sekund, czekając, by jej oczy przyzwyczaiły się do światła, a potem zaczęła się skradać do miejsca, gdzie korytarze się krzyżowały. Jeśli dotrze tam nie zauważona, będzie wolna. Ale musi pokonać około trzydziestu stóp wystawiona na spojrzenia pielęgniarek. Miała przygotowane usprawiedliwienie na wypadek, gdyby któraś z nich ją dostrzegła: Kevin miał kolkę i zrobił się niespokojny, więc postanowiła z nim pospacerować. Uwierzą jej, bez dwóch zdań, ale cały plan obróci się wniwecz. Będzie musiała jutro znowu spróbować, a że każda godzina się liczy, jutro może być już za późno. Lepiej zniknąć dzisiejszej nocy.

Skoncentrowała się na tym, by stąpać cicho i szybko. Śledziła wzrokiem obie pielęgniarki, jednocześnie próbując ocenić odległość do zakrętu. Ile zostało? Dziesięć stóp? Piętnaście?

Kevin beknął.

Dla Kendall zabrzmiało to jak wystrzał z działa; zamarła, jej serce zaczęło tłuc się jak oszalone, ale najwyraźniej tylko ona to słyszała. Jedna pielęgniarka nadal czytała, druga dalej prowadziła rozmowę, całkowicie nią pochłonięta.

- No więc mu powiedziałam, że nie powinno mu przeszkadzać, jak załapię parę nocnych dyżurów, skoro sam spędza trzy wieczory w tygodniu na grze w kręgle. Na co on: „To nie to samo”. „Pewnie, że nie, ja mu na to, bo te twoje kręgle nie przynoszą ani złamanego grosika!”

Kendall nie była ciekawa tej małżeńskiej wymiany zdań.

Dotarła do końca korytarza i natychmiast dała krok za róg. Udało się!

Przywarła plecami do ściany, zamknęła oczy, i oddychając głęboko, powoli policzyła do trzydziestu. Zyskawszy pewność, że nie zaalarmowała pielęgniarek, otworzyła powieki.

Za to najwyraźniej zaalarmowała jego.

Rozdział czwarty

Zakrył jej ręką usta.

Zrobił to zupełnie niepotrzebnie, bo tak ją zaskoczył, że nie byłaby w stanie krzyknąć. A gdyby nawet, na pewno by tego nie zrobiła. Nie krzyczała nawet tej nocy, gdy musiała uciekać z Prosper, a znalazła się wtedy w naprawdę przerażającej sytuacji.

Trochę ją oczywiście przestraszył. Wyglądało to tak, jakby zmaterializował się nagle, wychodząc ze ściany. No bo w jaki sposób udało mu się zbliżyć do niej tak blisko, a ona tego nie wyczuła? Inna rzecz, że w jego stanie nie powinien właściwie nikogo przestraszyć. Opierał się ciężko na parze kul, cerę miał jak popiół, wargi niemal pozbawione koloru. Widziała, jak bardzo cierpi. Ale w jego

oczach nie dostrzegła słabości. Wpaatrzone w nią, jarzyły się w podkrążonych oczodołach. Kendall poczuła, że serce podchodzi jej do gardła.

Potrząsnęła stanowczo głową, próbując dać mu do zrozumienia, że nie ma zamiaru ich zdradzić. Powoli opuścił dłoń.

Pielęgniarka przy telefonie niezmordowanie kontynuowała litanię utyskiwań, a druga wciąż siedziała za biurkiem, nie odrywając oczu od książki. Nic nie wskazywało na to, by któraś z nich wiedziała, że jeden z pacjentów wstał z łóżka.

Miał na sobie zielone spodnie, jakie lekarze noszą podczas operacji. Rozerwał prawą nogawkę, żeby weszła na gips. Rozzdarcie było tak postrzępione, jakby rozdzierał materiał zębami. Wyglądał mizernie, ale zaciśnięte szczęki zdradzały, że jest gotów na wszystko. Posunąłby się pewnie nie wiadomo do czego, byle tylko opuścić łóżko i znaleźć ubranie.

Kendall nakazała mu gestem, by szedł za nią. Patrzył nieufnie, ale się jej podporządkował. Lekarz miał rację: dobrze sobie radził o kulach. Gumowe końcówki nie wydawały żadnego dźwięku, gdy je stawiał na płytkach podłogi. Minęli drzwi jego pokoju i poszli do końca korytarza. Czerwone litery nad zamkiem pneumatycznym ostrzegały, że jeśli użyją bez potrzeby wyjścia awaryjnego, włączy się alarm.

Gdy Kendall sięgnęła do zamka, płynnym, szybkim ruchem uniósł poziomo kulę na wysokość jej piersi.

„Wszystko w porządku - wymówiła samymi ustami. - Zaufaj mi”.

„Nie ma wyjścia” - odpowiedział również bezgłośnie i pookazał czerwony napis.

Posługując się ruchami rąk i przesadną mimiką, zdołała go wreszcie przekonać, że nic się nie zdarzy, jeśli otworzy drzwi. Posłał jej surowe, ostrzegawcze spojrzenie i opuścił kulę.

Zwolniła zamek. Otworzył się z metalicznym klapnięciem, alarm się nie włączył. Ostrożnie uchyliła drzwi i zaczęła naasłuchiwać, ale do jej uszu doszedł tylko szum gęsto padającego deszczu, którego krople uderzały w kałuże na rzadko wysianej trawie w podwórzu i cementowy chodnik prowadzący od drzwi do ulicy. Przytrzymała drzwi, żeby mógł przez nie przekuśtykać. Nie odeszła, dopóki znów nie usłyszała metalicznego klapnięcia, świadczącego o tym, że zamek zaskoczył. Dopiero teraz odważyła się odezwać szeptem:

- Całkiem przemokniesz.

- Nie rozpuszczę się.

- Może byś tu zaczekał, aż...

- Za nic w świecie.

- Naprawdę myślisz, że zniknęłabym nie zabrawszy cię ze sobą?

- Oszczędź sobie, co? - Rzucił jej pełne rezerwy spojrzenie. - Idziemy.

- Skoro tak, tędy.

- Wiem. Granatowy kuguar zaparkowany pod pralnią.

Ruszył po chodniku, nie zważając na deszcz. Kendall, upewniwszy się, że róg kocyka osłania twarz Kevina, przytuliła dziecko do siebie i poszła za mężczyzną o kulach.

Zanim dotarli do samochodu, trząsł się z bólu i osłabienia, miotały nim dreszcze. Kendall pośpiesznie otworzyła drzwiczki od strony pasażera i pobiegła do miejsca kierowcy. W czasie powtórnej wizyty w Wal-Mart kupiła fotelik dla dziecka. Umieściła w nim Kevina i zmieniła przesiąknięty wilgocią kocyk na suchy. Poruszył kilka razy wargami, jakby ssał pierś, ale się nie

przebudził. Miała parę godzin do następnej pory karmienia; całą ucieczkę planowała właśnie pod tym kątem.

Usiadła za kierownicą, zapięła pasy i włożyła kluczyk do stacyjki. Samochód zapalił natychmiast.

- Zrobiłaś niezły zakup. Widziałem cię ze szpitalnego okna - wyjaśnił, podchwyciwszy jej pytające spojrzenie. - Kim było to stare dziwadło w kombinezonie roboczym? Znasz go? - Nie, to ktoś obcy. Odpowiedziałam na jego ogłoszenie.

- Tak właśnie myślałem. Skąd wiedziałaś, że alarm się nie włączy?

- Mechanik przechodził przez te drzwi dziś rano. Sprawdziłam w ciągu dnia. Żadnego alarmu.

Założyłam, że nie ma włącznika czasowego.

- Ale przygotowałaś sobie logicznie brzmiące wyjaśnienie na wypadek, gdyby zawył? Jesteś kobietą zawsze przygotowaną na najgorsze, prawda?

- Nie musisz być taki złośliwy.

- A dlaczego nie? Dlaczego miałbym być uprzejmy wobec kobiety, która twierdzi, że jest moją żoną i ucieka ode mnie? - Nie miałam zamiaru wychodzić bez ciebie. Właśnie szłam do twojego pokoju, kiedy...

- Słuchaj no - przerwał jej szorstko - złapałem cię wyymykającą się chyłkiem w środku nocy ze szpitala i wiem, że nie miałaś zamiaru zabrać mnie ze sobą. Oboje to wiemy. Ale za bardzo mnie boli głowa, żebym chciał się o to teraz spierać, więc gdybyś... -urwał. Oddychał płytko, zgarbił się, jakby to przemówienie kosztowało go zbyt wiele wysiłku. Omdlałym ruchem dłoni pokazał, by ruszała w drogę.

- Nie jest ci zimno? - spytała.

- Nie.

- Ociekasz wodą. Nie jest mi zimno! W porządku.

Centrum Stephenville nie prezentowało się zbyt okazale: kilka przedsiębiorstw i jeden bank przy skrzyżowaniu głównych dróg. Wszędzie ciemno, światło paliło się tylko w biurze szeeryfa. Skręciła jedną przecnicę wcześniej, żeby obok niego nie przejeżdżać.

- Wiesz, dokąd jedziesz? - zapytał.

- Może byś spróbował się zdrzemnąć?

- Nie ufam ci. Mogłabyś mnie wypchnąć z wozu w czasie, kiedy bym spał.

- Gdybym chciała, żebyś umarł, nie wyciągałabym cię z wraka.

Zapadł w ponure milczenie i nie odzywał się przez wiele mil.

Kendall myślała, że poszedł za jej radą i zasnął, ale gdy oddwróciła głowę i popatrzyła na niego, napotkała czujne, skoncentrowane spojrzenie, jakby był strzelcem wyborowym obserwującym ją przez lunetkę celownika.

- Wyciągnęłaś mnie z wraka?

- Tak.

- Dlaczego?

Prychnęła.

- Bo wydawało mi się, że to po ludzku.

- Czyli ocalałaś mi życie po to, żeby mnie porzucić w jakimś wiejskim szpitaliku, zdanego wyłącznie na siebie i kompletnie bezradnego?

- Nie zamierzałam cię porzucić.

- Kłamiesz.

Westchnęła ze znużeniem.

- Po naszej rozmowie dzisiejszego wieczoru zrozumiałam, że podobnie jak ja nie masz zaufania do ich lekarza, uznałam więc, że najlepszym rozwiązaniem będzie przenieść cię gdzie indziej i zasięgnąć dodatkowej porady. Zamiast próbować załatwić to oficjalnie... naprawdę nie chciałabym urazić ich uczuć, zachowywali się tak szlachetnie wobec mnie i Kevina, byli tacy uprzejmi... postanowiłam się po prostu wymknąć po cichu.

- A gdybym był pod działaniem środka uśmierzającego?

- Tym lepiej. Oszczędziłbyś mi kłótni. - Rzuciła na niego okiem. - Pielęgniarka nie zrobiła ci zastrzyku, kiedy wyszłam? - Próbowала, ale nalegałem, by mi podała pigułkę.. Nie połknąłem jej. Też chciałem być w pogotowiu. Instynktownie przeczuwałem, że coś knujesz. Wolałem być przytomny.

- Ściągnąłeś im wyjałowione spodnie?

- Uznałem, że to lepsze niż włóczyć się po wiejskiej okolicy z gołym tyłkiem. Jedziemy do Karoliny Południowej? - Do Tennessee.

- Skąd ta zmiana planów? Co jest w Tennessee?

- Nawet jeśli ci powiem, nie uwierzysz mi, więc lepiej poczekać, aż sam zobaczysz. - Co zrobiliśmy?

- Proszę?

- Najwyraźniej uciekamy. Jakie popełniliśmy przestępstwo?

- A skąd ci się, u diabła, ulął taki pomysł?

- Bardziej to prawdopodobne niż ten stek bzdur, którymi mnie próbujesz nafaszerować.

- A w co zwłaszcza nie wierzysz?

- W nic. Ani w to, że jesteśmy małżeństwem i mamy dziecko, ani że miałaś zamiar mnie zabrać nawiewając. Nie wierzę w jedno twoje słowo. Zręczna z ciebie kłamczucha. Nie zaapreczaj i nie pytaj, skąd wiem. Wiem. Wymyślasz to wszystko w miarę potrzeby.

- Nieprawda! - zaprotestowała, dotknięta i zaniepokojona. Mógł polegać całkowicie na swoim wyostrzonym instynkcie. Nikt, oprócz babci, nie potrafił przejrzeć jej na wskroś. W innych okolicznościach doceniłaby taką przenikliwość, ale teraz stanowiła śmiertelne zagrożenie. Musi postępować jak kochająca żona, by nie wzbudzić dalszych podejrzeń. W końcu ta sytuacja jest przejściowa. Z pewnością niedługo go przekona, że mówi prawdę.

Jechali w milczeniu. Szum opon na mokrej nawierzchni i rytmiczny odgłos szybko pracujących wycieraczek działał usypiająco.

Pozazdrościła Kevinowi spokojnego snu. Dałaby wiele, by móc odpocząć, zamknąć oczy, pozwolić, żeby sen ją ogarnął... Nawet myśleć o tym nie powinna. Odetchnie spokojnie, gdy bardziej oddali się od Prosper i od dociekliwego szeryfa ze Stephenville.

Zebrała się w sobie, ujęła mocniej kierownicę i przyśpieszyła. Nie przekraczała jednak dozwolonej prędkości.

Zagubiony w ciemnym, ciągnącym się bez końca tunelu, czuł tuż za plecami ogromną masę lokomotywy. Nie widział jej, nie mógł uciec. Pozostawało tylko czekać w napięciu na uderzenie. Najgorszy w tym wszystkim był strach przed nieuniknionym. Chciał, by uderzyła jak najszybciej, chciał mieć to już za sobą, nie czuć nieprzerwanego huku w głowie, rozsadzającego czaszkę.

Własne ciało również przyprawiało go o udrękę. Nogi miał zeszywniałe, łapały go kurcze, ale nawet nie próbował rozluźnić bolących mięśni; wiedział, że to nic nie da. Plecy mu zdrętwiały od

długiego siedzenia w jednej pozycji. Zdrzemnął się z głową skręconą pod tak przedziwnym kątem, że teraz ledwie mógł ruszyć szyją. Ubranie wciąż miał mokre. Poza tym był głodny i musiał iść do toalety.

Co gorsza, znowu o tym śnił.

Niezdolny wyzwolić się z nocnego koszmaru, słyszał płacz dziecka, znacznie wyraźniejszy i bliższy niż zwykle, natarczywy, wrywający go z głębokiego snu. Na pół przebudzony, opierał się sygnałom płynącym z własnego umysłu - nienawidził tego powracającego majaku, ale w tej chwili wolał w nim trwać, niż powrócić do rzeczywistości.

Dlaczego? Przypomnił sobie.

O własnej niepamięci, której powód tkwił w nim samym.

Nawet ten dupek ze stetoskopem rozszyfrował tę psychologiczną zawiłość. Poczul złość i frustrację na myśl, że sobie samemu zawdzięcza chorobę. Z pewnością pamięć by mu wróciła, gdyby naprawdę tego chciał.

Zagłębił się w ciemne zakamarki jaźni, próbując dojrzeć choćby błysk światła. Cokolwiek. Wskazówkę. Ślad. Żdźbło wiedzy o sobie samym.

Nic. Nawet naj słabszego błysku. Jego życie do momentu, gdy przebudził się w szpitalu, było nieprzeniknioną czarną dziurą.

Otworzył oczy, by uwolnić się od natrętnych pytań, na które nie potrafił sobie odpowiedzieć. Było już jasno, ale słońce nie świeciło. Krople deszczu uderzały o przednią szybę, zlewały się w strumyczki, spływające krętymi drózkami po szkle.

Opierał głowę o boczną szybę. Szkło przyjemnie chłodziło skórę. Bał się poruszyć, ale w końcu to zrobił. Wyprostował szyję. Ból nie był tak ostry jak wczoraj, ale i tak dotkliwie dawał mu się we znaki.

- Dzień dobry.

Odwrócił głowę w stronę, skąd dobiegał jej głos. Na widok tego, co zobaczył, ogarnęła go panika.

Rozdział piąty

Karmiła dziecko.

Oparcie fotela było odsunięte do tyłu tak daleko, jak tylko się dało, jej głowa leżała oparta o zagłówek. Zmoknięte, nie uczesane włosy wyschły, tworząc rozczochraną, skołtunioną blond szopę. Ze zmęczenia oczy miała podbite sinawymi półksiężycami. Mimo to malujący się na jej twarzy wyraz nieezmaconego szczęścia sprawiał, że wyglądała pięknie.

Wymamrotał coś w odpowiedzi na jej powitanie, niezdolny odwrócić od niej oczu, choć bardzo się starał.

Nie pyszniła się macierzyństwem; ułożyła tak kocyk, że zasłaniał jej pierś. Nie widział nagiego ciała, mógł tylko doostrzec, że dziecko porusza się pod przykryciem. A jednak wyglądała jak uosobienie błogiego macierzyństwa.

Dlaczego więc oblał się zimnym potem? Co z nim, do cholery?

Zbierało mu się na mdłości, serce waliło, ogarniała go klauustrofobia, czuł się tak, jakby pyłki bawełny zaczopowały mu drogi oddechowe i kolejny oddech miał być ostatnim. Zafascynowany i zarazem przejęty odrazą, chciał znaleźć się jak naj dalej od niej i dziecka, uciec jak najszybciej - i nie mógł odwrócić od nich oczu. Otaczająca ją aura spokoju - jakiego on sam nigdy w życiu nie zaznał, tego był pewien - przyciągała go magnetycznie. Błogość malująca się na jej twarzy była mu

czymś całkowicie obcym. A jednak pociągała go jako coś zupełnie naturalnego.

A może, pomyślał z obrzydzeniem do samego siebie, jego urzeczenie miało źródło w lubieżności? Może był perwersyjnym czubkiem, romansującym wyłącznie z karmiącymi matkami? Zwarł powieki i ścisnął nasadę nosa tak mocno, że łzy naapłynęły mu do oczu. Może wcale nie przeżył tego wypadku? Umarł i najpierw znalazł się w czyścicu, którym był szpital, a teraz dotarł do właściwego miejsca przeznaczenia.

Bo teraz z pewnością był w piekle.

- Jak się czujesz?

Żeby odpowiedzieć, musiał przełknąć ślinę, wypełniającą mu goryczą usta.

- Pomyśl o wszystkich kacach świata i pomnóż je przez dziesięć.

- Przykro mi. Miałam nadzieję, że cię nie obudzimy. Spałeś dobrze, gdy zmieniałam pieluszkę...

- Skoro już o tym mowa...

- Tam - pokazała skinieniem głowy.

Wyjrzał przez ociekające strumyczkami deszczu okno. Zatrzymała się w przydrożnym parku. Nie było żadnego innego samochodu w polu widzenia. Miejsce przeznaczone do oddbywania pikników porosły chwasty. Rdza wyżarła dziury w metalowych cylindrach, przez które wylewały się rozmiękle śmieci. Park wyglądał na całkowicie opuszczony.

- Muszę cię uprzedzić, że nie jest zbyt czysto - dodała. - W każdym razie w damskiej toalecie. Weszłam do niej z obrzydzeniem, ale nie miałam wyboru.

- Więc chyba ja też nie mam. - Sięgnął do klamki. - Będziesz tu jeszcze, jak wrócę?

Zignorowała zaczepkę.

- Jeśli poczekaasz, aż Kevin skończy, podam ci rękę. Dziecko wysunęło spod kocyka rączkę i złapało ją za bluzkę. Malutkie paluszki odginały się i zamykały, odginały i zaamykały.

- Dziękuję - powiedział ochryple. - Dam sobie radę. Zaledwie parę jardów dzieliło samochód od budynku z beetonu. Skorzystał z brudnego pisuaru, a potem podszedł do umywalki; z kranu pociekła zabarwiona rdzą woda. Umył ręce. Nie było ich czym wytrzeć, ale nie miało to znaczenia; i tak zmokną, zanim dotrze do auta. Lustra też nie było. Może i lepiej - musiał wyglądać jak niedobitek powracający z długooletniej wojny. W każdym razie tak się czuł.

Kiedy wrócił do auta, dziecko leżało już w foteliku na tylnym siedzeniu.

- Jakies pięć mil stąd jest miasteczko - powiedziała zaapalając silnik. - Zatrzymamy się tam na kawę, a potem możemy zadzwonić do neurologa.

- Kawa w porządku - oświadczył, starając się, by nie spostrzegła, jak źle się czuje. Wyprawa do toalety podkopała jego i tak nadwątlone siły. - Ale nie ma mowy o żadnym lekarzu. - Spojrzała na niego zdumiona, szeroko otwierając szare oczy. Oczy koloru mgły. Nie powinien tracić głowy; mógł się zgubić w tej mgle. - Nie widzę powodu, żeby iść do innego doktora - wyjaśnił.

- Odbiło ci? Wyglądasz koszmarnie.

- Wciąż odczuwam skutki wstrząsu. Jeśli nie będę się forsował przez następnych kilka dni, wszystko dojdzie do normy. Potrzeba tylko czasu, żeby się zrosła złamana noga. Po co płacić komuś innemu, żeby usłyszeć to samo?

- Wiem, że cały czas nęka cię ból. Potrzebujesz środka, który by go uśmierzył.

- Wezmę aspirynę.

- A co z amnezją? Powinieneś zasięgnąć porady specjalisty.

- I kiedy będę jej zasięgał, ty uciekniesz.

- Nie ucieknę.

- Posłuchaj! Nie wiem, kim jesteś ani jakie było przedtem twoje życie, i nie spuszczę cię z oka, dopóki się nie dowiem. Nie dam ci żadnej szansy na to, żebyś mnie porzuciła. °Wskazał brodą na kierownicę. - Jedźmy. Naprawdę muszę się napić kawy.

Miasteczko było malutkie, jakby sklonowane Stephenville.

Zwolniła do dopuszczalnej prędkości wjeżdżając na główną ulicę.

- Podjedź tam - pokazał małą kawiarnię wciśniętą między sklep z konserwowaną żywnością a pocztę. Przy pokruszonym krawężniku stało kilka pikapów, choć parkometry wskazywały, że już dawno powinny odjechać. Najwyraźniej wpadano tu na poranną kawę i pogawędkę nawet w deszczowe sobotnie poranki.

- Jesteś głodny? - spytała.

- Tak.

- Kupię coś na wynos, nie musisz wysiadać - powiedziała. - Zwróć uwagę na dziecko.

Dziecko. Obrzucił przerażonym wzrokiem tylne siedzenie. Nie jest źle. Śpi. Dopóki śpi, wszystko w porządku.

A jeśli się obudzi i zacznie płakać? Na myśl o tym poczuł przejmujący strach i nie mógł zrozumieć dlaczego.

Odetchnął spokojnie, dopiero gdy wróciła, choć zajęło jej to ledwie parę minut. Niosła dwa plastikowe kubki z kawą i białą papierową torbę. Zdjęła plastikową osłonkę, zanim wręczyła mu kubeczek, i drażniący aromat świeżo parzonej kawy wypełnił wnętrze samochodu.

- Ach! - Pociągnął łyżeczek, skrzywił się i spojrzał na nią ze zdumieniem. - Dlaczego nie posłodziłaś?

Wzięła oddech, rozchyliła wargi, ale nic nie powiedziała.

Siedziała ze spojrzeniem utkwionym w jego oczach, po chwili jednak odprężyła się i uniosła brwi, a jej twarz mówiła wyraźnie: „wstydz się”.

- Od kiedy to zaczęłaś słodzić kawę? - zapytała.

Nie odwracając wzroku, pociągnął następny łyżeczek gorzkiej czarnej kawy, takiej, jaką - czuł to - lubił. Uważał, że wymyślił nader zręczną pułapkę, tymczasem okazała się zbyt inteligentna, by w nią wpaść.

- Dobra jesteś - przyznał z niechętnym podziwem. - Naprawdę dobra.

- Nie bardzo wiem, o czym mówisz.

- Aha. - Odchrząknął i podniósł papierową torbę. - Co mamy na śniadanie? - Rozpakował dwie kanapki z wieprzową kielbasą i zobaczył, że zdejmuje plasterki wędliny ze swoich. xZatrulaś ją czy co?

- Przestań! - jęknęła.

- Uważasz, że jest niesmaczna?

- Nie uważam - odparła i ugryzła kanapkę. - Po prostu przestałam jadać wieprzowinę.

- Przestałaś? Czyli kiedyś jadałaś. Dlaczego skreśliłaś akurat wieprzowinę?

- Nie powinniśmy przedyskutować bardziej istotnych rzeczy? - spytała oblizując okruchy i resztki masła z palców. _Może przemyślałaś sprawę i pozwolisz się zabrać do lekarza? - Nie. Nie! - powtórzył z naciskiem widząc, że ma zamiar się sprzeczać. - Potrzebuję po prostu suchego ubrania i aspliryny.

- Dobrze. W porządku. To twoja głowa.

- Chciałbym wiedzieć, jak mam na imię.

- Co? - Znieruchomiała, wpatrując się w niego podkrążonymi oczami.

- Wszyscy w szpitalu starannie unikali mówienia do mnie po imieniu - powiedział. - Nawet szeryf, gdy mnie wypytywał.

- Zalecenie lekarza. Chciał ci oszczędzić stresu i nie wprowadzać w zmieszanie. - Jak mam na imię?

- John.

- John - powtórzył, jakby chciał je do siebie dopasować.

Nie uwierało zbytnio. Ale i nie przystawało dokładnie.

- A ty?

- Kendall.

Dwa imiona, które nic dla niego nie znaczyły. Absolutnie nic. Spojrzał na nią podejrzliwie.

- Odezwał ci się jakiś dzwonek w głowie? - spytała nieewinnym tonem.

- Nie. Bo jestem prawie pewien, że skłamałaś.

Musiała dojść do wniosku, że nie zniży się do żadnej odpowiedzi, bo po prostu zapaliła samochód i ruszyła. Minęła godzina, nim dojechali do miasta, w którym był czynny w niedzielę sklep. Zaparkowała i odwróciła się do niego:

- Podyktuj mi, czego potrzebujesz.

Notowała pośpiesznie, gdy wymieniał artykuły toaletowe.

- I jakieś ubranie - dodał.

- Coś konkretnego?

- Nie, zwykłe ubranie. Poproszę też o gazetę.

- Gazetę? - Zawahała się, ale zaraz skinęła głową i sięgnęła do klamki. - To może trochę potrwać. Ja również mam sporą listę.

- Jak zamierzasz za to zapłacić? - spytał, zanim zdążyła wysiąść.

- Gotówką.

- Skąd ją wzięłaś?

- Zarobiłam - odpowiedziała krótko, otwierając drzwi.

- Poczekaj... Powiem ci, jakie noszę rozmiary.

- To śmieszne. - Wyciągnęła rękę i ścisnęła jego kolano. - Znam je.

Ten niewinny gest małżeńskiej poufałości zelektryzował go.

Patrząc, jak zmierza do sklepowego wejścia, po raz tysięczny pomyślał: kim jest ta kobieta? I kim jest dla mnie?

Pięć minut później dziecko zaczęło kwilić. Zignorował to, ale gdy zaczęło płakać głośniej, odwrócił się i spojrzał na nie; zupełnie nie rozumiał, jaki ma powód, by marudzić. Spróbował nie zwracać na nie uwagi, ale płacz szybko przerodził się we wrzask nie do wytrzymania. Zaczął się pocić; strużki potu spływały mu po żebrach, czoło miał zroszone. Oblewało go gorąco, ale nie odważył się otworzyć okna, żeby ludzie nie zwrócili uwagi na krzyczące niemowlę.

Usłyszała płacz synka na długo przedtem, nim dopadła samochodu. Puściła się biegiem i niemal wyrwała z zawiasów drzwiczki po stronie kierowcy.

- Co się dzieje z Kevinem? Co się stało? - Cisnęła torby z zakupami na jego kolana, pochyliła się między siedzeniami i po sekundzie trzymała dziecko w ramionach, przemawiając do niego uspokajająco. - Dlaczego nic nie zrobiłeś? - spytała. - Dlaczego pozwoliłeś mu tak strasznie płakać?

- Nie wiedziałem, co zrobić. Nic nie wiem o dzieciach.

- A powinieneś, prawda? - Przycisnęła maleństwo mocniej do piersi i otoczyła je ramieniem, poklepując delikatnie po plecach. - Cichutko, cichutko, skarbie. Już dobrze. Mamusia jest z tobą. - Ułożyła synka w zagięciu lewego ramienia i podciągnęła bluzkę.

Przez ułamek sekundy widział nabrzmiałą mlekiem pierś i sterczącą brodawkę, która zaraz zniknęła w usteczkach niemowlęcia. Zauważyła jego zagapienie i rzuciła mu zaczepne spojrzenie.

- Coś nie tak?

Coś było nie tak, z pewnością, ale zupełnie nie wiedział co.

Odwrócił głowę i zapatrzył się w okno. Jeśli była jego żoną, jak twierdziła, dlaczego miał poczucie winy odczuwając dreszcz przyjemności na widok jej piersi? Jeśli była matką jego dziecka... jego syna, dlaczego wszystko, co wiązało się z macierzyństwem, przyprawiało go o sensacje w żołądku?

Jezus. Co z niego był za człowiek?

Głowa pulsowała mu boleśnie od kłopotliwych pytań. Zamknął oczy, próbując odgrodzić się od sprzecznych bodźców płynących z drugiej strony samochodu.

Rozdział szósty

Udawał, że drzemie nawet wtedy, gdy już wrócili na szosę.

Prowadziła w milczeniu, nie odzywała się do niego nawet, by mu powiedzieć, że chce się zatrzymać. Gdy tankowała samochód, poszedł do toalety. Wisiało w niej lustro i potwierdziło to, co sobie wyobrażał: jego twarz wyglądała jak maska zrobiona na Halloween. Zastanowił się, czyby się nie ogolić, ale zrezygnował. Nie poprawiłoby to jego wyglądu, a ona mogłaby w tym czasie odjechać.

Kiedy wyszedł z toalety, zobaczył, że napastuje ją trzech nastolatków. Otoczyli ją w kącie przy automacie ze słodyczkami, nie pozwalając przejść. W obu rękach trzymała kanapki i puszki z napojami.

- To wcale nie jest śmieszne - powiedziała zirytowana, próbując wyminąć najwyższego.

- Dla mnie tak - oświadczył. - A dla ciebie, Joe?

- Bardzo śmieszne - potwierdził tamten i zachichotał głupkowato.

- Właśnie nawiążujemy z tobą znajomość - oznajmił trzeci.

- No, blondasku, jak się nazywasz?

- Nie jesteś stąd, nie, cizia?

- Nie - odparła lodowato. - I dobrze, sądząc z tego, co wyrabiacie. Albo mnie natychmiast przepuściecie, albo...

- Albo co? - przerwał Joe szyderczo, zbliżając się do niej.

- Albo spuszczyć wam łomot.

Z całej czwórki najbardziej zdumiona była Kendall. Ignorując stojących między nimi chłopaków, powiedziała błagalnie:

- Poradzę sobie z nimi. Proszę cię, nic nie rób.

- No. Na pewno sobie poradzi - mruknął ironicznie jeden z nich, kładąc rękę na kroczu. - Założę się, że jest w tym dobra.

Dwaj pozostali uznali to za niezwykle dowcipne i wybuchnęli śmiechem.

- Ledwie stoisz - oświadczył Joe, przestając rechotać i wycelował w niego palec.

- Właśnie. Ona ci to zrobiła?

- Nawsuwasz nam? Ty? Raczej wątpię.

- Którą nogą zamierzasz nam spuszczać ten łomot, kulasie? - szydził Joe.

Śmiech ustał raptownie, gdy uniósł prawą kulę i przyłożył chłopakowi w goleń. Joe ugiął kolana i upadł wrzeszcząc. Dwaj pozostali odwrócili poblądłe twarze.

- Zejdźcie jej z drogi - powiedział spokojnie.

Odsunęli się od Kendall. Joe zwijał się na podłodze, zawoodząc i trzymając się za nogę. Kendall wyminęła go i ruszyła 'do auta.

- Powinniście, chłopaki, nabrać trochę manier - rzucił im na odchodne.

Odjechała natychmiast, kiedy tylko wsiadł. Czuł się teraz o wiele lepiej: przydał się na coś. Toteż zdumiał go jej atak:

- Cudownie. Po prostu cudownie. Serdeczne dzięki. Tego mi było trzeba: rycerz o kulach wyzwalaający mnie ze zwykłej nieszkodliwej przepychanki. Poradziłabym sobie. Ale nie. Musiałeś się wtrącić, żeby nas zapamiętali.

- Na mnie się złościsz?

- Tak, na ciebie. Po co się do tego mieszałeś? To nie twoja sprawa.

- Nie moja sprawa, kiedy trzech mężczyzn napastuje mi seksualnie żonę? - Zauważył, że jej wojowniczość zgasła. Sprawiała wrażenie rozczarowanej i złej na samą siebie. - Nie chcesz, żeby ktokolwiek nas zapamiętał, na wypadek gdyby o nas wypytywano, tak? Chyba dobrze, że tego nie wyrzuciłem - pokazał jej parę zielonych szpitalnych spodni. - Zoostawilibyśmy ślad.

Nie podjęła zaczepki. Oczy miała utkwione w przedniej szybie. Odrzuciła włosy ruchem głowy do tyłu i westchnęła, - Przepraszam cię. Dziękuję, że pośpieszyłeś mi z pomocą. Ubranie na ciebie pasuje?

- Tak - powiedział, spoglądając na szorty i podkoszulek.

I wtedy zdał sobie sprawę z faktu, że naprawdę znała jego wymiary.

Jechali wąską drogą biegnącą przez gęsty las. Mijali zalane pola, przejeżdżali przez mosty spinające brzegi wezbranych wód, i to mu przypomniało o wypadku.

Miała nad nim cenną przewagę: amnezja utrzymywała go w nieświadomości i mógł polegać tylko na jej słowach. Cokolwiek powiedziała, musiał to przyjąć, bo nie był w stanie niczego zanegować. Nie miał możliwości odkryć, jak wygląda prawda.

- Zapomniałaś o gazecie - zauważył. - Przez przeoczenie?

- Nie zapomniałam. Sprawdziłam kilka automatów i nie było żadnej. Wszystkie sprzedane.

Tym razem akurat mogła mówić prawdę. Automat na stacji benzynowej też był pusty. Nie zaniedbał sprawdzić. Miał nadzieję, że jakiś nagłówek lub mała notatka petitem rozjaśni mroki jego umysłu. Ale z drugiej strony obawiał się, że jego pamięć odblokuje głośna, powszechnie znana sprawa. Może był uwikłany w przestępczą działalność?

Instynkt mu podpowiadał, że jego pozycja została wystawiona na próbę. Ale jaka? Zawodowa? Małżeńska? To ostatnie nie wchodziło w rachubę: ani przez sekundę nie wierzył, że są małżeństwem. Wiedziałby... jakimś sposobem musiałby wiedzieć, że z nią spał.

Żaden mężczyzna nie mógłby zapomnieć tych piersi, ponętnych i budzących pożądanie, mimo że karmiła. Kształt jej pośladków też nie umknął jego uwagi. Szare oczy zniewalały, a rozwichrzone włosy nadawały jej wygląd dziewczyny, która dopiero co wstała z łóżka. Jeszcze leżąc w szpitalu zwrócił uwagę na pełne, prowokujące usta. Nie była klasyczną pięknnością, ale wielu facetów bez

zmrużenia oka dałoby tysiąc doków za spędzenie z nią nocy.

Obserwując, jak oblizuje przesycone masłem okruszki z pallców, utwierdził się w swoim przekonaniu. Nie mylił się co do tej sprawy. Zareagował na jej obecność typowo po męsku, tak jak heteroseksualny mężczyzna powinien zareagować na płynące od kobiety bodźce. Mógłby się założyć o swoje życie, że nie było w tym zażyłości. Zaniepokojony, w jakim kierunku

zmierzają jego myśli, włączył radio w nadziei, że złapie stację nadającą wiadomości.

- Jest zepsute - odezwała się.

- Szczęśliwym trafem dla ciebie. Jak długo jeszcze będziemy podróżować? I dokąd właściwie, do cholery, jedziemy?! I żebyś mi nie śmiała odpowiedzieć: Tennessee!

Nie śmiała.

- Do domu babci - wyjaśniła.

- Do domu babci - powtórzył zjadliwie.

- Właśnie.

- Twojej czy mojej? Mam jakąś babcię? - Przywołał w myślach stereotyp: siwe włosy upięte w kok, dobrotliwy uśmiech, przypominanie, żeby zapiąć marynarkę, choćby na zewnątrz żar lał się z nieba, zapach lawendy i przypraw. Uchwycił się tej wizji, ale nie pamiętał, by ktoś taki go kiedyś w życiu rozpieszczał. W ogóle nie mógł sobie przypomnieć, by ktoś dbał o niego w życiu.

- Mojej.

- Zawiadomiłaś ją, że przyjeżdżamy?

- Nie ma jej już. - Głos Kendall miał matową barwę. - Kilka miesięcy temu umarła. Na parę tygodni przed urodzeniem się Kevina.

- Byłaś przy niej? - drążył.

- Nie, byłam... daleko. Czekałam na rozwiązanie, nie mogłam wziąć udziału w pogrzebie. -

Byłyście ze sobą blisko?

- Bardziej niż blisko. Łączyły nas specyficzne więzy - mówiła, najwyraźniej zachęcona okazywanym przez niego zainteresowaniem. - Ojciec i matka zginęli w wypadku, gdy miałam pięć lat, i babcia została moją opiekunką. Dziadek już nie żył, więc mieszkaliśmy tylko we dwie. Byłyśmy bardzo silnie ze sobą związane.

- Znałem ją? Byłem już kiedyś w jej domu? - Potrząsnęła przecząco głową.

- Daleko jeszcze?

Westchnęła i wzniosła oczy do góry.

- Proszę, przestań mnie o to pytać. W ten sposób niczego nie przyspieszysz. Chciałabym dojechać przed zapadnięciem nocy. Nie będzie ci się dłużyło, jeśli postarasz się zasnąć. Potrzebujesz wypoczynku.

Wziął trzy aspiryny, co przytłumiło ból głowy i mięśni, ale i tak czuł się, jakby go ktoś porządnie wytlukł młotkiem do rozbijania mięsa. Oparł się o zagłówek i zamknął na chwilę oczy, by odpocząć.

Gdy obudził się parę godzin później, zapadał zmierzch.

Właśnie dotarli na miejsce.

Do domu wiodła obrośnięta wiciokrzewami i winoroślą droga. Deszcz osłabł i Kendall uchyliła w samochodzie okno, głęboko wdychając zapachy lata. Ogarnęły ją wspomnienia dzieciństwa, tęsknota za babcią ścisnęła jej serce.

Pobliski las rysował się ciemną ścianą, świetliki mrugały z liściastego cienia. Niemal spodziewała się, że zaraz usłyszy głos babci, wołającej ją, by przyszła zobaczyć robaczki

świętojańskie.

Dach domu rzucał cień na szeroki ganek. Przydałoby się go na nowo pomalować, podwórko też było zaniedbane, ale poza tym wszystko wyglądało tak, jak podczas jej ostatniej wizyty.

Tylko babci nie było. I nigdy już miało nie być. Żwir zachrzęścił pod oponami, gdy zahamowała.

Obudził się, ziewnął, przeciągnął i wyjrzał w mrok, by się zorientować, gdzie jest.

Kendall otworzyła drzwiczki i wysiadła, zostawiając na moment Kevina śpiącego w foteliku. Wbiegła po frontowych schodkach i stanęła na palcach, by dosięgnąć klucza schowaanego nad ościeżnicą. Znalazła go i włożyła do zamka. Drzwi się otworzyły. Sięgnęła do kontaktu na ścianie, mając nadzieję, że wszystko w porządku. Westchnęła z ulgą, gdy światło się zapaliło; Ricki Sue nie przestała płacić rachunków.

Pośpiesznie przeszła się przez pokoje. Prześcieradła przykrywały meble i czuć było woń stęchlizny, charakterystyczną dla nie używanych pomieszczeń, ale dom nadawał się do zamieszkania _ w każdym razie na tak długo, jak ona i Kevin będą potrzebować.

Wróciła do pokoju dziennego. Stał podparty kulami i rozglądał się po nieznanym wnętrzu.

- Podoba ci się?

Wzruszył ramionami, by uniknąć odpowiedzi.

- Wiem, że na razie nie wygląda jak należy, ale zaraz się tym zajmę. - Zdanie to wywołało wspomnienia tak żywe, że doznała wstrząsu.

Niemal słowo w słowo powtórzyła to, co powiedziała po swoim weselu.

Rozdział siódmy

Matt z rozmachem otworzył frontowe drzwi.

- Wspaniałe wesele! Wszystkie mięśnie twarzy mnie bołą, tyle się nauśmiechałem. - Zorientował się, że Kendall nie idzie za nim, i odwrócił się, patrząc na nią ze zdumieniem. O co chodzi?

- Możesz mnie nazwać niemądrą romantyczką, ale zawsze marzyłam, że pan młody przeniesie mnie przez próg.

- Jesteś niemądrą romantyczką. - Z uśmiechem zamknął ją w ramionach. - To jedna z wielu rzeczy, jakie w tobie kocham.

Kiedy wniósł ją do środka, położyła mu rękę na karku i przyciągnęła jego głowę; był to długi, niezwykle pocałunek, który miała pamiętać do końca życia - pierwszy pocałunek w ich pierwszym domu.

Gibb podarował im go w prezencie ślubnym - całkowicie umeblowany, z nie obciążoną hipoteką. Kendall zdumiała szczodrość teścia, ale jak to on, nawet słuchać nie chciał jej wylewnych podziękowań. Nękał wykonawców przypomnieniami, że wszystko ma być gotowe przed weselem, i nie przyyjmował do wiadomości żadnych usprawiedliwień. W efekcie trzy dni temu ostatecznie go wykończono i dom czekał na nich.

Matt postawił ją na podłodze za szerokimi drzwiami wejściowymi.

- Masz coś przeciwko temu, żebyśmy się tego pozbyli? spytał, pokazując palcem na jej welon ślubny.

- Nic a nic.

Pomagała mu trochę, gdy go zdejmował, a potem objął ją zaborczo, co ogromnie się jej spodobało, i pocałował znowu. Kiedy jego uścisk osłabł, brakowało jej tchu i kręciło się w głowie ze szczęścia.

Rozłożyła szeroko ramiona i obróciła się, podziwiając piękno swojego nowego domu - od świetlików w dachu poczuwszy, na słojach drewnianej podłogi skończywszy. Dom był drewniany, zaprojektowany tak, by wtopił się w krajobraz z górami Blue Ridge w tle. Wnętrze nowoczesne, ale ciepłe i przytulne. Pachniał świeżym drewnem i farbą.

Ta chwila miała dla Kendall specjalne znaczenie. Jej własny dom na resztę życia, taką przynajmniej miała nadzieję. Ona i Matt będą w nim wychowywać dzieci. Żyć i starzeć się razem - przywilej, który nie został dany jej rodzicom. Pragnęła całkowitego szczęścia, jakby to mogło wynagrodzić jej ich stratę.

- Jest przepiękny - oświadczyła z zadowoleniem.

Matt zrzucił jednym ruchem ramion smoking i stał z rękami w kieszeniach spodni, przyglądając się meblom; wciąż miały przyłączone fabryczne metki. W pokojach nie było żadnych drobiazgów czy bibelotów.

- Trochę bezosobowy, prawda?

- No, nie jest to jeszcze w pełni dom - przyznała. - Ale dodamy mu charakteru, tak żeby nie był tylko miejscem do mieszkania. Wiem, że na razie nie wygląda jak należy, ale się tym zajmę. Wprost nie mogę się tego doczekać. - Wzruszona położyła ręce na zakładkach jego koszuli i przyciągnęła go do siebie. - Och Matt, podoba mi się życie, jakie tu wiodę.

- No, robię, co mogę - drażnił się z nią. Objął ją w talii i mocno, krótko pocałował. - Umieram z głodu. Tata powieedział, że znajdziemy coś do jedzenia w lodówce. - Puścił ją i poszedł do kuchni.

Kendall dołączyła do niego dopiero po chwili; właśnie wyyjmował z ogromnej lodówki butelkę szampana.

- Ja strzelę z korka i naleję, a ty przeczytaj, co jest napisane na bileciku. Boże święty, kiedy tata mówił, że mamy co jeść, nie żartował. Większość supermarketów nie prowadzi takiego asortymentu. - Rzucił na stół bilecik.

- „Jestem dumny z was obojga - przeczytała podniósłszy kartonik. - Kocham was oboje, ojciec. PS. Zimne kieliszki w lodówce”.

- Myśli o wszystkim, prawda? - zaśmiał się Matt.

- Gdybym chciała polecieć w podróż poślubną na Marsa, pewnie też by spróbował to jakoś załatwić.

- Przykro mi z tego powodu, Kendall. - Matt przerwał zmagania z korkiem i popatrzył na nią uśmiechając się smutno. - Zła synchronizacja.

- Ja to rozumiem - powiedziała miękko.

Redaktor naczelny gazety Matta, Gregory, zmarł niespodziewanie, zostawiając po sobie próżnię, nie tylko z powodów zawodowych. Matt nie znalazł do tej pory nikogo odpowiedzialnego na jego miejsce. Nie mógł zostawić gazety nawet dla spędzenia z nią miesiąca miodowego. Kendall bardzo współczuła mu z powodu tej sytuacji.

Nie mogłaby się zresztą uskarżać, że musi się obyć bez podróży poślubnej: cieszyła się bogactwem, które ją otaczało, miała męża, o jakim zawsze marzyła, a teść okazał się niewiarygodnie szczodrym człowiekiem. Nie tylko w obdarzaniu materialnymi dobrami. Przyjął ją do rodziny, nie okazując cienia chłodu czy żalu, choć przez tyle lat miał Matta tylko dla siebie. Teraz musiał się z nim dzielić i postępował naprawdę wielkodusznie.

Gawędzili na temat ceremonii i przyjęcia, popijając szampana i szykując kanapki z szynką. Matt je natychmiast pożerał, ale Kendall była wciąż zbyt podekscytowana, by jeść. Skubnąwszy skórkę

chleba, wyrzła przez okno.

- Chciałabym uprawiać tylko teren od frontu, a z tyłu domu pozwolić roślinom rosnać dziko, tak jak teraz. Pozawieszam karmniki dla ptaków na drzewach. Niedługo, a będziemy mieli tu zaprzyjaźnione wiewiórki. I szopy, mam nadzieję.

- Są okropnie nieporządne.

- Nie nasze. Będą schludniutkie, bo zaczną dostawać regularne posiłki i nie będą musiały przetrząsać terenu w poszukiwaniu jedzenia. I sarenkę - kontynuowała, nie zrażona jego głośnym jękiem. - Może nawet zacznie podchodzić w pobliże domu...

- Kendall, gdybym miał na podwórku sarny, moi przyjaciele przysliby do nich postrzelać pierwszego dnia po otwarciu sezonu łowieckiego.

- Nie mów mi czegoś takiego! I niech ci do głowy nie przyjdzie powiesić choćby jedną wypchaną głowę na ścianie! - Nie rozumiem twojej awersji do polowań. To zwyczajny sport, który ja i tata bardzo lubimy i nie jesteśmy w tym odosobnieni.

- Cóż, po prostu nie pojmuję, jak ktoś może się relaksować zabijając niewinne zwierzęta.

- Jesteś przesadnie sentymentalna.

- Być może. - Uśmiechnęła się z zadumą. - Pewnego lata uratowałyśmy z babcią małego jelonka. Znalazłyśmy go w naszym ulubionym miejscu niedaleko wodospadu... To znaczy, tak naprawdę jest to tylko strumień, ale kiedy byłam mała, budził we mnie grozę. Poza tym w pobliżu znajduje się zapomniana pamiątka po Konfederatach, zardzewiałe stare działo. Lubiałam się tam bawić, kiedy jeździłyśmy na piknik, czyli praktycznie co tydzień... No więc natknęłyśmy się na tego jelonka w lesie. Miał złamaną nogę. Zaniósłyśmy go do samochodu, a w domu unieruchomiłyśmy mu nogę i pielęgnowałyśmy, dopóki nie był w stanie wrócić do lasu.

- I w następnym sezonie myśliwskim stał się godną uwagi zdobyczą.

- Matt!

- Przepraszam. - Wyciągnął rękę przez stół i pogłaskał ją po policzku. - Mogę to jakoś odrobić?

Sięgnęła po jego dłoń, pocałowała jej wnętrze i zaczęła delikatnie pieścić zębami poduszeczkę kciuka.

- Weź mnie do łóżka - wyszeptła uwodzicielsko. Łóżko było już posłane. Na komodzie i nocnych stolikach stały bukiety kwiatów. Ręka Gibba, bez wątpienia. Ale nawet świadomość tego, że też naruszył ich prywatność, nie stłumiła pożądania Kendall.

Stali naprzeciwko siebie, rozbierając się wzajemnie i śmiejąc, gdy Matt niezgrabnie, ledwie mogąc pohamować niecierpliwość, odpinał dziesiątki guziczków ślubnej sukni. Wzmaagało to ich pożądanie i Kendall była zadowolona, że to ich pierwszy raz.

Matt nie sypiał z nią w czasie zalotów ani gdy byli zaręczeni.

Abstynencja godna tytułowego nagłówka w jego gazecie. Ile par chce dotrzeć do nocy poślubnej w dzisiejszych czasach? Wygasający obyczaj.

Nie była dziewicą, on też na nią nie czekał, ale kiedy zaczęli się spotykać, zachowywał się jak dżentelmen, najwyraźniej przestrzegając niepisanych zasad, które broniły mu wziąć do łóżka dziewczynę mającą zostać jego żoną. Stawiało to Kendall ponad kobietami, z którymi wchodził wcześniej w związki. Stara tradycja idąca w parze z podwójną moralnością, doświadczaną przez kobiety od wieków. Ale nie wiadomo dla czego Kendall uznała jego powściągliwość za uroczą i niezwykle romantyczną, choć wiele razy, gdy mówili sobie dobranoc pod drzwiami jej mieszkania, podniecona i nie zaspokojona, pragnęła, by nie trwał tak sztywno przy tej akurat zasadzie. Nawet

go zachęcała, ale nigdy nie uległ. Teraz, czując na skórze jego dłonie niecierpliwie poznające kształt jej ciała, pomyślała, że warto było czekać. Weselne stroje leżały u ich stóp, a nagość miała urok nowości, podobnie jak ich małżeński status.

- Będiesz żoną, jakiej pragnąłem - wymamrotał, całując jej piersi. - Jestem tego pewny.

- Będę. Obiecuję.

Kiedy się obudziła, przez kilka sekund nie mogła zrozumieć, dlaczego jest w radosnym nastroju. Zamrugała oczami rozpoznając otoczenie i uśmiechnęła się z zadowoleniem. Przepełniała ją satysfakcja.

Był poranek po nocy poślubnej, a ona naj szczęśliwszą kobietą na świecie. Jej mąż okazał się czułym i delikatnym koochankiem. Kochali się, dopóki całkiem wyczerpani nie zasnęli.

Matt należał do rannych ptaszków, tymczasem kąć padania promieni słonecznych wdzierających się przez okno świadczył, że świt już dawno przeszedł. Myśl, że musiała go nieźle zmęczyć w nocy, wywołała na jej ustach łobuzerski uśmieszek.

Odwróciła się ostrożnie, nie chcąc go zbudzić. Miała zamiar porozkoszować się trochę jego widokiem, zanim wróci do świadomości. Spał na plecach, usta miał lekko rozchylone, pierś wznosiła się i opadała rytmicznie. Prześcieradło zsunęło się mu do bioder. Wspomnienie przeżytej nocy na nowo obudziło w Kendall namiętność. Narastało w niej pożądanie, przyśpieszając krążenie krwi, skracając oddech i wywołując tępy rozkoszny ból w podbrzuszu. W nocy traktował ją jak wyysnioną pannę młodą, ale teraz chciała, by poczynął sobie nieco śmieiej.

- Dzień dobry - wyszeptwała, wsuwając rękę pod prześcieradło.

Mruknął coś w odpowiedzi.

- Powiedziałam „dzień dobry”. - Zacisnęła dłoń na miękkim penisie.

Uśmiechnął się, wymamrotał coś niezrozumiałego i otworzył oczy.

- Kendall?

- No, miło, że pamiętasz. Wygląda to tak, jakbyś był zdumiony.

- Bo jestem. Zwykle słyszę budzik.

- Możesz go wyrzucić. I zacznij się przyzwyczajać do tego...

- Każdego ranka?

- Dlaczego nie? Będziemy sobie wydzielać? - Pieściła dłońmi jego seks, skubiąc leciutko wargami skórę na piersiach i brzuchu.

- Kendall...

Odsunęła prześcieradło i ukąsiła go delikatnie tuż obok pępka.

- Kendall, to tata.

- Hmm...?

- Tata. - Odsunął ją od siebie, wstał z łóżka i podszedł do okna. - Słyszałem jego pikapa na podjeździe.

Nie zdążyła się jeszcze otrząsnąć z podniecenia, gdy usłyszała pukanie do drzwi frontowych. Matt wyciągnął z komody parę dzinsów i zakładając je powiedział:

- Lepiej wstawaj i ubieraj się.

Oślupiała usiadła i patrzyła na niego, jak wychodzi z sypialni.

- Idę, tato! - krzyknął z holu, a później usłyszała, jak otwiera drzwi frontowe. - Dzień dobry.

- Nie przeszkadzam?

- Ależ oczywiście, że nie. Właśnie miałem robić kawę. Wejdz, proszę.

Skierowali się do kuchni. Słuchała ich głosów, dopóki mogła rozróżnić słowa, a potem podciągnęła kolana i schowała w nie głowę, próbując zdusić urazę i rozczarowanie.

Kiedy stało się oczywiste, że Matt nie zamierza do niej wrócić, wygrzebała się z łóżka i wzięła prysznic. Dołączyła do nich po dziesięciu minutach. Gibb przewracał plasterki bekonu.

- I oto nadchodzi młoda żona - zaśpiewał na jej widok. Obszedł stół, żeby ją serdecznie uścisnąć, po czym odsunął ją od siebie i spojrzał prosto w oczy. - Nie masz nic przeciwko temu, że przyszedłem wam przygotować śniadanie, prawda?

Tak, do cholery, mam, pomyślała. Co to, jakiś dowcip?

Skoro taki, a nie inny miał być ich miesiąc miodowy, chciała przynajmniej cieszyć się nim sam na sam z Mattem. Ale Gibb śmiał się tak szczerze... Nie miała serca powiedzieć mu, co czuje naprawdę.

- Oczywiście, że nie, Gibb - odparła ze słabym uśmiechem.

Uwolniła się z jego objęć i podeszła do ekspresu. Najwyraźniej nie zdołała jednak ukryć, że czuje do niego żal, bo po tym niezbyt entuzjastycznym powitaniu zapadła niezręczna cisza.

- Może nie był to jednak najlepszy pomysł. - Gibb zaczął zdejmować zawiązany wokół pasa fartuch.

- Nie wygłupiaj się, tato. Kendall ma trudne poranki.

Ostrzegła mnie, że bym się spodziewał humorów. Prawda, koochanie?

- Obawiam się, że muszę się przyznać do tej wady, Gibb. - Ruśmiechnęła się przeprasząco. - Jestem zła jak wilk zaraz po przebudzeniu.

- I głodna jak wilk, mam nadzieję. - Postawił żeliwną rynkę z powrotem na kuchence i wrócił do smażenia bekonu. - Lubisz wafle? Mam swój sekret.

- Jaki?

- Chyba mogę ci go zdradzić, skoro weszłaś do rodziny - mrugnął konspiracyjnie. - Wanilia - wyszeptał. - Dodaję łyżeczkę do masła. To całkowicie zmienia smak.

- Dzięki za udzielenie poufnych informacji.

- Pani Burnwood - powiedział Matt wstając i podsuwając jej swoje krzesło - proszę, niech pani usiądzie i pozwoli sobie usłużyć. - Pocałował ją szarmancko w rękę.

Dopiero gdy usiadła, zobaczyła opakowane w ozdobny papier paczki.

- Jeszcze prezenty? To niemożliwe. Tyle już dostaliśmy.

- Tata je przyniósł.

- Goście zostawili je u mnie w domu. Może byście otworzyli te paczki, zanim skończę robić śniadanie?

Podzielili między siebie prezenty i zaczęli je rozpakowywać.

Talerz na słodycze od Waterforda, para srebrnych lichtarzy, lakierowana taca. Matt wręczył Kendall ostatnią paczuszkę. - Czyń honory pani domu.

- Roscoe Calloway przyniósł ją dzisiaj rano - wyjaśnił Gibb.

- Och, jak to miło z jego strony! - wykrzyknęła Kendall. Woźny sądowy, Roscoe Calloway, był instytucją sam w sobie. Przepracował już trzydzieści lat. On i Kendall żaprzyjaźnili się w czasie jej urzędowania w Prosper. Zdarła papier i zobaaczyła ramkę na fotografię.

- „Z najlepszymi życzeniami” - przeczytała. - Podpisane: Roscoe i Henrietta Calloway. - Nagle jej uśmiech znikł, zmarszczyła ze zdziwieniem brwi. - Dopiero teraz sobie uświaadomiłam, że nie widziałam ich na weselu. Ciekawe, dlaczego nie przyszli?

- Radziłem ci, żebyś ich nie zapraszała - przypomniał Matt łagodnym tonem.

- Ale zrobiłam to, ponieważ bardzo tego chciałam. Roscoe jest dla mnie nadzwyczaj miły. Zawsze kładzie na moim biurku świeżą różę. Był taki podekscytowany, kiedy się zaaręczyliśmy. Wyraża się o tobie z największym szacunkiem, Matt. I o tobie, Gibb.

- Roscoe zna swoje miejsce. - Gibb odwrócił się od goffrownicy, żeby podać jej talerz.

Wafel był doskonały: pulchny, złocistobrazowy, z kwadracikiem rozplływającego się masła pośrodku. Ale uwaga Gibba zepsuła jej apetyt.

- Swoje miejsce? - powtórzyła, łudząc się, że nie miał na myśli tego, czego się obawiała.

- Roscoe rozumie, że on i żona byliby... no właśnie, nie na miejscu na waszym weselu - wyjaśnił jej teść.

Spojrzała na męża, a on skinął poważnie głową na znak całkowitej zgody.

- Tylko oni nie byliby biali, Kendall.

- Jestem pewien, że Roscoe w pełni docenił twoje zaproszenie, choć dobrze wiedział, że nie powinien się tu pojawiać. Wie, jakie są reguły. - Ścisnął ją przyjacielsko za ramię i dodał: - Ale i ty się nauczysz.

Rozdział ósmy

Po godzinach siedzenia za kierownicą Kendall padała z nóg.

Ale nie było mowy o śnie - przede wszystkim musiała znaleźć coś, co by mogło posłużyć Kevinowi za łóżeczko. Natknęła się w szafie na kojec, w którym kiedyś niańczyła swoje potomstwo suka rasy labrador. Środki czyszczące stały w szafce, tam gdzie zawsze trzymała je babcia. Szorowała kojec dotąd, aż uznała, że spełnia wymogi higieny.

- Jest coś do jedzenia?

Opierał się ciężko na kulach, wyraźnie wyczerpany. Zaraz po przyjeździe zaproponowała, by położył się do łóżka, ale odmówił. Chodził za nią trop w trop po całym domu niczym pies gończy.

- Oszaleję przez ciebie - warknęła, odwracając się szybko; stał tak blisko, że omal się z nim nie zderzyła. - Skoro nie chcesz się położyć, to przynajmniej przestań za mną krążyć po pokojach i usiądź gdzieś sobie.

- Żebyś dała nura przez kuchenne drzwi? Westchnęła z rozdrażnieniem.

- Nawet jeśli tylko o tym myślę... a nie myślę, nie miałabym siły prowadzić ani pięciu minut dłużej. Odpręż się, dobrze?

Nie odprężył się całkowicie, ale w każdym razie przestał wszędzie za nią chodzić.

- Poszukam czegoś do jedzenia - powiedziała i zaczęła szperać w spiżarni; znalazła puszkę fasolki szparagowej i słoik brzoskwiń. - Niezbyt wyrafinowany zestaw - stwierdziła. - Nic nie szkodzi - odparł. - Lepsze to niż nic.

- Zrobię jutro zakupy. Rano lodówka będzie już mrozić.

Podzielili jedzenie i zjedli wszystko, nie wyłączając krakersów kupionych w automacie, przy którym zaczepiło ją trzech nastolatków. Ponieważ się wtrącił, zapamiętali z pewnością incydent, zwłaszcza ten, który obudzi się jutro z posiniaczonymi goleniami. Mocno ją to irytowało, ale z drugiej strony jego wojownicze nastawienie przyjemnie ją zaskoczyło. Najwyraźniej miał głęboko zakodowaną potrzebę chronienia innych i nawet amnezja tego nie zatarała. Zareagowała nieprzychylnie na to, że się wtrącił, ale musiała przyznać, że ją to poruszyło. Choć tak zmaltretowany i osłabiony nie zawahał się stanąć w jej obronie. Coś wspaniałego, taka siła woli. I zareagował naprawdę zuchowato, sądząc, że naruszono jego prawa.

Kendall nigdy nie należała do kobiet omdlewających na widok macho, a już ostatnio zupełnie straciła sympatię dla tego rodzaju mężczyzn, była więc zawstydzona, że tyle radości sprawiła jej ta interwencja i że jego fizyczna siła pociąga ją na równi z psychiczną.

- Czy ty dobrze gotowałaś? - zapytał, przerywając jej rozmyślenia.

- Niekoniecznie wspaniale, ale nie pomrzemy z głodu.

- Zabrzmiało to, jakbyś planowała, że zostaniemy tu jakiś czas.

- Myślę, że dotąd, dopóki nie odzyskasz pamięci. Spokojnie tu i cicho, dobre miejsce dla rekonwalescenta.

- A co z moją pracą?

Wstała i zaczęła zbierać brudne talerze. Zniosła je do zlewu, a gdy wróciła do stołu sprzątnąć resztę, kompletnie ją zaaskoczył, wsuwając dłoń za pasek jej dżinsów. Przystanęła. Kostki jego palców uciskały ją w żołądek i nie doznawała z tego powodu wyłącznie uczucia dyskomfortu.

- Miałem dobrą posadę, prawda?

- Owszem.

- Co robiłem?

- Gdybym ci powiedziała, tylko byś się niepotrzebnie podekscytował. Jesteś osobnikiem typu A: uważasz, że nikt cię nie zastąpi. Natychmiast chciałbyś wrócić do pracy, co oczywiście nie jest możliwe. Wierz mi, to może poczekać, dopóki nie wyzdrowiejesz. Zawiadomiłam wszystkich, których powinnam. I wszyscy się ze mną zgadzają, że nie powinieneś jeszcze wracać do pracy.

- A kiedy to ich zawiadomiłaś? Przecież telefon jest wyłączony.

A więc sprawdził. Nie był umyślowym niedojdą przed wypadkiem, dlaczego więc założyła, że amnezja stępiła jego przenikliwość? Próbując ukryć zażenowanie, powiedziała:

- Dzwoniłam, gdy leżałeś w szpitalu.

- To dlaczego nikt nie oddzwonił albo nie przysłał choćby kartki pocztowej? Uważam, że to naprawdę dziwne. Wręcz nieprawdopodobne.

- Lekarz zabronił ci przyjmowania wizyt. Powiedział, że skoro niczego nie pamiętasz, najzwyklejszych znajomych i przyjaciół, choćby dokonany przez nich w najlepszej wierze, tylko cię sfrustruje; spadnie na ciebie grono obcych ci w tej chwili osób i w efekcie przyniesie to więcej szkody niż pożytku. Co do poczty, nie byliśmy tam na tyle długo, żeby przysłała.

Przyglądał się jej z wyraźnym sceptycyzmem.

- Wszystko idzie, jak trzeba. Przysięgam - dodała z naciskiem. - Twoja kariera nie jest zagrożona.

- Kariera. Czyli nie po prostu praca?

- Można to i tak określić.

- Naprowadź mnie jakoś. Lekarz, adwokat, indiański wódz?

- Pamiętasz tę dziecięcą wyliczankę?

- Na to wygląda. - Krzywy uśmiech zgasł. - Tylko jakim sposobem pamiętam ten głupi wierszyk, a ciebie nie? Rucił spojrzenie w jej piersiach.

- Słyszę Kevina. - Kendall, podenerwowana ich fizyczną bliskością, wyszarpnęła jego dłoń z paska dżinsów.

Krzyk dziecka, dobiegający z drugiego pokoju, zakończył to śledztwo. Był ciekawy, to naturalne, ale im mniej będą dyskutować o tym, jak wyglądało ich życie przed wypadkiem, tym bezpieczniej dla niej. Pozornie niewinne, przypadkowe słówko może odblokować jego pamięć. Musi także uważać, by się do niego zbytnio nie zbliżać, denerwuje ją to bowiem bardziej, niż byłaby to skłonna sama

przed sobą)5rzyznać. Musi go utrzymywać w przekonaniu, że jest jego żoną, ale nie powinna przekroczyć pewnej granicy.

Rozmyślając o tym wszystkim, nakarmiła i wykąpała Keviina. Potem usiadła w bujanym fotelu w pokoju dziennym i uspiła dziecko, śpiewając mu piosenki, które jej śpiewała babcia.

Siedział na sofie w przeciwległym końcu pokoju, złamaną nogę oparł na podnóżku. Światło lampy stojącej na stole rzucało głębokie cienie na jego twarz, skrywając oczy. Kendall nie musiała ich widzieć; wiedziała, że są w mej utkwione, nieruchome i czujne jak źrenice jastrzębia.

- Co z moją rodziną? - zapytał.

- Matka zmarła wiele lat temu.

Myślał przez chwilę, po czym powiedział:

- Nie będę chyba opłakiwał kogoś, kogo nie pamiętam. Mam jakichś braci albo siostry?

Potrząsnęła przecząco głową.

- A ojciec? Też nie żyje?

- Żyje, ale się poróżniliście.

- Czego to dotyczyło?

- Rozmowa na ten temat przygnębiała cię nawet przed wypadkiem, więc to chyba nie najlepszy pomysł wdawać się w nią teraz.

- Czy on w ogóle wie o wypadku?

- Nie spodziewałam się, żebyś chciał go powiadomić, więc nie zrobiłam tego.

- To aż tak źle między nami? Ojcu wszystko jedno umarłem czy żyję?

- Nie jest mu wszystko jedno, ale na pewno nie chciałbyś, żeby wiedział o wypadku. Przepraszam cię, muszę położyć Kevina. - Starła się wyjść tak, by nie wyglądało to na ucieczkę.

Kojec stał w mniejszej z dwóch sypialni, jakie były w domu. Delikatnie ułożyła w nim synka. Natychmiast podciągnął koolanka do piersi i wystawił pupkę.

- Jak on może tak spać?

Nie zdawała sobie sprawy, że za nią poszedł, dopóki nie usłyszała tuż za plecami jego głosu.

- Wiele niemowląt śpi w ten sposób.

- Nie wygląda na to, żeby było mu zbyt wygodnie.

- Myślę, że trzeba mieć trzy miesiące, żeby człowiekowi było tak wygodnie.

- Dobrze znosiłaś ciężę?

- Miałam pewne dolegliwości przez pierwsze miesiące, ale potem szło gładko.

- Jakie dolegliwości?

- Zwyczajne. Poranne nudności, znużenie, depresja.

- Co wywoływało tę depresję?

- No, może to za duże słowo. Byłam po prostu płaczliwa.

- Co wywoływało tę płaczliwość?

- Boże! Proszę cię... jestem zmęczona. Nie możesz poczekać z tym przesłuchaniem? - Zrobiła krok, chcąc go wyminąć, ale uniósł kulę i zablokował drogę. - Wiesz co? - wybuchnęła. - Zaczyna mnie to męczyć. Mdli mnie, kiedy robisz z tej cholernej kuli rogatek!

- A mnie mdli od twoich wykrętów. Odpowiedz mi: dlaaczego miałaś depresję i byłaś płaczliwa w czasie ciąży? Nie chciałaś dziecka?

Zabrakło jej energii, żeby się dalej złościć, gniew wyparował. - Kobiety często stają się płaczliwe w pierwszym trymestrze z powodu zmian hormonalnych - odparła ze znużeniem i doodala:

- Owszem, chciałam mieć dziecko. Bardzo pragnęłam mieć Kevina.

- Ja też?

Ich spojrzenia się spotkały. Po chwili Kendall spokojnie odsunęła kulę na bok.

- Idę się wykąpać.

Wyłączyła światło. Ledwie zgasło, reflektory samochodu omiotły front domu i zaświeciły wprost w okno sypialni.

- Boże święty! - Kendall odwróciła się gwałtownie i pootknawszy, dopadła okna, rozplaszczając się przy framudze. Serce jej waliło. Z przerażeniem obserwowała, jak samochód toczy się coraz wolniej i przystaje. Znieruchomiał na końcu podjazdu z reflektorami wycelowanymi w dom niczym szpeeracze. We mgle i deszczu wyglądał jak lewiatan: wielki, złoowróźbny, z groźnie pomrukiem silnikiem. Usłyszała za sobą głuchy stukot. - Odejdź od okna! - warknęła. - Uwaażaj, żeby cię nie zobaczyli!

Zastygli oboje w bezruchu. Kendall prawie przestała oddychać. Wreszcie zobaczyła, że samochód zawraca i odjeżdża. Poczowała taką ulgę, że omal się nie załamała. Gdy wreszcie odzyskała mowę, zmusiła się, by jej głos brzmiał bagatelizująco:

- Zdaje się, że ktoś skręcił nie tam, gdzie trzeba.

Kiedy się odwróciła, jego sylwetka rysowała się w otwartych drzwiach w świetle padającym z holu, ogromna i dominująca. Chciała go wyminąć, ale sięgnął gwałtownie do wyłącznika, zapalił górne światło, zadarł głowę Kendall do góry i badawczo wpatrzył się w jej twarz.

- Co tu się do cholery dzieje?

- Nic.

- Nic? Jesteś blada jak upiór. Mało brakowało, a byś zemdląła na widok tego samochodu. Kto nas ściga...? Kto ciebie ściga?

- Po prostu nikogo się nie spodziewałam, to wszystko _ powiedziała, odwróciwszy oczy.

- Mogłam stracić pamięć, ale nie stałam się przez to imbecylem, więc mnie tak nie traktuj, do jasnej cholery! - Wciąż przytrzymując dłonią jej brodę, zmusił ją, by na niego popatrzyła. - Uciekasz, żeby ocalić życie. Przed kim? Czy ktoś zamierza skrzywdzić ciebie lub twoje dziecko? - Popatrzył na kojec, w którym spał Kevin. - Nasze dziecko?

- Nikt nas nie skrzywdzi, 'dopóki jesteśmy razem. - Naaprawdę tak myślała. Czowała, że choć jej nie ufa i żywi niewytlumaczalną awersję do Kevina, zawsze będzie walczył w ich obronie. Tym trudniej będzie go zostawić. Miała dość rozumu, żeby na nikim nie polegać. Sama sobie poradzi. A jednak czuła się w jego obecności bezpieczniejsza, choć zważywszy na stan, w jakim się znajdował, było to prawdopodobnie iluzoryczne uczucie. Osłabienie czujności może ją drogo kosztować, nawet życie. - Będę w łazience. Zawołaj, gdyby Kevin mnie potrzebował. - Przeszła obok niego i tym razem jej nie zaatrzymał.

Napełniła głęboką wannę na nóżkach prawie po brzeg i zaanurzyła się w ciepłej, relaksującej kąpieli. Piętnaście minut później weszła do pokoju dziennego, owinięta w ręcznik, osłaniający ją od piersi do połowy ud. Wilgotne włosy zczesła za uszy, jej twarz błyszczała świeżością.

Stał w otwartych frontowych drzwiach, odwrócony do niej tyłem, ze wzrokiem utkwionym w ciemność i nie ustający deszcz. Kiedy usłyszał plaskanie bosych stóp po podłodze, odwrócił się.

- Jestem z powrotem - ogłosiła zupełnie niepotrzebnie i skierowała się w stronę sypialni.

- Poczekaj! - powiedział i pokuśtykał przez pokój. Zaatrzymał się tuż koło niej i podniósł rękę do jej piersi. Kendall się wzdrygnęła. Uniósł brwi pytająco, zawahał się, ale jednak dotknął wilgotnej

skóry. - Boli?

Sens pytania dotarł do niej dopiero wtedy, gdy poszła za jego wzrokiem i zobaczyła paskudną szeroką siną pręgę, zaczynającą się od szyi i biegnącą przez pierś.

- Niezbyt piękny widok, co? Ale i tak wyglądam lepiej, niż mogłabym, gdybym nie miała zapiętych pasów - wyjaśniła.

- Aha. Wtedy wyglądałabyś jak ja. - Posłał jej krótki ponury uśmiech.

- Nie jest aż tak źle. - Ich oczy się spotkały i przez chwilę patrzyli na siebie. Kendall przełknęła ślinę, gardło miała wyyschnięte. - To znaczy... opuchlizna znacznie się zmniejszyła.

Skinął głową z roztargnieniem; jego uwagę pochłaniał siniak na jej piersi.

- Czy jest bardzo rozległy?

Gorąco napłynęło falą i rozlało się po jej brzuchu. Była zażenowana, a przecież jako jego żona nie powinna. Nie odwracając wzroku, sięgnęła do węzła na piersiach i powoli rozchyliła ręcznik. Trzymała końce w obydwu rękach, pozwalając mu patrzeć. Nigdy nie czuła się bardziej naga, wystawiona na czyjeś spojrzenie. Przesuwał powoli wzrokiem po jej ciele, napawając się każdym zaokrągleniem, każdym całem skóry. Kiedy nie była w stanie już dłużej tego wytrzymać i chciała z powrotem owinać się ręcznikiem, powstrzymał ją.

- Co to jest? - Dotknął jej znowu.

Odetchnęła głośno i prędko. Jak szybko jego dotyk wzbudził zmysłową reakcję... Skóra na jej brzuchu drżała, mimo to Kendall nie odsunęła się. Delikatnie przesunął wskazujący palec po cienkiej różowej bliźnie biegnącej przez włosy łonowe. Dotarł do końca, ale nie cofnął ręki.

- Blizna po cesarskim cięciu - powiedziała bez tchu.

- Hmm. Dlaczego drżysz?

- Wciąż ją czuję. Zwłaszcza po tym wypadku. - Była to prawda, pasy ratunkowe zostawiły również siną, łączącą kości biodrowe ścieżkę na jej brzuchu.

Obwiódł ją palcami.

Zebrała gwałtownie końce ręcznika i owinęła się nim ciasno.

Wyjął spod niego rękę. W pierwszym odruchu chciała uciec, ale nakazała sobie spokój. Musi zachowywać się jak żona.

- Wanna jest głęboka. Nawet bez gipsu byłoby ci trudno wejść do niej i wyjść. Może lepiej wytrę cię gąbką przy umywalce?

Zastanawiał się przez chwilę, a potem zdecydowanie pokręcił głową.

- Poradzę sobie. Dziękuję.

- Na pewno?

Jego spojrzenie znów powędrowało ku jej brzuchowi, ale szybko odwrócił wzrok.

- Na pewno. - Wyminął ją i zamknął za sobą drzwi łazienki.

Kendall oparła się o futrynę. Upłynęło parę minut, zanim odzyskała równowagę. To się stawało trudniejsze, niż sobie wyobrażała. Za bardzo był spostrzegawczy, a ona za dobrze kłamała - tak dobrze, że sama zaczęła wierzyć we własne kłamstwa. To, co uważała za życiową szansę, obróciło się przeciwko niej: wpadła w pułapkę. Musi od niego uciekać.

Ale na razie musi jakoś przetrwać tę noc.

Znalazła w komodzie w sypialni zostawioną podczas ostatniego pobytu letnią koszulę nocną. Posłała mu łóżko i właśnie wruszała poduszki, gdy usłyszała, że otwiera drzwi łazienki i powoli idzie przez hol.

Miał na sobie spodenki, które mu dziś rano kupiła. Włosy na jego piersi były wilgotne. Pachniał mydłem, pastą do zębów i wodą do płukania ust. Kiedy sadowił się na łóżku, zobaczyła, jak ogromnie jest zmęczony; poruszał się, jakby miał trzydzieści lat więcej. Jego cera przybrała niezdrowy szarawy odcień.

- Połóż się - powiedziała łagodnie. - Wsunę ci poduszkę pod nogę.

Kiedy pomogła mu się ułożyć, wydał długie, pełne ulgi westchnienie i zamknął oczy. Sprawiał wrażenie całkiem wyyczerpanego. Przywykła już do widoku siniaków i zdartej skóry, podkrążonych, zapadniętych oczu i wychudzonych policzków, ale dopiero teraz dostrzegła na jego twarzy ślady cierpienia. Poczowała przyływ współczucia. Zgasiła lampkę nocną, żeby światło nie raziło go w oczy.

- Wzięłaś aspirynę?

- Kilka.

- Mam nadzieję, że będziesz dzięki temu spał spokojnie.

- Wszystko w porządku.

- W takim razie do zobaczenia rano. Dobranoc.

- Dokąd idziesz? - Rozwarł gwałtownie powieki.

- Prześpię się w pokoju dziennym na sofie - wskazała ręką na drzwi. - Mogłabym niechcący uderzyć cię w nogę w nocy.

Przyglądał jej się uważnie.

- Ale jeśli jesteś gotów zaryzykować - dodała nieoczekiwanie dla samej siebie - to oczywiście wolę spać z tobą.

Nie mówiąc już więcej ani słowa, przesunął się ku krawędzi łóżka. Kosztowało go to sporo wysiłku; oddychał szybko i płytko, a kiedy wsunęła się pod prześcieradło obok niego, dotknęła zimnej, wilgotnej skóry.

- Dobrze się czujesz? - zapytała z troską.

- Tak. Jestem tylko zmęczony.

- Śpij dobrze. - Dla lepszego efektu pochyliła się nad nim i pocałowała bogobojnie w policzek.

Wcale go to nie ukoilo; całus wywołał raczej krótkie śpięcie.

- Na pewno potrafisz lepiej - mruknął.

Zupełnie nie delikatnie, wręcz obcesowo, wsunął dłoń pod jej głowę i przytrzymując ją mocno, zaczął całować. Ani nieeśmiało, ani bogobojnie. Używał języka śmiało, ze znajomością rzeczy. Był zaborczy i podniecający. Walczyła ze sobą, ale czuła narastające przyjemne podniecenie. Była oszołomiona.

Nie tylko ona doznawała podobnych uczuć. Kiedy przestał ją całować, spojrział jej w oczy. W jego wzroku wyczytała niepokój, niezdecydowanie i zmieszanie.

- Jezus - powiedział cichutko.

Cofnął pośpiesznie rękę, jakby Kendall parzyła, zamknął oczy i natychmiast zapadł w sen. A może tylko udawał.

Leżała przy nim wyprostowana, bojąc się poruszyć. Ledwie śmiała oddychać w obawie, że naruszy ten kruchy spokój. Boże! W co się wpakowała? Na początku uznała pomysł, by przedstawić go jako męża, za bardzo sprytny i łatwy w realizacji. Świetnie szło w szpitalu. Nie przewidziała jedynie, że on tak łatwo wejdzie w rolę i będzie od niej oczekiwał małżeńskich zachowań. A przecież powinna się tego spodziewać. Był heteroseksualnym mężczyzną i sama mu powiedziała, że jest jego żoną. W tych okolicznościach, skoro przyjął za prawdę jej historyjkę, to właśnie on

zachowywał się normalnie, nie ona. Ku swemu zmieszaniu musiała przyznać, że rola jego żony nie była jej tak całkiem wstrętna. Choć osłabiony i sponiewierany, i tak zwróciłby na siebie uwagę kobiet, gdyby się wśród nich pojawił. Jego sposób bycia cechowała powściągliwość i paraadoksalnie działało to jak magnes. Był prostoliniorny i mało mówny. Spotkanie z trzema nastolatkami dzisiejszego popołudnia uświadomiło jej także, że jest dość pewny siebie. Nie szukał kłopotów, ale skoro już je miał, potrafił im stawić czoło.

Ta pionowa zmarszczka na jego brodzie jest zdecydowanie seksowna, pomyślała. Każda kobieta byłaby nim zainteresowana...

Zupełnie nie wzięła pod uwagę, że mogą wydać się sobie nawzajem atrakcyjni, zanim pośpieszyła ogłosić ich mężem i żoną. W konsekwencji jej plan spalił na panewce. Wpadła we własne sidła, uwikłała się w groźną sytuację i w każdej chwili mogła wejść na minę. Jeden fałszywy krok i jest zgubiona.

Poczuła pokusę, by złapać Kevina i rzucić się pędem do samochodu. Zanim będzie jeszcze gorzej, zanim odkryje, że nie chce od niego odejść.

Ale jej ciało wołało o odpoczynek. Nie miała nawet tyle siły, by podnieść się z łóżka. A zresztą, w jakie bezpieczniejsze miejsce mogłaby pojechać?

Minęło sporo czasu, nim usnęła. Leżała obok niego, wciąż czuła smak jego pocałunku i bała się, że odzyska pamięć, gdy się rano przebudzi. A wtedy wszystkie jej trudy na nic.

Rozdział dziewiąty

Lądujący na dziedzińcu szkoły średniej helikopter wywołał prawdziwe poruszenie w Stephenville.

To, że nosił na sobie litery FBI, jeszcze wzmogło ciekawość.

Nic bardziej ekscytującego nie wydarzyło się w tej małej społeczności żyjącej w Georgii, od czasu gdy jakiś gangster schronił się na obrzeżach miasteczka w domu swojej dziewczyny, trudniącej się nierządem, i wdał w zakończoną jego śmiercią strzeelaninę z federalnymi. Starzy ludzie dobrze to pamiętali.

Agent specjalny Jim Pepperdyne wysiadł z helikoptera, nie zwracając uwagi na otaczających go gapiów. Wiodąc za sobą grupkę zdyscyplinowanych podwładnych, biegnących truchtem, by za nim nadążyć, przeciął boisko, przemaszerował parę jardów chodnikiem, przeszedł na drugą stronę ulicy i wkroczył do szpitala, w którym ostatnio widziano poszukiwanych.

Personel, już wymagłowany przez innych agentów, uprzedzono, że zbliża się sam główny boss. Czekali zgromadzeni w izbie przyjęć.

Godziny wyczerpujących przesłuchań, prowadzonych przez wyszkolonych ludzi, nie doprowadziły do odkrycia niczego istotnego. Nie dały najmniejszej wskazówki, co się mogło stać z mężczyzną, kobietą i jej dzieckiem. Przepadli z kretelem. Jakby ich ziemia pochłonęła.

Jim Pepperdyne nie wierzył w ludojady. Ani w przybyszów z obcych planet, którzy uwożą zakładników, przenosząc ich za pomocą wiązki promieni na statek kosmiczny. Wierzył natomiast w złowrogą pomysłowość rodzaju ludzkiego. W całej swojej karierze wciąż zbierał jej dowody.

Agent specjalny był mężczyzną w średnim wieku o niezbyt imponującej posturze. Zaokrąglął się w talii, włosy przerzedzały mu się w tempie, które mocno go irytowało. A jednak wyczuwało się w nim władcą osobowość, co wystarczało, by powstrzymać tych, którzy chcieliby stanąć na jego drodze.

Pracownicy szpitala zostali poddani niemalże pogardliwemu pobieżnemu przeglądowi.

Pepperdyne narzucił sobie tę onieśmielającą pozę, ale jego gniew i zaniepokojenie były szczere. Musiał ustalić miejsce pobytu tych trojga, którzy wymknęli się Jemu I prawu.

Zniknęli na trzydzieści sześć godzin - trzydzieści sześć oszalałych godzin - dopóki depeszowiec z biura szeryfa w zaapadłej miejscinie nie połączył ludzi poszukiwanych w policyjnym biuletynie z wypadkiem, który wydarzył się ostatnio w jego hrabstwie. Pepperdyne nie słyszał nigdy dotąd o Stephenville w Georgii, ale od tej chwili ta geograficzna nazwa stała się centrum jego świata. Wysłał tam natychmiast grupę doświadczonych agentów i wkrótce otrzymał telefon potwierdzający, że opis poszukiwanych osób zgadza się z opisem ofiar katastrofy. Wysłał następną grupę agentów, żeby przepytali każdego, kto mógł się zetknąć z poszukiwaną trójką. Jak dotąd, śledztwo nie przyniosło wyników.

Rozbity samochód został znaleziony trzy mile w dół rzeki od miejsca katastrofy. Ofiarę wypadku zidentyfikowano. Pepperdyne czekał na oficjalny raport koronera podający przyczynę zgonu.

Na razie stał na leciutko rozstawionych nogach przed grupką milczących ludzi. Nie marnował czasu na to, żeby się przedstawić.

- Kto pełnił dyżur tej nocy, gdy ich przywieziono?

Podniosło się kilka rąk. Wskazał jedną z pielęgniarek. Proszę opowiedzieć dokładnie, co się wydarzyło.

Zrelacjonowała mu wszystko zwięźle, ale dość szczegółowo. - Ona i dziecko czuli się dobrze. Byli w szoku, lecz nie mieli poważniejszych obrażeń. Jej mężowi natomiast trzeba było udzielić natychmiastowej pomocy - zakończyła i pokaazała głową na agentów. - Opowiadaliśmy to już setki razy.

- Był przytomny? - spytał Pepperdyne, ignorując jej uwagę.

- Nie.

- Powiedział coś? Choćby wymamrotał niewyraźnie?

- Nie.

- Miał broń?

Potrząsnęła przecząco głową. - Jest pani pewna?

- Musiałam porozcinać jego ubranie - odparła zimnym tonem. - Nie miał broni. - Żadnego dokumentu?

- Nie. Wszystko zniknęło wraz z samochodem, jak nam później powiedziała jego żona.

- Jego żona...?

- Pani Kendall.

Pepperdyne popatrzył przez ramię na jednego z agentów. Tamten wzruszył ramionami.

- Mówiłem panu.

- Jej nazwisko brzmi Burnwood - zwrócił się Pepperdyne z wyraźnym niesmakiem do pielęgniarki. - Kendall BUfillwood. Wymieniła to nazwisko?

- Nie. Wpisała w kwestionariuszu John i Mary Kendall.

- Widziałem ten kwestionariusz. - Któryś z agentów wcisnął mu kopię do ręki i Pepperdyne zamachał nią w kierunku zgromadzonych. - Nie zostawiła żadnych pustych rubryk, ale wszystkie informacje są fałszywe. Nazwiska, adresy, numery telefonów. Wymyślone numery polis. Nie przyszło wam na myśl, jakie to dziwne, że ma przy sobie gotówkę, a żadnych dokumentów? - Napotkał na mur nic nie mówiących spojrzeń.

- Nie obchodzi mnie jej nazwisko - odezwała się wreszcie inna pielęgniarka. - Jest przemiła. I

uczciwa. Mogła sobie po prostu pójść, nie płacąc ani centa. Nie musiała zostawiać pieniędzy w swoim pokoju, a jednak zrobiła to. Leżały w takim miejscu, żeby od razu można było je zauważyć, i z nawiązką pokrywały rachunek. Jest też wspomniała matką i bardzo się niepokoiła zanikiem pamięci męża..

- Powodem niepokoju był strach, żeby jej nie odzyskał. Pepperdyne zwrócił się do lekarza: - Kiedy to może nastąpić? - W każdej chwili. Albo nigdy.

- Świetna odpowiedź - mruknął agent specjalny z nie-smakiem. - Czy konsekwencje wstrząsu mogą być dla niego groźne?

- Nie, jeśli będzie się oszczędzał, tak jak doradzałem.

- Co z nogą?

- Złamanie bez komplikacji. Wydobrzeje całkowicie za parę miesięcy.

Lekceważący sposób, w jaki lekarz odpowiadał, podniósł Pepperdyne'owi ciśnienie krwi.

- Pozwolił pan pacjentowi z urazem mózgu i złamaną golenią tak sobie po prostu stąd wyparadować?

- Jakim sposobem mogliśmy przewidzieć, że ona zamierza wymknąć się z nim w środku nocy?

- To u was normalne? Często pacjenci wam się wymykają, panie doktorze? Nie wydało się to panu ciut podejrzane? Dla czego natychmiast po odkryciu, że zniknęli, nie zawiadomił pan szeryfa?

- Szeryf wypytywał ich kilkakrotnie i nie kwestionował tego, co mówili. Nie umieścił ich w areszcie i nie zastosował innych środków. Co oni właściwie zrobili? Dla czego w mieście aż roi się od pana agentów?

- Nie udzielam wyjaśnień - oświadczył Pepperdyne sztywno. Jeśli media coś zwęszą, sprawa nieźle się zawikła. Chciał tych ludzi zastraszyć, by wycisnąć z nich choć okruszek informacji, a nie zaintrygować tak, by się zorientowali, że sprawa ma ogólnokrajowy zasięg: kasek, za który każdy pismak dałby się posiekać. Na razie udało mu się utrzymać ich zniknięcie w tajemnicy. Im więcej czasu zdoła zyskać, nim przedostanie się to do prasy, tym lepiej. - Jak się wydostali z miasta? Nie skierował tego pytania do nikogo w szczególności. Był pewien, że nie ma ich w Stephenville. Nawet ta Burnwood, tak pomysłowa i zaradna, nie zdołałaby ukryć tu na długo dziecka i mężczyzny dotkniętego amnezją. Niewiele znalazłoby się w tym mieście kryjówek. Nie mówiąc już o tym, że jego agenci obeszlili je całe ze zdjęciami. I ani śladu. - Jakież sugestie na ten temat? Może ktoś widział panią Burnwood prowadzącą samochód?

- Ja jej swój pożyczylam - zgłosiła się jedna z pielęgniarek. - Ale tylko na parę godzin. Pojechała do Wal-Mart kupić trochę rzeczy dla siebie i dziecka.

- Sprawdziła pani później licznik?

- Licznik? - powtórzyła, jakby było to urządzenie jej nie znane.

Znowu ślepy trop. Sprawdzono w policyjnych archiwach.

Od dwóch lat w Stephenville nie meldowano o kradzieży samochodu. W jedynym w mieście warsztacie handlującym używanymi autami stało wprawdzie kilka rdzewiejąc, ale ostatecznie sprzedano sześć miesięcy temu.

- Nie macie komunikacji autobusowej ani lotniczej. Żadnych łodzi, pociągów pasażerskich. Więc jak, do cholery, wydostali się z miasta?! - Od głosu Pepperdyne'a zadrżały szyby w oknach, ale nie wstrząsnął nikim na tyle, by udzielono mu odpowiedzi czy choćby sformułowano jakąkolwiek sugestię. Westchnął i poddając się oświadczył: - Dziękuję, że poświęcili mi państwo czas.

Kiedy podchodził do oczekującego helikoptera, jeden z agentów powtórzył jego pytanie:

- Ale jak właściwie mogli się stąd wydostać?

Pepperdyne dał nura pod wirującymi śmigłami i wrzasnął wściekle:

- Skoro wykluczyliśmy wszelkie inne możliwości, pierdoolone skrzydełka im wyrosły i odlecieli sobie!

Rozdział dziesiąty

- Jak ma na nazwisko? Przepraszam, powiedział pan: Crook? Zwyczajna pisownia? - Przytrzymując słuchawkę między ramieniem a policzkiem, Kendall zanotowała nazwisko na sądowym formularzu. - Schwytany na gorącym uczynku? Uhm...

Ktoś zapukał do drzwi biura. Podniosła wzrok i zobaczyła machającego do niej Matta.

- Nie przeszkadzam? - zapytał samymi wargami. Zrobiła minę sugerującą, żeby nie zadawał głupich pytań, i powiedziała do telefonu:

- Dobrze, zejść z nim porozmawiać, jak tylko się uporam ze swoimi sprawami. Jest ktoś w tej chwili u mnie w biurze. Do widzenia. - Odłożywszy słuchawkę, przeczesła włosy palcami i uśmiechnęła się do męża. - Może chociaż ty jesteś w miarę przytomny, bo wszyscy, z którymi miałam dzisiaj do czynienia, sprawiali wrażenie niezbyt zrównoważonych.

Matt śmiejąc się, usiadł na biurku.

- Sezon futbolowy w pełni. W piątek wieczór gramy mecz na własnym terenie. Nic dziwnego, że wszyscy trochę oszaleli. - Trochę oszaleli? Pokuś się o coś bardziej dobitnego.

Zbikowali. Dostali świra.

- Czy słusznie wyczuwam, że teraz nastąpi: „bo na przykład... „

- Bo na przykład dwóch sąsiadów wdało się w pyskówkę. Owczarek alzacki jednego użył podwórza drugiego jako toalety na minuty przed mającym się odbyć prywatnym zebraniem kibiców. A potem, kiedy piramida cheerleaderek się zawaliła...No, możesz sobie to wyobrazić. Niezbyt piękny obrazek. Oczywiście wniesiono oskarżenie. Z kolei podejrzany o włamanie z bronią w rękę, czekający na proces, zapytał, czy jestem w stanie wyciągnąć go z więzienia na czas meczu.

- Przecież cię uprzedzałem - roześmiał się Matt.

- Tak, co do futbolu. Ale ja też miałam pyskówkę. Z naszym czcigodnym prokuratorem. Kłóciliśmy się o temat doopuszczalności dowodu winy mojego klienta. Nazwałam go zwolennikiem samosądów, a on mnie liberałką o miękkim sercu, komunistką i zatwardziałą Jankeską. Potem rozłączył się i teraz nie odpowiada na moje telefony.

Matt słuchał jej ze zrozumieniem.

- Dabney jest znany ze swoich humorów, ale nie żywi urazy zbyt długo.

Kendall i prokurator Dabney Gorn toczyli ze sobą regularne potyczki. Podłożem konfliktu było odmienne interpretowanie prawa stanowego. Zdaniem Kendall pracowałoby się im lepiej, gdyby jej osoba nie drażniła tak bardzo prokuratora.

Gorn wszelkie dyskusje na tematy zawodowe uważał za wymierzony w siebie atak, co mocno utrudniało jej życie, gdyż był w Prosper wielce szanowaną osobą. Cztery razy pod rząd wygrał w cuglach wybory i trzykrotnie uzyskał mandat praktycznie bez walki. Symbolizował prawo i władzę, był godnym przywódcą miejscowej społeczności, uosobieniem prawdy, sprawiedliwości i amerykańskiego stylu życia. W konsekwencji każdy, kto wdawał się z nim w polemikę, był uważany za podejrzanego osobnika.

Poza tym zaliczał się do grona bliskich przyjaciół Burnnwoodów, dlatego Kendall starannie dobierała słowa, gdy wspomniała o nim Mattowi czy Gibbowi. I dlatego też nie powiedziała

mężowi, że uważa Dabneya Gorna za nadętego, kierującego się wyłącznie własnym widzimisię manipulanta, skoncentrowanego na utrzymaniu politycznej pozycji, a nie na służeniu prawu. W duecie z sędzią Fargo, którego poglądy wiernie odzwierciedlały punkt widzenia prokuratora, był niezwykle groźnym przeciwnikiem. Nie chcąc sprawiać wrażenia osoby z kompleksem prześladowczym, Kendall zachowywała tę opinię dla siebie.

- W każdym razie tak wyglądał mój poniedziałek. - Splottła dłonie i oparła je o brzeg biurka. -

Czym mogę panu służyć, najprzystojniejszy z wydawców gazet?

- Na rozgrzewkę, całusa.

- Wydaje mi się, że sprostam temu.

Pochyleni nad biurkiem, zaczęli się całować.

- Tego mi było potrzeba - stwierdziła, kiedy odchyliła się z powrotem.

- Jest sezon rozgrywek - powtórzył Matt pozornie bez związku. - Wszyscy są podekscytowani.

- Czy to było bardzo wielkie wydarzenie, kiedy ty grałeś?

- Żartujesz sobie? Dla taty futbol jest na drugim miejscu po polowaniu. Ćwiczył mnie w podawaniu piłki i jednocześnie uczył obchodzenia się z bronią.

Gibb zdążył już uraczyć Kendall opowieściami o demonstrowanych na boisku umiejętnościach Matta. Kiedy o tym mówił, jego oczy błyszczały jak u neofity, który właśnie doznał religijnego objawienia. Szczerze wątpiła, czy reagowałby tak żarliwie, gdyby syn wybrał grę na flecie w szkolnej orkiestrze. Jej teść pogardzał wszystkim, co nie kojarzyło się z pojęciem macho. Reszta była zarezerwowana wyłącznie dla dam i „dziwadeł”, jak określał mężczyzn lubiących muzykę poważną, balet i teatr. Niektóre jego uwagi były tak absurdalne, że Kendall miała ochotę wybuchnąć śmiechem. Albo wzruszyć ramionami.

Czasami jednak jego ultrakonserwatywne poglądy wzbudzały w niej taki sprzeciw, że chciało jej się krzyczeć z frustracji. Babcia wychowała ją w przekonaniu, że należy być tolerancyjnym wobec innych i ich ekscentrycznych czasem zachowań. Że różnice między ludźmi mogą być i interesujące, i stymulujące. Liberalna postawa Elvie Hancock nie zawsze spotykała się z uznaniem w Sheridan w Tennessee. Mimo to trwała przy niej i zaszczepiła ją wnuczce. Kendall podejrzewała, że właśnie to stało się powodem, dla którego ona sama wybrała karierę publicznego obrońcy, rzecznika przegranych. To i krzyżująca niesprawiedliwość, z jaką zetknęła się w Bristol & Mathers.

- Kto dzwonił? - spytał Matt. - Możesz o tym rozmawiać?

- Ściśle poufnie?

- Oczywiście.

- Dzisiaj po południu złapano chłopaka na kradzieży w sklepie. Mam to wziąć. Nazywa się Crook.

- Najmłodszy? Billy Joe?

- Znasz go? - zapytała..zdumiona.

- Znam tę rodzinę. Bliźniacy, Henry i Luther, są o rok ode mnie starsi. Mają jeszcze innych braci i siostry. Stary Crook prowadził złomowisko na obrzeżach miasta. Wiesz, ta wielka kupa przeżartego rdzą metalu.

Skinęła głową, potwierdzając, że zna nieprzyjemnie wyglądające miejsce, o którym mówił.

- Prowadził? Użyłeś czasu przeszłego.

- Zmarł parę lat temu. Pani Crook ciężko się gimnastykuje, żeby utrzymać ten biznes. - Dlaczego?

- Stary Crook nie kłopotał się prowadzeniem rachunków na bieżąco. W dodatku klienci często

znajdowali u niego to, co skradziono z ich samochodów. Właściwie powszechnie uważano, że wysyła swoich chłopaków, żeby dla niego kradli.

- A pani Crook próbuje działać legalnie?

- Może, chociaż wątpię. Prosperuje kiepsko raczej z powodu braku talentu do prowadzenia interesów niż moralnych oporów.

- Aha. Czyli sugerujesz, że Billy Joe jest spadkobiercą tradycji długiej linii Crooków...

- Zgrywasz się.

- Niekoniecznie. Dzięki za charakterystykę rodziny Crooków, ale nie możemy dalej na ten temat rozmawiać, jeśli mam respektować reguły etyki zawodowej.

- Rozumiem.

Nigdy nie wywierał na nią presji, by uzyskać więcej informacji, niż mogła wyjawić, nie naruszając zasady poufności rozmów adwokata z klientem. Ponieważ jako wydawca lokalnej gazety co dwa tygodnie zamieszczał w niej artykuł na temat bieżących wydarzeń, pilnowała się bacznie, żeby nie dyskutować z nim o prowadzonych przez siebie sprawach. Nie dlatego, by powątpiewała w niezależność jego sądów - po prostu musiała zachować swoją.

- Ale co cię tu właściwie sprowadziło?

- Chciałem cię uprzedzić, że nie będę wieczorem na obiedzie.

- Ależ Matt!

- Przykro mi - uniósł dłoń, by powstrzymać jej protest - ale nie dam rady się wykręcić.

- To już drugi wieczór w ciągu czterech dni. O co tym razem chodzi?

- Leonard Wiley zaprosił mnie i tatę na polowanie na szopy. Ma nowego psa, z którego jest niezwykle dumny, i chce się nim przed nami popisać. Tata przyjął zaproszenie w moim imieniu.

- Więc mu powiedz, że nie możesz, bo na dzisiejszy wieczór zaplanowaliśmy co innego.

- Ale nie zaplanowaliśmy.

- Powiedz, że obiecałeś mi wałkonienie się przed telewizorem.

- Nie obiecywałem.

- Przecież nie będzie o tym wiedział!

- Ale ja tak.

- Och, na litość boską! - wykrzyknęła. - Nigdy nie skłamałeś?!

- Nie ojcu.

- No to powiedz mu prawdę! Że jestem prawdziwa cholera, jeśli chodzi o wieczory spędzane przez ciebie poza domem, i zagroziłam ci kastracją, jeżeli dzisiaj wyjdiesz. - Wstała z krzesła trzymając nóż do otwierania listów i udała, że chce go dźgnąć w krocze.

Śmiejąc się, zrobił unik.

- Wiedziałem, że będziesz rozczarowana.

- Nie jestem rozczarowana. Jestem wpierdzielona.

- Naprawdę musisz używać takiego słownictwa?

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Naprawdę nie muszę, Matt. - Rozdrażniła ją ta reeprymenda. - Ale cholernie dobrze mi to robi.

Poślubiony trzy miesiące temu mąż przedkłada wieczór z psem myśliwskim ponad czas spędzony ze mną. Myślę, że uprawnia mnie to do „takiego słownictwa”. - Odwróciła się i podeszła do biblioteczki wypełnionej książkami prawniczymi stanowiącymi jej własność i należącymi do sądu w Prosper tomami ze zbiorem ustaw Karoliny Południowej i prawa stanowego. Na jednej z półek

stało ich ślubne zdjęcie, oprawione w ramkę, którą przysłał Roscoe. Patrzył na nią za każdym razem, gdy przychodził sprzątać. Kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, wystawioną tak na pokaz, jego wąta pierś zafalowała z dumy. Warto było znieść niezadowolenie Matta i Gibba z powodu wysłania mu zaproszenia, żeby zobaczyć jego uśmiech. - Nie potrafię zrozumieć, dlaczego nowy pies myśliwski ma być taki ważny.

- Nie dla mnie - tłumaczył cierpliwie. - Ale dla Leonarda ma to ogromne znaczenie. Nie mogę urazić jego uczuć.

- A moje możesz. - Odwróciła się do niego twarzą.

- Nie chciałem tego.

- Cóż, jednak stale to robisz.

- Stale to próbuję wszystkich zadowolić - odpowiedział sztywno. - I szczerze mówiąc, czuję się już tym zmęczony.

Najwyraźniej ten problem nurtował go już od jakiegoś czasu.

Mimo woli zaczęła dyskusję i teraz miał wiele do powiedzenia. - Nie wiem, co gorsze, Kendall. Zranione spojrzenia, które mi rzucasz, gdy nie robię tego, czego chcesz, czy prześmiewki przyjaciół, gdy robię.

Zabolały ją te słowa.

- Skoro małżeństwo jest ci wędzidłem w przyjaźni, może powinieneś się dwa razy zastanowić, zanim się ożeniłeś.

- Chciałem się ożenić. Z tobą. Ale powinnaś zrozumieć...

- Że z nimi byłeś związany wcześniej. Szczególnie z Gibbem.

Podszedł do niej i objął jej ramiona.

- To prawda. Byłem dla niego wszystkim po śmierci matki. Mieszkaliśmy razem prawie przez trzydzieści lat. Tylko we dwóch. Teraz, kiedy się wyprowadziłem, czuje się samotny.

- Samotny? - powtórzyła z niedowierzaniem. - Nawet nie muszę się zbytnio zastanawiać, żeby wymienić co najmniej tuzin kobiet, które łaknęłyby jego towarzystwa, wręcz rywaliizowały o nie. Gdyby przyjmował wszystkie zaproszenia, przez rok nie jadałby obiadów w domu. Ma więcej znajomych, niż jest w stanie odwiedzić. Dlaczego właśnie ty musisz być zawsze dyżurnym zabawiającym?

- Bo jest moim ojcem i kocham go. A on mnie. I ciebie hodołał z naciskiem. - Powiedz uczciwie, czy możesz wymienić choć jedną podłość albo złośliwość, którą by ci wyrządził? Czy nie zrobił wszystkiego, co tylko w jego mocy, by cię godnie przyjąć do rodziny?

- Tak, Matt. - Spuściła oczy i wzięła głęboki oddech. - Mimo to jednak...

Położył palec na jej ustach.

- Nie kłóćmy się, Kendall. Nienawidzę tego.

Ona też nienawidziła. Zwłaszcza tego, że zawsze udawało mu się przywieść na wokandę swoją sprawę i doprowadzić do ugody, nim w ogóle zdołała odpowiedzieć na oskarżenie. Tym razem jednak była skłonna ustąpić. W końcu jego wieczorne wyjście nie kolidowało z żadnymi szczególnymi planami, które by poczyniła.

Co prawda uwielbiała wieczory wolne od zobowiązań towarzyskich, gdy zostawali w domu, zasiadając z misą prażonej kukurydzy przed telewizorem, a potem kochali się. Czowała się odrzucona, gdy spędzał czas w męskim towarzystwie, na rozzrywkach, których nie mogła z nim dzielić ani nawet o nich rozmawiać.

Ale i tak samotne siedzenie w domu było lepsze od narażania się na spławienie przez żony jego znajomych. Próbowwała zjednać sobie ich przyjaźń, jednak bez większego powodzenia. Nieświadomie wytwarzała dystans między sobą a tymi kobietami, ponieważ była tak bardzo pochłonięta karierą zawodową. Poza tym wyczuwała, że jest jeszcze coś, bardzo nieokreślonego, co sprawiało, że pozostawała na uboczu. Nie potrafiłaby tego nazwać, niemniej jej odczucie było bardzo silne. Paranooiczne, przyznawała to, ale miała wrażenie, jakby ona jedna nie została dopuszczona do jakiegoś sekretu. Być może to uczucie alienacji miało źródło w świadomości, że nie jest tak głęboko zakorzeniona w Prosper jak inni.

Tak czy owak, nie udało się jej wtopić w społeczność miasta.

Zastanawiała się, czy nie obarcza winą za to niepowodzenie męża, rozdymając pewne rzeczy do niewłaściwych proporcji, ponieważ on ma przyjaciół, a ona nie. Może zwyczajnie kłopotał ją fakt, że nie została dotąd zaakceptowana przez hermetyczne kręgi towarzyskie Prosper? Unikano jej, stała się więc zaborcza i zazdrosna w stosunku do Matta, którego wszyscy uwielbiali.

- Mam nadzieję, że ten kretyński pies nie wytropi ani jednego szopa - powiedziała naburmuszona.

Pocałował ją w czubek nosa, trafnie rozpoznając jej intencje: pierwsza robiła krok do zgody.

- Nie powinniśmy wrócić zbyt późno, ale nie czekaj, połóż się spać.

- Zaczekam.

Pocałował ją znowu i skierował się do drzwi.

- Uważaj na siebie. No i z tą całą bronią - rzuciła na pożegnanie.

- Zawsze uważam.

Przez dłuższy czas siedziała na biurku, rozważając to, co sobie powiedzieli. Matt poczynił pewne istotne uwagi. Zwłaszcza tę, że stawia go w karkołomnej pozycji, zmuszając do wybierania między nią i ojcem, dwiema osobami, które kochał i chciał uczynić szczęśliwymi. Popelniła błąd.

Nie powinna wbijać między nich klina, zresztą nigdy tego nie chciała. Bardzo podobała jej się idea zostania członkiem tej wielkiej rodziny, którą tu wszyscy tworzyli. Zamiast uskarżać się, że czuje się wyłączona z ich rozrywek, powinna okazać więcej zainteresowania i postarać się dzielić je z nimi. Matt będzie zachwycony, tak samo Gibb, często przecież powtarzał, jak bardzo pragnie, by całkowicie należała do ich świata.

Nastrój znacznie jej się poprawił, gdy doszła wreszcie do tej konkluzji. Skoro nie odpowiada jej obecna sytuacja, należy ją zmienić. Zrobi wszystko, co konieczne, aby to osiągnąć.

Jej małżeństwo nie będzie po prostu dobre. Będzie absolutnie wspaniałe.

Joe Crook był wysoki i wychudzony, ledwie dawało się dostrzec różnicę między obwodem piersi, talii i bioder. Wyastające kości odznaczały się nawet pod ubraniem. Jasne, poozlepiane włosy koloru siana opadały mu na oczy; odrzucał je szybkim ruchem głowy tak często, że sprawiało to wrażenie tiku nerwowego.

- Z protokołu policyjnego wynika, że kiedy cię aresztowano, miałeś pod koszulą płyty kompaktowe.

- Zamierzałem zapłacić. - Pociągnął nosem i przełknął.

- Poza sklepem?

- Szedłem do samochodu po pieniądze, kiedy ten dupek złapał mnie zniemacka i zaczął obmacywać jak jakiegoś kryminalistę albo co.

- Aha. - Ta deklaracja niewinności zupełnie nie zrobiła wrażenia na Kendall. - Czy już cię kiedyś

przedtem przyłapano na kradzieży w sklepie?

Utkwił w niej oczy; źrenice o nieokreślonym kolorze patrzyły dziwnie niepokojąco. Zmroziło ją to trochę, ale nie odwróciła wzroku. Wreszcie zerknął przez ramię na strażnika, a potem przeniósł spojrzenie na sufit, próbując je skupić na jakimś konkretnym miejscu, zanim znów na nią spojrział.

- Nie.

- Lepiej mnie nie okłamuj, Billy Joe - ostrzegła. - I tak to odkryję. Wolę usłyszeć prawdę, choćby nieprzyjemną, od ciebie, nie w biurze pana Gorna. Jesteś w rejestrze skazanych?

- Nigdy nie byłem aresztowany.

- Ale coś tam się zdarzyło, prawda?

- Te parę lat temu? - Wymuszony uśmiech miał pomniejszyć incydent. - W Piggly Wiggly?

Kendall splotła dłonie i przybrała wyczekującą postawę. - Zgredowa, co sprawdza towar przy kasach, powiedziała, że chcę ukraść komiks. - Wzruszył obojętnie kościstymi ramionami. - Kłamała, dziwka.

- Nie wzięłaś żadnego komiksu?

- Zdjąłem jeden ze stelaża, bo szedłem do łazienki i chciałem poczytać w kiblu. A ta mała zrobiła piekło i wezwała kierownika. Kazał mi wyjść ze sklepu i więcej do nich nie wracać. Jakbym im co najmniej tam nasrał. Ostatni raz miałem z nimi do czynienia, i powiedziałem im to.

- Jestem pewna, że zламаłeś im serca.

- Właściwie po czyjej pani jest stronie?! - wrzasnął, odchylając się na oparcie krzesła. - I jakim cudem dostałem dupę za adwokata?!

Kendall zerwała się na równe nogi, przewracając z łoskotem krzesło. Strażnik ruszył ku nim od drzwi, ale powstrzymała go, unosząc dłoń i potrząsając głową. Uszanował jej życzenie i pozostał na swoim miejscu, gotów jednak w każdej chwili rzucić się na Billy'ego Joe, gdyby zaszła taka potrzeba.

- Jeśli jeszcze raz mnie tak nazwiesz, wtłoczę ci te popsute zębki do gardła - zagroziła, patrząc na niego z góry. „Zrozumiałeś? Na twoim miejscu cieszyłabym się z kobiety adwokata. Jesteś tak odrażający, że tylko kobieta przekonana o twojej niewinności może się zdobyć na to, by zasiąść obok ciebie na ławie oskarżonych i przemawiać w twoim imieniu.

Dała mu trochę czasu, żeby sobie to przemyślał. Siedział na krześle, ogryzając paznokcie czarnego jak węgiel wskazującego palca. Mimo całej swojej bezczelności wyglądał na trochę nieuspokojonego.

- W porządku, w porządku - powiedział w końcu. - Nic złego nie miałem na myśli.

- Owszem, miałeś. - Spokojnie podniosła krzesło i usiadła. - Nie obchodzi mnie twoja opinia o mnie. Płacą mi za reprezentowanie cię w sądzie. Dobrze czy źle, to tylko ode mnie zależy.

Niezależnie od rezultatu rozmów z tobą i tak dostanę swój czek w piątek. Zrozumiałeś?

Zrozumiał. Odrzuciwszy włosy z czoła ruchem głowy, poowiedział uległym tonem:

- Nie chcę iść do więzienia.

- No dobrze. W takim razie rozważmy pewne możliwości...

- Ma przyznać, że jest winny? To znaczy powiedzieć, że to zrobił? Pochrzaniło ci się w głowie, paniusiu!

Chamstwo było najwyraźniej ich cechą rodzinną. Podobnie jak włosy koloru brudnej słomy i oczy o nieokreślonym kolorze. Starszy z bliźniaków był wysoki i chudy jak Billy Joe, choć kości nie sterczały mu tak bardzo jak bratu. Dojrzałość złagodziła nieco jego kanciaste kształty.

Henry i Luther Crook zasadzili się na nią przy drzwiach wyjściowych. Wrzaskliwie dali wyraz niezadowoleniu, że ich braciszka reprezentuje w sądzie kobieta. Zignorowawszy ich zastrzeżenia, Kendall zapoznała obydwu z linią obrony, jakiej przyjęcie doradziła Billy'emu Joe.

- Niekoniecznie - odpowiedziała spokojnie. - Uważam, że powinien przed sądem przyznać się do winy.

- Przyznać do winy! - powtórzył zjadliwie Henry. - Co z pani za prawnik! Dobra, niech pani o tym zapomni. Weźmiemy kogo innego. Kto będzie wiedział, co robi, do cholery!

- Doskonale. Będę szczęśliwa przekazując tę sprawę osobie, której ją powierzycie albo wyznaczonej przez sąd. Ale moja praca polega także na szybkim wprowadzaniu podobnych przypadków na wokandę. Mogą minąć tygodnie, nim inny prawnik się do tego zabierze. Ile czasu chcecie czekać na rozstrzygnięcie?

Luther i Henry przetrawiali to przez chwilę w myślach. Henry rzucił bratu niewesołe spojrzenie.

- To zabije mamę - powiedział. - Że jej dziecko siedzi w wężle.

- Może panowie mnie wysłuchają, zanim podejmą decyzję - zaproponowała Kendall. - Billy Joe ma dopiero szesnaście lat. Jest niepełnoletni. Pierwszy raz występuje w roli oskarżonego. Możemy nie brać pod uwagę Piggly Wiggly. Nie został wtedy aresztowany ani formalnie oskarżony, a nawet gdyby, dowód byłby niedopuszczalny.

- Co znowu? - warknął Luther.

- Zamknij się! - Henry dał bratu kuksańca w bok. - Niech mówi.

Ponieważ Henry był wyraźnie bardziej inteligentny z nich obu, co zresztą niewiele zmieniało, skierowała swoje uwagi do mego.

- Moim zdaniem, jeśli Billy Joe przyzna się w sądzie, że spowodował mylącą sytuację, to jest rzeczywiście opuścił sklep, nie płacąc za płyty kompaktowe, chociaż miał szczerzy zamiar tak zrobić, udzielą mu ostrzeżenia i obejmą probacją.

- Co to znaczy?

- Że nie spędzi ani chwili w więzieniu ani nie zostanie odesłany do Columbii. - Odesłanie do Columbii oznaczało czterdzieści pięć dni spędzonych przez młodocianego przestępcę w izbie zatrzymań pod obserwacją pracowników departamentu do spraw nieletnich. Przewodniczący kompletu sędziowskiego wydawał następnie orzeczenie na podstawie ich opinii.

- Co to jest ta probacja?

- Zawieszenie wyroku i poddanie nadzorowi. Billy'emu

Joe nie wolno spowodować następnej takiej „mylącej sytuacji”, na przykład przez rok. Przez cały ten czas będzie nadzorowany. Lepiej dla niego, żeby w tym okresie nie wpadł w tarapaty.

- A jak wpadnie?

- To po uszy.

Henry rozmyślał nad tym, co usłyszał, jednocześnie machinalnie drapiąc się pod pachą.

- Jest inna możliwość?

- Może powiedzieć, że jest niewinny, i albo skończy się to surowszymi warunkami zawieszenia, albo w Columbii. Moim zdaniem sędziowie zareagują życzliwiej na skrucę oskarżonego i poczytają mu ją na jego korzyść. - Popatrzyli na nią pustymi oczami, więc spróbowała inaczej: - Sędziowie najprawdopodobniej orzekną korzystniej dla Billy'ego Joe, jeśli powie, że żałuje, i przyrzeknie nie robić niczego złego więcej. Muszę powiedzieć, że ten pomysł trafił mi do przekonania. Przysiągł mi trzymać się z daleka od kłopotów, jeżeli wykaraska się z tej wpadki. Tak to wygląda. Jaką podejmują panowie decyzję?

Bracia odeszli na bok i zaczęli się naradzać szeptem.

- Dobra - oświadczył Henry w imieniu ich obu, gdy do niej z powrotem dołączyli. - Zgadzą się na to, co pani mówi.

- Świetnie. Ale żeby wszystko było jasne: przyznając się do wyjścia ze sklepu bez uregulowania rachunku, Billy Joe przyznaje się tym samym do popełnienia przestępstwa. Nie ma gwarancji, że rzeczywiście zmiękczy to serca sędziów. Podejmujemy grę i może się ona obrócić przeciwko nam.

Choć według mojej oceny jest to bezpieczna gra.

Wyrazili aprobatę kiwając gwałtownie głowami i stwierdzili, że mama będzie bardzo zadowolona, jeśli Billy Joe nie pójdzie do więzienia.

- Jak tylko wyjdzie, mama nieźle spierze mu dupę, że ją tak zmartwił.

Mama musi być prawdziwym skarbem, pomyślała Kendall.

- Doradzałabym kupienie Billy'emu Joe nowego ubrania, zanim pojawi się przed sądem - powiedziała. - I jakieś przybory toaletowe. - Znowu musiała ująć to tak, by lepiej zrozumieli: - Chciałabym, aby wyglądał, jakby właśnie miał brać ślub w kościele.

- Jak o tym mowa - odezwał się Luther - jest pani żoną Matta Burnwooda, tak?

- Tak.

- Nasz Matt chajtnął się z miejską dziewczyną..

- Niezupełnie - odparła Kendall, przechodząc przez drzwi wyjściowe. - Dorastałam we wschodnim Tennessee, w miasteczku jeszcze mniejszym niż Prosper. W Sheridan.

- Ale zachowuje się pani jak miastowa. Ubiera też - zauważył Luther, obrzucając wzrokiem jej sukienkę - Śmieszne, że się Matt z panią ożenił. Zawsze myślałem...

Łokieć brata wylądował w jego dołku.

- Luther nigdy nie trzymał języka za zębami - powiedział Henry wyjaśniająco. - Polecimy lepiej do domu, zanieść maamie dobre wieści. - Popchnął brata w kierunku stojącego przy parkometrze samochodu.

Kendall patrzyła z ulgą, jak odjeżdżali. Miała ochotę wziąć porządny prysznic.

„Wielka wyprzedaż tuńczyka. - usłyszała. - Trzy puszki za dolara”.

Znajomy widok: żebrak siedzący na frontowych schodach.

Czytał na głos ostatnie wydanie gazety Matta. Zaniedbany, przyprószony siwizną zarost skrywał jego policzki i brodę, ale nie wyglądał na starego człowieka. Nie był chyba dużo starszy niż Matt.

- Dobry wieczór, Bama - powiedziała, uśmiechając się.

- Dobry wieczór, pani adwokat.

- Co słyhać?

- Nie narzekam.

Roscoe opowiedział jej o nim.

- Pojawił się po prostu pewnego dnia, parę miesięcy przedtem, nim pani przyjechała do miasta. Nazwaliśmy go Bama, od Alabama. Każdego dnia przesiaduje na sądowych schodach, deszcz czy słońce, zimno czy gorąco, i czyta od deski do deski gazetę. Właściwie to przyjaźnie nastawiony facet. Nikomu nie przeszkadza... W każdym razie nie tak bardzo. Próbowali go już kilka razy przegonić, ale zawsze wracał następnego dnia. To jednak prawdziwy wstyd, marnować tak życie, prawda?? Potrząsnął smutno głową nad nieznanym nieszczęściem, które zredukowało egzystencję Barny do wyciągania ręki po datki i znoszenia pogardy społeczeństwa.

Kendall wyciągnęła dolarowy banknot z torebki i wsunęła go w kieszonkę na piersiach brudnej tweedowej marynarki. - Kup sobie tego tuńczyka, Bama.

- Dziękuję pięknie, pani adwokat.

- Dobranoc.

- Branoc.

Miała za sobą długi dzień. Każda minuta zostawiła w niej ślad jak smagnięcie bata. Próbowwała czekać na Matta, tak jak obiecała, ale ogarniała ją coraz większa senność. O północy poddała się wreszcie i poszła spać sama.

Rozdział jedenasty

- Wysoki Sądzie!

- Spokój! - Sędzia H. W. Fargo energicznie uderzył młotkiem. - Jeśli obrońca nie powściągnie natychmiast swego klienta, a także jego popleczników wśród publiczności, będę zmuszony nałożyć karę za obrazę sądu.

- Wysoki Sądzie, niech mi wolno będzie powiedzieć... zaczęła Kendall zza stołu obrońcy, próbując jednocześnie okiełznać Billy'ego Joe Crooka. Kiedy usłyszał słowa orzeczenia, zaczął wywrzaskiwać obelgi.

- Pani klient przyznał się do winy i nakazałem odesłanie go do Columbii. Czy jest jeszcze coś, czym powinniśmy się zająć?

- Proszę o wybaczenie memu klientowi jego wybuchu, Wysoki Sądzie. Niemniej jednak, zważywszy na okoliczności, sędzę, że jest on po części usprawiedliwiony.

- Tak? - Fargo odchylił się na oparcie krzesła z nie przyjemnym uśmiechem.

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Jego wysokość, ale dupa moja - wtrącił szyderczo Billy Joe. - Skurwiel z pana, panie sędzio. Ona też nie lepsza. I wszyscy razem w tym pieprzonym sądzie.

- Siadaj i stul tę swoją niewyparzoną gębę. - Kendall zacisnęła palce na chudym ramieniu Billy'ego Joe tak mocno, że aż zaskowytał. - T o ja mam mówić.

- A niby dlaczego?! - wrzasnął, szarpnięciem uwalniając ramię. - Zrobiłem, co pani chciała, i idę do więzienia czy tam czegoś podobnego. Żaden psych nie będzie mnie oceniał! - Ułożone za pomocą żelu włosy, co miało mu nadać porządny wygląd w sądzie, rozsypały się z powrotem. Odrzucił je z oczu gwałtownym ruchem głowy i utkwiał pełne wściekłości spojrzenie w Kendall. Odpowiedziała tym samym. Skapituloowała. - Pieprzę to - burknął i opadł na krzesło. - I tak stamtąd spierdzielę. Poczekamy, zobaczymy kto górą.

Za barierką Henry i Luther warczeli jak rozwścieczone, szykujące się do ataku psy uwiązane na przykrótkiej, przetartej smyczy. Pani Crook mamrotała inwektywy. Kendall czuła się, jakby ogarnął ją senny koszmar. Kątem oka dostrzegła prokuratora Dabneya Gorna, uśmiechającego się szeroko. Rozkoszował się nie tylko jej klęską, także tym, że nie potrafi zapanować nad klientem.

Właściwie nie była to zbyt ważna sprawa, dlaczego więc Gorn nie scedował jej na któregoś asystenta? Rzadko pokazywał się w sądzie. Zwykle ograniczał się do wręczenia w biurze nakazów, a potem spędzał resztę dnia w kawiarni naprzeciwko sądu. Popijał mrożoną herbatę i gawędził o niczym z każdym, kto się pojawił.

Zwracając się znowu do sędziego, czuła, że wszystkie oczy są w niej utkwione, w tym także oczy Matta. Znalazł czas i przyszedł na salę rozpraw, żeby podtrzymać ją na duchu. Jakże teraz tego żałowała.

- Wysoki Sądzie, odesłanie oskarżonego do Columbii naarąza nas na śmieszność. Wartość zabranych towarów nie przeekracza stu dolarów. Jakie ewentualne uzasadnienie...

- Takie, że pani klient jest złodziejem, szanowna pani.

Przyznał się do tego. Jeśli pani sobie życzy, poproszę protokolanta, by odczytał ustęp dotyczący stosownego momentu rozprawy.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie, to nie jest konieczne. Wiem, że mój klient przyznał się do popełnienia czynu. Pan Crook błędnie ocenił okoliczności, ale nie zostało ustalone, by było to równoznaczne z aktem złodziejstwa, jak Wysoki Sąd sugeruje. Ponadto jest to jego pierwsze wykroczenie.

- Pierwsze urzędowo zarejestrowane - stwierdził Fargo niemal rozbawionym tonem.

- Co należy przyjąć jako jedyne - odparowała Kendall. - Czy mamy założyć, że Wysoki Sąd

kieruje się uprzedzeniem wobec mojego klienta?

- Sąd nie oczekuje, że będzie pani czyniła założenia - oświadczył Fargo z poczerwieniałą twarzą. Potrząsnął ostrzeegawczo młotkiem. - Stąpa pani po grząskim gruncie, pani mecenas. Czy to już wszystko?

- Nie, nie wszystko. Proszę o zaprotokołowanie mojej opinii. Uważam orzeczenie za głęboko niesprawiedliwe. Billy Joe Crook wyraził skruchę za swój czyn, a ponieważ jest to jego pierwsze wykroczenie, nakazanie probacji rażąco odbiega od powszechnie przyjętej praktyki sądowniczej.

- Cóż, staram się ulepszyć tę powszechnie przyjętą praktykę. Pani klient zostaje niniejszym odesłany do aresztu śledczego Departamentu do spraw Przystępczości Nieletnich. Wyrok zostanie wydany na podstawie ich raportu. - Uderzył młotkiem. - Sprawa oddalona.

Kiedy zastępcy szeryfa zbliżyli się do Billy'ego Joe, aby mu założyć kajdanki, zaczął się z nimi szamotać, tak że zmuszeni byli użyć siły. Bliźniakom tylko tego było trzeba. Obaj przeeskoczyli za barierkę.

Kendall stanęła im na drodze, mając nadzieję, że ich na moment zatrzyma, i zastępcy szeryfa zdołają zatrzasnąć kajdanki na nadgarstkach Billy'ego Joe.

- Proszę, Luther, Henry. Nie pomagacie mi w ten sposób. Nie słuchali jej. Nie zamierzali też pozwolić, by im przeszkodziła. Któryś ją odepchnął tak mocno, że upadła, uderzając biodrem o róg stołu. Kiedy się podnosiła, zobaczyła, jak zastępcy szeryfa wywlekają kopiącego i wrzeszczącego Billy'ego Joe przez boczne drzwi. Henry i Luther biegli w jego stronę.

Nagle ktoś jeszcze przemknął obok Kendall. Matt. Dopadł bliźniaków, zanim dotarli do drzwi. Złapał Luthera i walnął nim o ścianę. Henry skoczył bratu na pomoc i Matt ustawił się do walki. Wyraz jego twarzy natychmiast ochłodził Henry'ego.

- Słyszeliście, chłopaki, co sąd postanowił - powiedział. - Billy Joe idzie do więzienia.

- Dzięki niej. - Luther rzucił Kendall mordercze spojrzenie. - Nie mamy nic przeciwko tobie, Matt. Chodzi o twoją żonę. Wpakowała naszego braciszka do więzienia.

- Wasz braciszek sam siebie wpakował do więzienia, kradnąc ze sklepu płyty kompaktowe. Ale dosyć o tym. Jeśli jeszcze kiedykolwiek dotkniecie mojej żony, poderżnę wam gardła. - Matt, proszę cię... - Kendall utykając podeszła do nich. Odgłosy awantury ściągnęły mały tłumek. W drzwiach cisnęli się pracownicy sądu, którzy wybiegli z biur, ciekawi, co to za zamieszanie. Kendall nie życzyła sobie świadków swego wstydu. Jeśli się rozejdzie, że mąż musiał pośpieszyć jej na odsiecz, straci wiarygodność, przestaną ją szanować, na co przecież ciężko pracowała. Malkontenci zyskają potwierdzenie dla tezy, że kobieta nie jest w stanie podjąć odpowiedzialnej pracy.

Dotknęła ramienia Matta i popatrzyła na niego błagalnie.

- To mój teren. Muszę sama stoczyć tę walkę. - Widziała, że mu się to nie spodobało i zamierza zaprotestować. - Muszę sama temu podołać, Matt, proszę.

Rzucił groźne spojrzenie Crookom i odszedł na bok. Kendall podeszła do nich.

- Ostrzegałam, jak panowie sobie przypominają, że z przyznaniem do winy łączy się pewne ryzyko. - Potrząsnęła głową z ubolewaniem. - Proszę mi wierzyć, jestem równie zaszokoowana i rozczarowana jak wy.

- Jak cholera.

Kendall odwróciła się w kierunku nieznanego głosu, o brzmieniu przypominającym dźwięk wydawany przez stalowy pilnik.

Pani Crook w przeciwieństwie do swego wychudzonego potomstwa była masywną kobietą, ale raczej muskularną niż otyłą. Miała na sobie workowatą, nietwarzową sukienkę z baawełny w drukowane wzory, a na zdeformowanych halluksami stopach nosiła domowe pantofle z weluru. Trudy

życia wyżyłobyły głębokie zmarszczki na jej twarzy. Promieniste zmarszczki nad cienkimi wargami sprawiały wrażenie, jakby powstały dziesięciolecia temu.

- Bardzo mi przykro, pani Crook - powiedziała Kendall. - Nie stało się tak, jak się spodziewałam.

- Z pani przyczyny moje dziecko zostanie uwięzione.

- To tylko półtora miesiąca. Billy Joe nie popełnił jak dotąd poważniejszego wykroczenia. Na pewno nadejdzie zalecenie, by zawiesić mu karę. Wprawdzie sędzia nie ma obowiązku się do niego zastosować, ale jestem pewna, że je uwzględni.

- Tak jak pani teraz była pewna? - zapytała zjadliwie. Jej oczy zwięziły się ze złości. - Jeszcze pani pożałuje, że na nas trafiła. - Patrząc ponad ramieniem Kendall, dała znak obu synom.

Posłusznie stanęli u jej boków i nie mówiąc już ani słowa wszyscy troje ruszyli do wyjścia.

Z zamierającym sercem śledziła ich wzrokiem, dobrze wiedząc, że zyskała wrogów tego ranka. Ludzie pokroju Crooków nie zapominają urazy.

I nigdy nie wybaczą.

Do zamknięcia sklepu Gibba Burnwooda pozostało dwaadzieścia minut, gdy wszedł do niego nieśpiesznie Dabney Gorn. Gibb nieznacznie skinął głową w geście powitania, nie odszedł jednak od wędkarza, któremu demonstrował wabiki.

Kiedy brzęczyk kasy przypieczętował lukratywną transakcję, Gibb odprowadził klienta do drzwi, zamknął je na klucz i wyywiesił tabliczkę „Zamknięte”. Gasząc za sobą światła, przeszedł na zaplecze i dołączył do Gorna, który już się tam rozgościł.

Prokurator przerzucał kartki katalogu z bronią palną, zostawiając na rogach ślady palców. Splunął sokiem tytoniowym do trzygalonowej puszki po kawie, postawionej specjalnie w tym celu.

- Niezła gaduła. Nakładł ci w uszy, co?

- Warto było. Narósł mu całkiem porządny rachunek. Gibb usiadł w wygodnym podniszczonym fotelu klubowym naprzeciwko niedbale rozwalonego Gorna i odkręcił nakrętkę butelki z dietetycznym napojem. - Napijesz się?

- Dzięki, piłem przed chwilą. - Prokurator czknął, splunął raz jeszcze i powoli zatarł ręce. - Słyszałeś chyba, Gibb, co się zdarzyło dzisiaj w sądzie?

- Matt mi opowiedział. Był bardzo zdenerwowany. I słusznie, jeśli to rzeczywiście prawda, że moja synowa waliła jak taranem we wszystkich w obronie tego chłopaka Crooków.

Prokurator zrelacjonował Gibbowi przebieg rozprawy słowo po słowie, potyczkę po potyczce. Wyraźnie zmartwiony zakończył:

- Zdaję sobie sprawę, że ona jest teraz z tobą spokrewniona, ale w końcu od niedawna. A my przeszliśmy kawał drogi razem, Gibb.

Nie musieli tego potwierdzać słowami. Łączyła ich Włęż mocniejsza niż więzy krwi, niezniszczalna póki ich życia.

- Co cię trapi, Dabney? Wiesz przecież, że możesz mówić swobodnie.

- Martwi mnie ta dziewczyna.

Gibba też martwiła, ale nie zamierzał się z tym zdradzać, dopóki nie wysłucha Gorna. Dobry przywódca zachowuje swoje opinie dla siebie, docenia korzyści płynące ze słuchania. Nie ujawnia swego zdania, nim nie pozna poglądów innych.

- A to czemu, Dabney?

- Myślisz, że kiedykolwiek stanie się jedną z nas, Gibb? W pełni jedną z nas? - Gorn zsunął się na brzeg fotela, jakby chciał w ten sposób ustrzec się przed niepowołanymi słuchaczami. - Prosper potrzebuje obrońcy z urzędu, który by... podzielał nasz punkt widzenia, że tak to ujmę. Wszyscy

zaakładaliśmy, że ona da sobą łatwo powodować. Kto mógł przyypuszczać, zważywszy na tę aferę w Tennessee, że kieruje się jakimiś zasadami... Pamiętasz przecież, to był główny powód, dla którego ją zatrudniliśmy. - Splunął zabarwioną tytoniem śliną do puszki po kawie i otarł usta wierzchem dłoni. "Kieruje się swoimi zasadami i jest bardziej nieustępliwa, niż mogliśmy się spodziewać. W dodatku nie przewidzieliśmy, że będzie tak skrupulatna. Występuje przeciwko nam z regularnością, której zupełnie byśmy sobie nie życzyli. Niektórzy dochodzą do wniosku, że popełniliśmy błąd.

Ścisłe przestrzeganie kodeksu zasad przez Kendall było nieespodzianką także dla Gibba. Podobnie jak jej niezależność. Spodziewał się większej elastyczności i daleko mniejszej otwartości. Ale wciąż żywił przekonanie, że po pewnym czasie synowa zmieni nastawienie; po prostu potrwa to trochę dłużej, niż zakładał. Powiedział to Gornowi, nie uśmierzył jednak wątpliwości przyjaciela.

- Poza tym ona nie pasuje do innych kobiet.

- Być może jeszcze nie, ale zostawcie to mnie i Mattowi. Parę dni temu wyznała mi, że czuje się trochę ignorowana. Może zaczniemy ją wprowadzać w nasze sprawy, a rozwiążemy problem.

- Sądysz, że to rozsądne? - spytał zaskoczony Dabney Gorn.

- Spokojnie - roześmiał się Gibb. - Nie jestem głupkiem. Nie dowie się niczego ważnego, dopóki nie upewnimy się, że się całkowicie z nami zgadza.

- Dojdzie kiedyś do tego? Naprawdę tak uważasz?

- Tak - odparł Gibb bez wahania. - Przesiąkła tymi liberalnymi bzdurami, w duchu których ją wychowywano, ale jej babka nie będzie żyła wiecznie. Kiedy umrze, jej wpływ na r Kendall ustanie.

- A jeśli nie?

- Na pewno tak - odpowiedział Gibb ostro, ale zaraz złagodził to szerokim uśmiechem. - Lepiej nie przyspieszać tej przemiany, Dabney. Trzeba działać powoli. Nie można zwalić jej wszystkiego naraz na głowę. Jest zbyt uparta. Zwinął dłoń w pięść, oczy mu zabłyśły. - Ale pomyśl, jakim cennym stanie się dla nas nabytkiem, gdy już do nas przystąpi. Doskonale wiem, jak do tego doprowadzić. - Wstał, czym zmusił przyjaciela, by również podniósł się z krzesła. - Cóż, jeśli stąd nie wyjdziemy, spóźnię się. A właśnie zaprosiła mnie na kolację.

W drzwiach Gorn odwrócił się, wciąż zmartwiony, ale już z innego powodu.

- Mam nadzieję, że źle tego nie zrozumiałeś, Gibb. Ja... wszyscy bracia ci ufają. I zawsze ufali.

- W takim razie bracia nie mają powodu do zmartwień, prawda?

- To był bardzo rycerski gest, Matt, ale naprawdę musiaałam się z tym sama uporać. - Kendall sięgnęła ręką przez stół i mocno ścisnęła jego dłoń.

Nie odwzajemnił jej pojednawczego uśmiechu.

- Pozbawiłaś mnie męskiej godności na oczach wszystkich!

- No nie, proszę cię!

- A co, nie zostałem publicznie upokorzony?

- Wcale to tak nie wyglądało - zwróciła się po obronę do Gibba.

- Słyszałem, że daliście nie złe przedstawienie.

- Nie wywołaliśmy aż takiej sensacji, jak Matt to przedstawia.

- Dabney uważa, że to była sensacja.

- Dabney? Rozmawiałeś z nim o tym?

Gibb skinął głową.

- Wpadł do sklepu późnym popołudniem i opowiedział swoją wersję.

- W której odmalował mnie jako czarny charakter, tego jestem pewna. - Ze złością odepchnęła krzesło i odeszła od stołu. Śmiertelnie uraziła dumę męża, nie pozwalając mu wystąpić w swojej

obronie. Łudziła się, że łatwiej ułagodzi Matta, zapraszając Gibba na hamburgery, tymczasem jeszcze zmniejszyła swoje szanse. Miała teraz ich obu przeciwko sobie. Gibb wprawdzie nie powiedział niczego krytycznego, ale jego twarz wyrażała milczącą naganę. - Nie wzbudziłoby to takiej sensacji, gdyby Matt nie wszczął z Crookami walki na pięści - oświadczyła i zwracając się do męża dodała: - Nie chciałam cię wprowadzić w zakłopotanie, Matt. Próbowałam zapobiec kompletnej klapie.

Nie rozchmurzył się.

- Nie byłem uszczęśliwiony słysząc, że mój syn i synowa mają coś wspólnego z takim białym śmieciem jak Crookowie. Nieważne z jakiego powodu.

- To znajomi Kendall, nie moi - wymamrotał Matt. Oparła się o kredens i powoli policzyła do dziesięciu. Odezwwała się dopiero, gdy się dostatecznie uspokoiła.

- Nie są moimi znajomymi, Matt. Billy Joe jest moim klientem. Zgodnie z Konstytucją Stanów Zjednoczonych każdy, nawet Billy Joe Crook, ma prawo do obrońcy. Jeśli się nie mylę, w Prosper przestrzega się konstytucji. Fakt, moi klienci rzadko wywodzą się ze śmietanki towarzyskiej miasta.

- Nie podoba mi się to. Dzień po dniu stykasz się z bruudami życia.

- Po prostu pracuję!

- Myślę, że cały problem polega na braku lojalności - wtrącił się Gibb. - Kendall, wzięłaś stronę Crooków przeciwko Mattowi i wszyscy to widzieli.

Zapatrzyła się na niego, nie dowierzając oczywistej prawdzie, że mówi na serio.

- Traciecie miarę. Obydwaj.

- Pewnie masz rację - stwierdził Gibb zgodnie. - Wolałbym zapobiec powstawaniu w przyszłości podobnych nieporozumień. I sądzę, że znalazłem sposób. Proszę cię - wskazał jej puste krzesło.

Wróciła na nie z ociąganiem. Podobnie jak Matt, Gibb nie wdawał się w dyskusję, tylko z miejsca rozstrzygał sprawy.

- Już od jakiegoś czasu noszę się z tym pomysłem... - zaczął Gibb. - Chyba nie będzie lepszego momentu, by go przedstawić. Nie myślałaś, Kendall, żeby wrócić do prywatnej praktyki?

- Nie.

- A może powinnaś.

- Nie chcę pracować w atmosferze bezlitosnej konkurencji, w kolejnym zespole adwokackim, w którym ważniejsze jest budowanie własnej pozycji niż samo prawo.

- A jeśli nie w takiej atmosferze? - zapytał Gibb. Gdybyś założyła własne biuro? Pokrywałbym rachunki, dopóki byś wszystkiego nie rozkręciła.

Tego się nie spodziewała i na chwilę zdumienie odebrało jej mowę. Wiedziała, że musi odrzucić jego propozycję odpowiednio zręcznie i dyplomatycznie.

- To niezwykle szczerze z twojej strony, Gibb. Dziękuję ci bardzo, ale nigdy nie byłabym w stanie ci się wypłacić. Nie miałabym nawet tylu klientów, by zarobić na utrzymanie biura. - Mam o tobie wysokie mniemanie.

- Nie chodzi o moje niskie mniemanie o sobie. Chodzi o mniemania obywateli Prosper. Trudno by je było nazwać bardzo postępowymi, prawda? - spytała ze smutnym uśmiechem. - Gdyby Crookowie mieli jakiś wybór, na pewno nie chcieliby, abym reprezentowała w sądzie Billy'ego Joe. Czy w ogóle ktoś w tym mieście zaangażowałby kobietę? Zawierzył jej w razie problemów z prawem?

- Nie musiałabyś się starać o rozległą klientelę - oponował Gibb.

- To prawda, kochanie. - Po raz pierwszy dzisiaj wieczoru Matt się ożywił. - Moglibyśmy kierować pewne sprawy do ciebie.

- Nie chcę tak, Matt. Nie chcę stanowić obiektu szyderstw... Synowa Gibba wyrusza co rano wystrojona bawić się w adwokata. - Stanowczo potrząsnęła głową. - Dziękuję, ale nie.

- Decyzja należy do ciebie - oświadczył Gibb, wzdychając z rozczarowaniem. - Niemniej sędzę, że marnujesz się jako adwokat z urzędu.

Nie zdawał sobie sprawy, jak obraźliwa jest dla niej ta uwaga.

- Marnuję się, Gibb? Nie sędzę. Uprzedzenia wobec mojej płci i rywalizacja w Bristol & Mathers nie były jedynymi powodami, dla których zdecydowałam się od nich odejść. Jak dotąd nie podzieliłam się tą sprawą z nikim oprócz babci i Ricki Sue, ale teraz chcę o tym opowiedzieć, ponieważ sędzę, że pomoże wam to zrozumieć, dlaczego zdecydowałam się poświęcić karierze obrońcy z urzędu.

Wstała i zaczęła chodzić w tę i z powrotem po kuchni.

- Do Bristol & Mathers przyszła szukając pomocy pewna kobieta chora na AIDS. Mąż ją zaraził, a potem porzucił z trojgiem dzieci. Kiedy już czuła się bardzo źle i nie mogła pracować, zabrano jej dzieci i oddano je do domów opieki. Rozpaczliwie pragnęła się z nimi zobaczyć, ale przez sześć miesięcy odrzucano jej prośby. W desperacji wtargnęła do biura z bronią w ręku, mówiąc, że albo pozwolą jej widzieć się z dziećmi, albo zrobi coś strasznego. Aresztowano ją. Rewolwer nie był nawet załadowany, ale to techniczny szczegół. Zwolniono ją za poręczeniem i razem z wyznaczonym z urzędu adwokatem zjawili się u mnie. Od razu poczułam dla niej współczucie. Owszem, popełniła przestępstwo, ale okoliczności łagodzące były bezdyskusyjne. W moim przekonaniu prawo i sprawiedliwość rozmijały się w tym przypadku. Miałam przed sobą kobietę, która pragnęła przed śmiercią jedynej rzeczy: zobaczyć swoje dzieci. Zgodziłam się jej bronić.

Wzięła głęboki oddech, żeby zdusić gniew, który nieodmiennie narastał w niej, ilekroć przypominała sobie, jak ją wezwano do pokoju konferencyjnego.

- Byli zaszokowani. Kobieta aresztowana na miejscu przestępstwa z bronią w ręku. Jakąż mogłam mieć nadzieję na uzyskanie wyroku uniewinniającego? I czy firmie na pewno posłuży uwikłanie się w sprawy osoby zarażonej AIDS? Doomyślną odpowiedzią było stanowczo brzmiące nie. W dodatku ta kobieta dysponowała ograniczonymi środkami, a stawki firmy były dość wysokie. Jak Bristol & Mathers mogłoby osiągać zyski, gdyby dobrowolnie, kierując się dobroczynnością, przyjmowało takie przypadki? Jeśli podejmą się tej jednej sprawy, wieść się rozejdzie i zaczną ich oblegać tłum amatorów bezpłatnych usług. Ostatecznie nakazano mi zrzec się obrony. Gdybym była obrotniejsza, odeszłabym od nich już wtedy. Ale potrzebowałam pracy, a Bristol & Mathers cieszyło się w Sheridan doskonałą opinią. Zostałam więc, dopóki nie doowiedziałam się o tym stanowisku tutaj, w Karolinie Południowej. Pomyślałam, że mogłabym tu służyć prawu, nie zważając na to, czy przynoszę zysk macierzystej firmie. Prawo jest dla mnie wszystkim. Żywię staroświeckie, niepopularne w dzisiejszych czasach przekonanie, że zostało ustanowione dla ludzi, nie dla prawników... Tamta kobieta zmarła, zanim jej sprawa weszła na wokandę. Nie zobaczyła dzieci przed śmiercią. Od tamtej pory do każdej przegranej sprawy podchodzę bardzo osobiście. Jakbym zawiodła tę biedaczkę znowu.

- Wzruszająca historia, Kendall - powiedział miękko Gibb po chwili ciszy. - Ale nie wolno ci myśleć, że zawiodłaś tylko dlatego, że H.W. posłał Billy'ego Joe do Columbii.

- Nie było to konieczne, nawet nie uzasadnione, jeśli wziąć pod uwagę wykroczenie, które popełnił.

- Cóż, jestem prostym sprzedawcą artykułów sportowych i nie podjąłbym się uzasadniać, czemu RW. podjął taką decyzję. Jest tylko człowiekiem, jak każdy z nas. Czujesz się rozczarowana, to

naturalne, ale to orzeczenie wcale nie świadczy o twoich umiejętnościach. Zrobiłaś, co w twojej mocy. I właśnie tego wszyscy po tobie oczekiwali.

Bardzo chciała coś takiego usłyszeć. Poprawiło jej to nastrój.

- Dziękuję za słowa otuchy, Gibb - uśmiechnęła się.

- Tata potrafi w czarodziejski sposób przywracać wszystkim sprawom właściwe proporcje. I zawsze ma rację.

- Potrzebuję przyjaciół. Jesteśmy wciąż przyjaciółmi? Kendall stanęła za Mattem i położyła mu ręce na ramionach. - A jak myślisz? - Odchylił do tyłu głowę.

- Dziękuję, że pośpieszyłeś mi w sądzie na ratunek. - Pocałowała go w czoło. - Zuchwały i niebezpieczny... nie miałam pojęcia o tej stronie twojej osobowości. Przepraszam, jeśli moje zachowanie sprawiło wrażenie, że nie doceniam twojego bohaterskiego gestu.

- Wybaczam ci. - Pocałowali się, a potem owinął jej ramiona wokół swojej piersi i przytrzymał je dłońmi. - Tato, powiemy jej o niespodziance, jaką mamy w zanadrzu na weekend?

- Niespodziance? - Natychmiast uchwyciła się tego tematu.

Przeżyła okropny dzień, a jutrzejszy nie miał być lepszy. Rozejdzie się wieść o jej klęsce; wszyscy będą o tym rozmawiać. Kiedy wychodziła z sądu, Bama już wiedział.

- Kiepsko, pani adwokat. Ale zwycięży pani następnym razem - powiedział unosząc kciuk do góry.

Nie podniosło jej to na duchu. Raczej dodatkowo przygnębiło, choć w głębi serca żywiła przekonanie, że zrobiła wszystko, co było można. Zawsze źle znosiła klęski. Przegrana łączyła się z poczuciem, że zawiodła tych, którzy jej zaufali: klientów, ich rodziny, babcię, nieżyjących rodziców...

Gorzka była dzisiejsza porażka, ale to już poza nią. Doda przypadek Crooka do pozostałych i skupi uwagę na następnym. Będzie pracować jeszcze ciężiej. Sukces musi wreszcie przyjść. Poczula, że wraca jej dobry humor. Relaksujący weekend. Cudownie.

- Co wy dwaj knujecie? - spytała.

- Matt mi mówił, że go złajęłaś za jedną z naszych wieczornych wypraw.

- Nie użyłabym słowa „złajać” - powiedziała z rezerwą.

- No to co powiesz na „zrzędzić, nękać, gderać”? - zapytał Matt.

Dała mu szturchańca, a on zajęczał przesadnie, niby to z bólu. Gibb uśmiechnął się pobłaźliwie, rad z przywrócenia rodzinnej harmonii.

- Chcesz, żebyśmy ci powiedzieli, czy nie?

- Tak, chcę - zapewniła, przybierając poważny wyraz twarzy.

- W tę sobotę będzie pełnia.

Wyobraziła sobie kolację przy świecach w uroczym domku w górach lub przejażdżkę łodzią po skąpanym w świetle księżycy jeziorze.

- Pełnia w listopadzie może oznaczać tylko jedno - oznajmił Matt, rozbudzając jeszcze bardziej jej zainteresowanie.

- Co? - spytała wstrzymując oddech.

- Świniobicie.

Rozdział dwunasty

Gibb przyjechał przed wschodem słońca, niezwykle ożywiony. Kendall została niemal wypchnięta w przejmujące chłodem poranne powietrze. Obłoczki pary ulatywały z ich ust, gdy szli do pikapa Gibba. Choć otulona płaszczem, zadrżała i wsunęła dłonie w rękawiczkach pod pachy, by je ogrzać. Matt przytulił ją do siebie.

- Zimno?

- Troszeczkę. Ale zaraz się rozgrzeję. - Sama się tego domagała; chciała być z nimi. Nie może teraz utyskiwać.

- Zanim wymyślono chłodnie, trzeba było czekać na mróz ze świniobiciem - powiedział Gibb, ruszając z podjazdu. _Inaczej mięso mogło się zepsuć.

- To rzeczywiście poważny argument.

- W ten sposób jesień stała się tradycyjną porą uboju. Latem tuczymy świnię kukurydzą.

- My...?

- No, nie ja z tatą - wyjaśniał cierpliwie Matt. - Robi to u siebie pewien farmer. - Rozumiem.

- Szynka, którą jedliśmy w noc poślubną, pochodziła właśnie od jednej z naszych świń - oświadczył dumnie.

- Nie wiedziałam, że spożywam przyjaciela rodziny uśmiechnęła się słabo.

Jej mąż i Gibb zaśmiali się.

- Myślisz, że mięso powstaje od razu w tych schludniutt. h, pakowanych próżniowo paczuszkach, które kupujesz sklepie? - zapytał Matt.

- Wolałabym tak rzeczywiście uważać.

- Na pewno nie jesteś dziewczyną z miasta?

Pytanie przywołało słowa wypowiedziane przez braci Crooków i przypomniało Kendall, że Billy Joe ma dzisiaj zostać przewieziony do Columbi. Zachowywał się wyzywająco i proowokował kłopoty, przepelniony pretensją do wszystkich wokół. Nie pozostawiał złudzeń co do tego, że nie podda się obserwacji, i obawiała się niepomysłnej opinii psychiatrów. Miała poczucie nieuchronności wyroku skazującego.

Matt przytulił ją mocniej, przekonany, że zadrżała z powodu zimna.

Polana leżała w gęstym lesie, w dość znacznej odległości od Prosper. Dojeżdżało się do niej wąską wyboistą polną drogą. Gdy się zjawili, większość rodzin była już na miejscu.

Panowała atmosfera karnawałowej zabawy. Świeże chłodne powietrze przesycił dym z palącego się drewna, unoszący się z licznych ognisk, na których w wielkich żeliwnych kociołkach gotowano wodę. Pośród drzew bawiły się dzieci, a nastolatki zebrały się razem, oblepiając tylne drzwi jednego z pikapów. Ich głosy brzmiały ochryple i zadziornie.

Gdy Burnwoodowie wysiedli z samochodu, rozległy się głośnie powitalne okrzyki. Ktoś wręczył Kendall kubek z kawą. Z wdzięcznością pociągnęła łyceczek i właśnie zamierzała podziękować, gdy jej wzrok padł na martwe ciała świń. Wisiały głowami w dół na cienkich żelaznych prętach, przeciągniętych pod odsłoniętymi ścięgami. Pręty zawieszono między dwoma rozwidlonymi drągami.

Świń było tak dużo, że nie była w stanie ich policzyć. Ani oderwać oczu od groteskowego widoku.

- Kendall, kochanie...

Matt, wyraźnie zaniepokojony, dotknął jej policzka i oddwrócił twarzą do siebie. Naciągnął na dłonie parę czarnych gumowych rękawiczek i jego dotyk był zimny i obcy. Miał na sobie roboczy kombinezon, długi gumowy fartuch i wyysokie do kolan gumowe buty. Prawie nie było tutaj trawy, a tam, gdzie rzadko porastała ziemia, została wytarta gumowymi buciorami. Plamy na podłożu i na kombinezonie jej męża miały kolor rdzy. Wskazała je palcem i zapytała słabym głosem:

- To krew?

- Właśnie dlatego tak się ubieramy na ubój.

Z trudem przełknęła ślinę.

- Wyglądasz blade, Kendall. Dobrze się czujesz?

- Trochę mnie mdli.

- Mogę mieć nadzieję, że to poranne mdłości?

- Niestety nie - odparła ze smutkiem.

Była tak samo rozczarowana jak i on. Bardzo pragnął dziecka i obiecał jej zatrudnić niańkę i pomoce domowe, chociaż była przekonana, że doskonale pogodzi macierzyństwo z pracą. Nie stosowała żadnych środków antykoncepcyjnych, mimo to miesiączki pojawiały się z regularnością księżycowych cykli.

Myśl o księżycu wyrwała ją z zamyślenia.

- Nie spodziewałam się, że ich widok będzie budzić litość, że będą takie... nagie - dokończyła, robiąc gest w kierunku martwych ciał zwierząt.

- Nie wyglądały tak od razu - powiedział Matt, bezzskutecznie próbując ukryć rozbawienie. - Przywożą je tu i zabijają, zwykle strzałem w głowę. Potem przedziurawia się im tętnicę szyjną, żeby się wykrwawiły, splukuje skórę gorącą wodą i pozbawia owłosienia. Zajmuje to sporo czasu, dlatego wynajmujemy do tej roboty miejscowych ludzi. Zarabiają parę dolarów i dostają głowy.

- Głowy? - Kolana się pod nią ugięły.

- Gotują je i robią z nich salceson.

- Matt!

Odwrócili się oboje i zobaczyli stojącego przy ciałach świń Gibba. Ubrany jak Matt, przywoływał syna gestem.

- Idę, tato! - Spojrzał na Kendall z niepokojem. - Na pewno dobrze się czujesz?

- W porządku. Wszystko dlatego, że nigdy dotąd nie wiidziałam...

- Kendall, to nie jest aż tak niezwykle, jak usiłujesz przeddstawiać. Nawet dzieciaki mają z tego kupę zabawy.

- Och tak, to rzeczywiście ekscytujące. - On i Gibb sądzili, że sprawią jej frajdę. Nie chciała wyjść na niewdzięczniicę. - Ale muszę mieć trochę czasu, żeby się przyzwyczać.

- Matthew!!

- Już przychodzę, tato. - Cmoknął ją w policzek i ruszył szybko w kierunku ojca.

Kendall zaczęła oddychać ustami, próbując powstrzymać mdłości. Głęboko wciągała powietrze i powoli je wypuszczała. Po prostu potrzebowała trochę tlenu, nic więcej. Matt obejrzał się na nią, więc zdobyła się na to, by wesoło zamachać ręką i uśmiechnąć się zachęcająco.

Gibb wręczył Mattowi nóż o długim, szerokim ostrzu. Ojciec przytrzymał ciało zwierzęcia, a syn zanurzył ostrze w szyi świni, prowadząc je poprzez mięśnie i tkanki wokół kręgosłupa. Potem wyciągnął nóż, oddał go Gibbowi, ujął głowę tuczniaka w obie dłonie i skrzył ją gwałtownym ruchem.

Kiedy została mu w rękach, Kendall zemdlła.

Czuła na sobie drwiące spojrzenia parafian, kiedy szła za kościelnym do trzeciej ławki, gdzie w każdą niedzielę zasiadała z Mattem i Gibbem. Ledwie usiadła, zaczęła udawać, że czyta modlitwę, by oszczędzić sobie lekceważących spojrzeń mężczyzn i złośliwych kobiet; wszyscy bez wyjątku z pewnością nią pogardzali. Miała ochotę im wykrzyzczyć: „Nigdy w życiu dotąd nie zemdlalam!” Nie wykrzyzczyła oczywiście, ale jej wzburzenie nie uszło uwagi Matta. Pochyliwszy się ku niej, wyszeptał:

- Odpreż się, Kendall.

- Nie mogę. Wszyscy już wiedzą o wczorajszym poran-

ku. - Kiedy odzyskała przytomność w pikapie Gibba, ku swemu upokorzeniu zobaczyła kręcących

się wokół niej ludzi, poklepujących ją po policzkach, rozcierających nadgarstki i ubolewających nad jej kruchością.

- To paranoiczne - stwierdził Matt. - Nawet jeśli rozeszło się, że zemdlałaś, co z tego?

- Czuję się zażenowana!

- Bez powodu. Bardzo kobieca reakcja na coś nieznanego.

A przy tym ja zyskałem szansę, by się zrehabilitować. Udowodniłem, że jestem twoim rycerzem, zanosząc cię do samochodu i opiekując się tobą. - Uśmiechnął się. - Milutka jesteś taka bezradna.

Mogłaby się spierać, czy „milutka” to najlepsze określenie dla obrońcy z urzędu, ale nie chciała się kłócić. Miłość malująca się na jego twarzy przypominała Kendall ich noc poślubną i ciepło rozlało się po jej ciele. Wsunęła mu rękę pod ramię i wstali, by odśpiewać hymn. Po Ofiarowaniu parafianie usiedli, by wysłuchać kazania.

Kendall usiłowała wybronić się od uczestnictwa w dzisiejszej mszy nie tylko z powodu wczorajszych wydarzeń. Burnnwoodowie od lat należeli do tej protestanckiej parafii, ona jednak nie kwapiła się z przystąpieniem do zgromadzenia, ponieważ zdecydowanie nie podobał jej się pastor.

Brat Bob Whitaker był uprzejmym człowiekiem, życzliwym i dbałym o wcale niemałą trzódkę pastorem, ale gdy stawał na kazalnicy, przechodził metamorfozę: zmieniał się w patetycznego kaznodzieję, bredzącego o ogniu piekielnym i siarce. Ale nie to denerwowało Kendall najbardziej. W końcu rozmaici telewizyjni głosiciele ewangelii przyzwyczaili publikę do płomiennych przestróg przed grzechem. To jego natrętne wezwania do zgodnego z prawem boskim osądu ją złościły. Przywoływał zasadę „oko za oko” tak często, że zastanawiała się, czy tylko ona utkwiała mu w głowie z całego Pisma Świętego. Niewiele miał do powiedzenia o wybaczeniu i łasce, za to sporo o zemście i zadośćuczynieniu. Malował obraz żadnego krwi Boga-mściciela, zamiast wybaczonego Stwórcy przepęłnionego miłością.

Była tu, bo Matt nalegał, ale nikt nie mógł jej zmusić do słuchania. Niech sobie brat Bob rozwija w najlepsze diatrybę o pogwałceniu praw boskich, a ona będzie myślała o czym innym. Planowała właśnie rozkład zajęć na następny tydzień, gdy pochwyciła natarczywe spojrzenie siedzącej po przeciwnej stronie kościoła w tylnym rzędzie kobiety.

Oślepiające zjawisko. Mężczyzna zajmujący miejsce u jej boku, prawdopodobnie mąż, niknął w tle, jak zresztą każdy, kto się koło niej znalazł. Nie była klasyczną piękną, mimo to przykuwała wzrok. Zaczepione do góry kasztanowe włosy spływały falami na ramiona. Duże oczy, wyraziście zarysowane usta i nos; prowokująca, dziwnie posępna twarz.

Nie tyle zresztą uderzający wygląd nieznajomej, co jej pałająca utkwione w niej spojrzenie przyciągnęło uwagę Kendall. Żeby ją zobaczyć, musiała wykręcić niewygodnie głowę. Doszła do wniosku, że nie obejrzała się przypadkiem; ta kobieta ściągnęła ją wzrokiem.

- Na co patrzysz? - Matt trącił ją łokciem.

- Nie, na nic. - Odwróciła szybko głowę.

Wziął ją za rękę i trzymał do końca nabożeństwa. Chciała się jeszcze raz odwrócić, sprawdzić, czy tamta wciąż na nią patrzy, ale z niewiadomego powodu poczuła lęk.

Po błogosławieństwie, kiedy szli nawą do wyjścia, wyłowiła ją wzrokiem w tłumie.

- Matt, kim jest ta kobieta? - Pokazała ruchem głowy. - Ta w zielonej sukience.

Nie zdążył odpowiedzieć.

- Hej, Matt! - Podeszedł do nich wizytator szkolny. Ściskając dłoń Matta spojrział ukosem na Kendall i puścił przesadnie oko. - Szyneczka była na śniadanie? - parsknął śmiechem. - Co byście powiedzieli na barbecue u nas w ciągu tygodnia? Specjalnie dla was przygotowujemy z żoną wieprzowe żeberka...

Matt i Gibb ostrzegli ją, że będzie bezlitośnie wykpiwana za omdlenie w czasie świniobicia, być może nawet przez całe lata. Nie zapomniano łatwo takiego zdarzenia w Prosper.

Co najmniej połowa wiernych zatrzymała się przed kościołem na pogawędkę. Kendall zagadnęła parafianka, której córka zamierzała studiować prawo. Chciały się poradzić, jaki uniwersytet wybrać. Odpowiadała machinalnie na ich pytania, wypatrując kobiety w zielonej sukni.

Zauważyła, że Matt i Gibb przyłączyli się do grupki mężczyzn, których w większości znała. Trzymali się z dala od wszystkich, prawdopodobnie dlatego, że mieli ochotę zapalić, doszła do wniosku, zauważywszy papierosy w wielu dłoniach.

- Obawiam się, że nie będzie nas stać na opłacenie studiów gdzieś bardzo daleko od domu - stwierdziła kobieta, kiedy Kendall powiedziała jej, jakie uczelnie poleca. - Czy nie mogłaby...

- Bardzo panią przepraszam - przerwała jej Kendall - ale czy widzi pani tę parę wsiadającą do samochodu po drugiej stronie ulicy? Zna ich pani?

Kobieta, osłoniwszy dłonią oczy, spojrzała we wskazanym kierunku.

- Och, to państwo Lynam - powiedziała lekceważąco. Nie uczestniczą we mszy regularnie, a powinni. Jeśli chce pani znać moje zdanie, przydałoby się im w każdą niedzielę...

Kendall nie była ciekawa plotek. Myślała, że nazwisko kobiety coś jej powie, nie znała go jednak. A przecież we wzroku nieznanym wyczytała z całą pewnością urazę. Z jakiego powodu?

- Jeszcze raz przepraszam, ale czy pani Lynam jest w jakiś sposób spowinowacana z Crookami?

- Boże święty, ależ skądże! Co też pani przyszło do głowy?

- Dzień dobry, pani Gardener, cześć, Amy. - Matt nie mógł wybrać bardziej odpowiedniego momentu, aby się do nich przyłączyć. - Kochanie, możemy już iść? Tata zamówił lunch w klubie country. Jeśli się nie pośpieszymy, babtyści zajmą nam wszystkie najlepsze stoliki. Mam rację, drogie paanie? - Obdarzył obie rozbajającym uśmiechem, poprosił o wybaczenie i wyzwolił Kendall.

Kiedy szli na parking, pokazała mężowi grupkę mężczyzn, od których Gibb właśnie się odłączył.

- Wygląda to jak konferencja na szczycie. Czego dotyczyła?

- Dlaczego pytasz? - odpowiedział obronnym tonem, co ją zdumiało, ponieważ rzuciła pytanie niedbale, niemal obojętnie.

- Bez specjalnego powodu, Matt, zwyczajnie jestem ciekawa.

Wyraz napięcia znikł z jego twarzy. Uśmiechnął się.

- Zwołujemy ekstra zebranie na jutrzejszy wieczór, żeby przedyskutować kościelny budżet.

- Aha.

- Proszę cię, nie rób kwaśnej miny.

- Nie robię. Zresztą mam mnóstwo papierkowej roboty do nadgonienia. Zabiorę się do tego, gdy ciebie nie będzie. - Ostatnio przyjęła taktkę, by się nie uskarżać, gdy wychodził wieczorem, a on ze swej strony starał się wracać wcześniej i wynagradzał swą nieobecność wyjątkowo miłym zachowaniem.

W podzięce za okazane mu zrozumienie pocałował ją. Czulili się jeszcze do siebie, gdy podszedł do nich Gibb, dzierżąc pod pachą Biblię.

- Róbcie tak dalej, wy dwoje, a szeryf każe was aresztować za obrazę moralności - mówił z żartobliwą kpina; sadowiając się na tylnym siedzeniu samochodu. - Jedźmy wreszcie. Kaazanie tak się ciągnęło, że zaczęło mi burczeć w żołądku do akompaniamentu.

- Są jakieś wieści o Billym Joe Crooku, tato? - zapytał

Matt, zapalając samochód.

- Wieści? - spytała zaalarmowana.

- Przytrafił im się wypadek w drodze do Columbi - odpowiedział Gibb z tylnego siedzenia.
- Wypadek? - Odwróciła się, by na niego spojrzeć. - Jaki? Wszystko z nim w porządku?
- Nie, Kendall, nie bardzo.

Luther ogryzając zadartą skórę przy paznokciu wbił wzrok w brata. Henry wzruszył ramionami w odpowiedzi na zawarte w jego wzroku pytanie; sam był równie oglupiały. Obaj byli zdenerwowani i bliscy wybuchu. Zupełnie nie wiedzieli, co począć.

Nigdy nie widzieli mamy tak milczącej i spokojnej. Zachowywała się tak od wczorajszego wieczoru, kiedy zadzwonili z więzienia, żeby powiedzieć o wypadku Billy'ego Joe.

Telefon odebrał Henry. Słuchał zaszokowany i z każdym słowem urzędnika rosła w nim furia.

- Możemy go zobaczyć?

- Nie w tej chwili ~ padła odpowiedź. - Skontaktujemy się jeszcze z wami.

Kiedy się rozłączył, Henry wywołał Luthera na zewnątrz i powiedział mu, co spotkało ich braciszka. Luther puścił najpierw soczystą wiązanekę, a potem złapał topór i zatopił ostrze głęboko w ścianie domu. Wreszcie padły słowa, których Henry tak ogromnie bał się usłyszeć.

- Musimy powiedzieć mamie.

Henry dobrze wiedział, że „my” miało znaczyć „ty”.

Nie było czasu na dzwonienie do sióstr. Mieszkały za daleko.

Zresztą pewnie by tylko narobiły wrzasku, i co by to dało? W końcu on jest naj starszy. Głowa rodziny. Na nim spoczywa odpowiedzialność.

Wrócił więc, chociaż niezbyt skwapliwie, do środka i powieedział o wszystkim mamie. Ale nie zareagowała tak, jak się spodziewali. Nie zaczęła się miotać, wydierać czy ryczeć z bólu albo rozbijać naczynia. Nie chciała też nic wypić, ani kapeleeczeki. Klapnęła na bujany fotel, zagapiła się w okno i siedziała tak prawie przez dwadzieścia cztery godziny.

Jakby zamieniła się w kamień. Zaczynała go wkurzać. Już by lepiej dziko szalała, a nie siedziała jak kłoda. Niemal pragnął, żeby dostała jednego z tych swoich ataków szału. Przynajmniej wiedział, jak sobie z tym poradzić.

Godzinę temu zadzwonili z więzienia po raz drugi i powieedzieli, że o piątej mogą zobaczyć Billy'ego Joe. Henry miał

problem: chciał zobaczyć brata, ale nie mógł przecież zostawić mamy samej. A Luther nie zgadzał się z nią zostać.

- Ja sam? - spytał piskliwym ze strachu głosem, usłyszawszy propozycję Henry'ego, by przy niej posiedział. - Za żadną cholere! Napędza mi stracha, jak tak siedzi i się gapi. Myślę, że nie ma wszystkich w domu, dokładniutko tak myślę. Całkiem zwariowała. Nie zostanę z nią sam!

Tak więc problem pozostawał nie rozwiązany, a czas uciekał.

Jeśli nie zjawi się, kiedy trzeba, może nie zobaczyć Billy'ego Joe, zanim...

- Henry!

- Tak, mamó! - Omal nie wyskoczył ze skóry. Poplątały mu się nogi, kiedy pędził do niej przez pokój. Oczy miała skupione i gdy w nie popatrzył, miał ochotę zbesztać Luthera. Nie miał racji. Nie oszalała.

- Wasz ojciec obróci się w grobie, jak to puścimy płazem.

- Cholera jasna! - Luther z wyraźną ulgą przyklęknął przy fotelu. - A pewnie! Za nic! Nie puścimy niczego płazem!

Zamachnęła się i przyłożyła mu w głowę.

- Nie straciłam rozumu. I żebym nigdy więcej czegoś podobnego od ciebie nie słyszała!

- No nie, mam... To znaczy tak, mam. - Luther z oczami pełnymi łez rozcierał ucho; pewnie będzie mu w nim dzwoniło do następnego roku.

- Co mamy teraz robić, mam? - zapytał Henry. Nakreśliła plan działania i Henry zrozumiał, że wymyśliła to w czasie, gdy wyglądała przez okno, sprawiając tak niesamowite wrażenie.

Rozdział trzynasty

- Kawa pachnie wspaniale.

Zatopiona w myślach, nie zauważyła, że wszedł do kuchni.

Odwróciła się na dźwięk jego głosu. Stał w drzwiach, wsparty na kulach, ubrany, ale nie ogolony. Wciąż w nie najlepszej formie, wyglądał jednak na wypoczętego. Cera nabrała zdrowszej barwy, a ciemne kręgi pod oczami wyraźnie się zmniejszyły.

- Dzień dobry. - Nerwowym ruchem wytarła dłonie o szorty. - Właśnie miałam do ciebie zajrzeć. Jak się czujesz? - Lepiej, ale nie nadzwyczajnie.

- Kevin cię nie przebudził, mam nadzieję?

- Nie. Śpi w tej kwadratowej rzeczy.

- W kojcu. Siadaj, przygotuję ci śniadanie. - Nalała mu kawy do filiżanki. - Co sobie życzysz? Naleśniki? Jajka? Grzanki? Zrobię wszystko oprócz wafli.

- Masz coś przeciwko wafłom?

- Nie mam na czym ich zrobić.

- Aha. Skąd się wzięło jedzenie? Krasnoludki przyniosły w nocy?

- Zrobiłam rano zakupy.

- Nie słyszałem, kiedy wyszłaś. - Był zdumiony.

- Bo nie miałaś słyszeć.

- Jak daleko jest do najbliższego miasta?

- Niedaleko.

- Czy może przypadkiem pamiętałaś o gazecie?

- Leży na stoliku w pokoju dziennym.

- Dzięki.

Usmażyła jajka na bekonie, o które prosił. Wymiótł talerz do czysta, zostawiając tylko plasterek bekonu.

- Chcesz?

- Zapomniałeś, że nie jadam wieprzowiny?

- Bo ci to pasuje do twojej opowieści?

- Jakiej opowieści?

- Jeszcze tego nie odkryłem. Dlaczego nie uciekałaś rano? Miałaś okazję.

Właśnie, dlaczego? Nurtowało ją to pytanie, kiedy wraacała. Miała zamiar wymknąć się o brzasku. Ale im później się robiło, tym bardziej czuła się winna. Każdy jego jęk pogłębiał to uczucie. Ledwie mógł chodzić, nie wyszedł w pełni z szoku. Nawet zwierzęcia w tym stanie by nie porzuciła. Gdyby teraz odeszła, byłoby prawie tak, jakby zostawiła go samemu sobie zaraz po wypadku. To poczucie odpowiedzialności za niego przyprawiało ją o irytację, zaawadzało w przeprowadzeniu tego, co zamierzała. Zdawała sobie jednak sprawę, że nie wyzwoli się, dopóki stan jego zdrowia się nie poprawi i będzie mógł choć trochę na sobie polegać.

Przyszło jej także do głowy, że bezpieczniej tkwić tutaj niż podróżować samochodem. Jadąc rano do miasteczka, czuła się odsłonięta, wystawiona na ciosy i spojrzenia. Jeśli ucieknie, dokąd

pojedzie? Nie myślała o konkretnym miejscu - tylko o tym, by uciec. Udawało jej się jak dotąd, ale co dalej? Dopóki naprawdę nie zagrażał jej planom, nie musiała stąd wyjeżdżać i kusić losu.

Kochała ten dom i być może całe to rozumowanie było po prostu próbą zracjonalizowania tego uczucia; to także przyszło jej do głowy. Miała tu poczucie bezpieczeństwa i dlatego chciała zostać.

- Na pewno nie zostawię cię samego w twoim obecnym stanie - stwierdziła.
- Z czego wynika, że opuścisz mnie natychmiast, gdy tylko mój stan się poprawi.
- Nie wmawiaj mi tego, czego nie powiedziałam.
- Cóż, wszystko, co powiesz, jest diablo istotne. Próbuję zapełnić białe plamy.
- Same się zapełnią, gdy twój umysł do tego dojrzeje.

Lekarz wysunął hipotezę, że możesz podświadomie blokować pamięć. Bo chcesz o czymś zapomnieć.

- I co, ma rację, Kendall? - spytał obejmując filiżankę dłońmi i spoglądając jej prosto w oczy.

Pierwszy raz zwrócił się do niej po imieniu. Zdenerwowało ją to i przez moment pogubiła się w myślach.

- Czy ma rację? - powtórzyła. - Tylko ty możesz na to odpowiedzieć.
- Skoro nic nie pamiętam, skąd mam wiedzieć, o czym chciałbym zapomnieć? - Przeczesał palcami włosy i zaklął. Niecierpliwym ruchem uraził skórę ze świeżymi szwami. Ouu!

- Uważaj! Poczekaj, niech popatrzę. - Podeszła do niego i odsunęła powstrzymujące ją ręce. Odchyliła cienki bandaż i obejrzała ranę. - Ani śladu zaognienia, szwy nie naruszone. Nic się nie stało.

- Zaczyna mnie swędzieć - mruknął z irytacją.
- Bo się goi.
- Pewnie tak. - Wciąż przy nim stała; spojrzał na nią. - Skąd wzięłaś pieniądze na zakupy? -

Mówiłam, że...

- Zarobiłaś. Tak, wiem. Ale w jaki sposób?

Zawahała się, ważąc wszystkie za i przeciw i w końcu doszła do wniosku, że nie będzie jej nękał pytaniami, jeśli na to nie pozwoli.

- Jestem prawniczką. Zaśmiał się nieprzyjemnie.
- Twoje kłamstwa stają się coraz bardziej skomplikowane.
- Jestem obrońcą z urzędu. - Ponieważ wciąż patrzył na nią z niedowierzaniem, dodała z naciskiem: - To prawda. - Powiedz mi coś więcej na ten temat.

- A co chciałbyś wiedzieć?
- Byłaś dobra? Założę się, że tak. Świetnie umiesz kłamać.
- Dokładnie to samo twierdzi Ricki Sue - przyznała z uśmiechem.
- Kto to taki?

- Moja najlepsza przyjaciółka.

- Uhm. - Bezwiednie zaczął żuć ostatni plasterek beko - nu. - Dobra byłaś w swoim zawodzie?

Nalała sobie kawy i usiadła na krześle naprzeciwko niego.

- Myślę, że nieźła. Chyba lepsza niż przeciętna prawniczka. A jeśli już za nic innego, to za przykładanie się należy mi się najwyższa nota. Poza tym bardzo chciałam być dobra. Ci, którzy mnie zatrudnili, uważali, że podejmują ogromne ryzyko, IXIwierzając to stanowisko kobiecie. Musiałam im udowodnić, że się mylili. W rezultacie stosunek spraw przeze mnie wyy_ anych do przegranych mógł budzić szacunek. Nie wszystkie oczywiście wygrywałam. - Słuchał z uwagą, co ją zachęciło, by kontynuować. - Szczególnie jedna przegrana smakowała gorzko. Sprawa wydawała się początkowo banalna, ale roz~ ‘; \inęła się... w okropny sposób.

- Co się stało?

- Doradziłam szesnastoletniemu chłopcu, który ukradł coś

w sklepie, by się przyznał do winy i zdał na łaskę sądu. Liczyłam na pobłażliwość, ponieważ było to jego pierwsze wykroczenie. Posłużyli się chłopakiem, żeby mnie upokorzyć... Głos jej drżał, gdy opisywała mu scenę w sądzie.

- Ta historia ma puentę, prawda?

- Tak. Kiedy odwożono go do Columbii, zdarzył się koszmarny wypadek. Był skuty kajdankami i gdy chcieli zrobić przerwę w podróży, zaczepił nimi o coś... - Przerwała i z trudem przełknęła ślinę. - Urwało mu prawe ramię, a właściwie wyrwało, zupełnie jakby go poćwiartowali... Doznał szoku i omal się nie wykrwawił. Uratowano mu życie, ale nigdy w pełni nie wrócił do siebie, nie tylko fizycznie, także psychicznie.

Furia, przerażenie, poczucie winy oładnęły nią owego niedzielnego poranka, gdy usłyszała o wypadku. Do dziś nie była w stanie uwolnić się od tych uczuć. Billy Joe z pewnością nie był aniołem, ale to, co się zdarzyło, przekreśliło wszelkie szanse, by stał się pełnoprawnym, przestrzegającym prawa członkiem społeczności. Okaleczony, przepełniony goryczą, będzie winił za swoje nieszczęście cały świat. A zwłaszcza swego adwokata z urzędu.

W każdym razie jego rodzina ją za to obwiniała.

- Okropny wypadek - zauważył spokojnym głosem, jakby wypowiadając tę uwagę, chciał jej dać czas na przemyślenie całej tej sprawy od nowa. Zastanowiła się, czy kontynuowanie dyskusji o tych wydarzeniach miało sens. Czy nie zostanie powiedziane za dużo? Jednocześnie czuła, że dobrze jej robi, jeśli rozładuje choć trochę napięcie, w jakim żyła przez ostatnie miesiące.

- Mam na ten temat własną teorię - powiedziała.

- To znaczy?

- Że to nie był wypadek.

- Ciekawe. - Pochylił się ku niej. - Zażądałaś, żeby ktoś się tym zajął?

- Wtedy nie przyszło mi jeszcze nic podobnego do głowy.

- Znasz wersję chłopca?

- Nie. Pojechałam do szpitala, żeby ją usłyszeć, ale nie wpuścili mnie, ponieważ, jak mi oznajmiono, nie wydobrał na tyle, by przyjmować odwiedzających.

- Nie wzbudziło to w tobie podejrzeń?

- Powinno, ale wówczas uznałam, że to uzasadnione. Był w ciężkim stanie przez wiele tygodni. Kopię protokołu z miejsca wypadku przysłano mi, zanim w ogóle zdążyłam o nią poprosić. Opisano tam niezwykle szczegółowo, co się zdarzyło. Oficjalny protokół. Wszystko wyglądało jak trzeba.

Dopiero znacznie później przyszło mi do głowy, że ten rzekomy wypadek mógł zostać wyreżyserowany, a Billy'emu Joe wyznaczono rolę ofiary. - Przechesała palcami włosy; wciąż ją stresowała myśl, jak bardzo okazała się naiwna. - Kiedy zrozumiałam, że padł ofiarą spisku, było za późno, bym mogła cokolwiek zrobić. Wtedy już... - urwała, by nie powiedzieć zbyt wiele.

- Wtedy co?

- Nic.

- Czyli co?

- Zdaje się, że Kevin płacze. - Zerwała się na równe nogi.

- Nie wykręcisz się tak łatwo. Nie płacze. Siadaj.

- Nie jestem psem i nie siadam na komendę.

- Dlaczego nie chcesz opowiedzieć o tym do końca?

- Bo... ja...

- Co, Kendall? Od czego uciekasz? Ode mnie?

- Nie - zaprzeczyła burkliwie.

- Nie przyznajesz się do tego, ale miałaś szczerzy zamiar opuścić szpital beze mnie. Gdybym cię nie przyłapał, jak się wymykałaś, wyniosłabyś się po cichu i zwiłała w nieznanym kierunku. Oszczędź mi zaprzeczeń, bo i tak wiem, że mam rację. A teraz przywiozłaś mnie w miejsce, gdzie nie ma telefonu, telewizora ani radia. Działającego radia... A tak _ oświadczył, zauważywszy jej zdumienie - wypróbowałem to, które ukryłaś w szafie. Zepsułaś je umyślnie?

- Wiedziałam, że nie działa, więc schowałam je, żeby nie zawadzało.

Oczywiście nie uwierzył.

- Zupełnie nie mamy kontaktu ze światem zewnętrznym. Żadnych sąsiadów, a w każdym razie nie w pobliżu. Świadomie odizolowałaś nas od wszystkiego. Nie mówisz mi o pewnych rzeczach... o wielu rzeczach dotyczących mojej przeszłości, naszego małżeństwa. Jeśli w ogóle zawarliśmy małżeństwo. Wsparł się na stole i stanął wyprostowany. - Tonę w chaosie i tylko ty masz jakiś związek z moim poprzednim życiem. Pomóż mi się z tego chaosu wydobyć, zanim oszaleję. Powiedz mi to, co chciałbym wiedzieć. Proszę cię.

- Co chciałbyś wiedzieć? - Zacisnęła ręce na oparciu krzesła, aż pobieleły jej kostki.

- Na początek, co takiego zrobiłem, żeby cię tak wkurzyć?

- Kto mówi, że jestem wkurzona?

- Łatwo to wydedukować. Kiedy otworzyła się przed tobą nieoczekiwana, ale dogodna możliwość, żeby się ode mnie odczepić, natychmiast postanowiłaś ją wykorzystać i prawie ci się udało. Twierdzisz, że jesteśmy małżeństwem, ale jak wnoszę z pewnych sygnałów, to nieprawda. Dlaczego coś takiego mówisz?

- Z jakich znowu sygnałów?

- Widziałem cię nagą. Nawet cię dotykałem. Ale ani razu, gdy byłem blisko ciebie, nie miałem poczucia... poczucia rzeczywistej bliskości między nami.

- Dlaczego tak uważasz?

- Bo czułem się zbyt podekscytowany.

- Mogło ci się tak wydawać. Po prostu dlatego, że nie pamiętasz, jak blisko byliśmy ze sobą.

- W takim razie... jaką znajdziesz dla siebie wymówkę? Spuściła oczy na pobielełe kostki kciuków. Nie odezwała się; nie była w stanie.

- Leżałaś przy moim boku całą noc - mówił dalej či bardzo uważałaś, żeby mnie nie dotknąć, nawet przypadkiem. Nie spałem i byłem na tyle przytomny, by zauważyć, jak starannie unikasz zetknięcia z moim ciałem.

- To nie tak. Przecież pocałowaliśmy się na dobranoc.

- Ja ciebie tak, ale nie ty mnie. I jestem absolutnie pewny, że nigdy przedtem cię nie całowałem.

- Dlaczego jesteś tak absolutnie pewny?

- Bo niczego takiego nie pamiętam.

- Co dowodzi wyłącznie tego, że moje pocałunki nie zapadają w pamięć - zaśmiała się cicho.

- Nieprawda. Jest dokładnie odwrotnie.

Powiedział to zduszonym głosem, więc podniosła oczy, by na niego spojrzeć. Gorąco uderzyło jej do głowy, zupełnie jakby jego wzrok wysyłał fale żaru. Nie wpadła na żadną dowcipną odpowiedź, zabrakło jej dalszych argumentów, więc przezornie milczała.

- Założywszy, że jesteśmy małżeństwem - podjął po chwili - czy byliśmy w separacji, zanim doszło do wypadku? - Nie mówiłam niczego takiego.

- Nie musiałaś. Co wywołało ten kryzys? Miałem żal, że poświęcasz czas na robienie kariery? -

Nie większy niż inni mężowie.

- Zgadaliśmy się ze sobą?

- Jakoś się dogadywaliśmy.

- Klóciliśmy się o dziecko? Niejasno mi się przypomina jakaś sprzeczka na temat dzieci.

Reakcja Kendall była spontaniczna i nieostrożna. - Naprawdę? - spytała ze zdumieniem.

- Chciałem dziecka?

- Oczywiście.

- Uważam, że nie. - Zakłopotany i znękany, potarł czoło.

- To okropne tak uważać!

- Brutalna szczerłość. Zatem które z nas dwojga tu udaje? - Spojrzał na nią z niemą prośbą o

wyjaśnienie, ale Kendall zachowała obojętny wyraz twarzy. - W takim razie może wojowaliśmy o pieniądze?

- Nie.

- Seks?

Odwróciła wzrok i potrząsnęła głową.

- Seks - oświadczył, wyciągając wnioski z tego, jak zareagowała.

- Wszystko było pod tym względem między nami w porządku.

- No to chodź tutaj.

- Po co?

- Chodź tutaj - powtórzył cicho i zabrzmiało to zniewalająco.

Gdyby nie ustąpiła, mógłby wziąć jej upór za strach. Może i tak było, ale nie miała zamiaru pozwolić, by odkrył, że się go boi. Obeszła więc stół i stanęła naprzeciwko niego.

- Robisz jakiś test?

- Coś w tym rodzaju. - Nakrył ciepłymi dłońmi jej piersi. Wciągnęła gwałtownie powietrze, a on

wyszeptał: - Zawaliałaś.

To było trudniejsze niż ostatniej nocy, ale wiedziała, że musi wytrwać, jeśli dalej chce się wydawać wiarygodna.

- Po prostu... upłynęło zbyt dużo czasu.

- Ile? - LeCiutko uciskał wnętrzem dłoni jej piersi.

- Od urodzenia się Kevina i jeszcze przedtem.

- To rzeczywiście nie mam się co dziwić.

- Dziwić, czemu?

Gdy ich ciała się zetknęły, stało się dla niej jasne, co miał na myśli. Pochyliwszy głowę musnął jej wargi i Kendall przeszły ciarki. A potem pocałował ją mocno, rozwartymi ustami, pieszcząc czubkiem języka jej język.

- Nie. - Odsunęła się od niego bez tchu.

- Dlaczego? - Jego wargi wędrowały po jej szyi. - Bo jestem nabrzmiała.

- Nabrzmiała?

- No, karmię. - Oderwała od siebie jego ręce i odeszła parę kroków. Zażenowana, dotknęła swoich wilgotnych, pullsujących warg i szyi. Przesunęła dłońmi po mokrych plamach na podkoszulku. - Uważam, że na razie nie powinniśmy... nic robić.

- Z jakiego powodu?

- Sytuacja jest niezręczna.

- Dlaczego?

- Bo przez twoją amnezję jesteśmy sobie właściwie obcy.

- Twierdzisz, że się pobraliśmy.

- Tak.

- I mamy ze sobą dziecko...

- Tak.

- ... ale jesteśmy sobie właściwie obcy. Wy tłumacz mi to, Kendall. A skoro już mowa o tłumaczeniu... - sięgnął ręką za plecy i wyciągnął coś szybkim ruchem zza gumki szorstów - jeszcze i to. - Błyskawicznie przekręciwszy nadgarstek, wycelował w nią rewolwer.

Rozdział czternasty

- Nazywam się Kendall Burnwood. - Położyła teczkę na stole i wyciągnęła rękę na przywitanie.

Włosy kobiety, która siedziała samotnie w pokoju przesłuchań, nie lśniły jak zazwyczaj, a nietuzinkową twarz zeszpeciły siniaki i opuchlizna, niemniej Kendall natychmiast rozpoznała nieznaną z kościoła.

- Wiem, jak się pani nazywa. Jestem Lottie Lynam. _ Kobieta uściśniła podaną sobie dłoń z wyraźną rezerwą.

Kendall zauważyła, że jej ręka jest sucha, nawet odrobinę nie wilgotna, co by świadczyło o zdenerwowaniu. Mówiła równym głosem, spojrzenie miała spokojne. Zważywszy na okoliczności, Kendall spodziewała się nieco żywszych reakcji.

Zdumiewające opanowanie jak na kobietę, która dopiero co zabiła męża.

- Mogę coś dla pani zrobić, pani Lynam?

- Może mnie pani stąd wyciągnąć.

- Właśnie zaczynam nad tym pracować. Co pani powiedziała policjantom, kiedy przyszli panią aresztować?

- Nic.

- To niezwykle ważne, żebym wiedziała, co usłyszeli przesłuchujący panią policjanci, nawet jeśli wydaje się pani, że było to zupełnie nieistotne.

- Nic oprócz tego, że Charlie mnie pobił i zgwałcił i że na wszelkie pytania dotyczące okoliczności, w jakich umarł, odpowiem wyłącznie w obecności adwokata.

- Bardzo dobrze. Świetnie.

- Dużo czasu spędzam przed telewizorem - zauważyła sarkastycznie.

- O której została pani zatrzymana?

- Około czwartej.

- O której panią zbadano?

- Przywieźli mnie od razu tutaj.

Kendall spojrzała na zegarek. Dochodziła siódma.

- Trzymają tu panią od trzech godzin? W pani stanie? Bardzo pani cierpi?

- Trochę boli, ale można wytrzymać.

- Za to ja nie mogę wytrzymać. - Kendall odsunęła z hałasem krzesło, przeszła przez pokój, niecierpliwie otworzyła drzwi i rzuciła: - Moja klientka potrzebuje pomocy lekarza. Kto nas zawiezie do szpitala?

Kiedy przydzielono im samochód policyjny z kierowcą, usiadła na tylnym siedzeniu obok pani Lynam. W milczeniu dojechały do szpitala, gdzie panią Lynam poddano badaniu ginekologicznemu, dokonano opisu uszkodzeń ciała i zrobiono fotografie. Kendall zapewniono, że otrzyma kopie zaraz potem, jak tylko policja dostanie swoje.

Siniaki pani Lynam wyglądały dość przerażająco, ale lekarz zapewnił, że obrażenia są powierzchowne, a sińce same znikną we właściwym czasie. Głębokie zadrapania na barkach,

pierrsiach i udach zasypano środkiem antyseptycznym. Kiedy wróciły do gmachu sądu, Kendall wymogła na personelu, by umożliwiono jej klientce wzięcie prysznic i podano jakiś posiłek, zanim rozpocznie się przesłuchanie.

- Proszę do mnie zadzwonić, kiedy będzie pan gotowy Xpowiedziała oficerowi, którego wyznaczono do tej sprawy. Będę w swoim biurze.

Zanim odeszła, uściśnęła dłoń pani Lynam.

Po dwóch godzinach znowu siedziały w pokoju przesłuchań.

Włosy Lottie Lynam były jeszcze wilgotne, a jej twarz wyglądała świeżo i... niewinnie, pomyślała Kendall. Bez makijażu sprawiała wrażenie młodszej i bezbronnej. Miała na sobie brudnoszary więzienny strój i tanie klapki ze sztucznej skóry.

- Do Char... hm, do ofiary strzelano trzykrotnie - zwrócił się do Kendall policyjny detektyw. - Mamy już zdjęcia z miejsca zbrodni. Nie ogląda się ich z przyjemnością. - Podał jej skoroszyt.

Rzeczywiście dużo tu było jaskrawej czerwieni.

- Jedna kula utkwiała w szyi, druga weszła w czoło, mniej więcej w tym miejscu - pokazał na własnej czaszce. - Trzecia przebiła kość policzkową i wyszła przez skroń po drugiej stronie głowy. Strzelano z bliskiej odległości. Około trzeciej rano. Umarł od razu. We własnym łóżku. - Przeniósł wzrok na Lottie.

Siedziała nieporuszona, z dłońmi splecionymi na podołku.

Jej twarz niczego nie wyrażała. Kendall pomyślała, że jej stoicyzm może bardzo pomóc w czasie rozprawy. Podziękowała policjantowi i zapytała:

- Czy koroner przesłał już protokół autopsji?

- Nie. Zabrał się do pracy dziś rano. Powiedział, że może zdąży do końca dnia.

- Chciałabym prosić o jak najszybsze przesłanie mi kopii.

- Oczywiście, ale znajdzie pani w niej tylko potwierdzenie tego, co właśnie powiedziałem.

Nie wdawała się w dyskusję, zapytała tylko:

- Na podstawie jakich dowodów zatrzymano moją klientkę pod zarzutem popełnienia morderstwa?

Oficer, który do tej pory siedział oparty o ścianę z nogami skrzyżowanymi przed sobą i dłubał w zębach wykałaczką, parsknął rubasznym śmiechem. Wskazał rewolwer, leżący na stole w plastikowej torebce opatrzonej etykietką.

- To jest narzędzie zbrodni. Leżał na podłodze obok łóżka, na którym Charliemu przestrelono głowę. Zdjęto z niego odciski palców Lottie Lynam, a na jej rękach były drobiny prochu. Mogłaby pani znaleźć coś bardziej obciążającego?

- A pan mógłby? - spytała Kendall prowokująco.

- Kiedy weszliśmy do kuchni - podjął relację drugi policjant - Lottie siedziała za stołem popijając czystą whiskey, niewzruszona jak głaz.

- To oczywiście, że pani Lynam musiała się czegoś napić, skoro była w szoku po dokonanej na niej gwałcie.

- Gwałcie?! Charlie był jej mężem. Pobrali się lata temu.

Mamy tu do czynienia z niewątpliwym morderstwem. Łatwo stwierdzić, co się wydarzyło - zaprotestował oficer.

- Tak? - Ton głosu Kendall sprowokował go do spekulacji.

- Charlie wrócił do domu pijany. Nie pasowało to Lottie. Pewnie zaczęła zrzędzić i przyłożył jej trochę. Nie mówię, że miał rację - zastrzegł się pośpiesznie. - Krew ją zalała i kiedy zasnął, zaczęła

do niego strzelać i zabiła go.

- Czy ma pan zeznania świadków? - spytała Kendall.

- Świadków...

- No, kogoś, kto tam był i wszystko widział - wyjaśniła z niewinną miną. - Czy sąsiedzi mogą potwierdzić, że doszło do awantury? Czy ktokolwiek jest w stanie potwierdzić, że pani Lynam była zła na męża i dlatego go zastrzeliła? Poza tym mogła mieć ten rewolwer w ręce setki razy przed wydarzeniami ostatniej nocy.

Obaj mężczyźni wymienili spojrzenia.

- Oni nie mają żadnych sąsiadów - przyznał oficer niechętnie. - Mieszkają na uboczu.

- Rozumiem. Czyli nikt nie słyszał, by kłótnia, o której pan mówił, miała rzeczywiście miejsce?

Nikt też nie był świadkiem morderstwa?

Policjant wypluł wykałaczkę i odepchnął się od ściany. - Nikt też nie był świadkiem gwałtu.

Kendall podziękowała obydwu i poprosiła, by ją zostawili samą z klientką. Kiedy wyszli, Lottie wreszcie się odezwała: - Było mniej więcej tak, jak mówili.

Kendall właśnie tego się obawiała, ale nie zdradziła się ze swoimi uczuciami.

- Jest pewne, że opierając się na dowodach rzeczowych, jakie zgromadzili, oskarżą panią o morderstwo. Niezależnie od popisu, jaki tu urządziłam, obie dobrze wiemy, że nacisnęła pani spust tego rewolweru i zabiła męża. Nie jest pani niewinna, fakt. Niemniej o winie orzeka sąd. Moje zadanie polega na tym, aby uwypuklić i wykorzystać wszelkie fakty waszego małżeńskiego pożycia, które umniejszą pani winę. Zanim znajdziemy się na sali sądowej, muszę dowiedzieć - się czegoś więcej o pani małżeństwie. Nie wolno zaskakiwać własnego adwokata na sali rozpraw. Dlatego z góry panią przepraszam za grzebanie się w pani osobistych sprawach. To bardzo nieprzyjemna, ale konieczna część mojej pracy.

Lottie wyraźnie nie zachwyciła ta konieczność, ale skinęła głową. Zaczęły od jej życiorysu.

Urodziła się w Prosper jako najmłodsza z piątki dzieci. Rodzice już nie żyli; rodzeństwo rozproszyło się po świecie. Lottie skończyła szkołę, przez rok uczęszczała do college'u, a potem podjęła pracę sekretarki w firmie ubezpieczeniowej. Charlie Lynam był akwizytorem sprzedającym artykuły biurowe.

- Przyszedł kiedyś do mojej firmy, zaczął ze mną flirtować, a potem zaproponował, byśmy spotkali się poza biurem. - Powiadała Lottie. - Najpierw mu odmówiłam, ale w końcu się poddałam i widywaliśmy się, ilekroć przyjeżdżał do Prosper. Jedno prowadzi do drugiego...

Byli małżeństwem siedem lat. Nie mieli dzieci.

- Nie mogłam. Usunięto mi wyrostek robaczkowy, gdy byłam jeszcze nastolatką. Wdała się infekcja i w rezultacie stałam się bezpłodna.

Życie Lottie Lynam trudno było nazwać pełnym treści. Ale im dłużej mówiła, tym większą sympatię czuła do niej Kendall i w końcu musiała samej sobie przypominać, że powinna zachować profesjonalny dystans wobec klientki. Bardzo chciała pomóc tej kobiecie, która uciekła się do tak desperackiego czynu, by obronić się przed brutalnością męża.

- Zebrałam trochę danych, gdy pani jadła śniadanie i brała prysznic. - Kendall otworzyła skoroszyt. - W ciągu ostatnich trzech lat wzywała pani do domu policję siedem razy. - Spojrzała na swoją klientkę. - Zgadza się?

- Skoro pani tak mówi... Straciłam rachubę.

- Dwukrotnie panią hospitalizowano. Raz miała pani złamane żebra, drugi oparzenia na pośladkach. Co to były za oparzenia, pani Lynam?

- Naznaczył mnie moją własną lokówką - odparła z godnym podziwu spokojem. - Miałam dużo

szczęścia. Próbował... wypalić mnie od środka, żebym już raz na zawsze należała wyłącznie do niego, jak powiedział.

Po raz kolejny Kendall przypomniła sobie, że ma się skoncentrować na faktach. Nie wolno jej ulegać współczuciu.

- Był zazdrosny?

- Jak szaleniec. O każdego, kto nosił spodnie. Cokolwiek robiłam, dokądkolwiek poszłam, zawsze oskarżał mnie o chęć zwrócenia na siebie uwagi mężczyzn. Chciał, żebym dobrze wyglądała, ale kiedy rzeczywiście się postarałam, wpadał w furję, ledwie jakiś mężczyzna na mnie spojrział.

Upijał się i bił mnie.

- Czy kiedykolwiek groził, że panią zabije?

- Tyle razy, że nie potrafiłabym zliczyć.

- Proszę przypomnieć sobie te momenty, gdy ktoś mógł go słyszeć. Rozmawiała pani z kimś o jego brutalnym zachowaniu? Z pastorem? Adwokatem z Sądu Rodzinnego?

Lottie potrząsnęła przecząco głową.

- Byłoby to niezwykle pomocne, gdyby ktoś potwierdził, jak bardzo bała się pani jego ataków szału, w czasie których mógł panią zabić. Z nikim o tym pani nie rozmawiała?

- Nie - odpowiedziała po chwili wahania.

- No dobrze. Co się wydarzyło ostatniej nocy, pani Lynam?

- Charlie był w podróży przez wiele dni. Wrócił do domu zmęczony i wściekły. Zaczął pić i wkrótce się upił. Wpadł w szal i zaczął rozrzucać to, co mu przygotowałam na obiad. Ciskał jedzeniem o ściany. Porozbijał talerze...

- Policjanci widzieli ten bałagan?

- Nie, wszystko posprzątałam.

Niedobrze, pomyślała Kendall. Dowód na to, że Charlie ogarnął szal, byłby bardzo pomocny w sprawie.

- Proszę opowiadać dalej - zachęciła ją.

- Wypadł jak burza z domu i nie było go przez kilka godzin. Wrócił około północy jeszcze bardziej pijany i w jeszcze gorszym nastroju. Nie chciałam iść z nim do łóżka, więc tak mnie potraktował - pokazała na posiniaczoną twarz. - Myślałam, że w świetle prawa to jest gwałt, jeśli kobieta mówi „nie”.

- I jest. Jak rozumiem, dzisiejszej nocy dała pani jasno do zrozumienia, że nie ma ochoty na seks, tak?

Kiwnęła głową.

- Zmusił mnie. Rzucił na łóżko i złapał ręką za gardło, a potem zdarł ze mnie majtki. Bolało.

Wiem, że właśnie tego chciał.

- Pobrali próbki zza pani paznokci w szpitalu. Znajdą jego naskórek? Dowód, że pani walczyła?

- Powinni. Podrapałam go jak kocica. Kiedy skończył, okraczył mnie, przeklinał najgorszymi wyrazami i groził, że zabije.

- Jak dokładnie brzmiały jego słowa?

- Wyjął z szuflady nocnego stolika rewolwer, wetknął mi lufę między zęby i zagroził, że odstrzeli mi moją pieprzoną głowę. Powinien był mnie wtedy zabić, zanim zapadł w sen... Długo leżałam, znużona i obolała, zbyt przestraszona, by się poruszyć. Wiedziałam, że dopóki śpi, jestem bezpieczna. Ale co będzie, kiedy się obudzi? Dlatego właśnie postanowiłam zabić go, nim on się na to zdecyduje.

- Patrząc Kendall prosto w oczy, wyznała: - Podniosłam rewolwer i strzeliłam mu trzykrotnie w głowę. Tak, jak powiedzieli. Nie żałuję tego. Prędzej czy później by mnie zamordował. Moje życie

nie jest czymś wspianiałym, ale nie chciałam umierać.

Wróciwszy do biura, Kendall zapatrzyła się w krople deszczu uderzające o szyby jak drobiny śrutu.

- Niesamowite - zamruczała.

Kiedy rankiem wchodziła do sądu, Bama przepowiedział deszcz.

- Jeszcze przed zmierzchem - oświadczył żebrak, kiwając rozważnie głową.

- Nie widzę ani jednej chmurki. - Kendall z powątpiewaniem popatrzyła na czyste niebo nad głową. - Jesteś pewien? - Burza przed zachodem słońca. Niech pani zapamięta moje słowa.

Miał rację. Grzmoty piorunów budziły echa daleko w górach, osnutych mgłą i skrytych wśród nisko wiszących chmur. Kendall ogarnęło niejasne przeczucie czegoś złego. Wzruszywszy ramionami, oddzwoniła do tych, którzy nagrali się na automatyczną sekretarkę, a potem zabrała do otwierania korespondencji. W porannej poczcie znalazła kolejny list od Crooków, pełen oskarżeń i niedwuznacznych gróźb, okraszonych straszliwymi błędami ortograficznymi. Piąty od czasu wypadku Billy'ego Joe, ale bynajmniej nie najgorszy. W kilka dni po tym, jak urwało mu ramię, otrzymała paczkę ze zdechłym szczurem w środku.

Wiadomość rozprzestrzeniła się po gmachu sądu lotem błyskawicy. Dotarła też do redakcji gazety, mieszczącej się dwie przecznice dalej. Natychmiast pojawił się u niej Matt, pytając, czy to prawda.

Kiedy mu pokazała woniejący nieprzyjemnie dowód rzeczowy, chciał natychmiast zwołać członków straży obywatelskiej, by puścili się w pogoń za bliźniakami i każdym, kto nosi nazwisko Crook. Gibb, któremu do tego czasu również przeekazano tę rewelację, oczywiście poparł syna. Kendall ledwie na nich wymogła, by nic nie robili.

- To, co spotkało Billy'ego Joe, wytrąciło ich z równowagi.

Do pewnego stopnia nawet im współczuję.

- Współczujesz?! - krzyknął Matt. - Zrobiłaś co mogłaś dla gówniarza! To zwyczajny złodziejaszek!

- Nawet jak na takie męty podobne próby zastraszenia są nie do przyjęcia - oświadczył Gibb. - Gangsterskie metody; trzeba je wyplenić raz na zawsze.

- To prymitywni ludzie - przyznała im rację, próbując ich uspokoić.

- Ostrzegalem tych białych śmieci, żeby nie ważyli się ciebie skrzywdzić... - Matt urwał.

- I nie skrzywdzili. Jeśli się im odwzajemnimy czymś podobnym, zniżymy się do ich poziomu.

Matt, Gibb, proszę, nie działajmy pochopnie. To mi przyniesie więcej szkody niż cokolwiek, co mogliby zrobić bracia Crook. Muszę się zachowywać jak na profesjonalistkę przystało, i jestem przekonana, że poowinnam to zignorować.

Udało jej się w końcu ich pohamować i uzyskać obietnicę, że nie podejmą akcji odwetowej. Zważywszy na ich reakcję, zataiła fakt podjęcia przez Crooków następnych prób przesłania jej wiadomości. Powiedziała na przykład Mattowi, że przednią szybę w jej samochodzie rozbił odłamek skalny, który wyprysnął spod kół ciężarówki. W rzeczywistości stało się to pewnego wieczoru, gdy wracała z sądu. Zobaczyła wybitą szybę i kamień owinięty niecenzuralnie sformułowanym przesłaniem.

Nie zniszczyła przysyłanych do biura listów; mogły stanowić dowód rzeczowy, trzymała je więc w zamykanej szafie na akta. Wpięła ostatni do skoroszytu i skoncentrowała się na przypadku Lottie Lynam. Wiedziała, że ta sprawa zdominuje jej rozkład zajęć na najbliższe miesiące.

Jak się spodziewała, Dabney Gorn przyszedł się z nią zobaaczyć po południu. Zaczął rozmowę

prorokując:

- No, będziemy mieli tutaj niezłe zamieszanie.

- Naprawdę? - spytała niewinnie Kendall. - Dostajemy wreszcie nową windę? Ta, którą mamy, jest tak rozklekotana, że zawsze chodzę schodami.

Zachichotał, chcąc wyrazić, że docenia jej dowcip.

- Ten numer nie przejdzie, pani Burnwood. Wpakowała się pani w ciężką sprawę.

- To prawda. Ale lubię pokazać pazury przy okazji czegoś tak odrażającego jak naruszenie nietykalności osobistej i gwałt.

- A co z morderstwem?

- Morderstwem? - Zabrzmiało to tak, jakby wprawił ją tym pytaniem w zdumienie. - Mówimy o tym samym przyypadku?

- Sprawa Lottie Lynam.

- Kwalifikuje pan to jako morderstwo? Nie wiem, co powiedzieć.

- Dostała pani te same protokoły co ja.

- W takim razie jakim sposobem przeoczył pan zdjęcia, które zrobiono pani Lynam w szpitalu? Albo akta dotyczące jej poprzednich pobytów w szpitalu czy też raporty dokumentujące policyjne interwencje z powodu burzliwych awantur w ich domu?

- Wszystko to tylko podtrzymuje moją tezę, że Lottie działała z rozmysłem - oświadczył. - Miała wszelkie powody, by popełnić zarzucany jej czyn, i wiele czasu, by to przemyśleć. Zostanie oskarżona o morderstwo z premedytacją. Miała pani nadzieję na zabójstwo w afekcie? Nic z tego. Pani klientka przemyślała nad tym od dawna, zanim ostatecznie zdecydowała się zaciukać Charliego.

- Jeszcze trzeba to udowodnić i pan dobrze o tym wie, panie prokuratorze. Nie namyślając się wiele mogę sformułować setki argumentów podważających pańską tezę.

- No dobrze, pani mecenas. Przestańmy owijać rzeczy w bawełnę - oświadczył po sekundzie namysłu. - Charlie Lynam, ofiara zbrodni, nie budzi zbyt dużej sympatii. Wszyscy wiedzą, że pił za dużo i regularnie spuszczał Lottie manto. Proponuję oszczędzić pieniądze podatników i nasz czas.

- Jak brzmi najkorzystniejsza dla mojej klientki propozycja? - spytała, nie wdając się w dłuższe korowody.

- Doradzi pani Lottie przyznanie się do nieumyślnego dokonania zabójstwa. Dostanie jakieś dwadzieścia lat, a odsiedzi najwyżej osiem.

- Dziękuję, ale nie. Moja klientka jest niewinna.

- Niewinna? - W jego głosie brzmiała konsternacja. - Wnosi pani o uniewinnienie?

- Właśnie to zamierzam zrobić.

- Jaką przyjmie pani linię obrony? Niepoczytalność?

- Lottie Lynam jest całkowicie świadoma swoich czynów.

Zdawała sobie sprawę, co musi uczynić, by ocalić życie. Deesperacki czyn, przyznaję, ale zabiła męża w akcie samoobrony.

Rozdział piętnasty

- Panie Pepperdyne!

- Tutaj! - odkrzyknął.

Młody agent wpadł do małej kuchni. Pepperdyne podniósł oczy znad rozrzuconych na stole domowych rachunków Kendall Burnwood, które uważnie przeglądał.

- Coś ciekawego?

- Tak, panie Pepperdyne. Właśnie znaleźliśmy to w sypialni. Było przyklejone taśmą do spodu szuflady w komodzie.

Pepperdyne wziął plik papierów z rąk podekscytowanego agenta i zaczął czytać. Jego podwładny, zbyt spięty, by usiąść spokojnie, przemierzał wąską przestrzeń między stołem a kuuchenką.

- Zwłaszcza ta sprawa z kaznodzieją... tym Bobem Whittakerem, jest interesująca - odważył się powiedzieć. - Nie wiedzieliśmy, że nie ukończył seminarium, a właściwie został poproszony o jego opuszczenie z powodu nadzwyczaj ortodoksyjnych poglądów.

- Nie, nie wiedzieliśmy - przyznał sucho Pepperdyne.

- Ale pani Burnwood, tak. Wszystko ma udokumentowane.

- Hmm. Nasza pani Burnwood musiała być cholernie zaapracowana.

- Ma pan tu też pełne dossier prokuratora okręgowego z Prosper. Już pan do tego doszedł?

- Nie. Proszę mi pokrótce zreferować.

- Został skreślony z listy adwokatów w Luizjanie i zaraz potem przeniósł się do Karoliny Południowej, a w parę lat później wybrano go na prokuratora okręgowego hrabstwa Prosper. Śmierdząca sprawa, żeby nie powiedzieć więcej. Jeszcze lepiej prezentuje się dossier sędziego. Bankierzy, kuratorzy szkolni, administracja, niech pan wymieni kogokolwiek ze znaczniejszych członków tej społeczności, a znajdzie go tu pan, rozpracowanego, ze skazą na życiorysie, i to głęboką. Wszystko tu pan ma.

Pepperdyne był pod wrażeniem: Kendall Burnwood przeeprowadziła niezwykle intensywne poszukiwania, a wyniki zaaćmiewały niekiedy to, co oni odkryli.

- Ile to jej musiało zabrać czasu, taka rozległa penetracja - zauważył młody agent. - Jest naprawdę sprytna.

- O tak, sprytna jest szalenie - zgodził się Pepperrdyne. - I śliska jak glut z nosa.

- To już dwa tygodnie, odkąd zniknęli ze szpitala i ani śladu po nich.

- Wiem, ile czasu minęło!- warknął Pepperdyne, zrywając się tak gwałtownie na równe nogi, że omal nie wyrócił małego kuchennego stołu.

Ton jego głosu sprawił, że agent umknął, mruczając pod nosem coś o potrzebie dokładniejszego przeszukania sypialni.

Pepperdyne podszedł do zlewozmywaka. Na parapecie okiennym rachityczny bluszcz mężnie toczył walkę o przetrwanie, nie zważając na brak wody. W ceramicznym wazonie stał kwiat słonecznika, a zasłony okienne przytrzymały po bokach ozdoby również w kształcie kwiatów słonecznika. Pepperdyne przyłapał się na tym, że wodzi po jednej z nich palcem, uśmiechając się lekko. To własność porywaczki, poowiedział sobie, odrywając dłoń. No, ale może nie morderczyni. Sekcja zwłok pasażerki samochodu, który znaleziono w Georrgii, udowodniła, że zgon nastąpił na skutek uderzenia, a nie utonięcia. Pani Burnwood nie była morderczynią. W każdym razie do tej pory.

Agent specjalny zapatrzył się w okno, rozmyślając nad tym, co właśnie odkryli na temat Kendall Burnwood i mieszkańców miasteczka Prosper w Karolinie Południowej. Im więcej wieedział, tym mniej rozumiał. Odpowiedzi na pytania rodziły następne pytania, jeszcze bardziej skomplikowane i alarmujące. A im dłużej tamtych troje pozostawało w ukryciu, tym bardziej stygł ślad. Zakławszy cicho, zabębnił pięścią w okno.

Gdzie się podziewasz, dziewczyno? I co z nim zrobiłaś?

Odezwał się zawieszony na ścianie telefon. Pepperdyne rzucił się w tę stronę i utkwiał wzrok w aparacie. Znowu zadzwonił. Istniała słaba szansa, że ktoś telefonuje do Kendall Burnwood, ktoś, kto mógłby naprowadzić ich na trop. Nie chciał tego kogoś wystraszyć. Ze ściśniętym żołądkiem

podniósł słuchawkę i ostrożnie powiedział:

- Halo.
- Pan Pepperdyne?
- Przy telefonie. - Rozluźnił się.
- Mówi Rowlins. Mamy coś.

Żołądek Pepperdyne'a skurczył się znowu, kiedy skojarzył nazwisko agenta; był to jeden z tych, których zostawił w Steephensville.

- Tak, słucham.
- Znaleźliśmy faceta, który twierdzi, że sprzedał Kendall Burnwood samochód. Rozpoznał ją na zdjęciu.
- To pewne?
- Całkowicie.
- Gdzie się, do cholery, do tej pory podziewał?
- U wnuków na Florydzie. Za pieniądze od pani Burnwood kupił bilet do Miami i zafundował

sobie pierwszy lot w życiu.

- Płaciła gotówką?
- Tak twierdzi.

Niedobrze. Żadnych śladów w bankach. Nie liczył wprawdzie zbyt na jej beztroskę, ale nigdy nie wiadomo.

- Nie było go w mieście, kiedy przeszukiwaliśmy wszystkie domy. Wrócił ubiegłej nocy i od razu zabrał się do przeglądania lokalnych wiadomości, żeby się zorientować co nowego. Wtedy właśnie zobaczył jej zdjęcie w gazecie. Przeczytał artykuł i zaadzwoił do nas.

- Nadaj komunikat, niech szukają tego samochodu.
- Już to zrobiłem, proszę pana.
- To dobrze. Nie spuszczaaj również oka z tego faceta. Zaraz do was wyjeżdżam.

Rozdział szesnasty

Niech one przestaną! Zrób coś! Nie wytrzymam tego! Niech przestaną, niech przestaną, niech przestaną! Jezu! Nie! Boże!

Obudził go własny krzyk. Usiadł w łóżku i toczył wokół dzikim wzrokiem. Ręka bezwiednie powędrowała pod materac, pod którym schował broń.

- Nie ma go tam.

Głos Kendall. Słyszał ją, ale jej nie widział.

- Zabrałam go i schowałam w takie miejsce, że tym razem nie znajdziesz.

Poruszył głową, by otrząsnąć się z resztek snu i przeszukał wzrokiem pokój. Zlokalizował ją w końcu: leżała na podłodze przy łóżku.

- Co się stało? Co ty robisz na podłodze?

- No, tutaj wylądowałam, kiedy mnie strąciłeś z łóżka. Śnił ci się jakiś koszmar, więc próbowałam cię obudzić i wtedy dostałam sójkę w bok.

- Nic ci nie zrobiłem?
- Nie - odpowiedziała, podnosząc się z podłogi.

Był zlany potem, a jego serce uderzało jak po wielkim biegu. Czuł się bardzo słaby i zupełnie wytracony z równowagi. Uniósł kolano zdrowej nogi i oparł na nim czoło.

- To musiało być coś przerażającego - zauważyła. _ Zapamiętałeś ten sen?
- Na szczęście nie - odparł podnosząc głowę. - Ale cholernie się wystraszyłem.
- Cały ociekasz potem. Przyniosę myjkę.

Kiedy wyszła, wstał, podszedł do okna i usiadł na twardym krześle. Uniósł stopy i ku swemu rozczarowaniu stwierdził, że dzień nadal jest tak samo nieciekawym i sennym jak przedtem, kiedy poddał się panującemu wokół letargowi i zapadł w drzemkę. Dwa tygodnie temu skończyły się ulewne deszcze i nastąpiły upały, które kompletnie pozbawiały energii.

Obejrzał się przez ramię i popatrzył na zmięte, przesiąknięte potem prześcieradła.

- Przykro mi, że ci sprawiłem kłopot - powiedział, gdy Kendall wróciła do pokoju.

- Żaden kłopot zmienić pościel. - Po chwili wahania dodała: - Nie pierwszy raz miałeś ten koszmar.

- Nie?

- Nie. Tylko tym razem było gorzej niż zwykle. Czujesz się już trochę lepiej?

Skinął głową i z wdzięcznością przyjął szklankę lemoniady, którą przyniosła na tacy. Ręka mu drżała. Pociągnął kilka głębokich łyków oziębionego napoju, a potem przesunął zimnym szkłem po czole.

Zdumiał się, poczuwszy chłodną myjkę na karku. Zwykle trzymała się z daleka, pilnując się bardzo, by go nie dotknąć. Przesunęła ściereczkę po jego ramionach, bokach i wzdłuż kręgosłupa do pasa, gdzie zebrało się sporo potu. Miękka myjka, delikatnie przesuwana po ciele, chłodziła rozkosznie i niosła ulgę.

Pomyślał o tym, jak troskliwie zajmowała się dzieckiem.

Kimkolwiek była, matka z niej wspaniała. Łagodna. Umiejąca dawać. Uważna. Kochająca. Zachwycała w tej roli. Widok niemowlęcia wywoływał na jej wargach niewymuszony, naturalny uśmiech, rozjaśniający całą twarz. Obserwował ją, kiedy nie była tego świadoma. Czasami niemal zazdrościł dziecku. Nie pamiętał oczywiście swego dzieciństwa, ale wątpił, by kiedykolwiek kochano go tak całkowicie i szczerze, zarówno jako dziecko, jak i dorosłego.

Wątpił też, by sam był zdolny kochać inną ludzką istotę tak bardzo bez zastrzeżeń i nieegoistycznie. To go niepokoiło.

- Lepiej? - Położyła mu na karku myjkę.

- Tak. Dzięki. - Sięgnął spontanicznie do tyłu i przykrył jej dłoń. Przytrzymał kompres na karku przez jakiś czas, więżąc jej rękę. - O wiele lepiej.

- To dobrze.

Odsunął w końcu dłoń, a ona wycofała swoją. Wytarł myjką piersi i brzuch; poczuł żal, że skóra na nim nie jest bardziej napięta, młodsza. Złapał spojrzenie Kendall, ale natychmiast odwróciła wzrok. Odezwali się oboje jednocześnie:

- Przyniosłam...

- Po co to...?

- Dowiesz się za chwilę - odpowiedziała. - Na razie dam ci trochę czasu na dojście do siebie.

Usiadła na brzegu łóżka i splotła ręce na podołku. Chodziła w szortach i miała opalone nogi. Chyba goliła je regularnie po kąpieli, bo zawsze wyglądały na jedwabście gładkie. Właśnie: wyglądały. Nie mógł tego stwierdzić, bo nie dotknął jej od tamtego poranka, gdy ją pocałował. Ustanowiła zasadę „ręce z daleka”, więc przekonywał sam siebie, że w porządku, niech to będzie tabu. Skoro jej to odpowiada, jemu też z tym dobrze.

Ale nie było dobrze. Cały czas trawiło go pożądanie. Żył obok niej jako jej mąż, a musiał zachowywać się jak człowiek obcy i z każdym dniem coraz więcej go to kosztowało. Oderwał wzrok od jej małych, wąskich stóp.

Boże, kim jest ta kobieta?!

Od czego ucieka? Bo uciekała. Mogła sobie zaprzeczać do dnia Sądu Ostatecznego, on i tak

wiedział, że poza czterema ścianami tego domu czyha coś, co ją przeraża. Każdej nocy kilkakrotnie wstawiała z łóżka, podchodziła na palcach do okna i wyglądała na podwórze. Czego wypatrywała? Zawsze udawał uśpionego podczas tych jej nocnych wycieczek, ale był ich doskonale świadom. I straszliwie denerwowało go, że nie zna powodów tej czujności. Dlaczego mu nie ufała, nie poozwalała sobie pomóc? Przypuszczał, że jest po części przyczyną jej kłopotów. Była to bardzo stresująca świadomość, a mogła przecież rozproszyć jego obawy, udzielając kilku prostych, uczciwych odpowiedzi. Spał przy jej boku przez wszystkie dłużące się noce w ciągu ostatnich dwóch tygodni, a jednak nie zdobył jej zaufania.

Słuchał, jak oddycha, gdy śpi, a mimo to nie wiedział o niej nic. Rozpoznałby jej zapach, dźwięk głosu, ale nie należała do niego, choć oddałby za to życie.

- Jak znalazłaś rewolwer?

- Niewiele jest dostępnych dla poruszającego się o kulach mężczyzny miejsc, w których mógłby coś ukryć.

Pierwszego ranka, kiedy tu przyjechali, ona przetrząsnęła kuchnię, a on jej rzeczy. Wtedy właśnie odkrył pod pieluszkami rewolwer; ostatnie miejsce, w którym można się spodziewać broni. Było to potwierdzenie tego, co wiedział od początku: kłamała jak z nut. Sytuacja nie wyglądała tak niewinnie, jak to usiłowała przedstawiać.

Oczywiście ogromnie się zdenerwowała, zobaczywszy go z rewolwerem w ręce. Powiedziała, że go zwędził, i oskarżyła o wtykanie nosa w cudze sprawy, z czym się zgodził. Ale gdy zażądała, by go oddał, roześmiał się jej w nos.

Co prawda, to jednak ona śmiała się ostatnia, ponieważ schowała naboje gdzieś indziej, nie w pieluszkach i broń stała się bezużyteczna. A jednak samo jej posiadanie dawało mu fałszywe poczucie siły. I co najbardziej zdumiewające, świetnie się z nią czuł. Trzymał rewolwer w dłoni w niepokojąco naturalny sposób, a jego ciężar wydawał się znajomy. Ani cienia niezręczności w obchodzeniu się z bronią; budziła w nim reespekt, ale nie strach. I chociaż nie miał nabojów, był pewien, że procedura załadowywania i strzelanie też nie mają dla niego tajemnic. Zaczął się zastanawiać, skąd to obycie. Próbował sobie przypomnieć, czy i kiedy posługiwał się rewolwerem, ale pamięć niczego mu nie podsuwała. Mimo to ów przedmiot mógł wydobyć jakiś błysk przypomnienia z przeszłości, toteż złościł się, że już go nie ma.

- Jeszcze go znajdę - oświadczył.

- Nie tym razem.

- Będę szukał do skutku.

- Nic z tego.

- Czyj on jest?

- Mój.

- Karmiące matki rzadko noszą ze sobą rewolwery, Kendall. Na co ci on? Potrzebny ci był, żeby mnie porwać? Wiązisz mnie dla okupu?

Roześmiała się.

- A ile myślisz, że jesteś wart? Czujesz się bogaczem? Zastanawiał się przez chwilę, a potem z kwaśną miną potrząsnął głową.

- Nie.

- Przypomnij sobie, jak nalegałeś, żeby ze mną pójść. Nie wyszedłeś ze szpitala wbrew swojej woli.

Fakt. Mógł odłożyć do lamusa teorię o porwaniu i okupie.

- Ukryłaś rewolwer razem z kluczami od samochodu?

- Po co szukałeś kluczyków?
- Po co je chowałaś?
- Nawet gdybym ci podsunęła samochód na złotej tacy, co byś z nim zrobił? Jak byś prowadził?
- Jestem cholernie pewien, że bym spróbował.
- Zostawiłbyś mnie tutaj uwięzioną z Kevinem?
- A ty? - zapytał. - Tylko czekasz na pierwszą okazję, jaka ci się nawinie, żeby mnie zostawić.
- Zanim odejdę, muszę coś zrobić - oświadczyła uszczypliwie. - Lepiej, jeśli się z tym od razu uporam. - Wstała i sięgnęła po tacę, którą postawiła na nocnym stoliku.

Podejrzliwie przyjrzał się plastikowej buteleczce z alkoholem do dezynfekcji, maleńkim nożyczkom i pęsetce.

- Uporać się z czym?
- Zamierzam usunąć ci szwy.
- Wykluczone.
- To nic takiego.
- Łatwo ci mówić. Nie ty je masz. Dlaczego nie jedziemy do lekarza?
- Bo nie ma powodu. - Zwilżyła kwadracik gazy alkoholem. - Trzeba je przeciąć i wyciągnąć.

Widziałam, jak się to robi.

- A ja widziałem operację na otwartym sercu. Co nie znaczy, że umiałbym ją przeprowadzić.
- Gdzie ją widziałeś?

- Tak tylko powiedziałem. - Machnął ręką w kierunku tacy. - Zabierz to całe oprzyrządowanie.

Nie zbliżysz się do mnie z nożyczkami w ręce. Skąd mam wiedzieć, że nie wbijesz mi ich w tętnicę szyjną?

- Gdybym miała taki zamiar, zrealizowałabym go, kiedy spałeś, i to dużo wcześniej.

No tak. Chciała się go pozbyć, ale morderstwo nie leżało w jej planach - a może tylko tak mu się wydawało.

- Przestań się pieścić i pochyl głowę. - Wyciągnęła rękę, ale ją pochwycił.
- Naprawdę wiesz, co robisz?
- Zaufaj mi.
- Nie w tym życiu.

Podniosła oczy ku niebu.

- Zostało ledwie parę szwów. Reszta już dawno się rozpuściła.

Skąd tyle o tym wiesz?

- Lekarz mi powiedział. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Nie będzie bolało. Przysięgam. Rana jest zagojona.

Musiało to być prawdą, bo już od paru dni nic mu nie dokuczało; znikł ból głowy, mógł umyć włosy, skóra wokół szwów ani pod nimi nie była już tak wrażliwa. Okrągłe wygoloone miejsce na głowie zaczynało porastać szczecinką kłujących włosów i swędziało jak jasna cholera. Niechętnie puścił jej ramię.

- No dobrze. Ale jeśli zaczniesz boleć...
- To przestanę.

Położyła mu dłoń na policzku i przechyliła głowę. Przemyła nasączonym alkoholem tamponem skórę w okolicy szwów. - Trzymaj sztywno szyję - powiedziała, odkładając gazę na bok i podnosząc parę nożyczek do manikiuru.

Zrobiła to bardzo delikatnie. Gdyby nie usłyszał cichego szczęku nożyczek, nawet by się nie zorientował, kiedy przecięła pierwszy szew. Inna rzecz, że był znieczulony bodźcami silniejszymi

niż ból - czuł jej oddech na włosach, jej udo dotykało jego uda, pierś była dręcząco blisko jego twarzy. Może źle zrobił, decydując się ją sprowokować. Ale wtedy wydawało mu się to znakomitym pomysłem: całkowicie bezpiecznym testem na jej bajeczkę o małżeństwie. Teraz zaczął się obawiać, że popełnił błąd; najwyraźniej bardziej poruszyło to jego niż ją. Ilekroć jej piersi zakółsały się pod koszulą nocną czy podkoszulkiem, przed oczami stawał mu obraz jak z erotycznego marzenia sennego.

- Dobrze się czujesz? - zapytała nieoczekiwanie.

- Tak, dobrze.

- Noga ci nie dokucza?

- Nie.

- To o co chodzi?

- O nic.

- Więc się nie niecierpliw. Nie mogę tego robić, gdy się wiercisz.

- Skończ wreszcie, dobrze? - powiedział kłótliwie. Odłożyła nożyczki i wzięła pęsetkę.

- Może cię troszeczkę...

- Ouu!

Szarpnięcie.

- Ouu!!

Odstąpiła krok do tyłu i położyła ręce na biodrach; podkoszulek opiął się na piersiach, uwydatniając ich kształt.

- Może chcesz sam to zrobić?

Chcę ciebie, zawyło mu coś w mózgu. - Powiedz tylko, a przestanę.

- Skoro już tyle zrobiłaś, wyciągnij te pieprzone nici!

Kiedy skończyła, zaczęła delikatnie tamponować skórę gaazikiem. Piekło trochę, ale się nie skarżył.

- Będiesz jak nowy, gdy tylko ci włosy odrosną - stwierdziła, dotykając po raz ostatni jego głowy wilgotnym gazikiem. - Nie całkiem.

- Myślisz o amnezji? Żadnych przebłysków pamięci?

- Nie udawaj rozczarowanej. Wolisz, żebym nie pamiętał, prawda?

- Oczywiście, że nieprawda.

- Więc czemu mi w ogóle nie pomagasz? Jesteś okropnie skąpa w udzielaniu informacji. - Lekarz powiedział...

- Lekarz powiedział, lekarz powiedział - przedrzeźnił ją nieprzyjemnym tonem. - Sama mówiłaś, że nie ufasz ani odrobinę temu oślizłemu kutasowi z lekką gadką, ale cholernie łatwo przychodzi ci go cytować, kiedy ci to dogadza.

- Lekarz powiedział, żebym nie przeciążała twojej pamięci zbyt wieloma informacjami.

Sprawiała wrażenie nieporuszonej jego opryskliwością ani wulgarnym językiem. Czy coś ją w ogóle mogło poruszyć? Opanowany ton głosu i cierpliwość nie uspokoiły go, wręcz jeszcze bardziej wzburzyły było mieć o to do mej pretensję. A jednak właśnie słowo „strach” najlepiej oddawało to, co czuł za każdym razem, gdy zbliżał się do dziecka. Przyglądała mu się z ciekawością, musiał więc coś wymyślić. - Denerwuje mnie, kiedy słyszę, jak kwilą albo płaczą.

Na samą myśl o płaczącym dziecku krople potu wystąpiły mu na twarz. Powróciło słabe wspomnienie nocnego koszmaru, ale tym razem nie odsunął go; zamknąwszy oczy, spróbował je uchwycić. Zobaczył coś, co mu przedtem umknęło: chciał w swoim śnie, by dzieci przestały płakać. Teraz nagle zrozumiał, że cisza była równie straszna jak płacz. Ich nagłe zamilknięcie oznaczało

śmierć. Był tego pewien. I z jakiegoś powodu był za nią odpowiedzialny. Jezus!

Minęło sporo czasu, nim otworzył oczy. Czuł ogromne fizyczne zmęczenie, był roztrzęsiony i wypalony psychicznie.

Nie poruszyła się. Stała przy nim, obserwując go z mieszaniną troski i lęku.

- Czy w Stephenville chciałaś się ode mnie uwolnić z powodu małego? - zapytał. - Co mu zrobiłem?

- Nic.

- Kendall, nie kłam. Mam uraz wobec małych dzieci i nie wiem dlaczego. Jeśli nie jestem ohydny sukinsynem, musi być jakiś tego powód. Jaki?

- Nie wiem.

- Powiedz mi.

- Nie wiem!!! Nie wiem!!!

Rozdział siedemnasty

Jestem w ciąży!

Usiłując powściągnąć nieco swoją radość, Kendall mocniej ujęła kierownicę. Kiedy szła po ulicy, śmiała się głośno sama do siebie. Gdyby ktoś ją mijał, mógłby pomyśleć, że oszalała, ale za bardzo była szczęśliwa, żeby się tym przejmować.

Matt z pewnością niczego nie podejrzewał. Nic w tym niezwyczajnego, że wyszła z domu niemal o świcie. Często przychodziła do biura przed oficjalną godziną rozpoczęcia pracy, aby trochę w spokoju popracować. Tego ranka pojechała jednak do gabinetu ginekologa. Wolała poczekać z przekazaniem tej rewelacji Mattowi do czasu, gdy lekarz potwierdzi, że upragniony potomek Burnwoodów został poczęty.

Wymogła na doktorze i jego personelu zachowanie tajemnicy. Wieści rozchodziły się po Prosper zbyt szybko, a nie chciała, by Matt dowiedział się o tym od kogoś innego, zanim ona będzie miała okazję mu powiedzieć. Może podczas lunchu? Tak, zadzwoni i umówi się z nim gdzieś na mieście. Albo lepiej poczeka do wieczora. Zjedzą obiad przy świecach.

Było wciąż jeszcze wcześnie, gdy zajechała przed gmach sądu. Jej samochód był jedyny na parking. Szła jak na skrzydłach w kierunku budynku, a potem opustoszałym korytarzem prowadzącym do jej biura. Kiedy skręciła za róg, zauważyła, że w jej pokoju pali się światło. Widocznie Roscoe też wcześniej zaczął pracę. Wetknęła głowę w na pół otwarte drzwi i zamiast powiedzieć zwyczajnie „dzień dobry”, wykrzyknęła:

- Boże święty!

Dozorca podskoczył ze strachu, ale kiedy zobaczył, że to Kendall, z jego oczu znikło przerażenie i przybrały przepraaszający wyraz.

- Miałem nadzieję, że zdążę posprzątać przed pani przyjściem, pani Burnwood.

Niesamowity akt wandalizmu. Odłamki zbitej szyby w drzwiach zasypały podłogę. Dokumenty z rozbitej szafy na akta porzucano po całym pomieszczeniu. Książki prawnicze zostały zmiecione z półek. Dwa fiołki afrykańskie, które tak troskliwie pielęgnowała, wyrzucono z doniczek na biurko. Leżały na nim tylko połamane listki i kopczyk wilgotnej ziemi, resztę zmieciono na podłogę; porwano, połamano, zmiądzono. Skórę na fotelu pocięto.

- Kto to zrobił?

- Nie sądzi pani, że to dzieło tej białej hołoty, Crooków?

Owszem, sądziła, ale nie powiedziała tego na głos. Wezwała policję i niemal natychmiast przyszło dwóch policjantów. Za zaczęli rutynowe czynności, ale Kendall widziała, że zupełnie się do tego nie przykładają. Kiedy skończyli pobierać odciski palców, odprowadziła ich korytarzem, nie

chcąc, by rozmowa doszła do uszu Roscoe.

- Udało się wam odkryć jakieś podejrzone odciski palców?

- Trudno powiedzieć - oświadczył jeden z nich. - Pani, pani sekretarki i tego starego czarnucha to pewnie będzie wszystko, co odkryjemy.

- Skąd pani wie, że to nie on? - Drugi policjant skinął głową w kierunku biura.

Kendall poczuła się tak dotknięta rasistowskim określeniem „czarnuch”, że przez moment nie pojęła, o co tamtemu chodzi.

- Pan Calloway? - spytała z niedowierzaniem. - A jaki mógłby mieć w tym cel?

Wymienili spojrzenia, wyrażające nieme potępienie dla jej naiwności.

- Tak... no więc może pozwoli pani, pani Burnwood, że poszukamy jakichś sensownych poszlak. Narobiła sobie pani może ostatnio wrogów?

- Dziesiątki. Zwłaszcza u was, w policji - odparła zgryźliwie. Nie miała nic do stracenia, obrażając ich. Przeprowadzą rutynowe postępowanie i za chwilę wszystko zostanie zapoorniane. Nie będzie rzetelnego dochodzenia. Policjanci jej nie lubili. Zbyt wielu z nich wykończyła podczas krzyżowego ognia pytań. - Będę wdzięczna za wszystko, co zrobicie - dodała z sarkazmem.

Patrzyła za nimi, gdy odchodzili korytarzem, wiedząc, że na tym sprawa się skończy, jeśli sama nie zacznie szukać sprawców. A nie robi tego ze względu na Matta. Gdyby się dowiedział, co zaszło, mógłby na serio pomyśleć o daniu poważnej nauki Crookom.

- Roscoe, będziesz tak miły i pomożesz mi uprzętać ten cały bałagan?

- Przecież nie musi pani pytać.

- Dziękuję. Akta powinny zostać uporządkowane najszybciej. Będę ci wdzięczna - dodała - jeżeli utrzymamy to w sekrecie. Proszę, nie mów o tym nikomu. Nawet mojemu mężowi.

Koło południa przestała wreszcie chodzić po okruchach szkła i rozrzuconych po podłodze papierach. Sekretarka uporządkowała z grubsza akta. Roscoe znalazł i wyczyścił jakieś porzucone krzesło, które miało jej służyć, nim dostanie nowe.

Najchętniej własnoręcznie zastrzeliłaby braci Crooków, gdyby stanęli na jej drodze; nie tylko za splądrowanie jej biura, ale także za odarcie najwspanialszego dnia w jej życiu z radości. Zamiast spokojnie rozkoszować się świadomością, że jest w ciąży, i planować, w jaki sposób zakomunikuje tę wiadomość Mattowi, musiała usuwać skutki ich wandalizmu. I kłamać zaciekawionym pracownikom sądowym, wśród których natychmiast rozprzestrzeniła się wieść o tym, co się stało w jej biurze. Prokuratorowi Gornowi również. Zjawił się, kiedy już miała wychodzić.

- Co tu się dzieje? - Wskazał na pracownika wymieniającego szybę w drzwiach.

- Postanowiłam trochę inaczej urządzić biuro. - Nie dając mu czasu na dalsze dywagacje, zaatakowała: - Co pana sprowadza o tej porze, panie Gorn? Zabrakło mrożonej herbaty w kawiarni naprzeciwko?

- Bardzo pani wygadana, pani mecenas. Dziwię się, że Gibb z Mattem nie nauczyli pani do tej pory lepszych manier. - Matt jest moim mężem, nie nauczycielem, a Gibb w ogóle nie może mi nic kazać. Nawiasem mówiąc, gdybym nie była wygadana, nie załazłabym panu tak za skórę. Z każdym dniem coraz bardziej mnie to wciąga, panie prokuratorze. - Wyciągnęła rękę po teczkę, którą ze sobą przyniosła; przypuszczalnie właśnie jej zawartość skłoniła go do złożenia jej niezapowiedzianej wizyty. - Co pan tam dla mnie chowa?

- Materiały w sprawie Lynam. Wszystko, co zamierzamy wykorzystać w sądzie. Można się po pani spodziewać, że zechce oskarżyć nas o zatajenie dowodów i chęć zaskoczenia pani w czasie rozprawy. Nie potrzebujemy tego robić. Mamy czyściuteńką sprawę. - Wetknął kciuki za szerokie

czerwone szelki przy spodniach. - Jesteśmy przygotowani do rozpoczęcia procesu. Uzyskam wyrok skazujący z palcem w nosie.

- Gdyby rzeczywiście tak było, nie czułby pan przymusu, żeby mi o tym bez przerwy przypominać. Dziękuję za akta. Proszę mi wybaczyć, ale właśnie miałam wychodzić, gdy pan wpadł. Proponuję, żeby następnym razem zapowiedział się pan wcześniej, kiedy przyjdzie panu chęć mnie zobaczyć.

Wcześniej tego dnia zadzwonił do niej Gibb, zapraszając ją i Matta na obiad. Nie mogła się doczekać, kiedy powie Mattowi o dziecku, ale zaakceptowała zaproszenie teścia, ponieważ po wyczerpującym dniu nie miała ochoty na gotowanie ani jedzenie na mieście.

Obiad był zwyczajny. Jedli w pokoju dziennym pod nieruuchym wzrokiem nieszczęsnych trofeów myśliwskich. Gibb czekał do deseru, żeby poruszyć temat zbliżającego się procesu Lottie Lynam. Nie zwykł owijać niczego w bawełnę, toteż zapytał bezceremonialnie:

- Jak w ogóle możesz wnosić o uniewinnienie?

- Nie wolno mi omawiać szczegółów spraw, które prowadzę, Gibb. Przecież wiesz o tym.

- Rozumiem. Etyka zawodowa, i w ogóle. Ale jesteś w rodzinie - uśmiechnął się. - Poza tym nie chcę rozmawiać o szczegółach, tylko o podstawowych wartościach.

- Takich, jakie głosił w ostatnią niedzielę brat Whitaker? Pastor chłostał wiernych z kazałniczy słowami, które zirytowały Kendall tak bardzo, że zdecydowała się o tym mówić, choć przeciwstawienie się poglądom wysoce szanowanego przez Matta i Gibba pastora mogło podzielać na nich jak płachta na byka.

- Co ma kazanie brata Whitakera do tej sprawy? - spytał Matt.

- Nie sądzę, by całkiem przypadkowo wybrał ostatnią niedzielę na przypomnienie swojej trzódce o świętości sakramentu małżeństwa. Przez pełną godzinę nauczał, że żona winna być ślepo posłuszna mężowi. - Nie umiała ukryć pogardy dzwiczącej w jej głosie.

- Podległość żony zapisana jest w Biblii.

- Także podległość wobec męża, który próbuje dokonać aktu gwałtu używając rozgrzanej lokówki?

- Niezbyt przyjemny temat na czas obiadu, prawda?

- Niezbyt przyjemny temat na każdy czas, Matt - zaprotestowała zapalczywie. - A wracając do kazania, było stronnicze i przepojone męskim szowinizmem. Wśród wiernych siedzieli ewentualni sędziowie. Jak będą mogli potem zachować bezstronność?

- Bob nie mówił o przebaczeniu dla mężów bijących żony, Kendall - powiedział Matt. - Wszyscy wiedzą, że Charlie Lynam był pijakiem i popędliwym brutalem.

- Ale to nie daje jeszcze prawa, by popełniać morderstwo, synu - stwierdził Gibb, a potem zwrócił się do Kendall: Powiedziałem Dabneyowi, że wnosisz o uniewinnienie, ponieważ nie jesteś świadoma prawdziwej natury Lottie Lynam.

- Jak to „powiedziałeś Dabneyowi”? Omawiał z tobą ten przypadek? Nie miał...

Gibb uniósł dłoń, by ją powstrzymać.

- Dabney i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi, Kendall. To ja go namówiłem, żeby zaczął prowadzić kancelarię, i pomogłem zwyciężyć w wyborach. Zasięgał po prostu mojej opinii na temat twojego wniosku o uniewinnienie. Wyjaśniłem mu, że nie jesteś stąd i Lottie cię omotała. Prowadziła się jak dziwka, jeszcze zanim stała się kobietą. Małżeństwo nie zmieniło jej obyczajów. To jej kurwienie się doprowadziło Charliego do nadużywania alkoholu.

Kendall na chwilę zaniemówiła. Gorn złamał zasady etyki zawodowej, zasięgając opinii w

sprawie nie rozstrzygniętego przypadku, a Gibb najwyraźniej tego nie rozumiał, pochłonięty problemem, że synowa stanęła po stronie miejscowej puszczalskiej.

- Gibb, prokurator Gorn nie powinien o tym z tobą dysskutować. A poza tym to nie cechy charakteru pani Lynam mają być osądzone. Jesteś o krok od przyznania, że zasługiwała na bicie i gwałty!

- No, to jest następna rzecz - powiedział. - Nie dbam o książkowe prawa. Jaki cudem mąż może zgwałcić żonę?

- Tato, Kendall rzeczywiście nie powinna spierać się z nami na temat swoich klientów - wstawił się za nią Matt, zanim zdążyła odpowiedzieć na to ostatnie pytanie. - Poza tym jest wykończona. Pozmywajmy i zabiorę ją do domu.

Wróciła do tematu, ledwie wyszli za drzwi.

- Naprawdę przeraża mnie fakt, że większość ludzi powołanych do zespołu sędziowskiego będzie podzielać staroświeckie przekonanie Gibba co do obowiązku posłuszeństwa żony wobec męża, i to pod każdym względem. Być może wystąpię o wyznaczenie innego miejsca procesu. Moja klientka nie dooczeką się uczciwego osądu w Prosper.

- Tata należy do innego pokolenia, Kendall. Nie możesz oczekiwać, by on i jego znajomi mieli takie samo podejście jak my do pewnych społecznych i moralnych problemów.

- Jak na przykład ciągłe bicie i małżeńskie gwałty?

- Nie wszczynaj ze mną walki - powiedział, słysząc rozdrażnienie w jej głosie. - Nie kwestionowałem twoich racji. - Nie broniłeś ich również.

- Nie mam zamiaru dać się wciągnąć w kłótnię o sprawy bez znaczenia.

- Nie wiem, czy bez znaczenia. Pani Lynam z pewnością tak nie uważa.

- Nie jestem sędzią przysięgłym - odpowiedział spokojnie - więc nie dyskutuj ze mną. I nie powinnaś się spierać z tatą.

- Nie miał żadnych zahamowań w stosunku do prokuraatora. Powiedz mi, Matt, jak Dabney mógł omawiać prawnicze sprawy z Gibbem? - spytała rozgoryczona i zdumiona.

- Tata ci to wyjaśnił. Są starymi przyjaciółmi i tak sobie rozmawiali. Robisz z igły widły.

- Nie sądzę. Złości mnie, że Dabney zachowuje się wobec twojego ojca tak, jakby Gibb sprawował kontrolę nad moimi wystąpieniami w sądzie. - Był to dodatkowy kłopotliwy aspekt i tak skomplikowanej sprawy. Uzyskanie niewinnienia w Prosper graniczyłoby z cudem.

- Miałabyś coś przeciwko temu, gdybym zamieścił wywiad z panią Lynam?

- Co? - Odwróciła się do niego, zdumiona nieoczekiwaną propozycją. - Jaki znowu wywiad?

- Pani Lynam dostała parę niezłych kopniaków: z kazalnicy, od ludzi, także od mojej gazety - przyznał ze smutkiem. - Chciałbym choć trochę wyrównać jej szanse. Zaasługuje na to.

Podziękowała mu, ale odniosła się do jego propozycji z rezerwą. Dyskutowali na ten temat przez całą drogę do domu i nawet kiedy znaleźli się w sypialni, wciąż próbował ją przeekonać.

- Mógłbym w ten sposób zatrzeć gafę taty. Przyzwyczał się, że ludzie pytają go o radę, i chętnie ich udziela. Jestem pewien, że w ogóle nie zdaje sobie sprawy, w jak niewygodnym położeniu się znalazłaś przez to, że omawiał przypadek twojej klientki z Dabneyem. Kendall, pozwól mi oddać sobie tę przysługę. Przysięgam ci, że nie zrobię z tego sensacji. Przekażę ci listę pytań. Będiesz mogła je przejrzeć i pouczyć panią Lynam, jak ma na nie odpowiadać. Nie odstąpię ani na jotę od tego, co ustalimy, i będziesz mogła przejrzeć ostateczną wersję, zanim pójdzie do druku. Skreślisz wszystko, co nie będzie ci odpowiadało.

Skoro tak do tego podchodził, nie widziała powodu, by nie ustąpić.

- Dobrze. Dziękuję ci.

- Coś mi mówi, że chcesz, abym cię objął. - Rozłożył ramiona, a ona z zadowoleniem się w nie schroniła.

Przytulił ją i zaczął masować jej krzyż, a jego silne dłonie uśmierzały wszelkie napięcie. Przez ten obiad z Gibbem nie powiedziała mu o dziecku. Rozważała nawet, czy nie poinformować od razu ich obu, ale porzuciła tę myśl. Zbyt często Gibb był w ich związku trzecią stroną. Powinna chronić małżeńską intymność, zwłaszcza przy tak szczególnej okazji. Egoistycznie pragnęła mieć Matta tylko dla siebie, gdy mu to przekaże.

Teraz wreszcie są sami.

Miała już na końcu języka jego imię, gdy odsunął ją od siebie, pogłaskał po policzku i powiedział:

- Strasznie jesteś roztargniona ostatnio. Może dzisiejszej nocy poświęciłabyś uwagę wyłącznie mnie?

Tak będzie nawet lepiej, pomyślała. Zaczną się kochać i pootem, w atmosferze całkowitego rozluźnienia, powie mu. Najlepszy moment. Objęła go za szyję.

- Sprawi mi to przyjemność - szepnęła.

Przytulała się do niego, głaskała, rozkoszując tym, że jest taki męski i silny. Rozgrzewało ją poczucie małżeńskiej bliskości; ostatnio rzadko dawali upust namiętnościom.

Ich połączenie nie było tak całkowite jak zawsze. Wszedł w nią, ale ona nie była w pełni przygotowana, by go przyjąć. Odczuwała pewien psychiczny dyskomfort, co stłumiło uczucie przyjemności. Wolałaby dłuższą grę wstępną, powolne, wzmaagające pożądanie pieszczoty, w których rozpląnęłoby się jej zmęczenie.

- Było dobrze? - zapytał, uśmiechając się niepewnie.

Przytaknęła, by nie urazić jego męskiej dumy.

- Twoje myśli są zbyt rozproszone, Kendall - powiedział, dając upust rozczarowaniu. - Nie współbrzmimy już ze sobą. Tato ma rację.

- Rację co do czego? - Uniosła się i podparła na łokciu.

- Spędzasz zbyt wiele godzin w pracy, a za mało w domu.

- Przeprowadziłeś rozmowę z Gibbem na temat moich wad zamiast ze mną?

- Nie złość się. Nie zwałam na ciebie winy. Powiedziałem mu, że muszę robić coś nie tak, inaczej nie oddaliłabyś się ode mnie tak bardzo.

- Matt, to nie fair! - wykrzyknęła. - Kiedy zadzwoniłam przedwczoraj uprzedzić cię, że będę do późna w pracy, nie widziałeś żadnego problemu, bo miałeś zamiar wyjść. Położyłam się spać na długo przedtem, zanim wróciłeś.

- Przestań szaleć.

- Trudno mi będzie. Twój punkt widzenia jest spaczony.

Wracam późno, bo pracuję. Ty wracasz późno, bo spędzasz wesoło czas z Gibbem i przyjaciółmi.

- Jesteś zazdrosna.

- To nie zazdrość.

- Ale tak wygląda.

- W takim razie muszę oświadczyć, że ty jesteś zazdrosny o moją pracę.

- Fakt. Przyznaję. Cholernie opętała cię myśl o karierze.

- Raczej się jej poświęcam. Gdybym była mężczyzną, doceniano by moją pracę.

- Ale jesteś kobietą. I praca nie pozwala ci wypełniać obowiązków żony. - Zmitygował się, przyciągnął ją do siebie i zaczął głaskać po włosach. - Skarbie, nienawidzę się klócić...

- Ani ja, Matt, ale czasem kłótnie są konieczne. Żeniąc się ze mną, wiedziałeś, że chcę zrobić karierę. Praktykowanie daje mi wiele satysfakcji. Chciałabym sprawiedliwego prawa dla...

- Wiem - przerwał jej. - Jestem dumny z twojej pracy, ale czy musisz się aż tak poświęcać? Nie możesz być bardziej wobec siebie wyrozumiała? Inne dziedziny życia też są ważne i powinnaś znaleźć na nie czas. I dla mnie. Poza tym życzyłbym sobie, żebyś częściej uczestniczyła w życiu towarzyskim, spotykała się z innymi kobietami. Sama wiesz, wiele przemawia za tym, że lepiej być członkiem grupy niż stać na uboczu. HPocałował ją w skroń. - Tata mówi, że powinniśmy mieć dziecko. Dla życiowej równowagi. Całkowicie się z nim zgadzam. Zrobmy dziecko, Kendall. Zaraz.

Nie w takim momencie miała ochotę mu powiedzieć, że zostało już poczęte. Kochali się znowu, ale jego denerwujące uwagi zdusiły jej pożądanie. Zbyt był pochłonięty myślą o pootomku, by zwrócić uwagę na jej powściągliwość.

Rozdział osiemnasty

- Co tu robisz?

- Jadę z tobą do miasta. - Siedział z przodu, kule położył z tyłu na podłodze. - Nie jedziesz.

- Owszem, jadę.

Musi się pilnować, żeby nie zrobić z tego zbyt wielkiej sprawy; w ten sposób potwierdzi tylko jego podejrzenia.

- Uwierz mi na słowo, to niewielkie miasto.

- Sam chcę zobaczyć. I nie zamierzam wierzyć ci na słowo w żadnej kwestii.

Cholera jasna! Akurat dzisiaj zachciało mu się jej towarzyszyć. Dzisiaj! Może wczorajszy koszmar senny pobudził jakąś część jego pamięci? Wykrzykiwał nazwiska, na dźwięk których krew przestawała krążyć jej w żyłach. Jeśli przypomni sobie ludzi noszących te nazwiska, przypomni sobie wszystko. Boże, miej ją wtedy w swej opiece.

Dlatego właśnie postanowiła nie wracać z dzisiejszej wyypra wy do miasteczka.

- Jest tak pioruńsko gorąco - powiedziała, by go zniechęcić. - Zmęczysz się. Dlaczego nie miałbyś odpocząć jeszcze przez jeden dzień? Jeśli wciąż będziesz miał ochotę pojechać do miasta, zawiozę cię jutro.

- Jestem poruszony twoją troską o moje dobre samoopoczucie, ale... - potrząsnął głową - musiałabyś się ze mną bić o to, żebym wysiadł z samochodu. Wygram, nawet ze złamaną nogą. Żeby z tym skończyć: jadę.

Zdawała sobie sprawę, że kiedyś musi się zbuntować; było to tylko kwestią czasu. Z każdym dniem odzyskiwał siły. Sytuacja stopniowo przybierała niekorzystny dla niej obrót. Powoli wracał do zdrowia, zdobywał nad nią przewagę, przejmował kontrolę.

Coraz rzadziej zadowalał się wykrętnymi odpowiedziami, zawierającymi wyłącznie tyle prawdy, by wydawały się sensowne. Udało jej się wczoraj go zbyć, gdy domagał się wyjaśnienia przyczyn swojej niechęci do Kevina, ale sam fakt, że o to zapytał, świadczył o przeblasku pamięci.

Wymijająca odpowiedź nie uspokoiła go; wzmogła jeszcze jego podejrzliwość. Miał wprost niesamowitą intuicję i grunt zaczynał jej się palić pod nogami. I tak została przy nim dłużej, niż tego wymagała przyzwoitość. Skoro czuł się na tyle silny, by się zbuntować, powinien również dać sobie radę, nim go odnajdą.

Przez dwa tygodnie strach, że odzyska pamięć, walczył o leppsze z lękiem przed opuszczeniem bezpiecznej kryjówki. Być może ten dom dawał iluzoryczną ochronę, ale z pewnością łatwiej było ją wytropić na szosach, po których krążyli pooszukujący jej przedstawiciele prawa. Zamieszanie, spowodowane ich ucieczką ze Stephenville, musiało do tej pory ucichnąć. Ścigający z pewnością zniechęcili się trochę, nie szukali już tak energicznie. Najwyższy czas uciekać.

A teraz on udaremniał jej plany.

Z drugiej strony może lepiej, że z nią pojedzie. Podejrzewał, że może nie wrócić, ale przecież nie spodziewa się ucieczki, skoro ma z nią być cały czas.

- Jeśli tak bardzo chcesz, dobrze - oświadczyła, zmuszając się do uśmiechu. - Cieszę się, że będę miała towarzystwo.

Okazał się kiepskim towarzyszem podróży. Przez dziesięć minut nie powiedział ani słowa, tak był zajęty sporządzaniem pamięciowej mapy terenu i utrwalaniem w głowie charakterystycznych punktów krajobrazu. Pewnie umiałby naszkicować plan dowolnego miejsca trasy. Nieważne, jeśli jej się powiedzie dzisiejszego ranka, już jej nie zaszkodzi.

- Dobrze znasz drogę - odezwał się w końcu.

- Nic w tym dziwnego. Babcia uczyła mnie tu prowadzić samochód.

- Często o niej mówisz. Bardzo ją kochałaś, prawda?

- Bardzo.

- Jaka była, że wzbudziła aż tak wiele miłości?

Kendall nie wydawało się, żeby można było oddać słowami, jak głęboko kochała Elvie Hancock, ale spróbowała przekazać swoje uczucia mimo wszelkich werbalnych ograniczeń.

- Była wesola i pomysłowa, zawsze wymyśliła coś interesującego. Nie tylko ją kochałam, także podziwiałam za to, jakim była człowiekiem. Nadzwyczaj tolerancyjna, akceptowała ludzi niezależnie od ich słabostek. Sprawiała, że zawsze czułam się kimś specjalnym. Nawet jeśli coś spsociłam i musiała wymierzyć mi karę, nie czułam się niekochana.

Dojeżdżali już do obrzeży miasta. Kendall skręciła na parking przed supermarketem. Począł, aż przekręci kluczyk w stacyjce, i dopiero wtedy spytał:

- Kochałaś ją bardziej niż mnie?

- Co za pytanie! - odparła zażenowana. - Zupełnie inna jest natura tych związków. Nie możesz tego porównywać. - Miłość to miłość, nie?

- Niezupełnie. To zależy...

- Od czego?

- Od ludzi i od natury ich związku.

- A ja? Kochałem cię...? Nie, nie trudź się odpowiadaniem. I tak skłamię. - Zapatrzył się nieobecny wzrokiem w szybę. - Nie pamiętam, żebym kogoś kochał - powiedział z zadumą. - Gdyby tak było, na pewno bym to pamiętał, prawda?

Spojrzał na nią i Kendall zobaczyła, że ma smutne oczy.

O co mu chodziło? Może w innych okolicznościach... Ale jest jak jest, więc nie ma co się zastanawiać nad jego psychę, tylko żeby sobie pofilozofować.

Wysiadła i wyjęła Kevina z dziecięcego fotelika.

- Zaraz wracam - skłamała. - Powinno ci tu być wygodnie.

- Oczywiście. Posiedzę sobie i popodziwiam otoczenie. Nie było jak wyjąć ekwipunku, który zgromadziła w bagażniku. Może uda się jej zgarnąć parę rzeczy, kiedy będzie przebiegała przez supermarket, choć ma niewiele czasu.

- Mam ci coś przynieść? - zaoferowała się, pamiętając, by zachować pozory normalności.

- Kartonik piwa, skoro jesteś tak miła.

- Jaką markę lubisz?

- Nie pamiętam. Ale ty z pewnością tak, kochanie.

- Fakt, pamiętam - stwierdziła ignorując sarkazm jego odpowiedzi. - Wracam za sekundę.

Czuła, jak przewierca wzrokiem jej plecy, gdy szła w stronę sklepu. Zmuszała się, by iść

powoli, nie sprawiać wrażenia, że się śpieszy. Kiedy znalazła się już w środku, pewna, że nie zobaczy jej z powodu refleksów świetlnych na szybach, popędziła do telefonu. Na szczęście zdążyła zapamiętać numer.

- Halo.

- Pani Williams? Tu Mary Smith. Dzwoniłam do pani parę dni temu w sprawie samochodu.

- Nie mogłam się doczekać telefonu od pani. Nie zmieniła pani chyba zdania? Odpowiadam wszystkim innym, że już go sprzedałam.

- Nie, nie zmieniłam. Po prostu... Pamięta pani, mówiłam, że mój samochód się rozsypuje? Właśnie wysiadł, nie chce zapalić. Utknęłam tutaj i nie mogę dotrzeć do pani domu. Mam ze sobą dziecko i... Boże, naprawdę nie wiem, co zrobić! - Udała, że głos jej się załamuje ze zdenerwowania.

- No, kochanie... - W głosie kobiety brzmiała sympatia, ale i ostrożność. Na pewno ostrzegano ją przed oszustami finansowymi, czyhającymi na dojrzałe, zasobne wdowy. - Być może mogłabym do pani podjechać.

- Ależ nawet nie mogę o coś takiego prosić! Nie, nie, ja po prostu... Proszę mi dać pomyśleć przez chwilę.

Jej taktyka przyniosła rezultaty.

- Żaden kłopot, naprawdę - oświadczyła kobieta. - Gdzie pani jest?

Kendall podała jej nazwę warsztatu samochodowego, który zlokalizowała w czasie poprzednich wyjazdów do miasteczka. Z supermarketu mogła dojść do niego spacerkiem.

- To raptem pięć minut ode mnie - stwierdziła pani Williams z zadowoleniem. - Przyprawdę auto, sfinalizujemy transakcję, a potem podrzuci mnie pani do domu.

- Nienawidzę się tak narzucać...

- Nic się nie stało. Nie mogę się doczekać sprzedaży tego wozu.

- A ja kupna. Wręcz straszliwie. - Akurat to było prawdą.

Jim Pepperdyne mógł w każdej chwili odnaleźć mężczyznę, który sprzedał jej samochód w Stephenville. Musiała się go pozbyć i kupić inny, zanim ruszy w dalszą drogę.

- W porządku, jestem za pięć minut - powiedziała pani Williams, jeszcze raz upewniwszy się, dokąd ma jechać.

Kendall odwiesiła słuchawkę i poszła w stronę drugiego wyjścia, znajdującego się po przeciwnej stronie supermarketu.

Automatyczne drzwi otworzyły się z cichym szumem i Kendall stanęła w miejscu jak wryta.

Po jeździe w niewygodnej pozycji bolała go noga, ale nie zamierzał przepuścić okazji, żeby się zorientować w sytuacji. Ledwie Kendall znalazła się poza zasięgiem jego wzroku, otworzył drzwiczki i sięgnął po kule. Wysiadł i zaczął się rozzglądać.

Mówiła prawdę, że miasto nie jest duże. Z miejsca, w którym stał, widział stację benzynową, garaż, restaurację z barbecue, fryzjera... Poczta! Ruszył przez rozpalony parking, czując się, jakby stąpał po rozżarzonych węglach. Po minucie koszula przesiąkła mu potem, a mięśnie zaczęły drżeć z wysiłku. Boże, jak pogardzał i nienawidził własnej słabości!

Kątem oka dostrzegł wyjeżdżającego zza rogu na rowerze dzieciaka.

- Hej, chłopcze! - zawołał.

Chłopak obejrzał się przez ramię, zrobił rowerem małe kółko i podjechał bliżej. Miał mniej więcej dwanaście lat.

- Co ci się stało w nogę?

- Uszkodziłem ją sobie podczas wypadku samochodowego.

- Głowę też?

- Aha, głowę też. Co to za miasto? Jesteśmy w Tennessee?

Chłopiec zatrzymał rower szarpnięciem i zajął mu w twarz z szerokim uśmiechem.

- Ale jesteś naćpany, co? - Zbliżył dwa złożone palce do ust i wciągnął powietrze, jakby palił marihuanę.

- Nie jestem. Po prostu chciałbym wiedzieć, gdzie się znalazłem.

- Katrnanu, przyjacielu - powiedział chłopak scenicznym szeptem. - Nie jesteś za stary na odlot? Chyba ci już stuknęła czterdziestka.

- Uhum. Jestem wiekowy. Matuzalem. No więc, jak się nazywa to pieprzone miasto?!

- Jezu, co za świr! - Chłopak wycofał rower na bezpieczną odległość, wsiadł i odjechał, pedałując zawzięcie.

- Poczekaj...! Wracaj!

Dwunastolatek pokazał mu wyprostowany palec.

Rozejrzał się dookoła, sprawdzając, czy nikt ich nie widział.

Nie był pewien, czy chciałby, żeby ktoś zaalarmował policję, donosząc o poturbowanym obcym, zadającym dziwne pytania dziecku. Miał zamiar pójść na pocztę tylko po to, by się dowiedzieć, gdzie jest, i przekonać, czy na ścianach nie wiszą plakaty z jego zdjęciem.

Oszacował wzrokiem odległość i doszedł do wniosku, że budynek poczty znajduje się dalej, niż myślał. Gorąco i wyśięk, który włożył w przejście przez parking, porządnie go wyczerpały.

Ile mu zostało czasu do jej powrotu? Ile jeszcze zajmą jej zakupy? Co poza piwem miała zamiar kupić? Nie sprawiała wrażenia, że się śpieszy, kiedy...

Nagle stanęła mu przed oczami, jakby właśnie wchodziła do supermarketu. Z Kevinem, torebką i torbą na pieluchy. Torba na pieluchy! Po co miałyby zabierać ją ze sobą, skoro poszła na parę minut?

Odwrócił się i zaczął kuśtykać w stronę sklepu.

- Ty głupku przeklęty! - fuknął zirytowany. - Dlaczegoś ją spuścił z oka?

Miał przecucie, że zamierza zwać. Dlatego nalegał na wspólny wyjazd dziś rano. Tylko skąd mu przyszło do głowy, że jego obecność powstrzyma ją od tego, co zamierza zrobić? Co za głupota, tańczył, jak mu zagrała...

Przeklinając swoją łatwowierność i niezgułowatość, zmusił się, by iść szybciej.

- O mój Boże! O, Boże! - Kendall zdała sobie sprawę z tego, że mówi głośno, dopiero wtedy, gdy usłyszała swój piskliwy głos. Schyliwszy głowę, rzuciła się na osłep do wyjścia. Aby dalej od stojaka na gazety, od dużego zdjęcia jej twarzy na pierwszej stronie. Musi uciec, zanim zostanie rozpoznana. Minęło już pięć minut? Może pani Williams już przyjechała? Wiedziała, że jeśli nie zjawi się na czas, kobieta nie będzie czekać.

Nagle poraziła ją przerażająca myśl. A jeśli pani Williams przeczytała poranną gazetę i rozpozna ją?

Musi zaryzykować. Nie ma wyboru. Jej obawy się potwierdziły: ruszyła obława, polują na nią. Kiedy znalazła się na zewnątrz, zmrużyła oczy przed promieniami słońca. Postanowiła trzymać się blisko ściany. Wprawdzie nie powinien zobaczyć jej z samochodu, ale...

- Wybierasz się dokądś?

Odwróciła się ze ściśniętym sercem. Opierał się ciężko na kulach. Jego pierś wznosiła się w głębokim oddechu, włosy ociekały potem.

- Dlaczego wysiadłeś z auta?

- Dlaczego wychodzisz tymi drzwiami? Zaparkowałaś po drugiej stronie.

- Och, hm... myślałam, że skoro się znalazło w środku, nie można zawrócić.

- Aha... Dlaczego nic nie kupiłaś? Dlaczego nic nie kupiłam? Myśl! Myśl!

- Kevin zaczął płakać, ledwie weszliśmy. Nie czuje Się dobrze. Pewnie przez to gorąco zrobił się płaczliwy.

- Na moje oko, nic mu nie jest.

Chłopczyk puszczał banieczki śliny i wyglądał na zupełnie zdrowe i bardzo szczęśliwe dziecko.

- Właśnie że jest - warknęła. - Mogę tu przyjechać kiedy indziej.

Ruszyła pośpiesznie w stronę samochodu, w kierunku przeciwnym do warsztatu samochodowego, przy którym czekała już pewnie zirytowana pani Williams.

Nie kupi innego auta.

Nie uda jej się jutro podjąć ponownej próby ucieczki.

Rozdział dziewiętnasty

- Li to chińskie nazwisko?

- Chinol czy japoniec, skąd mam wiedzieć? - odpowiedział na pytanie Kendall strażnik, wzruszając ramionami. `Nie rozróżniam tych żółtków.

Jej pełne dezaprobaty spojrzenie spłynęło po nim jak woda po gęsi. Otworzył mały pokój, w którym miała rozmawiać ze swoim nowym klientem. Kiedy weszła do środka, oskarżony o gwałt Michael Li wstał.

- Będę tuż obok - warknął strażnik, zwracając się do młodego mężczyzny.

Kendall zamknęła za nim drzwi, odwróciła się i podeszła do Michaela Li, którego postawa zdradzała takie napięcie, że odczuła przelotną ochotę poradzić mu, by się odprężył. Przedstawiła się, uściśniła jego dłoń i pokazała gestem ręki, żeby usiadł. Sama zajęła miejsce po przeciwnej stronie stołu.

- Życzy pan sobie czegoś? Może coś do picia?

- Dziękuję, proszę pani - odparł spokojnie.

Miał osiemnaście lat, gładką, pozbawioną zarostu twarz i schludnie przystrzyżone czarne proste włosy. Był niewysoki i szczupły. Ciemne oczy obserwowały ją z powściągliwą ciekawością, gdy otwierała walizeczkę i wyjmowała formularze i pióro.

- Więzienie to nic przyjemnego - stwierdziła i dodała: `Właściwie to za słabo powiedziane.

- Była pani kiedyś w więzieniu? - spytał.

- Raz - przyznała uczciwie. - Aresztowano mnie, gdy protestowaliśmy przeciwko zakazowi wprowadzania pewnych książek do miejskiej biblioteki.

Skinął głową z wyraźną aprobatą.

- Spróbuję załatwić panu wyjście za kaucją.

- Mojej rodziny nie będzie na to stać - powiedział z godnością. - Nie chciałbym przysparzać rodzicom więcej kłopotów ponad te, które już mają w związku z tym nieszczęsnym nieporozumieniem, pani Burnwood.

- Na pewno zdołamy ustalić jakąś sensowną sumę.

- Jeśli to możliwe, dobrze by było, gdybym nie przerywał nauki. Jest dla mnie bardzo ważne, żebym skończył szkołę ze swoją klasą.

- Ma pan wygłosić mowę pożegnalną, prawda?

- Tak.

- Pańscy rodzice są z pewnością ogromnie z tego dumni.

- Tak, proszę pani. Kilka uniwersytetów zaoferowało mi stypendium, ale dotąd nie zdecydowałem, który wybrać. Spuścił wzrok na swoje dłonie i zaczął skubać oderwaną skórę. - Po tym wszystkim decyzja może okazać się nie taka trudna.

Lepiej będzie na razie skierować rozmowę na inne tory niż rozważania o jego przyszłości, postanowiła Kendall. Uzmysłowienie sobie, ile ma do stracenia, jeśli sprawy przyjmą zły obrót, może na niego wpłynąć destruktywnie. Kontynuowała wstępną rozmowę, próbując zorientować się, jakiego rodzaju człowiekiem jest jej nowy klient.

- Uczestniczy pan aktywnie w życiu szkoły i należy do wielu organizacji, także do National Honor Society, prawda? - Tak, proszę pani. Właśnie podczas wycieczki z NHS do Gatlinburga po raz pierwszy zwróciliśmy z Kim na siebie uwagę. - Może więc zacznij pan od tego momentu i dojdziemy aż do dzisiaj.

Zamiast patrzeć na atrakcje turystyczne górskiego miasta w Tennessee on i Kimberly Johnson, koleżanka z klasy, zaczęli „włóczyć się ze sobą”.

- Od tamtej pory widywaliśmy się regularnie, ale nigdy nie zjawiłem się u niej w domu, zawsze spotykaliśmy się na mieście. Nie sądziła, by rodzice zaaprobowali nasz związek. Uważają mnie za cudzoziemca. - Jego oczy rozblęły dumą. - Ale ja jestem Amerykaninem, tak jak Kim i jak pan Johnson. Mama urodziła się tutaj, a rodzina ojca wyemigrowała, gdy był niemowlęciem. Tata nie mówi w ojczystym języku, a angielski zna lepiej niż pan Johnson.

Co do tego Kendall nie miała wątpliwości. Nie знаła dobrze Hermana Johnsona, ale często widywała go w klubie country. Zawsze pod dobrą datą, mówił zbyt głośno i opowiadał sprośne kawały, robiąc z siebie idiotę. Nie znała również pana Li, ale on i żona mieli się czym pochwalić: wychowali dobrze ułożonego, osiągnącego sukcesy młodego człowieka. Mieli opinię ciężko pracujących ludzi, więc ich syn mógł odczuwać uzasadnioną dumę.

Związek Michaela Li i Kim Johnson zacieśnił się z czasem.

- To na serio - oświadczył poważnie i przyznał, że od jakichś dwóch miesięcy sypiają ze sobą. - Oczywiście odpowiedzialnie - podkreślił z naciskiem. - Zawsze się zabezpieczam. Przysięgam też, że nigdy nie robię nic wbrew jej zgodzie. Za nic nie skrzywdziłbym Kim. - Łzy napływały mu do oczu. - Za nic.

- Wierzę ci - zapewniła go Kendall. - Opowiedz mi dokładnie, co się wydarzyło ostatniej nocy.

Spotkali się z Kim w bibliotece. Siedzieli przy tym samym stoliku, ale ilekroć padł na nich podejrzliwy wzrok bibliotekarza, udawali, że nie są sobą zainteresowani. Wyszli osobno i tak jak się umówili, spotkali na parkingu. Zabrał Kim do samochodu. Nie patrząc Kendall w oczy, wyznał, że od razu usiedli na tylnym siedzeniu, żeby się kochać.

- Wiem, że czujesz się zażenowany, Michael - powiedziała ze zrozumieniem - ale jeśli oskarżyciel zacznie cię przypierać do muru, żeby udowodnić dokonanie gwałtu, będziesz musiał odpowiedzieć przed sądem na znacznie bardziej brutalne pytania. Prokurator nie będzie znał litości. Powinieneś być ze mną całkowicie szczery. Mogę na to liczyć?

Skinął głową.

- Czy Kim zdjęła ubranie?

- Tylko majtki.

- Czyli była w spódnicy?

- Tak.

- I w bluzce?

- Tak.

- W biustonoszu?

- Tak.

- Nic nie zdjęła?

- Wszystko miała na sobie, chociaż porozpinane.

- A ty?
- Rozpiąłem tylko spodnie.
- Zdjąłeś koszulę?
- Nie.
- Rozpiąłeś ją?
- Tak.
- Kiedy cię złapano, wszyscy widzieli, że masz ją rozpiętą?
- Chyba tak, ale czy to ważne?
- Gwałciciele nie mają czasu bawić się w rozpinanie guzików. Robią tak raczej kochankowie. Odprężył się trochę, nawet zdobył na nikły uśmiech.
- Skończyliście do czasu, gdy pojawił się pan Johnson?
- Tak.
- Miałeś wytrysk?
- Tak. Do... - spuścił oczy - no, do prezerwatywy.
- Zatem dowód został przesłany do laboratorium i jest niepodważalny.
- Tak. - Podniósł głowę. - Nie zaprzeczam, że kochaliśmy się z Kim, pani Burnwood. Ale nie

zgwałciłem jej, jak twierdzi pan Johnson. Bibliotekarz zadzwonił do niego i powiedział, że poszedłem za nią. Podobno niepokoił się o jej bezpieczeństwo. Jeśli ktoś ma robaczywe myśli, staje się podejrziwy - stwierdził pogardliwie. - W każdym razie, ponieważ Kim nie wracała, pan Johnson wpadł w panikę. Pobiegł jej szukać i dostał białej gorączki, jeszcze zanim nas znalazł. Wyciągnął mnie z samochodu i zaczął okładać pięściami. Myślałem, że mnie zabije..

- A Kim? Co robiła?

- Szlochała histerycznie. Przyjechała policja i wywlekli ją nie całkiem ubraną z tylnego siedzenia. - Schował twarz w dłoniach. - Przeżyła okropne upokorzenie. Wszyscy wyszli z biblioteki zobaczyć, co to za awantura, i gapili się na nią. Nic nie mogłem zrobić, żeby jej tego oszczędzić.

Kendall odłożyła pióro i oparła o stół splecione dłonie.

- Jak sądzisz, co Kim powie policji podczas przesłuchania?

- Że wcale jej nie zgwałciłem! - wykrzyknął. - Do niczego jej nie przymuszałem. Powie im to, o ile już nie powieedziała. Nie pozwoli, żeby oskarżyli mnie o gwałt. Gdy tylko policja usłyszy jej wyjaśnienia, będę wolny.

Kendall nie podzielała jego wiary w lojalność Kimberly Johnson. Gwałtowna reakcja ojca, kiedy przyłapał ją in flagranti z Michaeliem, mogła ją śmiertelnie wystraszyć i było całkiem prawdopodobne, że dziewczyna będzie kłamać - poolicji, adwokatom, sędziom - byle uniknąć gniewu ojca. Kenndall miała do czynienia ze świadkami, którzy krzywoprzysięgali, by chronić samych siebie, w sytuacji znacznie mniejszego zagrożenia. Kim może się nie przyznać, że uległa Michaelowi Li, w obawie przed odrzuceniem przez rodzinę, szczególnie jeśli motywem ich postępowania był rasizm. A nawet jeśli wyzna rodzicom prawdę, mogą ją zmusić do kłamstwa. Nie będą chcieli, by związek ich córki z młodym mężczyzną azjaatyckiego pochodzenia stał się publiczną tajemnicą, nawet jeśli ów mężczyzna miał przed sobą wspaniałą przyszłość.

Zganiła się w duchu za przypisywanie Johnsonom tak niskich motywów, ledwie ich przecież знаła. Mimo to obawiała się najgorszego. Najprawdopodobniej zrobią wszystko, by udoowodnić, że Michael Li zgwałcił ich córkę. A Kim, w obawie przed skandalem i represjami, będzie im posłuszna.

Nie chciała jednak, by jej pesymizm udzielił się klientowi.

Bardzo istotne było, by myślał pozytywnie.

- Koledzy z klasy z pewnością potwierdzą, że ty i Kim chodziliście ze sobą. Nauczyciele powinni

wystawić ci jak najjlepszą opinię. Niemniej i tak czeka nas mnóstwo pracy, żeby zgromadzić argumenty na twoją korzyść. - Schowała notatki do walizeczki i wstała. - Mam nadzieję, że pan Johnson wycofa oskarżenie. Jeśli nie, postaram się jutro wydobyć teczkę z materiałami w twojej sprawie od prokuratora.

Kiedy wychodziła, jeszcze raz wyraził przekonanie, że sprawy nie zajdą tak daleko.

- Kim mnie kocha. Tak jak ja ją. Powie im prawdę. Jej ojcu nie pozostanie nic innego, jak wycofać skargę.

Żałowała, że nie jest w stanie podzielać jego ufności.

Zawsze przed wyjściem z sądu myślała o Bamie. Bezdomny mężczyzna musiał opuścić Pros per którymś z towarowych pociągów. Przynajmniej ona i Roscoe tak zakładali.

- To urodzony włóczęga - odpowiedział dozorca, gdy Kendall zapytała go, czy też zauważył, że Bama od jakiegoś czasu nie okupuje swego stałego miejsca na sądowych schodach. - Pojawi się znikąd któregoś ranka. Na pewno nie pojechał w jakieś określone miejsce. Trochę go tu będzie brakowało - dodał ze smutkiem.

Bama zniknął mniej więcej przed tygodniem. Wychodząc z sądu po spotkaniu z Michaeliem Li, Kendall przypominała sobie z uczuciem goryczy, jak wymieniali króciutkie uwagi na schodach. Brakowało jej tego. Pierwszy mówił jej „dzień dobry”, gdy przychodziła, i ostatni się z nią żegnał. Jakby był przyjacielem.

Tego popołudnia czuła się jak ktoś całkowicie pozbawiony przyjaciół.

W biurze wciąż jeszcze widoczne były skutki aktu wandalizmu Crooków. Była przekonana o ich winie, choć nie miała na to dowodów, a policja, zgodnie z jej przewidywaniami, nie zadała sobie trudu przeprowadzenia dochodzenia. Nie do końca uporządkowany pokój budził w niej uczucie klaustrofobii. Miała wciąż wrażenie, jakby ściany na nią napierały, zdecydowała więc, że weźmie teczkę pani Lynam i pojedzie do niej do domu. Świeże powietrze dobrze jej zrobi, a w czasie przejażdżki będzie mogła w spokoju pomyśleć.

Czuła się opuszczona i bezradna, ale powód był natury osobistej, nie zawodowej. Już ponad doba upłynęła od czasu, gdy dowiedziała się, że nosi dziecko Matta, a on wciąż nie znał tej nowiny. Ostatniego wieczoru odebrał jej szansę na rozmowę, zdradzając się z poglądami, jakich nigdy by się po nim nie spodziewała. Zaszokował ją, formułując staromodne prawdy o małżeństwie i rolach przypisanych małżonkom. Gdyby chociaż mówił półzartem albo w gniewie, mogłaby zlekceważyć jego nieoczekiwane przepojone seksizmem uwagi. Ale wygłosił je spokojnie i z takim przekonaniem, że zastanawiała się nad nimi przez cały dzień.

Powtarzał jak echo sądy Gibba, to oczywiste. W rzeczywistości na pewno nie chciał uległej, usuwającej się w cień żony - inaczej przecież by się z nią nie ożenił. Niemniej niepokoiło ją, że Gibb ma nad nim aż taką władzę. Już wcześniej przeżyła stres, odkrywszy, że Gibb wywiera wpływ na całe miasto, nawet na te dziedziny życia, które nie były jego domena. Jeśli chciała, by wróciła euforia, jakiej doświadczyła na wiadomość o ciąży, musiała najpierw doprowadzić do jakiegoś porozumienia z Mattem, ustalić partnerskie zasady dalszego współżycia i ograniczyć wtrącanie się Gibba. Ale obawiała się, że nie będzie miała czasu, ochoty ani energii na taką dyskusję, zwłaszcza teraz, gdy powinna skoncentrować się na obronie Lottie Lynam.

Ona i prokurator Gorn odbyli przykrą rozmowę na temat zwolnienia za kaucją, ale sędzia Fargo orzekł ku jej zdumieniu na korzyść oskarżonej. Jej klientka zdobyła pieniądze, zaciągając dług pod zastaw hipoteki rodzinnego majątku.

Linia obrony była mocno wątpliwa. Kendall miała nadzieję, że może pani Lynam znajdzie w materiale dowodowym oskarżenia coś, co mogłoby zasiać wątpliwości w umysłach sędziów i

podeprzeć tezę o działaniu w obronie własnej. Oczywiście nie stawiała tylko na to. Zanosiło się na trudną sprawę, wymagającą wiele wysiłku i umiejętności. Na samą myśl o tym skóra na niej cierpła, a mięśnie karku drętwiały.

Nie wywrze korzystnego wpływu na swoją klientkę, jeśli pojawi się u niej taka spięta i zdenerwowana. Pod wpływem impulsu zatrzymała samochód na skraju wąskiej drogi. Dalej pójdzie spacerem; dobrze zrobi to jej i dziecku.

Wysiadła z auta i ruszyła rażno naprzód. Gałęzie drzew zaczynała obrysowywać świeża zieleń, zwiastująca nadejście wiosny. Zapowiedź odnowy w przyrodzie i myśl o embrionie, który rozwijał się w jej ciele, wyzwoliły w niej przypływ młodzieńczego entuzjazmu i przywróciły wiarę w celowość tego, co robi. Odniesie sukces. Zawodowy i prywatny. Zaryzykowała tak bardzo przenosząc się do Prosper. Nie może przegrać.

Postanowienie dodało lekkości jej krokom. Skręciła i nagle stanęła w miejscu. Przed małym zaniebanym domem stał obok wozu pani Lynam samochód jej męża.

Co Matt tu robił?

Zadzwoił do biura, dowiedział się, że pojechała do pani Lynam, i zdecydował, że spotkają się tutaj, by przeprowadzić wywiad, o którym wczoraj mówili?

Nie, niemożliwe. Nie dostała jeszcze listy pytań, a przecież obiecał. Na pewno nie wypytuje pani Lynam za jej plecami, tak żeby pozbawić ją możliwości pouczenia klientki.

Dlaczego więc nie idzie prosto do drzwi wejściowych, skoro uważa, że nie ma w tym nic nadzwyczajnego, że Matt znalazł się tu w samym środku dnia? Dlaczego schowała się za żywoopłot?

Ledwie to pomyślała, gdy pojawili się Lottie i Matt. Wyszli frontowymi drzwiami na ganek. Matt miał marynarkę przeewieszoną przez ramię, trzymał ją na zagiętym wskazującym palcu. Drugim ramieniem obejmował Lottie w talii.

Jej klientka miała na sobie biały biustonosz o dość staroświeckim kroju i nie sięgającą kolan obcisłą spódnicę. Jedno ramiączko biustonosza zsunęło się na ramię, odsłaniając pasek bladej skóry. Wtulona w niego, trzymała głowę opartą na jego piersi. Trudno byłoby powiedzieć, kto się na kim wspierał; sprawiali wrażenie, że jedno potrzebuje drugiego tak samo rozpaczliwie.

Doszli do schodków i Lottie nagle przystanęła. Odwróciła się i przywarła do niego. Puścił marynarkę; opadła nie zauważona na nie pomalowaną podłogę ganku.

Otoczyła ramionami jego szyję.

Położył dłonie na jej pośladkach i zaborczo przyciągnął ją do siebie.

Oparła udo wysoko na jego biodrze. Ich ciała przylgnęły do siebie.

Jej głowa opadła do tyłu.

Wyjęczał jej imię.

Ich wargi odnalazły się i zetknęły w namiętym pocałunku.

Rozdział dwudziesty

- Co się do diabła stało z twoimi włosami?

Obcięła je i teraz, wychodząc z łazienki, skrępowana dootknęła odsłoniętego karku.

- Było mi gorąco, przyklejały mi się do szyi. Nie mogłam sobie z nimi poradzić. - Spojrzała znacząco na okrągły łysawy placek tuż przy jego skroni. - Nawiasem mówiąc, akurat ty nie masz co wspominać o włosach.

Ale miał rację; jej wyglądały okropnie. Musiała jednak złaapać za nożyczki po tym, jak zobaczyła swoją fotografię na pierwszej stronie gazety; zdjęcie prawdopodobnie pokazano również w telewizji. Miała nadzieję, że obcięcie włosów trochę ją zmieni.

- Dziecko płacze - powiedział.

Przeszła obok niego i otworzyła drzwi małego pokoju, w którym spał Kevin.

- Tak wyglądasz, że może cię nie poznać - stwierdził.

- Ale rozpozna mój głos. - Wyjęła dziecko z kojca i położyła na sekretarzyku, na którym je zwykle przewijała. - Masz mokro? O to chodzi?

Usłyszała cichy stukot kul. Stał tuż za nią. Boleśnie dootknięta złośliwą uwagą na temat obciętych włosów, zignorowała jego obecność, całkowicie koncentrując się na synku.

- Został obrzezany - zauważył.

- Tak.

- Z powodów religijnych?

- Po prostu tak uzgodniliśmy.

- Dlaczego?

- Nie wiem - odpowiedziała zniecierpliwiona.

- Chciałem, żeby było jak u mnie czy inaczej?

- O co ci chodzi?

- No więc tak czy nie.

- A co, nie wiesz? - prychnęła drwiąco.

- Owszem, wiem. - Przyłożył palce do jej podbródka i zmusił, by odwróciła głowę. - A ty?

Wiesz?

Nie byłaby bardziej oszołomiona, gdyby jej zadał ogłuszający cios. Wreszcie zdobyła się na drżący krótki śmieszek.

- Cóż za idiotyczne pytanie. - Próbowwała wrócić do przewijania Kevina, ale złapał ją za nadgarstek i nie puścił, aż skapitulowała, podnosząc na niego znowu wzrok.

- A zatem, Kendall?

- Nienawidzę takich testów.

- Nienawidzę twoich kłamstw. Powiedziałaś, że jesteś moją żoną. Jeśli żona może coś wiedzieć o swoim mężu, to z pewnością to, czy został obrzezany. - Mówił z naciskiem, ale tak cicho, że ledwie słyszała jego słowa. Przewiercał ją wzrokiem, kreśląc jednocześnie od niechcienia wzory we wnętrzu jej dłoni. - No? Zawsze kochaliśmy się przy zgaszonych światłach, tak?

- Oczywiście, że nie.

- Braliśmy chyba razem prysznic?

Chciała się odwrócić, ale szarpnęła ją za nadgarstek. Rzuciła mu oburzone spojrzenie.

- Czasami.

- Więc z pewnością mnie myłaś. Pieściłaś. - Podniósł jej dłoń do ust i zaczął przesuwając wargami po jej wnętrzu. - Założę się, że wiesz, jak mnie dotykać, żebym zaczął szaleć.

Zołądek podszedł jej do gardła. Próbowwała przełknąć ślinę, ale w gardle jej zaschło. Słyszała łomot własnego serca.

- Nie uskarżałaś się - odparła ledwie dosłyszalnie.

- Czyli odpowiedź nie powinna sprawić ci trudności.

- I nie sprawia.

- Więc odpowiedz.

- To głupie.

- Możesz mi raz ustąpić.

Wiedziała, że jej głos zabrzmiał słabo i nieprzekonująco, ale on czekał. Musiała trafić.

- Tak. - Przełknęła z wysiłkiem ślinę.

Przez chwilę więził spojrzenie Kendall podejrzliwym wzrokiem, ale wreszcie uwolnił jej

nadgarstek. O mało nie zemdląca z ulgi. Kręciło jej się w głowie, była oszołomiona radością, że znów zyskała na czasie. Uniosła Kevina, pocałowała na dobranoc i ułożyła w kojcu. Nakarmiła go, zanim poszła się wykąpać, i teraz mógł już iść spać. Okryła synka lekkim koczykiem, wyprostowała się i odwróciła.

Stał niepokojąco blisko. Położył ręce na jej barkach, przesunął wzrokiem po twarzy, a potem po włosach.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Tak okropnie? - spytała ze skruchą.

- W porównaniu z tym, jak było poprzednio... tak, dość okropnie. Dlaczego sobie coś takiego zrobiłaś?

- Mówiłam ci.

- Mówiłaś nieprawdę, Kendall. Mogłaś upiąć włosy do góry, skoro było ci gorąco. Nie musiałaś się tak oszpecać. _ Popatrzył na nią surowym, pytającym wzrokiem. - Miałaś zamiar dzisiaj odejść, prawda?

- Nie!

- Przestań mnie okłamywać. Jeśli nie masz nic innego do powiedzenia oprócz kolejnych kłamstw, lepiej w ogóle nie mów. - Przyciągnął ją do siebie. - Zaczynam żałować, że twoje kłamstwa nie są prawdą. Zaczynam żałować, że nie jesteś moja, tak straszliwie cię pragnę... Do cholery z tym!
Pocałował ją namiętnie.

Pozwoliła mu na to i odpowiedziała tym samym. Nagle dopuściła do siebie myśl, którą przez całe dni świadomie odsuwała - pragnęła go tak samo mocno, jak on jej. Z początku bała się go i pogardzała nim. Awersja do tego, co sobą reprezentował, nie pozwalała jej widzieć w nim mężczyzny. Trudno było jednak mieszkać z nim, spać obok i nie docenić, jak bardzo jest atrakcyjny. Zbyt była pewna, że okaże się niewrażliwa na jego urok fizyczny... na swoje własne pragnienie.

Jej pożądanie nie było wyłącznie wynikiem działania hormonów. Jego ciało zdrowiało, ale w jego psychice wyczuwała głębokie wewnętrzne rozdarcie, zranione uczucia, które również trzeba było wyleczyć. Potrzebował miłości i ciepła, choć prawdopodobnie nawet sobie tego nie uświadamiał, nigdy by też o to nie poprosił. Potrącało to jakąś strunę w jej duszy; nie chciałyby nigdy więcej zobaczyć tego zaszczutego wyrazu w jego oczach.

Każdy kolejny dzień, godzina po godzinie, przybliżał ich do siebie. Od początku było to nieuniknione. Zamiast walczyć, podda się temu.

Przysunęła się jeszcze bliżej i wtuliła w niego. Jęknął i położył ręce na jej piersiach.

- Pozwól mi się dotykać - poprosił chrapliwie. Brodawki jej piersi stwardniały pod jego palcami. Na koscziuli pojawiły się pod wpływem pieścizot wilgotne miejsca. Spojrzał na nie, na swoje mokre palce i twarz mu stężała z namiętności. Duże ciepłe dłonie ujęły jej głowę, kciuki przesuwały się po policzkach i wargach. Schylił się, żeby ją pocałować, tym razem bardzo delikatnie - ledwie muskał ją ustami. Z każdym muśnięciem rozgrzewała się coraz bardziej. Wreszcie pocałował ją mocno, pieściząc wnętrze ust językiem. Uczucie gorąca w podbrzuszu stało się nie do zniesienia. Czowała, jak nabrzmięwa, pulsuje, robi się wilgotna; nie pamiętała już, kiedy ostatni raz doświadczała takich doznań. Piersi nabrzmięwały, stały się wrażliwe; gorąco zapragnęła jego pocałunków. Wtopić się w niego. Wtopić.

- Kendall?

- Hmm...

- Chodźmy do łóżka.

Do łóżka. Żeby mogli się kochać. Oczekiwał, że zachowa się jak żona.

Powrócił nie chciany rozsądek. Nie mogła przekroczyć pewnej granicy, jeśli nie chciała spowodować lawiny, która zagarnie ją i zetrze w pył.

Przecież nie zwariowała? Nie straciła pamięci? Przecież nie może!

- Przepraszam cię, nie mogę. - Odsunęła się od niego tak gwałtownie, że oboje omal nie stracili równowagi. Oparła się o komodę i wyciągnęła ramię, jakby tym gestem mogła go powstrzymać. - Proszę, nigdy więcej nie dotykaj mnie w ten sposób.

Twarz miał mroczną z pożądania. Zaklął chrapliwym, nieerównym głosem.

- Kendall, to nie ma sensu. Dlaczego nie możesz?

- Po prostu i normalnie, bo powiedziałam „nie”. I to powinno wystarczyć.

- Nie mnie. Należy mi się jakieś wyjaśnienie.

- Właśnie go udzieliłam.

- Święty by się w tym nie połapał! - wrzasnął i Kevin zakwilił w proteście przez sen, a on przycisnął grzbietem dłoni skroń i powoli wypuścił powietrze. - Nie rozumiem. Skoro jesteśmy małżeństwem, skoro oboje tego chcemy...

- Ja już nie chcę. I nie chciałam od dłuższego czasu.

- Dlaczego?

- Sprawiliś mi ból.

- Ból? - Twarz mu pobladła. - Uderzyłem cię?

Potrząsnęła głową.

- Nie fizyczny. Psychiczny. - Łzy napłynęły jej do oczu. - Za dobrze to pamiętam. I wciąż boli. -

Cierpienie nagle ożyło; zdrada stanęła jej przed oczami tak wyraziście, jak owego popołudnia przed domem Lottie Lynam. Przycisnęła do piersi skrzyżowane ramiona.

- Cholera! - Usta, które jeszcze przed chwilą tak uporczywie ją pobudzały, wykrzywiła gorycz i żal. - Inna kobieta, tak?

Rozdział dwudziesty pierwszy

Kendall siedziała na ganku, patrząc przed siebie nie widzącym wzrokiem, nieświadoma obecności wiewiórek, goniących jedna za drugą po drzewach, choć zawsze lubiła śledzić wzrokiem ich harce. Nie słyszała też drażniącego warkotu elektrycznej piły, dochodzącego z dalekiego sąsiedztwa, ani połaajenek i gniazdującej w pobliżu sójki.

Była otepiała od momentu, gdy zobaczyła, jak jej mąż kocha się z Lottie Lynam, okazując więcej namiętności, niż kiedykolwiek zaznała w małżeńskim łóżu.

Wyrzucała sobie, że nie stawiała im czoła. Mogła ich złapać na gorącym uczynku. Nie wyparliby się. Dlaczego nie okazała im całej pogardy, na jaką zasługiwali?

Bo właściwie nic nie było do zrobienia, można było tylko odejść chyłkiem, żeby lizać rany. Kiedy ich zobaczyła, stała jakiś czas, nie całkiem dowierzając temu, co widzi, jakby się spodziewała, że zaraz odwrócą się do niej ze śmiechem: aha, tu cię mamy, ale sobie zakpiliśmy, niezły psikus.

Nie było to jednak żartem. Było tragicznie realne. Zafascynowana i przerażona, patrzyła na splecionych k9chanków. Kiedy już nie mogła tego dłużej znieść, wycofała się nie zauważona na zakurzoną wąską drogę. Zanim dotarła do samochodu, ogarnęły ją mdłości i zwymiotowała w rosnące opodal winorośla. Dojechała jakoś do domu, choć samej jazdy nie pamiętała.

Siedziała tak już od kilku godzin. Powoli złość zaczynała brać górę i stępiła nieco ból. Była gotowa zmierzyć się z mężem, z jego zdradą, choć nie bardzo wiedziała jak. Nie było to coś, co mogłaby zaplanować albo przećwiczyć.

A zresztą za późno. Właśnie przyjechał do domu. Samochód skręcił z głównej drogi i jechał długim podjazdem.

Dostrzegłszy ją siedzącą na ganku, mąż zatrąbił dwa razy klaksonem. Wysiadł, uśmiechnięty i uszczęśliwiony, że ją widzi. - Cześć! Dzwoniłem do biura, ale sekretarka mi powiedziała, że wyszłaś wcześniej. Gdzie byłaś?

- Miałam parę spraw do załatwienia.

Wbiegł po schodkach, postawił walizeczkę na ganku, poowiesił marynarkę na poręczy krzesła i pochyliwszy się, pocałował ją w czoło. Kosztowało ją wiele wysiłku, by się opanować i nie odwrócić od niego. Dobrze, że nie pocałował jej w usta. Nie wytrzymałaby.

- Miałaś ciężki dzień? - zapytał współczująco, spostrzegłszy, że nie reaguje zbyt entuzjastycznie.

- Zwyczajny. - Zwyczajny? Zdaje się, że odwrotnie, dość burzliwy. Zdradzona przez życiowego partnera i klientkę, której przyszłość od niej zależała.

Rozluźnił węzeł krawata i usiadł na krześle obok niej.

- Strawiłem większość dnia na dzwonieniu i szukaniu koogoś, z kim prowincjonalny wydawca, taki jak ja, mógłby porozmawiać o budżecie szkół publicznych. Ale oni tam w Columbii są zbyt zajęci, by udzielać wywiadów, chyba że jesteś z wielkiej stołecznej gazety. - Zdjął buty i skarpetki, oparł nogę na kolanie drugiej i zaczął rozcierać stopy. - Tata się do ciebie odzywał?

- Nie.

- Do mnie też nie. Ciekawe, czym jest tak pochłonięty.

Chyba pójdę i zadzwonię do niego.

Nim doszedł do drzwi, zatrzymała go, pytając: - Matt, kiedy dostanę listę pytań?

- Jakich pytań?

- Dla pani Lynam.

- Prawda! - Strzelił palcami. - Czyli akceptujesz mój pomysł? Mam zielone światło?

- Na wywiad czy pieprzenie jej?

Zabrzmiało to niezbyt elegancko, ale dało rezultat: znokautowała go. Miał ogłupiałą minę.

- Nie trudź się i nie obrażaj mnie udawaniem głupka - oświadczyła głosem spokojniejszym, niż mogła tego po sobie oczekiwać. - Nie powtarzam ohydnych plotek zasłyszanych u fryzjera. Byłam dzisiaj u Lottie Lynam i widziałam was

w pełnym świetle dnia. Wszystko jest oczywiste. Nie ma miejsca na spekulacje.

Podszedł do barierki ganku, odwrócił się do niej plecami i zapatrzył na podwórko. Próbując zachować resztki cierpliwości, Kendall czekała na odpowiedź. Miała już na końcu języka złośliwą reprimendę, gdy wreszcie zwrócił ku niej twarz. Niedbale założył ręce na piersiach.

- To nie ma z tobą nic wspólnego.

Rozsądne, spokojnie wypowiedziane oświadczenie. W efekcie Kendall poczuła gwałtowny przypływ wzburzenia.

- Nic ze mną wspólnego?! - wykrzyczała. - Nic ze mną wspólnego? Jestem twoją żoną!

- Właśnie, Kendall. Na żonę wybrałem ciebie.

- A Lottie Lynam na kochankę!

- Tak. Wiele lat temu. Wtedy nawet nie wiedziałem, że istniejesz.

- Wiele lat temu?

Odwrócił się od niej. Skoczyła z krzesła, złapała go za rękaw i zmusiła, by na nią spojrział.

- Odkąd z nią sypiasz, Matt? Chcę wiedzieć. Zniecierpliwiony strzepnął jej rękę.

- Od czternastego roku życia.

Oślupiała, cofnęła się o krok.

- No, lepiej ci z tą wiedzą, Kendall? Samopoczucie ci się poprawiło? Chyba nie. Trzeba było to zostawić tak, jak jest.

Tylko że on sam nie zostawił. Nie poprzestał na tej informacji. Uznał, że nie musi niczego zatajać, skoro odkryła jego romans.

- Między mną a Lottie coś się zaczęło, kiedy jeszcze byliśmy tylko ciekawskimi dziećmi. Fizyczność, przeznaczenie, naa. zwij to jak chcesz. Zawsze mnie do niej ciągnęło, a ją do mnie.

Kiedy mieliśmy po czternaście lat, zaspokoiliśmy naszą ciekawość. Taki był początek.

Kendall przycisnęła palce do warg, by powstrzymać ich drżenie. Gorzej, niż mogła się spodziewać. To nie był przelotny wyskok, błąd, który mógłby naprawić, a jeśliby wspomniał, to z żalem i wyrzutami sumienia. Łączyło ich coś więcej niż romans. Ich związek trwał dłużej niż wiele małżeństw. Przygotowała się na walkę: spodziewała się najpierw zaprzeczenia, potem przyznania i prośby o zrozumienie i wybaczenie - ale na coś takiego nie była przygotowana.

- Po naszym pierwszym razie spotykaliśmy się potajemnie, kiedy tylko się dało. Umawiałem się

z innymi dziewczętami. Ona wychodziła z innymi chłopakami. Wszystko po to, aby nikt się nie zorientował, co się dzieje. Lottie kuupowała prezerwatywy, żeby aptekarz nie mógł donieść ojcu, ile ich zużywam, i w rezultacie zyskała reputację dziewczyny, która sypia z kim popadnie. Nikt się nie domyślał, że jestem jej jedynym kochankiem. Oczywiście nasze potajemne randki w końcu wyszły na jaw. Tata też się dowiedział. Kiedy zaapytał mnie, ile jest prawdy w tych plotkach, wszystkiemu zaprzeczyłem. Wyjechał na weekend, rzekomo na targi artykułów sportowych w Memphis, i niespodziewanie wtargnął do mojego pokoju, kiedy byliśmy z Lottie w łóżku. Wezwał jej ojca, a mnie spuścił lanie i zrobił wykład na temat sztuczek, jakimi posługują się dziewczęta w rodzaju Lottie, żeby usidlić chłopców takich jak ja. Potem wymienił nazwisko pewnej damy mieszkającej w Georgii i oświadczył, że z przyjemnością zapłaci, ilekroć zapragnę kobiecego towarzystwa. Mam się jednak trzymać z daleka od białej hołoty takiej jak Lottie. Nic dobrego dla ciebie nie wyniknie z zadawania się z tą dziewczyną, powiedział. Przez jakiś czas bałem się z nią spotykać, bałem się, że tata to odkryje. Potem wyyjechałem do college'u. Lata mijały, wspomnienie blakło. Zrobiłem dyplom, wróciłem do Prosper i zacząłem załatwiać kupno gazety. Kiedy to się stało, poszedłem do agencji sprawwdzić, co z ubezpieczeniem budynku i wyposażenia. Siedziała tam Lottie. - Zamilkł na moment, jakby wyobrażając ją sobie, siedzącą za biurkiem. - Spojrzeliśmy na siebie i to wystarczyło. Znaleźliśmy się w tym samym punkcie, w jakim się rozstaliśmy. Przez kilka lat było wspaniale. Potem poostawiła ultimatum: albo się z nią ożenię, albo zniknę na zawsze z jej życia. Nazwałem ją naciągaczką i przestałem się z nią widywać. Trzy miesiące później wyszła za Charliego Lynama.

- Tobie na złość. Skinął głową.

- Od tamtego dnia była naprawdę nieszczęśliwa.

- Wyjąwszy chwile spędzane z moim mężem.

- To dzisiaj zdarzyło się wyjątkowo, Kendall. - Niecierpliwym ruchem przecesał palcami włosy. - Nie byłem z Lottie od dnia naszego ślubu. Wyobraź sobie, jak się czułem, dowiedziawszy się, że będziesz jej bronić. Byłem bardzo niezaadowolony, ale nic nie mogłem zrobić.

- Dlaczego poszedłeś do niej dzisiaj?

- Nie wiem - stwierdził z rozdrażnieniem. - Co za różnica?

- Dla mnie duża. Złamałeś małżeńską przysięgę. Masz mi to wyjaśnić. Chyba na to zasługuję. Najwyraźniej zapędziła go w kozi róg; spoglądał na nią przygryzając wnętrze policzka.

- Nie da się tego wyjaśnić - mruknął w końcu. - W porządku?

- Nie, nie w porządku. - Kosztowało ją to wiele dumy, ale musiała zapytać: - Kochasz ją?

Zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy.

- Ale zawsze umiała...

- Umiała co? - naciskała. - Cóż takiego dla ciebie robiła?

- Zaspokajała moją pewną potrzebę! - wrzasnął.

- Której ja nie zaspokajałam?

Zacisnął usta, nie zamierzając udzielać odpowiedzi, choć była oczywista i straszliwie urażała poczucie własnej wartości Kendall. Czy po dzisiejszym dniu w ogóle będzie w stanie uwierzyć, że Matt jej pragnie?

- Nie miałem zamiaru cię urazić - powiedział, jakby czytając w jej myślach.

- Trochę za późno, panie Burnwood. Właśnie mnie uraziłeś, i to mocno. Czuję też gniew, ale przede wszystkim zażenowanie. Skoro Lottie tak wspaniale spełnia twoje oczekiwania, dlaczego się z nią nie ożeniłeś?

- Ożeniłeś? To poza dyskusją. Tata nigdy by na coś podobnego nie pozwolił.

- Co to znaczy: nie pozwoliłby? To Gibb dokonywał wyboru? Ty mnie wybrałeś czy on?

- Kendall, nie wkładaj mi w usta słów, których nie wypowiedziałem.
- Oszczędź sobie tego pouczającego tonu!
- Wpadasz w histerię.
- Nie w histerię. W furję. Cholerną furję. Wystrychnąłeś mnie na dudka! Zrobiłeś ze mnie idiotkę!
- W jaki sposób wystrychnąłem cię na dudka? - Rozłożył ramiona w geście urażonej niewinności.
- Umizgując się do mnie, udając miłość!
- Kocham cię, Kendall. Lata czekałem na idealną żonę i ty nią jesteś. Wybrałem cię, bo jest w tobie wszystko, czego szukałem.
- Coś jak dodatkowe wyposażenie samochodu. Poczekałeś na właściwy model, zanim kupiłeś.
- Mówisz od rzeczy, Kendall.
- Wydaje mi się to w pełni usprawiedliwione.
- Bo raz mi się noga powinęła? Bo spędziłem jedno popołudnie z byłą flama? Nie rozumiem, dlaczego jesteś tak zaszokoowana i rozczarowana.

Nie wierzyła własnym uszom. Z kim miała do czynienia?

Znała go? A on ją? Czyżby nie wiedział, jak ważna była dla niej wzajemna lojalność? Nigdy o tym nie dyskutowali, ale przecież rozumiało się to samo przez się; bez słów było wiadome, że ona oczekuje wierności.

- A co, jeśli mnie się powinie noga? - spytała. - Jeśli przyłapiesz mnie z byłym kochankiem? - To zupełnie co innego.

- A czym się różni?
- Różni się - oświadczył lakonicznie.
- Nie ma osobnych reguł dla chłopców, a osobnych dla dziewczynek, Matt.
- Ta rozmowa przybiera absurdalny obrót. Nie zamierzam się w nią dłużej wdawać. Idę do domu się przebrać. - Chciał ją wyminąć, ale zagroziła mu drogę.

- Rozmowa nie jest absurdalna i ja zamierzam się w nią dalej wdawać. Widziałam cię z nią, Matt, widziałam was splecionych i szczerze mówiąc, obawiam się, że oszukujesz sam siebie co do swoich uczuć do Lottie. Nie sprawiało to wrażenia banalnego potknięcia, jak twierdzisz. Wprost przeciwnie. Nie mogę udawać, że nic się nie stało. Ani nie myśleć o tym, że dopuściłeś się zdrady. - Głos jej się załamał. Wzięła głęboki oddech, by powstrzymać wybuch płaczu. Jakakolwiek oznaka słabości podważy jej pozycję. Odzyskawszy panowanie nad głosem, oznajmiła: - Chcę, żebyś przeprowadził się do Gibba. Potrzebuję czasu, żeby się z tym uporać. Dopóki tak się nie stanie, nie chcę mieszkać z tobą pod jednym dachem.

Uśmiechnął się do niej blado, jakby jej naiwność wzbudziła jego sympatię.

- Coś takiego nigdy się nie zdarzy, Kendall - powieedział miękko. - To mój dom. A ty jesteś moją żoną. Nie miałem zamiaru sprawić ci bólu. Przykro mi, że nas widziaałaś, pozostaje ci tylko o tym zapomnieć. - Odsunął ją na bok i podszedł do drzwi. - Idę z tatą do lasu. Wrócę raczej późno - poinformował ją ciepłym głosem, jakby nic się nie wydarzyło.

Rozdział dwudziesty drugi

Nie zajęło mu to nawet dwudziestu minut. Przebrał się, włożył wysokie buty, spakował myśliwski ekwipunek do breezentowej torby i wyszedł. Wyraźnie rozbawiło go jej nadąsanie i uchylenie się od pożegnalnego pocałunku.

Jeszcze długo po jego odejściu tkwiła zrozpaczona nieruuchomo na krześle na ganku. Nie wiedziała, co ją bardziej dotknęło: zdrada czy to, że zbył ją tak lekceważąco.

Spodziewał się, że mu wybaczy, bo pierwszy raz oszukał?

Pochwali go, bo tak długo opierał się pokusie? Jak śmiał ją tak zlekceważyć? Dlaczego nie podszedł do tego na serio, jak należało?!

Spakuje się i odejdzie, póki go nie ma! Coś takiego na pewno wreszcie zwróci jego uwagę. Dobrze mu to zrobi!

Ale w ten sposób pozwoli, by kierowała nią złość. Postawiła sobie za cel małżeństwo doskonałe. Nie może reagować gwałtownie, musi działać według starannie przemyślanego planu. Jego niewierność coś w niej zniszczyła i nigdy się z tego całkowicie nie otrząśnie. Ale wiedziała też, jak destruktywna może być złość i duma.

Najtrudniej przyjdzie jej zaakceptować fakt, że Matt kochał Lottie od lat i gdyby nie sprzeciw Gibba, ożeniłby się z nią.

Lottie nie była typem kobiety, który Gibb by sobie wymarzył dla syna. Nie pasowała do Burnwoodów. Gibb akceptował KendalI Deaton: kulturalną, wykształconą, poprawnie się wyrażającą, zrównoważoną młodą kobietę.

Jedynym niedostatkim KendalI Deaton było to, że nie zaspokajała pragnień męża...

Kto ją w końcu wybrał, Gibb czy Matt, zastanowiła się raz jeszcze. Przerazała ją myśl, że Gibb wywiera tak przemożny wpływ na Matta. Dopóki będzie cieszyć się względami teścia, wszystko w porządku. Ale niech mu tylko wejdzie w drogę, zrobi sobie potężnego wroga.

Odsunęła od siebie na razie tę myśl. Teraz musi postanowić, co z jej małżeństwem.

Czy chce je utrzymać? Tak, chce. Więc jak może tego dokonać?

Ma nad Lottie Lynam znaczącą przewagę w dwóch sprawach. Po pierwsze, Gibb tamtej nie akceptuje, a jego opinia wiele znaczy dla Matta. Po drugie, Lottie jest bezdzietna, a ona nosi w sobie dziecko Matta.

Na myśl o tej sekretnej broni zamiast ulgi poczuła ból w sercu. Powinni świętować dzisiejszego wieczoru. Zdumiewać się cudem natury, darem ich miłości. Planować, jak urządują pokój dziecienny, wybierać imię, snuć plany o świetlanej przyszłości ich dziecka. Tymczasem on wyszedł, zostawiając ją nieszczęśliwą, samą, z natrętnymi obrazami zdrady przed oczyma. Ruuszył do swoich spraw, niczym nie zaniepokojony.

- A niech cię cholera! - powiedziała.

Jak mógł sobie po prostu wyjść jakby nigdy nic? Nawet nie zdobył się na porządną walkę! Zerwała się z krzesła i wpadła do domu. Złapała torebkę. W parę sekund po podjęciu decyzji siedziała w samochodzie, pędząc po szosie.

Chciała pozostać żoną Matta. Stworzyć rodzinę. Należać do rodziny. Ale nie za cenę godności własnej. Nie będzie jej ignorował. Traktował jak popychadło. Nie pozwoli, żeby zlekceważył jej gniew, uznał go za przejaw urażonej ambicji. Jeśli chce utrzymać ich małżeństwo, musi przyznać się do winy. Dać słowo, że nie będzie więcej romansował z Lottie ani z nikim innym. Dochowanie wierności nie jest czymś, nad czym mogliby dyskutować. Jeśli przyzna, że zrobił źle, przebaczy mu.

Ale ma się to stać jeszcze dzisiaj.

Nie będzie czekała w domu na jego powrót jak posłuszna, uległa żoneczka. Umknął przed walką, więc ona mu ją wyda. Gibb z nim jest, wspaniale. Niech się wytłumaczy ze swego nikczemnego pozamałżeńskiego romansu z Lottie Lynam przed pełnym dezaprobaty ojcem.

Tutaj była całkowicie pewna bezwarunkowego poparcia Gibba.

Zanim dotarła do obrzeży Prosper, zaczęło zmierzchać. Szybko stało się dla niej oczywiste, że nie znajdzie Matta tak łatwo, jak sobie wyobrażała. Światła miasta zostały daleko w tyle, a ona nie rozpoznawała krajobrazu. Była kiedyś w tych okolicach, na terenach dzierzawionych przez Gibba. On i Matt zbudowali tu małą górską chatę i mąż pokazywał ją z prawdziwą dumą. Żałowała

poniewczasie, że nie zwróciła wtedy bacniejszej uwagi na otoczenie.

Przez zalesione wzgórza otaczające Prosper wiły się kręte, wąskie, mroczne polne drogi i ledwie parę z nich było oznaakowanych. Tylko ktoś tutaj urodzony mógł odróżnić jedną od drugiej. Dla obcego przybysza wszystkie wyglądały jednako.

Pomyślała, że w końcu musi się natknąć na jakiś znajomy punkt, i jechała dalej. Ale kiedy minęła tę samą opuszczoną stodołę, którą widziała dziesięć minut temu, uznała, że jednak się zgubiła. Zatrzymała samochód na środku drogi.

- Cholera! - Łzy frustracji wypełniły jej oczy. Tak deesperacko pragnęła go znaleźć! Im szybciej to przedyskutują, tym pręcej będą mieli za sobą i znowu zaczną wieść wspólne życie. Zirytowana, wysiadła z auta i rozejrzała się we wszystkich kierunkach, próbując przypomnieć sobie jakiś charakterystyczny szczegół krajobrazu. Otaczał ją gęsty, złowrogi las.

Wróciła za kierownicę i przekręciła kluczyk w stacyjce.

Wcześniej czy później znajdzie się na drodze prowadzącej do Prosper. Właściwie to, że się zgubiła, może obrócić się na jej korzyść. Spróbuje się uspokoić, zanim stawi czoło Mattowi. Zyskała czas na rozważenie rozmaitych aspektów sprawy. Może zdoła odkryć, co skłoniło Matta do szukania towarzysztwa byłej kochanki. Czy była temu w jakiś sposób winna?

Zwiększyła szybkość. Samochód wspiął się na wzgórze i wtedy dostrzegła w odległości mniej więcej pół mili czerwony błysk wśród koron drzew. W panice przyszło jej do głowy, że to pożar, ale szybko porzuciła tę przerażającą myśl - ogień płonął na ograniczonym obszarze i najwyraźniej się nie rozprzestrzeniał.

Im bliżej podjeżdżała w kierunku płomieni, tym bardziej znajomy wydawał jej się krajobraz. Rozpoznała, gdzie jest. Była tu w listopadzie na świniobiciu. Stąd przynajmniej znała drogę do domu. Może Matt już wrócił, może wszystko sobie przemyślał...

Zdjęła jednak nogę z pedału gazu i nacisnęła hamulec. Skąd ten ogień? A jeśli pierwsza myśl była słuszna? Jeśli ktoś zostawił tłące się nie dopalone drewno? Nie widziała żadnego samoochodu, co uzasadniało przypuszczenie o nie wygaszonym ognisku. W takim razie cały las był zagrożony.

Zatrzymała się, ale nie wyłączyła silnika. Rozejrzawszy się podejrzliwie dokoła, otworzyła drzwiczki i wysiadła. W ciepłym wiosennym powietrzu unosił się silny zapach palonego drewna. Z lękiem zapatrzyła się na ciemny las. Nie lepiej wrócić jak najszybciej do miasta i zawiadomić szeryfa? A jeśli odkryją grupę nastolatków piekących kiełbaski albo rodzinę uwiellbiającą jeść na świeżym powietrzu? Narobi zamieszania bez powodu. Następny incydent, który będzie włókł się za nią całe życie, jak to omdlenie, gdy szlachtowali świnie.

Wiedziała jednak, że nie wolno jej odejść, dopóki nie przeekona się, czy nie ma niebezpieczeństwa pożaru. Zebrała się na odwagę i zapuściła w las.

Nie była odpowiednio ubrana na taką wycieczkę: wciąż miała na sobie kostium, który włożyła do biura, rajstopy i buty na wysokich obcasach. Młode pędy jeżyn i winorośli, rozkrzewiających się po okresie zimowego spoczynku, wplątywały się jej we włosy, czepiały ubrania, zostawiały zadrapania na nogach. Coś zaszeleściło w leśnym gąszczu, ledwie parę jardów od niej, ale nie zatrzymała się, chcąc jak najszybciej rozpoznać źródło zagrożenia.

Nagle krzyk rozdarł powietrze.

Zastygła. Strach chwycił ją za gardło. Na litość boską, co to było? Zwierzę? Dziki kocur? Chyba tylko pantera mogłaby wydać taki dźwięk.

Nie, to krzyczał człowiek. Przerażliwie. Przerażająco. Boże święty, na co się natknęła?

Po pierwszym ostrym, pełnym bólu wrzasku przyszły następne; urywane okrzyki straszliwej męki.

Zelektryzowana tym wołaniem o pomoc zapomniała o własnym strachu. Rzuciła się na oślep w mroczną ciemność, zeszła z ubitej leśnej ścieżki, byle dobiec jak najprędzej na miejsce. Przedzierała się przez gęstwinę, nie zwracając uwagi na ukłucia bólu, gdy jej skórę rozdzierały gałęzie i ciernie, parzyły pokrzywy.

Zaraz otworzy się przed nią znajoma polana. Mogła już dostrzec spoza drzew błyski płomieni i rysujące się na ich tle sylwetki ludzi.

Było tam co najmniej dwa tuziny osób. Wszyscy krzyczeli.

Ale nie z przerażenia czy bólu.

Czując ulgę, zatrzymała się, żeby złapać oddech, i nagle zatroskała się: paniczny bieg przez las nie był czymś wskazanym w pierwszym trymestrze ciąży. Oparła rękę o pień drzewa, pochyliła się lekko i zaczęła głęboko oddychać.

Wyprostowała się, usłyszawszy nagły wybuch śmiechu. Ciekawość pchała ją, by zobaczyć cóż to za przedziwne zgromaadzenie, a jednocześnie coś jej mówiło” że powinna zachować ostrożność, dopóki nie stwierdzi, kto i dlaczego krzyczał.

Zobaczyła, że grupa składa się z samych mężczyzn. Może była świadkiem studenckiej inicjacji? Uznała, że właśnie o to chodzi, gdy nagle rozpoznała znajomą twarz i aż się zachnęła.

Dabney Gorn. Co robił o tej porze w tym miejscu? I sędzia Fargo. Mieli jakieś spotkanie klubowe?

Wyłowiła także wzrokiem Hermana Johnsona, naczelnika poczty w Prosper, przewodniczącego rady szkoły, i pastora Boba Whitakera. Wszyscy bez wyjątku spoglądali na coś, co leżało na ziemi. Stali stłoczeni w kręgu i Kendall nie mogła dostrzec, nad czym się pochylali.

Omal nie wyskoczyła ze skóry, kiedy rozległ się kolejny krzyk. Herman Johnson odrzuciwszy głowę do tyłu wydał wibrujący, mrozący krew w żyłach wrzask, podczas gdy inni podnieśli do góry to, co spoczywało na ziemi.

Krzyż.

Z przybitym do niego Michaeliem Li.

Rozdział dwudziesty trzeci

Młody mężczyzna wisiał nagi.

Z miejsca, gdzie powinien mieć genitalia, tryskała ciemnoczerwona krew. Głowa zwisała bezwładnie na szczupłej piersi. Nie żył już albo był nieprzytomny.

Kendall nawet nie krzyknęła, sparaliżowana grozą. Patrzyła z niemym przerażeniem, jak jeden z oprawców podstawił złożone ręce pod prawą stopę Hermana Johnsona i uniósł go. Johnson złapał Michaela Li za włosy, podniósł jego głowę, siłą otworzył usta i wepchnął w nie coś.

Kiedy opadł z powrotem na ziemię, pozostali zaczęli wiwaatować. Gdy przestali, nastąpił moment niesamowitej ciszy. A potem zaczęli śpiewać hymn.

Kendall ogarnęła fala mdłości. Przełknęła ślinę z żółcią, żeby powstrzymać wymioty, i zaczęła ukradkiem się wycofywać, trzęsąc się ze strachu, by jej nie odkryto. Była świadkiem egzekucji dokonanej przez członków straży obywatelskiej na niewinnym chłopaku. Nie mieliby dla niej więcej litości niż dla Michaela Li, gdyby odkryli jej obecność.

Kiedy zyskała pewność, że nie mogą jej widzieć, odwróciła się i puściła szaleńczym biegiem, przedzierając przez drzewa i zupełnie nie dbając o hałas, który robiła. Nie mogli jej usłyszeć; wciąż śpiewali religijny hymn, wypaczając intencję tego, kto go napisał.

Omal nie upadła, pochwycona nagle w pułapkę winorośli.

Odruchowo położyła rękę na brzuchu. Musi uważać z powodu dziecka i biec wolniej. Ale musi się też śpieszyć. Jeśli natychmiast powiadomi władze, aresztują ich w miejscu popełnienia tej

odrażającej zbrodni.

- Boże święty! - westchnęła, myśląc o szoku, jaki to wywoła wśród mieszkańców miasta. W jaki sposób Herman Johnson, uważany powszechnie za nieznośnego gbura, zdołał skłonić co bardziej znaczących obywateli Prosper do uczestniczenia w czymś tak nieludzkim?

Starając się iść szybko, ale nie biegnąc już na oślep, próbowała odtworzyć drogę, którą tu przysła, okazało się to jednak niemożliwe w mrokach lasu. Ciemność sprawiła, że nie dostrzegła obniżenia terenu, straciła równowagę i upadła ciężko na twarz. Na kilka sekund odebrało jej oddech i jakiś czas leżała łapiąc gwałtownie powietrze.

Dopóki nie pozbawił jej na nowo oddechu otaczający ją ohydny odór. Leżała rozciągnięta nie na ziemi, ale na czyimś ubraniu. Podparłszy się na dłoniach, uniosła się i spojrzała w twarz Barny.

Właściwie część twarzy; połowy niemal już nie było. W puszystym oczodole roilo się od robaków.
- Boże-boże-boże - pojękując bełkotliwie ze strachu, zdołała się wygramolić na czworakach na górę i z wymiotowała.

Wsparta na rękach i kolanach, popatrzyła na rozkładające się ciało, najwyraźniej pochowane w grobie zbyt płytkim, by uchronił je przed padlinożercami. Oddarły mięso ze szkieletu, ale to nie one go zabiły. Umarł zastrzelony. Pośrodku czoła widniał ciemny otwór po kuli.

Samobójstwo? Nieprawdopodobne. Nie przypadkiem ciało Bamy leżało niedaleko miejsca, gdzie dokonywano egzekucji. Kendall nie miała cienia wątpliwości, kto go zamordował.

Kolana tak jej drżały, że ledwie była w stanie dźwignąć się na nogi. Przeszła nad szczątkami Bamy i chwiejnie ruszyła na przelaj w kierunku drogi. Doszła do niej w końcu, choć zboczyła oczywiście od miejsca, w którym stał samochód. Zobaczyła go i podbiegając co parę jardów, dotarła do niego, zadowolona, że zostawiła silnik na biegu. Oszczędzało jej to trochę czasu, zresztą ręce tak jej drżały, że nie wiadomo, czy zdołałaby trafić kluczykiem w stacyjkę.

Jadąc coraz szybciej, zaczęła układać plan działania. Żeby dotrzeć do centrum, musi przejechać koło ich domu, może więc zatrzyma się i zadzwoni do szeryfa? Daj Boże, żeby Matt już wrócił. Był jej potrzebny. Po tym, co zobaczyła, przestało być istotne, że zdradził ją z Lottie Lynam.

Skupiła wzrok na drodze, mocniej ujęła kierownicę i próbo-
wała się całkowicie skoncentrować na tym, co ma zrobić, ale wyobraźnia wciąż podsuwała jej obraz krzyża z Michaeliem Li, a w uszach dźwięczały głosy mężczyzn, wiwatujących, gdy Johnson wpychał mu genitalia do ust.

I Bama. Przemity, nieszkodliwy Bama, prawiący każdemu uprzejmości i przepowiadający z niesamowitą dokładnością pogodę. Ponad wszelką wątpliwość dokonano na nim egzekucji, ponieważ stanowił skazę na wizerunku Prosper. Nie pracował, obrażał porządek publiczny, dawał zły przykład dziecIOm...

Boże święty, ilu innych pozbyto się lub ukarano w ten barrbarzyński, nieludzki sposób?

Billy Joe Crook? Oczywiście. Ukradł, więc odjęto mu rękę. Kto by zakwestionował przypadkowość tego tragicznego wydarzenia? Z pewnością nie Billy Joe, który naraziłby się na śmiertelne niebezpieczeństwo, gdyby ujawnił, że spotkało go nieszczęście z woli grupy samozwańczych sędziów.

„Oko za oko” - to było ich credo. Michael Li odważył się złamać tabu obcowania z białą dziewczyną. Wyrok? Kastracja i śmierć.

Wydała okrzyk zadowolenia, zobaczywszy zaparkowany przed domem wóz Matta. Pędząc po frontowych schodach wykrzykiwała jego imię. Kiedy wbiegła do holu, wyszedł z łazienki; brał prysznic, włosy miał wilgotne, wokół talii ręcznik.

- Kendall, gdzie byłeś? Wróciłem i nie zastałem cię w doomu. Po naszej kłótni...

- Matt, Bogu dzięki, jesteś! - Rzuciła się w jego ramiona i zaczęła szlochać z głową na jego piersi.

- Kochanie! - Przytulił ją mocno. - Wybaczysz mi? Zaczniemy od nowa?

- Tak, tak, oczywiście, ale posłuchaj, posłuchaj!

Odsunął ją od siebie i dopiero teraz zauważył, że nie rzuciła się ku niemu powodowana namiętnością.

- Co się, do licha, stało? Jesteś blada jak płótno. Co masz we włosach? - Wyjął z nich gałązkę i przyjrzał jej się z ciekawością.

- Matt, to było przerażające! - zaszlochała. - Nigdy bym w coś takiego nie uwierzyła, gdybym nie zobaczyła na własne oczy. Dopadli Michaela Li. Pewnie go nie znasz. Oni... Opowiem ci w drodze. Ubierz się, a ja zadzwonię na policję. Podjadą tu, bo to po drodze. Zaprowadzę ich...

- Kendall, weź się w garść. O czym ty, na litość boską, mówisz? - Miał czas przyjrzeć się jej dokładniej i teraz był niemal tak samo zaniepokojony jak ona. - Ty krwawisz. Gdzie się tak podrapałaś?

- Czuję się dobrze. Naprawdę. Po prostu jestem przestraszona.

- Kto cię skrzywdził? - zapytał gniewnie. - Bliźniacy? Jeśli te bydlaki...

- Nie, nie...! - przerwała mu z krzykiem. - Matt, słuchaj! Zabili Michaela Li. Myślę, że nie żyje. Wykastrowali go... tyle krwi wszędzie. Na ziemi, on pokrwawiony... - Uwolniła się z jego objęć, przestąpiła nad kupką brudnego ubrania, które z siebie zdjął, i sięgnęła po telefon. Wystukała 911.

- Kendall, to bez sensu. O czym ty mówisz?

- O Michaelu Li - powtórzyła niecierpliwie. - Chłopaku fałszywie oskarżonym o zgwałcenie Kimberly Johnson. Bamię też zabili. Natknęłam się na jego ciało, gdy uciekałam... Halo? Czy to...? Nie, nie mogę czekać! - wrzasnęła do słuchawki załamującym się głosem.

- Kendall, wpadasz w histerię. - Matt podszedł do niej szybko.

- Nie, nie, przysięgam, że nie. - Przełknęła ślinę, usiłując zapobiec wybuchowi hysterii, której właśnie zaprzeczyła. Zęby jej szczękały mimo woli. - Uspokoję się do przyjazdu policji. Zaprowadzę ich prosto w to miejsce.

- W jakie miejsce?

- Tam, gdzie było świniobicie. Dokonują morderstw na polanie, gdzie nikt nie zwróci uwagi na krew. - Nagle stało się to dla niej jasne. - Są przebiegli. I jest ich tak wielu. Ludzie, których znamy i nigdy byśmy nie podejrzewali.

- Co robiłaś w nocy sama w lesie?

- Pojechałam cię szukać. - Gorące słońce łzy wypełniły jej oczy i pociekły po policzkach. - Musiałam się z tobą zobaczyć. Nie chciałam, by ta sprawa z Lottie tak się zaogniła, że już nie zdołalibyśmy tego naprawić. Nie byłam w stanie czekać, aż wrócisz do domu. Próbowałam cię znaleźć, ale się zgubiłam.

- Pogotowie policyjne, czym mogę służyć?

- Och, halo! - Pomachała Mattowi na znak, że ktoś wreszcie wrócił do telefonu. - Proszę mnie natychmiast połączyć z biurem szeryfa. Nazywam się..

Wyrwał jej słuchawkę z ręki i odłożył na widelki. Zapatrzyła się na niego z niedowierzaniem.

- Dlaczego to zrobiłeś? Muszę o tym zameldować! Zaaprowadzę ich tam. Jeśli zaraz nie przyjadą..

- Nigdzie się nie wybierasz, tylko pod prysznic i do łóżka. - Pogłaskał ją po włosach. - Wieczorem duchy straszą w lesie, jeśli nie jesteś przyzwyczajona do ciemności. Zgubiłaś się i ogarnęło cię przerażenie, kochanie. Zwyczajnie spanikoowałaś. Gorący prysznic i kieliszek

chłodnego wina, a zapomnisz

o wszystkim.

- Nie spanikowałam! - Zdawszy sobie sprawę, że jej piskliwy ton potwierdza tę hipotezę, wzięła głęboki oddech. Jestem w pełni przy zdrowych zmysłach, zapewniam cię. Przeerażona, owszem, ale jeszcze nie zwariowałam.

- Nie sugeruję niczego takiego. Ale ostatnio byłeś w ogromnym stresie i...

- Przestań traktować mnie z wyższością i posłuchaj. Matt, oni...

- Przede wszystkim wyjaśnij mi, kim są ci „oni”, o których bez przerwy mówisz.

- Niemal wszyscy z jakąś władzą tutaj. Mogę wymienić tuzin wpływowych osób. - Zaczęła recytować nazwiska, ale przerwał jej znowu.

- Twierdzisz, że ci ludzie mają coś wspólnego z kastracją i ukrzyżowaniem? Nie wspominając o zamordowaniu zebraaka? - Uniósł brwi, robiąc sceptyczną minę. - Kendall, bądź rozsądna. Nie spodziewasz się chyba, że uwierzę w te bajki.

- Wierzysz w nie. Przekrzywił głowę zdumiony.

- Nie wspomniałam ani słowem o ukrzyżowaniu. Rdreszcz ją przeszedł. Spojrzała na kupkę porzuconych na podłodze ubrań. W błoto, które oblepiło podeszwy butów, nawbijało się gałązek i sosnowych szpilek. Wy<:Zuła słaby zaapach dymu. Powoli podniosła na niego oczy. Obserwował ją spokojnie, z uprzejmą miną. - Byłeś tam, tak? - wyszeptła ochryple. - Jesteś jednym z nich. Gibb także.

- Kendall. - Wyciągnął rękę.

Odwróciła się, by uciec, ale dała ledwie parę kroków, gdy złapał ją za żakiet i zatrzymał.

- Puść mnie! - Sięgnęła do tyłu, próbując podrapać mu twarz, i poczuła coś w rodzaju satysfakcji, gdy jęknął z bólu.

- Nie opuści nas pani tak po prostu, panno Buttinsky. Wbiła mu łokieć w żołądek. Złapał się za brzuch, uwalniając ją. Rzuciła się do drzwi, ale znów był szybszy. Walczyli chwilę, nim zdołał przycisnąć jej ręce do boków. Twarz miał ściągniętą furją. Pochylił się i wykrzyczał jej prosto w twarz, pryskając kropelkami śliny:

- Chcesz rozmawiać z szeryfem? Z kimś wyższym rangą z policji? Dobrze. Znajdziesz ich wśród naszych.

- Kim jesteście?

- Brotherhood. Wymierzamy sprawiedliwość, bo tak zwana demokracja i prawo obracają się przeciwko nam. Wszystko działa na korzyść hołoty. Żeby wyrównać szanse, musieliśmy wziąć swoje sprawy w swoje ręce.

- Zabijacie ludzi?

- Czasami.

- Ilu ich było? I jak długo to trwa?

- Od dziesięcioleci.

Kolana się pod nią ugięły i upadłaby, gdyby jej nie podtrzymał.

- Mieliliśmy nadzieję, że do nas dołączysz, Kendall. Nie wygrasz z nami.

- Zakład? - Walnęła go kolanem w pachwinę.

Zaklął i zgiął się we dwoje. Kendall rozejrzała się wokół, chwyciła z komody wazon z różami i zamachnąwszy się z całej siły, walnęła go w głowę. Zwalił się jak podcięte drzewo i leżał bez ruchu. Patrzyła przez moment na nieruchome ciało, nie wierząc, że to zrobiła. Oddychała głośno i chrapliwie. Pomyślała o dziecku. Czy przetrwa tę noc? A ona?

Tylko wtedy, jeśli ucieknie.

Zdjęła obrączkę, cisnęła nią w Matta i rzuciła się biegiem do frontowych drzwi.

Do domu zbliżały się światła samochodu. Gibb wysiadł z pikapa, wszedł po schodkach i zapukał.

Kierując się nagłym impulsem, pobiegła do sypialni i poorwała szlafrok z szafy.

- Idę! - zawołała. Śpiesząc do wyjścia wsunęła ramiona w rękawy i otuliła się szczelnie

materiałem, skrywając podraapane nogi i pobrudzone ubranie. W ostatniej chwili przypomniała sobie o zrzuceniu butów. Uchyliła - drzwi i wyjrzała przez nie. - Och, cześć, Gibb! - Miała nadzieję, że przypisze jej krótki oddech czemuś innemu niż strach.

Buty miał ubłocone jak Matt, ubranie śmierdziało dymem.

Wracał wprost z krwawej egzekucji i uśmiechał się dobrotliwie. - Wy dwoje jeszcze nie w łóżkach?

Zerknęła przez ramię, niemal spodziewając się zobaczyć krocącego chwiejnym krokiem Matta, rozcierającego ogromny guz na głowie.

A może nie żyje!

Miała nadzieję, że udało jej się ułożyć wargi we wstydlivy uśmiech.

- No nie. To znaczy... miałam na myśli, że jeszcze nie śpimy. My... no wiesz. - Uśmiechnęła się afektownie jak filmowa piękność z Południa. - Jeśli masz do niego coś naaprawdę ważnego...

- Wątpię, żeby było ważniejsze od tego, co robicie zachichotał.

- Wiesz - powiedziała nieśmiało - akurat się godzimy.

Posprzeczałiśmy się trochę. - Tknięta nagłym przeczuciem, zapytała: - Nie wspominał ci o tym?

- Prawdę mówiąc, tak, chociaż nie powiedział, o co poszło. Wpadłem zobaczyć, czy mogę to jakoś uładzić. - Uśmiechając się szeroko, mrugnął do niej. - Widzę, że moja pokojowa misja nie jest potrzebna. No to uciekam do siebie i zostawiam was dwoje przy waszych zajęciach. - Wyciągnął rękę i uścisnął jej ramię, a ona złękła się, że znowu zwymiotuje. - Wracaj do męża. Dobranoc.

- Dobranoc.

Gibb odwrócił się i ciężkim krokiem zszedł po schodach.

Dla lepszego efektu zawołała za nim:

- Wpadnij na śniadanie, dobrze? Ślinka mi cieknie na samą myśl o twoich słynnych waflach.

- Będę o ósmej.

Patrzyła za jego samochodem, dopóki tylne światła nie znikły jej z oczu, po czym pobiegła do sypialni..

Matt leżał tam, gdzie przedtem. Nie mogła się zmusić, żeby go dotknąć, nawet sprawdzić, czy puls mu bije.

Co za różnica. Żył czy był martwy, jej życie tutaj się skończyło.

Rozdział dwudziesty czwarty

- Nazywam się Kendall Deaton Burnwood. To, co panu zamierzam powiedzieć, zabrzmii niewiarygodnie. Może pan pomyśleć, że jestem niespełna rozumu. Zapewniam pana jednak, że tak nie jest. - Przerwała, by pociągnąć łyczek coli, którą kupiła w automacie w motelu.

- Słucham panią.

Detektyw Braddock z FBI był śpiący i zirytowany. Niedoobrze. Ale historia, którą mu opowie, powinna go zelektryzować tak, że się całkiem obudzi. Przedstawiła się jako obrońca z urzędu, mając nadzieję uprawdopodobnić w ten sposób swoje opowiadanie. Obawiała się, że może ją wziąć za kompletnego świra.

- Od prawie dwóch lat mieszkam i pracuję w Prosper.

Dzisiejszej nocy odkryłam grupę ludzi ze straży obywatelskiej, dokonujących okropnych morderstw. Należą do niej najbarrdziej wpływowi mężczyźni w miasteczku. Nazwali swoją

organizację Brotherhood. Mój... mój mąż jest jednym z nich. Wymierzają według własnego uznania kary wszystkim, którzy w ich mniemaniu na nie zasłużyli. Nie mogłabym stwierdzić, ilu ludzi wykończyli przez lata, ale dzisiejszej nocy byłam naocznym świadkiem morderstwa. - Opowiedziała o egzekucji Michaela Li i o tym, jak natknęła się na szczątki Barny. - Nie był przestępcą, ale podejrzewam, że i jego zabili - dodała, po czym opanowanym głosem opisała, czego była świadkiem, starając się mówić rzeczowo i dokładnie; zbytnia emocjonalność mogłaby osłabić wiarygodność relacji. - Polana leży głęboko w lesie w dość odległym miejscu. Odbywa się na niej świniobicie. I jak sądzę, nie tylko... - Głos jej jednak zadrżał. Przerwała i wtedy zdała sobie sprawę, że po tamtej stronie panuje całkowita cisza. - Jest pan tam jeszcze?

- Jestem. Po prostu... Cóż, proszę pani, nie zła historia.

Zawiadomiła pani o domniemanym morderstwie lokalną policję?

- Oni też w tym siedzą.

- Policja? Aha, rozumiem.

Najwyraźniej nic nie rozumiał. Zbywał ją. Co właściwie mogła powiedzieć, by go przekonać, że nie zetknął się z przypadkiem choroby umysłowej? Odrzuciła do tyłu włosy i pociągnęła kolejny łyk coli. Kłujący ból między łopatkami był wynikiem napięcia ostatnich godzin. Przejechała sto pięćdziesiąt mil, nim uznała, że może się zatrzymać. Cały czas spoglądała we wsteczne lustro.

Kiedy Matt oprzytomnieje i zaalarmuje pozostałych, że ich odkryła? A jeśli uderzenie wazonem go zabiło, kiedy odkryją ciało? Miała nadzieję, że nie przed ósmą rano, kiedy to Gibb przyjdzie przygotować wafle. Spojrzała na zegarek. Było po drugiej. Czas szybko uciekał.

_. Uprzedzałam pana, detektywie Braddock, że to zabrzmia niewiarygodnie.

- No więc musi pani przyznać, że wygląda na odrobinę naciąganą historię. Według naszej oceny Prosper jest bardzo porządną społecznością.

- Takie sprawia wrażenie, ale ta sielskość to kamuflaż. Niech pan zrozumie... wiem, że codziennie wysłuchuje pan opowiadań szurniętych osobników, ale przysięgam: mówię prawdę.

Widziałam tego chłopaka rozpiętego na krzyżu.

- Proszę się uspokoić, pani Burnwood. Daleko nie zajedziemy, jeśli pani wpadnie w histerię.

- Ani jeśli pan zignoruje moją opowieść.

- Niczego nie ignoruję..

- Więc co mam robić?

- Wymieniła pani parę ważnych osób - stwierdził z rezerwą w głosie. - Ludzi dysponujących władzą..

- Uważa pan, że o tym nie wiem? Z początku też wydawało mi się nieprawdopodobne, by byli w coś takiego zaangażowani, ale im dłużej myślałam, tym lepiej rozumiałam, że to ma sens. - Czemu pani tak twierdzi?

- Jest w tym mieście jakaś charakterystyczna atmosfera... Nie potrafiłabym tego opisać słowami, ale wyczuwałam ją od początku, gdy tam przyjechałam. Jego mieszkańcy nie zachowują się tak ostentacyjnie jak skinheadzi ani agresywnie jak neonaziści, ale wyznają podobną filozofię.

- Byłoby to niepokojące.

- Bardziej niż niepokojące. Ale trudno się w tym zorientować. Nie od razu rozpozna pan, z kim ma do czynienia. To mężczyźni piastujący stanowiska, które dają władzę i budzą zaufanie, a nie wszczynający burdy osobnicy o ogolonych głowach albo ze swastykami na czołach. Nie noszą powłóczyszystych szat i spiczastych kapturów. Nie zwołują mitingów, żeby wykrzykiwać rasistowskie hasła i głosić supremację białych. Ale być białym i anglosasem to jeszcze dla nich nie wszystko. Billy Joe Crook miał jasną skórę. Bama też.

- Billy Joe Crook?

Opowiedziała o młodocianym przestępcy i rzekomym wypadku.

- Według kryteriów członków Brotherhood nie wystarczy być białym, trzeba jeszcze być wybranym - stwierdziła z nie skrywaną pogardą.

Agent Braddock wypuścił ustami powietrze.

- Mówi pani rozsądnie, pani Burnwood. Nie sądzę, by pani to wszystko wymyśliła. Sporządzę protokół i zobaczymy, co się da zrobić.

- Dziękuję, ale biurokratyczne papierki niczego nie ukróca.

Nie będę bezpieczna, dopóki nie znajdą się za kratami.

- Zgoda. Jednak zanim zaczniemy zgarniać podejrzanych, wyślę agenta, żeby przyjrzał się tej polanie. Gdybyśmy wezwali kogoś na przesłuchanie, pani męża na przykład, zaalarmowałoby to pozostałych. Mogliby się rozproszyć. Utajnić. Potrzebujemy konkretnych dowodów, zanim dokonamy aresztowań. Musimy działać dyskretnie.

Miał oczywiście rację. To był najlepszy sposób postępowania. Ale ona nie odetchnie swobodnie, dopóki jej mąż, Gibb i inni nie znajdą się pod kluczem.

- Kiedy pan chce zacząć?

- Jeżeli określi pani położenie tych miejsc, wyślę kogoś o świcie.

Opisała, gdzie znajdują ciało Bamy. Była prawie pewna, że Michael Li też już nie żyje. Ciekawe, jak wytłumaczą jego zniknięcie z miejskiego więzienia.

Relacjonując, jak walczyła z Mattem, powiedziała detektywowi Braddockowi, że pozbawiła go przytomności. Nie wspomniała o swoich obawach, że mogła go zabić. Będzie się tym martwiła, jeśli rzeczywiście zajdzie taka potrzeba.

- Gdzie pani jest? - zapytał. - Jeśli znajdziemy dowody potwierdzające pani zeznanie, będzie pani świadkiem koronnym i musi się znaleźć pod ochroną rządu.

- Miasto nazywa się Kingwood. - Podała mu numer autostrady biegnącej przez centrum. - Zatrzymałam się w motelu Pleasant View. Nie można go przegapić, jest tuż przy drodze. Pokój sto trzy. O której pan będzie?

- O dziewiątej.

Siedem godzin. Wytrzyma sama tak długo? Nie ma wyboru. Wezwała ich, a teraz musi czekać.

- Niech się pani nigdzie nie rusza i nie robi czegoś głupiego z powodu złej oceny sytuacji albo brawury - ostrzegł agent. - Jeśli to wszystko, co usłyszałem, jest prawdą, a zaczynam pani wierzyć, mamy do czynienia z bardzo niebezpiecznymi ludźmi.

- Niech mi pan wierzy, zdaję sobie sprawę. Jeśli mnie znajdą, zabiją bez litości.

- Cieszę się, że pani to rozumie. Proszę się nie oddalać

pod żadnym pozorem. Czy ktoś panią śledził? - Jestem pewna, że nie.

- Ktoś jeszcze wie, gdzie pani jest?

- Nie. Kluczyłam po drodze i nie zatrzymałam się, dopóki nie byłam całkiem pewna, że jestem bezpieczna. Do pana pierwszego zadzwoniłam.

- Dobrze. Przyjadę nie oznakowanym jasnoszarym wozem.

- Będę na pana czekać.

- Powiniennem dotrzeć do dziewiątej i zabieram panią prosto do biura FBI w Columbii.

- Dziękuję, panie Braddock. - Rozłączyła się, nie zdjęła jednak ręki z aparatu. Może powinna zadzwonić do babci? Ale telefon o tej porze zaniepokoiłby starszą panią. A ten akurat śmiertelnie by ją przeraził. Podniosła słuchawkę i wystukała numer.

- Lepiej, żeby to było cholernie ważne!

- Ricki Sue, to ja.

- Kendall? - Głos przyjaciółki natychmiast zmienił się z niezadowolonego na zdumiony. - Co się ..

- Jest ktoś z tobą?

- A jak myślisz?

- Szczerze mi przykro. Nie prosiłabym cię o przysługę, gdyby to nie było niezwykle ważne.

- Co się dzieje? Stało się coś złego?

- Tak, ale za długo by było teraz wyjaśniać. Proszę cię, pojedź do babci i zostań z nią przez resztę nocy, dobrze? - Tak... od razu? - spytała bez entuzjazmu.

- Natychmiast.

- Kendall, co do cholery...

- Proszę, Ricki Sue. Wiesz, że nie prosiłabym, gdyby sytuacja nie była krytyczna. Zostań z babcią, dopóki nie oddzwonię. Zamknijcie porządnie drzwi i nie otwierajcie nikomu, nawet Mattowi czy Gibbowi.

- Co...

- Nie odbieraj telefonu, jeśli nie odezwie się dwukrotnie.

To będzie znaczyło, że ja dzwonię. Dobrze, Ricki Sue? Ucałuj babcię i zapewnij ją, że w tej chwili jestem bezpieczna. Zatelefonuję, jak tylko będę mogła. Dzięki. - Rozłączyła się, nie dając przyjaciółce czasu na protesty i pytania.

Jeśli Matt żyje i zaczął ją wraz z Gibbem ścigać, zaczną poszukiwania od Tennessee. Życie babci było zagrożone, tak samo jak jej. I dziecka.

Nagle uderzyła ją myśl o tym, co ją czeka w przyszłości.

Jeśli wszyscy członkowie Brotherhood zostaną aresztowani i staną przed sądem, by odpowiedzieć za swoje zbrodnie, będzie głównym świadkiem w sprawie przynajmniej o jedno morderstwo. Przez miesiące pozostanie pod opieką rządu... może lata, podczas gdy prokuratorzy będą badać szczegółowo dowody i przygotowywać linię postępowania. Samo to potrwa wieki. A potem jeszcze przełożenia rozpraw, odroczenia, apelaacje... cała skomplikowana maszyna sądowa, puszczona w ruch, by uzyskać uniewinnienie. Ona i dziecko znajdą się w centrum tej kabały.

Dopóki sprawa nie zostanie zamknięta, jej życie będzie podlegało władzom. Cokolwiek zrobi, będzie kontrolowane. Na wszystko musi uzyskać zgodę władz. Będzie miała taki wpływ na kształt własnego życia, jaki ma marionetka.

Zakryła twarz dłońmi i jęknęła. Czy taką wyznaczono jej pokutę za to, do czego się posunęła, żeby dostać pracę w Prosper?

Kiedy agenci federalni zaczną grzebać się w życiorysie najważniejszego świadka, czeka ich wielka niespodzianka. Ich obowiązkiem jest dowiedzieć się wszystkiego o Kendall Deaton. Kiedy jej sekret wyjdzie na jaw, straci wiarygodność.

Złapała się w pułapkę i nikogo nie mogła o to winić, tylko siebie. Chciało jej się płakać, ale bała się, że jeżeli zacznie, już nie przestanie. Jeśli detektyw Braddock przyjedzie i zobaczy ją szlochającą niepoohamowanie, potraktuje ją jak kobietę, która posprzeczawszy się z mężem uroiła sobie bajeczkę mającą mu przysporzyć kłopotów.

Żeby się uspokoić i ulżyć obolałemu, napiętemu ciału, wzięła gorący prysznic, zostawiła jednak zasłone odsuniętą, tak by móc kontrolować wzrokiem sypialnię. Uciekła w tym, co miała na sobie. Włożyła z powrotem poplamiony i poszarpany kosztium i położyła się na łóżku. Choć wyczerpana, nie mogła zasnąć. Zapadała w drzemkę, budząc się na każdy, nawet najlżejszy dźwięk. Ku własnej irytacji bez przerwy spoglądała na zegarek.

To była długa noc.

- Coś słodkiego? Dostaliśmy dziś rano bułeczki na miodzie z rodzynkami.

- Nie, dziękuję, tylko kawę.

Było dopiero dwadzieścia po ósmej. Od szóstej Kendall przemierzała pomarańczowy puszysty dywan w motelowej sypialni, odliczając każdą wlokącą się minutę. Uznawszy, że nie jest w stanie pozostać w pokoju ani chwili dłużej i łaknąc filiżanki kawy, zdecydowała się złamać zakaz Braddocka i wyjść. Oglądając się co chwila przez ramię, czy nie widać członków straży obywatelskiej w gwałtownym pościgu, przeszła na drugą stronę autostrady do restauracji..

Zapłaciwszy życzliwemu kasjerowi, wyszła niosąc ze sobą kawę. Przy rogu budynku spostrzegła budkę telefoniczną. Krótka rozmowa z Sheridan, tylko po to, by się upewnić, że wszystko w porządku. Mogła zadzwonić z pokoju w motelu, ale im mniej danych na jej rachunku, tym lepiej.

Weszła do staroświeckiej budki telefonicznej z zasuwanymi drzwiami. Pociągnęła je, a kiedy się za nią zamknęły, wystukała numer. Oczekała dwa sygnały, rozłączyła się i wybrała cyfry ponownie. Ledwie przebrzmiał pierwszy dzwonek, odezwała się Ricki Sue.

- Co jest? Odkryli coś? Masz kłopoty?

- Mam - odpowiedziała. - Ale nie z powodu, o którym myślisz. Jak babcia?.

- Dobrze. Chociaż oczywiście trochę zaniepokojona. Obie byłybyśmy wdzięczne, gdybyśmy się dowiedziały, co się, do cholery, dzieje.

- Ktoś o mnie pytał?

- Nie. Gdzie jesteś, Kendall?

- Nie mogę długo rozmawiać...

- Mów głośniej, dziecinko, ledwie cię słyszę, zupełnie jakbyś mówiła ze studni.

Z autostrady zjechał szary samochód i podjechał na parking przed motelem. Agent Braddock przybył trzydzieści minut wcześniej.

- Kendall, jesteś tam?

- Jestem. Nie rozłączaj się. - Oczy miała utkwione w sunącym wolno wzdłuż ponumerowanych drzwi aucie. Na przodzie siedziało dwóch mężczyzn. Braddock nie wspominał, że kogoś ze sobą zabierze, ale czyż agenci federalni nie pracują w parach?

- Kendall, babcia chciałaby z tobą rozmawiać.

- Nie, poczekaj, Ricki Sue. Weź coś do pisania, szybko!

Przystanęli pod drzwiami oznaczonymi numerem sto trzy.

Wysiadł wysoki, szczupły, siwiejący mężczyzna. Okulary przeciwsłoneczne, ciemny garnitur, biała koszula; typowy ubiór agenta federalnego. Rozejrzał się wokół i podszedł do drzwi. Zapukał, odczekał trochę i zapukał ponownie. Odwrócił się w stronę auta i wzruszył ramionami.

- Kendall!!! Odezwij się! Co się dzieje?

Mężczyzna siedzący po stronie pasażera wyszedł z samochodu. Gibb Burnwood.

- Ricki Sue, słuchaj uważnie, nie zadawaj pytań. Nie ma na to czasu. - Mówiła pośpiesznie, recytując jednym tchem skrótowo sformułowane instrukcje, z oczami utkwionymi w dwóch mężczyznach stojących po drugiej stronie zatłoczonej autostrady o dwóch nitkach. - Zdażyłaś?

- Zapisałam stenografując. Ale powiedz mi...

- Nie teraz. - Rozłączyła się.

Serce podeszło jej do gardła. Detektyw Braddock i Gibb

dyskutowali przed motelem. Jeszcze jej nie dostrzegli, ale tylko dlatego, że nie szukali jej wzrokiem. Jeśli spojrzą w kierunku restauracji, mogą ją zobaczyć.

Braddock wyjął coś z kieszeni i pochylił się nad klamką. Po paru sekundach pokój sto trzy stanął

otworem. Obaj weszli do środka.

Otworzyła pchnięciem drzwi budki, wypadła z niej i weszła w alejkę między restauracją a sklepem spożywczym. Pobiegła przed siebie; nikt jej nie widział, jeśli nie liczyć kota pląddującego pojemnik na śmieci w poszukiwaniu śniadania. Uliczka otwierała się na wąski parking biegnący wzdłuż rzędu sklepików. Tutaj właśnie zostawiła samochód. Wtedy wydawało jej się to cokolwiek melodramatyczne: przesadny środek ostrożności. Teraz dziękowała Bogu za swoją przezorność.

Wybierała drogę na chybił trafił, jadąc ani zbyt szybko, ani zbyt wolno i przestrzegając dozwolonej na terenie zabudowaanym prędkości. Przejechała obok kompleksu mieszkalnego, minęła stadion piłkarski i dotarła do wiejskiej drogi, która mogła prowadzić wszędzie.

Albo do nikąd.

Rozdział dwudziesty piąty

Spotkały się w Chattanooga w motelu, którego nazwę Kendali wymieniła podczas krótkiej rozmowy telefonicznej dzisiajjszego ranka. Babcia przytuliła ją mocno do swego kruchego ciała i pogłaskała po włosach.

- Moje dziecko, jestem chora ze zmartwienia. W coś ty się znowu wplątała?

- Oczywiście zakładasz, że ja jestem tego sprawczynią.

- Doświadczenie przeze mnie przemawia.

Roześmiała się i uścisnęła babcię. Ogromnie się ucieszyła na jej widok, ale jednocześnie doznała szoku, stwierdziwszy, jak bardzo posunęła się od czasu, gdy widziała ją ostatni raz. Na szczęście oczy patrzyły z ożywieniem i tak samo inteligentnie jak zawsze.

Ricki Sue omal jej nie udusiła w objęciach.

- No dobrze - powiedziała niezadowolonym głosem. hW nocy odciągnęłaś mnie od niezłego ogiera, rano wypluwałaś z siebie instrukcje jak pistolet maszynowy kule, a potem muusiałam prowadzić tak długo, że półdupki mi zdrętwiały. Do cholery, chcę wiedzieć, co się dzieje.

- Nie dziwię się, że jesteś zdenerwowana. Przepraszam cię za kłopoty i dziękuję z całego serca za wszystko, co zrobiłaś. Zrozumiesz, dlaczego cię popędzałam, gdy wam wszystko opowiem. To długa historia. Zanim zacznę, chciałabym się upewnić, czy nikt was nie śledził.

- Nakrążyłyśmy się po tym mieście, aż nas zemdliło. Jestem absolutnie pewna, że nie byłyśmy śledzone.

Usiadły we trójkę na łóżku i Kendall zaczęła swoją niesamowitą opowieść. Obie słuchały jak zahipnotyzowane, jeśli nie liczyć tych częstych momentów, gdy Ricki Sue mamrotała przekleństwa, by wyrazić niedowierzanie.

- Kiedy zobaczyłam Gibba z Braddockiem, zrozumiałam, że albo mi nie uwierzył i zadzwonił do najbliższych krewnych kobiety, którą podejrzewał o nerwowe załamanie, albo... i to jest naprawdę przerażająca możliwość... w biurze regionalnym FBI też są członkowie Brotherhood.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła Ricki Sue. - Tak czy owak wpadłaś.

- Właśnie. Więc nie zaryzykuję ponownego telefonu do federalnych, dopóki nie znajdę się daleko stąd. Jak dotąd, jestem jedyną osobą spoza Brotherhood, która wie o ich nikkczemnych praktykach. Mogę je ukrócić, więc będą mnie ścigać. Mam zamiar się ukrywać, aż tych drani aresztują, oskarżą i zamkną bez prawa wyjścia za kaucją.

- Zanim do tego dojdzie, grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo. - Babcia uścisnęła jej rękę; zatroskanie pogłębiło zmarrszczki na jej twarzy. - Dokąd pojedziesz?

- Nie wiem, ale chcę, żebyś pojechała ze mną. Babciu, proszę - powiedziała błagalnie, widząc, że staruszka zamierza zaprotestować. - Może to trwać całe miesiące. Chcę, żebyś ze mną była nie tylko dla mojego, ale także dla twojego bezpieczeństwa. Mogą mnie osiągnąć posłużwszy się

tobą. Muusisz się zgodzić.

Przekonywała ją blisko godzinę, ale bez rezultatu. Starsza pani była niewzruszona.

- Bezpieczniej dla ciebie, jeśli nie będziesz mnie ze sobą wlokła.

Kendall zwróciła się po pomoc do Ricki Sue, ale przyjaciółka jej nie poparła.

- To ty nie widzisz tego we właściwy sposób, dziecinko.

Rację ma babcia. Zmieniasz kolor włosów, nakładasz parę okularów, inne ubranie i już wyglądasz inaczej. Masz wiele możliwości, a kobiecie w wieku babci trudno się przeobrazić.

- Poza tym wiesz przecież, że chciałabym umrzeć we własnym domu, zostać pochowana przy dziadku i twoich rodzicach. Kiedy przyjdzie na mnie pora, nie chcę, by się to stało w nie znanym mi miejscu, nie chcę leżeć wśród obcych.

Nie znalazła na to argumentów, ale zaprotestowała, by babcia nie mówiła o śmierci jak o czymś bliskim.

Spały obie w jednym łóżku, a Ricki Sue pochrapywała na drugim. Leżały przytulone do siebie i szepcząc wspominały minione dni. Chichocząc przywoływały wspólnie przeżyte dobre chwile. Wzruszyły się, rozmawiając o dziadku i rodzicach; nikogo z nich Kendall nie pamiętała, znała ich wyłącznie z opowiadań babci, ale doskonale potrafiła ich wszystkich troje sobie wyobrazić.

- Biorąc pod uwagę ciosy, jakie na nas spadły, poradziłyśmy sobie całkiem nieźle, prawda? - Staruszka poklepała Kendall po ręce.

- Nie tylko nieźle, babuniu. Łaska boska, że miałam ciebie przy sobie. Kochałaś mnie bardziej, niż większość rodziców kocha swoje dzieci.

- Żałuję, że moja miłość nie była wystarczająca.

- Ależ była! - wykrzyknęła Kendall szeptem.

- Nie. Potrzebowałaś jak każde dziecko miłości i akceptacji matki i ojca, a oni nie mogli ci tego dać. - Położyła chłodną, suchą, naznaczoną starczymi plamami dłoń na policzku wnuczki. - Nie musisz nikomu nic udowadniać, kochanie. A już zwłaszcza im. Gdyby żyli, spełniłabyś wszelkie ich oczekiwania, i to z nawiązką. Nie bądź wobec siebie aż tak wymagająca, ciesz się życiem.

- Nie sądzę, by po tym, co się zdarzyło, czekało mnie wiele radości.

- Jakoś to przeżyjesz. - Starsza pani uśmiechnęła się jak zadowolona z siebie wróżka, która dostrzegła cudowne rzeczy w szklanej kuli. - Zawsze byłaś ciekawa i odważna i dobrze na tym wychodziłaś. Gdy po raz pierwszy zobaczyłam cię w szpitalu, nie leżałaś śpiąc cichutko w kołysce, jak pozostałe dzieci, tylko rozglądałaś się wokół. Powiedziałam twojej matce, że jesteś wyjątkowa, i od tamtej pory nie zmieniłam zdania. Jej oczy rozblęły. - Jesteś niezwykła. Pisane ci są wspaniałe rzeczy. Przekonasz się, że mam rację.

I nie martw się o pokaźny uszczerbek na koncie. Gotówka leżała ukryta od lat w różnych miejscach w domu.

- Ej! Sprytna z ciebie starsza pani - oświadczyła Ricki Sue, poklepując ją po ramieniu. - Podoba mi się twój styl, babuniu.

Kendall ucieszyła rozwijająca się między obiema kobietami przyjaźń. Z ufnością powierzała babcię opiece Ricki Sue.

- Zadzwoń, jak tylko będę mogła - obiecała. - Ale prawdopodobnie nie porozmawiamy zbyt długo. Może założą podsłuch na wasze telefony. - Zobaczywszy ich przestraszone twarze, dodała: - Spodziewam się po nich naj gorszego. Zaachowajcie dużą ostrożność.

Ogarnęło ją pragnienie, by powiedzieć o dziecku, które w soobie nosiła, ale zwalczyła je. Wzmogłoby to tylko ich niepokój. Poza tym nie dowierzała własnej woli. Pewnie wymogłyby na niej, by nie wyjeżdżała w nieznane; pokusa, by zostać, mogła się okazać zbyt silna.

Przyszedł nieunikniony moment rozstania. Kendall uściśnęła gorąco babcię, starając się zapamiętać zapach jej kruchego ciała.

- Kocham cię, babciu. Do zobaczenia naj wcześniej, jak to będzie możliwe.

Staruszka odsunęła ją od siebie i długo patrzyła jej w twarz. - Ja też cię kocham. Bardzo, bardzo mocno. Życzę ci szczęścia, dziecko.

Kendall wyczytała w jej smutnych oczach pożegnanie. Zdawszy sobie sprawę z tego, że prawdopodobnie widzi ją po raz ostatni, zapragnęła przyłgnąć do niej i już jej od siebie nie puścić. Ale poszła za przykładem babci i postanowiła pożegnać się równie godnie jak ona; zdobyła się nawet na blady uśmiech.

Ricki Sue, która płakała głośno i niepowstrzymanie, oświadczyła w tym momencie, że nie życzy sobie żadnych bigotów z Południa ani węszących fedsów uganiających się za jej zaddkiem, i wyciągnęła Elvie Hancock za drzwi.

Kendall patrzyła z okna, jak odjeżdżają, a potem szlochała, aż gardło ją rozboleło. Czego mogła się lękać ze stony członków Brotherhood? Zanim ją wyśledzą, serce jej pęknie, była tego pewna.

Ranek powitały trzy przybite kobiety w posępnym nastroju. Babcia wcisnęła wnuczce do ręki kopertę wypchaną banknotami. Kosztowało to Kendall wiele dumy, ale nie miała wyboru: musiała przyjąć pieniądze.

- Zwrócę ci je, gdy tylko gdzieś osiądę i dostanę pracę.

- Przecież wiesz, że wszystko, co mam, jest również twoje.

Porzuciła samochód na motelowym parkingu i za pieniądze babci kupiła starego gruchota od osobnika, który dał ogłoszenie w gazecie. Dojechała nim do Denver, gdzie wydał ostatnie kasznięcie i zgasł. Zostawiła auto na zatłoczonej autostradzie, poszła pieszo do najbliższego McDonalda i jedząc big maca, przestudiowała rubrykę z mieszkaniami do wynajęcia. W starej części miasta znalazła dokładnie to, czego chciała. Jej gosspodyni była wdową, która uzupełniała rentę dochodami z wynajmu. Dom leżał w pobliżu filii biblioteki publicznej, gdzie KendaII dostała pracę.

Pracowała dużo. Nie nawiązywała znajomości. Nie założyła sobie nawet telefonu. Kiedy ciąża stała się widoczna, odpoowiadała na uprzejme pytania z powściągliwością, która zniechęcała ciekawskich.

Żaden z jej telefonów do FBI nie wzbudził ani krzty zainteresowania, nie mówiąc już o wszczęciu dochodzenia. Regularnie co kilka tygodni dzwoniła do coraz to innego biura i mówiła, czego była świadkiem w Prosper. Ale najwyraźniej zaklasyfikowali ją jako czubka. Skrupulatnie oglądała wiadomości i czytała gazety w nadziei, że dowie się o zdemaskowaniu działań straży obywatelskiej w Karolinie Południowej. Nic takiego nie nastąpiło.

Członkowie Brotherhood uszli przed odpowiedzialnością za popełnione morderstwa i nic nie mogła zrobić, nie ryzykując życia. Mimo to nie siedziała z założonymi rękami. Spędzała wolne od pracy godziny w bibliotece, gromadząc informacje. Miała dostęp do komputerowych danych i korzystała z tego. Stopniowo powstawała jej własna baza danych, złożona z dosssier oficjeli Prosper, przypadków nie wykrytych morderstw, doniesień o zaginięciu osób i wszystkiego, co mogłoby pewnego dnia zaprowadzić członków straży obywatelskiej przed oblicze sprawiedliwości.

Dla ich własnego bezpieczeństwa nie powiedziała babci ani Ricki Su e, gdzie jest i co robi, dopóki więc sama nie zadzwooniła, nie miała pojęcia o śmierci starszej pani.

- KendaII, tak mi przykro - Ricki Sue popłakiwała, dzieeląc się z nią tą wiadomością. - Boli mnie serce, że w taki sposób się o tym dowiadujesz.

- Była sama?

- Tak. Wpadłam ją rano odwiedzić, ale nie otwierała. Znalazłam ją w łóżku.

- Więc umarła we śnie. To prawdziwe błogosławieństwo.

Co mam zrobić z domem?

- Rozdaj ubrania tym, którym się przydadzą. Rzeczyosobiste i kosztowności zdeponuj w skrytce bankowej. Resztę zostaw jak jest i pozamykaj drzwi. Płać rachunki z konta. PUpoważniła Ricki Sue do podpisywania czeków już wtedy, gdy przeprowadzała się do Prosper.

Nie miała nikogo, z kim by mogła dzielić ból, przeżywała go więc w samotności.

Pracę przerwała na dwa tygodnie przed rozwiązaniem.

Przygotowała w tym czasie swoje małe mieszkanie na przyjęcie dziecka. Poród zaczął się wczesnym rankiem. Koorzystając z telefonu gospodyni wezwała taksówkę, żeby ją zawiozła do szpitala.

Dziecko urodziło się po południu. Zdrowy, radosny chłopczyk, który ważył osiem funtów i trzy uncje. Dała mu imiona Kevin Grant, po swoim ojcu i dziadku. Nie mogła pomieścić w sobie wszechogarniającej radości, musiała się nią z kimś podzielić.

- Dziecko!!! - wrzasnęła Ricki Sue, równie zachwycona wiadomością o narodzinach synka KendaII, jak i zła, że nie wiedziała o ciąży. - Nie możesz teraz wrócić? Boże święty, jak długo zamierzasz wieść życie uciekinierki? Nie zrobiłaś nic złego!

Ku konsternacji KendaII nikt z Prosper nie usiłował jej odnaleźć ani poprzez Ricki Sue, ani przez babcię. Najwyraźniej Gibb przygotował jakieś wytłumaczenie jej nieoczekiwanego zniknięcia, ale dlaczego nie szukał zemsty? Bardziej niepokoiło ją, że zaniechali ścigania, niż to, że nie próbowali wywierać presji na ludzi, których kochała.

A może doskonale wiedzieli, gdzie jest, tylko wyczekiwali najbardziej odpowiedniego momentu, żeby uderzyć?

Mogli w każdej chwili wyłonić się zza najbliższego rogu, uważała więc, by nie ściągnąć na siebie niczyjej uwagi. Pogodziła się z myślą, że spędzi resztę życia z dala od świata, pod fałszywym nazwiskiem, zrezygnuje z kariery prawniczej i będzie wykonywać nudne, podrzędne prace, by zarobić na utrzymanie swoje i Kevina.

Nigdy nie robi kariery. Nigdy więcej nie wyjdzie za mąż.

Ricki Sue zaproponowała wprawdzie, że dowie się, czy cios, który zadała Mattowi w głowę, był śmiertelny, ale Kendall nie chciała wiedzieć. Jeśli umarł, będzie odpowiadać za zabójstwo. Jeśli żyje, wciąż jest jej mężem. Była załatwiona w obydwu przypadkach.

Tego popołudnia Kevin skończył trzy miesiące. Ułożyła go na pikowanej kołderce na trawniku przed domem wdowy. Denver cieszyło się wspaniałym, ciepłym dniem wiosennym. Niebo było czyste, ale Kendall doznała uczucia, że chmura przesłania słońce, gdy zobaczyła podjeżdżający rządowy samochód. Zrobiło jej się chłodno; dni bezpiecznego wygnania się skończyły.

Jasnogranatowy wóz zatrzymał się przy krawężniku. Wysiadło z niego dwóch mężczyzn i ruszyło w jej kierunku chodnikiem. Niski i krępy uśmiechał się uprzejmie. Wysoki nie. - Pani Burnwood? - zwrócił się do niej niższy.

Na tarasie pojawiła się gospodyni. Znała ją pod innym nazwiskiem i ze zdumieniem przyjęła twierdzącą odpowiedź.

- Agent Jim Pepperdyne, FBI. - Wyjął skórzany portfel z marynarki i otworzył go machnięciem ręki, by pokazać legitymację. Kiwnął głową w kierunku drugiego mężczyzny o suurowo zaciśniętych ustach, noszącego nieprzezroczyście okulary przeciwsłoneczne. - Szeryf John McGrath.

Rozdział dwudziesty szósty

John McGrath obudził się i stwierdził, że odzyskał pamięć. Przebudzenie było raptowne i nie doświadczył stale mu ostatnio towarzyszącej ospałości i uczucia dezorientowania. Doskonale

pamiętał całą swoją przeszłość; tę odległą i zupełnie bliską.

Wiedział, jak się nazywa, przypominał sobie dzieciństwo spędzone w Raleigh w Karolinie Północnej, numer, jaki nosił na koszulce w szkolnej drużynie futbolowej. Pracę dla FBI i incydent, który przed dwoma laty roztrzaskał jego życie w kawałki i zmusił do odejścia z biura stanowego. Pracę, którą ostatnio wykonywał. Także to, po co wysłano go do Denver.

Wypadku samochodowego nie pamiętał i prawdopodobnie nie miał sobie nigdy przypomnieć, ale jazdę w deszczu po śliskiej szosie i wyrastające nagle na drodze zwalone drzewo - tak. Również uczucie kompletnej bezradności w obliczu zbliżającej się katastrofy i zgodę na śmierć, gdy auto zsuwało się po zboczu. Pamiętał też moment odzyskania przytomności w szpitalu; obolałe ciało, obcy wokół i on sam dla siebie obcy.

Jeszcze żywszy był obraz Kendall patrzącej mu prosto w oczy i mówiącej: „To mój mąż”.

Przyłożył ramię do czoła i zaklął cicho pod nosem; niestety pamiętał także wszystko, co się zdarzyło od tej chwili.

Zwłaszcza dzisiejszą noc.

Dzisiejszej nocy wpadł w bagno po uszy.

Dzisiejszej nocy poznał zmysłową stronę osobowości Kendall Burnwood.

Na poduszce obok niego nikt nie leżał, ale nie tak znowu od dawna - zachowała jeszcze ślad jej głowy. Doskonale pamiętał każde jej westchnienie, pomruk, smak jej skóry. Jęknął i przeciągnął dłońmi po twarzy.

Boże święty, czy zostało jeszcze cośkolwiek, czego by jego pamięć nie odsłoniła? Tym, co zrobił, zaprzeczył samemu sobie - Johnowi McGrathowi, takiemu, jakim był.

Zakrył oczy dłońmi, pocierając oczodoły. Jak wytłumaczy to Pepperdyne'owi? A samemu sobie? Jedno przynajmniej wiedział: nie zdradził innej kobiety. On i Lisa...

Lisa. Lisa Frank. Jak wszystkie inne, także wspomnienie

o niej napłynęło dopiero teraz. I jak to pasowało do sytuacji, że nie pomyślał w pierwszym momencie o przyjemnych chwilach ich związku, tylko o kłótni.

Wrócił do domu z podróży do Francji, skąd eskortował z powrotem do Stanów zbiegłego zbrodniarza. Był wyczerpany, brudny, pod powiekami czuł piasek. Miał zamiar spać trzydzieści godzin bez przerwy. Wkładając klucz do zamka, łudził się, że Lisy nie ma w domu.

Była. Podminowana, w wojowniczym nastroju, bo jakiś pasażer pierwszej klasy zachowywał się jak prawdziwy świr.

- Przykro mi, że miałaś ciężki lot - powiedział starając się, żeby jego współczujący ton wypadł przekonująco. - Ja też się dobrze nie bawiłem. Idę pod prysznic. Chodźmy do łóżka odespać to wszystko.

Ale ustępliwość nie leżała w jej charakterze. Czekwała z ręcznikiem w ręce, aż wyjdzie z kabiny prysznica, a gdy wszedł do sypialni, leżała pod prześcieradłem, uśmiechając się uwoodzicielsko.

Od momentu kiedy odkrył, jak zachwycające są różnice między chłopcem i dziewczynką, widok nagiej kobiety nie pozostawiał go obojętnym. Tej nocy zachowywał się jednak egoistycznie i Lisie zabrakło jego zwykłej dbałości i delikatności.

- John, musimy porozmawiać. - Pstryknęła wyłącznikiem lampki.

- Lisa, nie teraz, jestem wyczerpany. - Ton jej głosu sygnalizował temat: „nasza znajomość prowadzi donikąd”, a on był naprawdę zmęczony. Zresztą nawet gdy nie był, unikał analizowania ich związku.

Nie zważając na jego zmęczenie i podły nastrój, zaczęła recytować znajomą litanie, wymieniając to, co uważała w ich związku za niezadowolające, a co jemu właśnie odpowiadało.

Nie widują się wystarczająco często, stwierdziła. Jako stewardesa dużej linii lotniczej nie ma stałych godzin pracy i długo przebywa poza domem. Jego praca również wymaga częstych podróży. Spędzają razem w domu akurat tyle czasu, by zaspokoić swoje seksualne apetyty, ale nie dość, by się do siebie przyzwyczaić. Jemu może coś takiego dogadza, ale ona chce czegoś więcej.

- Po prostu się nie angażujesz - utyskiwała.

Zapewnił, że to nieprawda, choć po cichu przyznawał jej rację. Zadowalał go układ między nimi; „układ”, bo nigdy mu przez głowę nie przeszło traktować tego w kategoriach związku. Nie musiał inwestować zbyt wiele czasu, energii, wysiłku. I chciał, by tak zostało.

Lisa roztrząsała tę kwestię tak długo, aż się rozzłościła.

- Nie będziemy dłużej dzisiaj rozmawiać. - Zgasił lampkę i wtulił głowę w poduszkę.

- Skurwysyn - zamamrotała, ale udał, że nie słyszy. Następnego ranka obudził się przed nią.

Patrząc na uśpioną Lisę, zdał sobie sprawę, że pozostała mu równie obca jak tego dnia, kiedy wymienili telefony podczas lotu, w którym brała udział. Znał dobrze jej ciało, ale nie ją. Podobnie jak ona nie znała jego. Nikt nie wiedział, co się kryje w duszy Johna McGratha. Powinien grać bardziej fair, ostrzec ją na początku, a nie czekać, aż sama to odkryje i dojrzeje do zerwania.

Z zadumy wyrwał go głos Kendall, śpiewającej kołysankę Kevinowi w sąsiednim pokoju. Chyba go karmiła, po raz pierwszy dzisiejszego dnia. Wyobraził ją sobie, jak kołysze dziecko w ramionach, uśmiecha się do niego, wodzi koniuszkiem palców po drobniutkiej twarzyczce i jak promieniuje z niej macierzyńska miłość.

Taką właśnie zobaczył ją po raz pierwszy, gdy siedziała na trawniku przy tym domu w Denver. Kiedy Jim Pepperdyne się przedstawił, sprawiała wrażenie, jakby jej ulżyło; jakby wyczekiwała, że ją wreszcie znajda i przestanie się tego bać.

Dali jej czas na spakowanie rzeczy własnych i dziecka, a potem poprowadzili do samochodu. Już miała wsiadać, gdy nagle się zawahała. Patrząc niespokojnie to na jednego, to na drugiego, spytała:

- Zabieracie mnie z powrotem do Karoliny Południowej?

- Tak, proszę pani - odparł Jim. - Musi pani tam wrócić.

W trakcie swej kariery John zaobserwował niemal wszelkie możliwe reakcje emocjonalne, do jakich zdolny jest człowiek. Badał odruchy, warunkowy i bezwarunkowy. Uważano go za eksperta w rozpoznawaniu najmniej szczych niezgodności mowy i ekspresji. Z zadziwiającą precyzją odróżniał prawdę od kłamstwa. Na tym polegał jego zawód. Zawsze respektowano jego zdanie jako znawcy ludzkich zachowań.

Kiedy Jim powiedział, że mają zamiar zabrać ją z powrotem tam, skąd uciekła, przycisnęła obronnym gestem dziecko do piersi, a jej oczy wypełniły się łzami. John McGrath był abbsolutnie pewien, że Kendall Deaton Burnwood całym sercem wierzy w to, co mówi:

- Skoro tak, zabiją mnie.

John pracował swego czasu z Jimem Pepperdyne'em. Ruwalniali z rąk przestępców zakładników. Pepperdyne był wspaniałym agentem i jednym z nielicznych przyjaciół Johna. McGrath nie pracował już dla stanowego biura FBI, mimo to Jim poprosił go, by uczestniczył w przesłuchaniu pani Burnwood.

- Po prostu jako obserwator - rzucił od niechcienia, kiedy szli korytarzem do biura, gdzie czekała Kendall. - Może się to okazać całkiem interesujące. Niezależnie od tego chciałbym sprawdzić, czy jest godna zaufania, mówi prawdę czy kłamie jak najęta.

- Przecież już wiesz, że mówi prawdę.

- Musi jeszcze zeznawać tak przekonująco, by sędziowie

jej uwierzyli. To, co mówi, brzmi absurdalnie. Nie masz za grosz serca, nikczemniku - oznajmił, uśmiechając się. - Jesteś bardziej cyniczny i nieustępliwy niż większość sędziów. Jeśli zdoła cię przekonać, jesteśmy w domu.

- Wiesz, że to już nie moja działka - przypomniał mu McGrath, gdy stanęli pod drzwiami biura. Pepperdyne położył dłoń na klamce i posłał mu wymowne spojrzenie.

- Gówno prawda.

Rozdział dwudziesty siódmy

Nikt jej nie pilnował. Synka zostawiła pod opieką agentki.

Zrzekła się obrony twierdząc, że sama będzie występować we własnym imieniu. Nie okazywała szczególnego niepokoju, naawet gdy Pepperdyne wręczył jej nakaz. Przebiegła go wzrokiem i podniosła na nich zdumione oczy.

- To wezwanie dla świadka - powiedziała.

- A czego się pani spodziewała? - spytał Pepperdyne. -

Wezwania w sprawie o morderstwo? - On nie żyje?

- Matt Burnwood? Żyje.

Zagryzła wargi, ale John nie mógłby powiedzieć, czy jej twarz wyrażała ulgę, czy konsternację.

- Myślałam, że go zabiłam.

- Jeśli panu Burnwoodowi zostaną udowodnione wysunięte przeciwko niemu zarzuty, prawdopodobnie pożałuje, że nie umarł.

- Chwileczkę... - Dotknęła ręką czoła. Na jej twarzy malowało się niezrozumienie. - Czy to oznacza, że Matt został aresztowany i oskarżony?

- On, jego ojciec i wszyscy pozostali, których pani zaliczyła do członków tej szczególnej straży obywatelskiej. - Podał jej listę z nazwiskami. - Zarzuty są rozmaite: od wejścia w zмовę po dokonywanie morderstw, za co grozi im nawet kara śmierci. Ponieważ wśród oskarżonych znajdują się sędzia okręgowy i prokurator, mianowano na te stanowiska zastępców. Wszyscy siedzą w więzieniu, pani Burnwood. I nie będą mieli możliwości wyjść za kaucją.

- Trudno mi w to uwierzyć - powiedziała cicho. - Wreszcie ktoś wziął moje telefony na serio.

- Od początku byłyby brane na serio, gdyby trafiła pani na właściwe biuro. - Pepperdyne usiadł na krawędzi biurka. - Ktoś z wymiaru sprawiedliwości zwąchał, że coś w tym wszystkim śmierdzi. Zbyt wielu więźniów umierało lub doznawało urazów w więzieniu w Prosper, zapadały zbyt surowe wyroki.

- Czy to znaczy, że ich obserwowano?

- Tak. Jeszcze zanim została tam pani zatrudniona jako obrońca z urzędu. Ktoś od nas pracował nad tym. Niestety, zniknął bez śladu, nim zdołał uzyskać niepodważalne dowody. - Otworzył teczkę i wręczył jej fotografię. - Sądzę, że palli go rozpozna.

- Bama! O mój Boże!

Pepperdyne spojrzał na Johna. McGrath skinął głową; zdumienie Kendall Burnwood było szczere.

- Tej nocy, gdy widziałam, jak zabijali Michaela Li, oddkryłam także jego zwłoki - powiedziała. - Nikt go nie widział już od jakiegoś tygodnia.

- Z naszego punktu widzenia wciąż jest osobą zaginioną.

Przeszukaliśmy okolicę, ale nie natrafiliśmy na grób, o którym wspominała pani w rozmowach telefonicznych. Byłaby pani w stanie go odnaleźć?

- Nie sądzą. Minął prawie rok. Zgubiłam się w ciemnościach, byłam dezorientowana i przerażona. Natknęłam się na jego ciało w panicznej ucieczce, by ocalić życie. Nawet gdybym was

zaprowadziła w to miejsce, natura pewnie już dokonała dzieła zniszczenia.

- Nawet w tym wypadku jesteśmy zdolni uzyskać fizyczne dowody przestępstwa.

- Trudno mi uwierzyć, że Bama był agentem FBI. Przycisnęła palce do warg, by powstrzymać ich drżenie.

- Nazywał się Robert McCoy. Musieli go rozszyfrować i zapłacił za to życiem.

- Niekoniecznie. Brotherhood mogło się po prostu zabrać do wiosennych porządków i zdecydowali, że trzeba zamieść sądowe schody. Dla nich to wystarczający powód, żeby zaabić. - Wstała i podeszła do okna. Objęła skrzyżowanymi ramionami lekko zgarbione barki i John zrozumiał, jak bardzo jest przerażona i bezbronna. - Nawet sobie nie wyobrażacie, do czego są zdolni - powiedziała cicho.

- Mamy o tym całkiem niezłe pojęcie - oświadczył Pepperdyne. - Pamięta pani redaktora naczelnego gazety męża? - Spotkałam go tylko raz. Zmarł nagle tuż po naszych zaręczynach.

- Nie wierzymy w naturalne przyczyny tej śmierci, choć zostały potwierdzone protokołem zgonu. Ustaliliśmy, że nie zgadzał się z polityką wydawniczą pani męża. Ekshumowano ciało, żeby dokonać sekcji na polecenie sądu. - Pepperdyne spojrział na nią ponurym wzrokiem. - Tak, proszę pani, w pełni doceniamy tę gromadkę.

- Obawiam się, że mają wtyczki w pańskim biurze. Agent Braddock...

- Siedzi jak reszta. Wszystkim się zajęto.

- Tak? A skąd pan wie, że to się kończy na Braddocku? Ilu jest członków Brotherhood? Wie pan? - Wzburzona podniosła głos. - Zabiją mnie, jeśli będę przeciw nim zeznawać. Znajdą sposób.

- Damy pani ochronę. - Pepperdyne wskazał na Johna, a ona rzuciła mu spojrzenie jasno wyrażające niewiarę w jego możliwości.

- Nie jesteście w stanie mnie ochronić. Bez względu na środki, jakie podejmiecie. Żadne nie wystarczą.

- Pani zeznanie jest w tym procesie kluczowe, pani Burnwood.

- Kto poza tym świadczy przeciwko nim? - Roześmiała się szyderczo, wiedząc doskonale, że Pepperdyne nie wymieni innego nazwiska. - Tylko ja, tak? I naprawdę pan sądzi, że uzyska wyrok skazujący wyłącznie na podstawie mojego zeznania? Ich obrona zetrze mnie na pył. Oświadczą, że wymyśliłam przedziwną bajeczkę, żeby wyrównać rachunki z wrogaami, jakich sobie narobiłam w Prosper.

- A Matt Burnwood? Też jest wrogiem?

McGrath był zadowolony, że Pepperdyne o to pyta. Według protokołu, chciała rozwalić facetowi czaszkę kryształowym wazonem. Ciekawiło go dlaczego.

- Jest pani gotowa zeznawać przeciw niemu, pani Burnwood?

- Gotowa, tak. Problem polega na tym, że nie widziałam go na miejscu zbrodni. Ani mojego teścia. Choć tam byli. Wiem z pewnością.

- My też. - Pepperdyne otworzył inną teczkę i wskazał na dokumenty w środku. - Członkowie Brotherhood nie mogli dokonywać rytualnych mordów bez Gibba Burnwooda. Był ich założycielem i najwyższym kapłanem.

Wciągnęła szybko powietrze i powiedziała szorstko:

- Powinłam się była domyślić.

- Co pani wie o przeszłości teścia?

Przytoczyła parę faktów.

- Niewiele, prawda?

Pepperdyne zaczął mówić, zaglądając do grubej teczki zawierającej dossier Gibba Burnwooda:

- Jego ojciec służył podczas drugiej wojny światowej w marynarce. On i garstka innych zgłosili się na ochotnika do wykonania zadania specjalnego. Wszyscy zostali zabici w ciągu tygodnia, tylko on ocalał; przeżył osiem miesięcy na okupowanej przez Japończyków małej wyspie, jedząc surowe ryby, które łapał gołymi rękami. Udało mu się wyeliminować pięćdziesięciu Japończyków i nigdy nie został schwytany. Kiedy piechota morska przechwyciła wysepkę, został odesłany na okręcie do Stanów i pojechał do domu, gdzie okrzyknięto go bohaterem. Wojna skończyła się, zanim zdążył znowu wziąć w niej udział, co go tak straszliwie wpierdzieliło, że w październiku czterdziestego siódmego wyczyścił skrupulatnie strzelibę, włożył lufę do ust i nacisnął dużym palcem cyngiel. Młody Gibb, mimo popełnionego przez ojca samobójstwa, idealizował go i pragnął iść w jego ślady. Wstąpił do marynarki wojennej i służył w niej w czasie wojny z Koreą, ale skończyła się zbyt szybko, by spełnić jego oczekiwania. Na Wietnam okazał się za stary. Skoro przypadły mu wszystkie wspaniałe wojny, postanowił wszczać prywatną, jednocześnie przyuczając do niej Matta. Podobnie jak ojciec należał do Ku-Klux-Klanu, ale wziął z nimi rozbrat we wczesnych latach sześćdziesiątych. Najwyraźniej ich metody były dla niego za subtelne. Zdecydował się utworzyć własne stowarzyszenie, zamkniętą grupę starannie dobranych ludzi, tak by zapewnić organizacji bezkarność. Zakładamy, że zaczęli działać gdzieś w połowie lat sześćdziesiątych. Naturalnie cały czas przygotowywał Matta do kierowania grupą po jego śmierci. Deptaliśmy mu po piętach ponad trzydzieści miesięcy, mimo to nie zdobyliśmy żadnych konkretnych dowodów. Same poszlaki. Jest pani naszym największym atutem, pani Burnwood. Bez pani nie dostaniemy tego faceta. A jeśli on utonie, pociągnie za sobą resztę.

Kendall w milczeniu słuchała długiego wywodu Pepperdyne'a. Kiedy agent odłożył teczkę Gibba, powiedziała:

- Nie jest pan w stanie udowodnić, że brali udział w egzekucji Michaela Li. Mieli rok na zatarcie wszelkich śladów. Dobry obrońca, a wynajmą najlepszego, udowodni, że zeznają tylko po to, by się zemścić na Matcie za romans z moją klientką.

- Miał romans z pani klientką?

- Tak.

Pepperdyne skrzywił się, podrapał po głowie i zasięgnął wzrokiem rady Johna.

- Pani Burnwood ma rację, Jim - odezwał się McGrath. - Jeśli to wyjdzie na jaw w sądzie, zrobią z niej kobietę, którą mąż wzgardził, co podważy jej wiarygodność.

- Jezu!

- To i tak nie ma znaczenia, panie Pepperdyne! - Nagle wybuchnęła złością. - Cała ta dyskusja jest bez sensu. Będę martwa, zanim dojdzie do procesu. Brotherhood nie mogłoby przetrwać trzydzieści lat, gdyby nie bezgraniczna lojalność jego członków i ich rodzin. Myśli pan, że pozwolą mi żyć? Widziałam, jak wykastrowali i ukrzyżowali wspaniałego młodego człowieka, bo był Azjatą i ośmielił się kochać córkę białego. Moja wina jest tysiącrotnie większa w ich oczach. Zabiją mnie za to, że ich zdradziłam, nawet jeśli nie będę zeznawać. Zamordują bez litości, przekonani, że mają do tego prawo, bo co w tym wszystkim najbardziej przerażające, to ich wiara w słuszność sprawy, pewność błogosławieństwa bożego dla ich poczynań. Uważają się za bożych pomazańców. To, co robią, robią w imię Boże. Śpiewali hymn, gdy Michael Li wykrwawiał się na śmierć. Jestem heretyczką. Zabić mnie to święta misja... Ale założmy, że dożyję momentu, w którym przyjdzie mi składać zeznania, i że zostaną uniewinnieni. Założmy, że dowody, które pan przedstawi, poparte nieprzekonującym świadectwem wzgardzonej żony, okażą się niewystarczające i członkowie Brotherhood odejdą wolno. Nawet jeśli Matt mnie nie zabije, oskarży o porzucenie i wystąpi o opiekę nad Kevinem. Zostanie mu przyznana.

Pepperdyne chrząknął zażenowany.

- Być może powinna się pani dowiedzieć, że Matt Burnnwood uzyskał rozwód. Na podstawie oskarżenia o użycie przemocy fizycznej.

- Bo uderzyłam go w obronie własnej?

- Założył sprawę - wzruszył ramionami Pepperdyne. - Nie stawiała się pani w wyznaczonym czasie, więc sąd wydał wyrok zaocznie.

- Sędzia Fargo?

- Właśnie.

McGrath obserwował, jak Kendall ze zmarszczonymi brwiami przetrawia fakt, że jest wreszcie wolna, ale nie był w stanie odgadnąć, czy ten fakt ją w jakiś sposób poruszył. Jej pytanie wyjaśniło, co ją niepokoi.

- Czy mój eks-mąż wie o Kevinie?

- Nie od nas - odpowiedział Pepperdyne. - Nie wie - liśmy o dziecku, dopóki pani nie odnaleźliśmy. Oczywiście nie można wykluczyć, że dowiedział się z innego źródła.

Opadła na krzesło, objęła dłońmi łokcie i zaczęła się kołysać.

- Nie cofnie się przed niczym, żeby mnie zabić i oddać Kevina członkom Brotherhood, których jeszcze nie wykryliście. Nie - oświadczyła dobitnie. - Nie wrócę. Nie mogę.

- Wie pani równie dobrze jak ja, że nie ma pani wyboru, pani Burnwood - powiedział Pepperdyne. - Uciekła pani poza granice stanu, w którym popełniono liczne przestępstwa przeciwko prawu państwowemu i federalnemu. Uchylenie się od złożenia zeznań jest również traktowane jako przestępstwo. Za pół godziny ma pani umówione spotkanie u sędziego pookoju. Wyda nakaz zatrzymania na tej podstawie, że jest pani głównym świadkiem, i poleci odstawić panią pod eskortą do okręgu, w którym będzie prowadzone postępowanie sądowe. Może pani oczywiście zaangażować adwokata, jeśli takie jest pani życzenie.

- Jestem doskonale obznajomiona z prawem, panie Peppperdyne - powiedziała chłodno. - Zamierzam bronić się sama.

- Jesteśmy gotowi zaniechać postępowania przeciwko pani, jeśli pomoże pani udowodnić im winę. - Przerwał, dając jej czas na odpowiedź, ale milczała. - Jechała tu pani przekonana, że została aresztowana za popełnienie morderstwa. Wyobrażam sobie, jak pani ulżyło.

- Nie rozumie pan - stwierdziła smutno, potrząsając głową. - Dopilnują, żeby mnie zabito.

- Wyjeżdżamy jeszcze dzisiaj - oświadczył Pepperdyne. John McGrath wiedział, że przyjaciel nie zlekceważył obaw

Kendall Burnwood. Ale był człowiekiem FBI, podporządkowanym polityce, jaką prowadziło biuro. Polecono mu wykonać zadanie i zamierzał je wypełnić.

- Mamy samolot o trzeciej. Zostanie pani przewieziona do Columbii i umieszczona w bezpiecznym miejscu do czasu pierwszego procesu. Będę towarzyszył pani do Dallas, a dalej szeryf McGrath wraz z kobietą funkcjonariuszką.

John poczuł się, jakby podłoga usuwała mu się spod stóp.

Wyszedł za Pepperdyne'em na korytarz i zaatakował go:

- O czym ty właściwie mówiłeś?

- To znaczy?

- Eskortuję ją do Columbii? Ja?!

- To tylko jednorazowa fucha, John. - Niewinny wyraz twarzy Pepperdyne'a nie był przekonujący.

- Nie moja. Miał tu być Stewart, nie ja. W ostatniej chwili zawiadomił, że jest chory, więc

posłali mnie zamiast niego.

- Nie miałeś fartu.

_ Jim! - McGrath złapał przyjaciela za rękaw i zmusił, by przystanął i go wysłuchał. - Nie wiedziałem, że ona ma dziecko.

- Wszystkich nas to zdumiało, John.

- Nie mogę przyjąć tego zadania. Ja... doprowadzi mnie to do szaleństwa. Przecież wiesz.

- Boisz się?

- Jak jasna cholera.

- Niemowlęcia?

Zabrzmiało to nonsensownie nawet dla niego samego. Ale było prawdą.

- Wiesz, przez co przeszedłem po tej wpadce w Nowym Meksyku. Wciąż śnię koszmary.

Pepperdyne mógł wyśmiać jego irracjonalne lęki, ale nigdy tego nie zrobił i John doceniał to.

Teraz też zaczął dyskutować z przyjacielem.

- John, słyszałem cię prowadzącego układy z naj gorszymi sukinsynami, jakich Bóg stworzył.

Przekonałeś terrorystów, by rzucili broń, mimo ich głębokiej wiary, że poddając się zamykają sobie drogę do raj. Masz ogromną siłę perswazji.

- Kiedyś miałem. Już nie.

- Miałeś jeden zły dzień i źle ci poszło.

- Jeden zły dzień? Tłumaczysz to, co się stało, jednym złym dniem?

- Nie bagatelizuję tego, John. Ale nikt nie obarcza cię odpowiedzialnością. Zapewniam: nikt. Nie mogłeś wiedzieć, że ten maniak spełni swoje groźby.

- Ja powinienem to wiedzieć, nie uważasz? Po to mnie szkolono. Dlatego wypisuję sobie doktor filozofii przed nazwiskiem. Oczekuje się po mnie wyczucia, do jakiego momentu można naciskać, a kiedy należy się wycofać.

- Jesteś najlepszy w tej robocie, John. I wciąż nam pootrzebny. Mam nadzieję, że wcześniej czy później wybaczysz sobie Nowy Meksyk i wrócisz. - Pepperdyne położył rękę na ramieniu przyjaciela. - Masz nerwy ze stali. A teraz zupełnie poważnie, ile szkody może narobić bezzębne maleństwo?

Rozdział dwudziesty ósmy

Kiedy wchodzili w Denver na pokład samolotu, John, ogarnięty przemożnym przeczuciem, że podróż skończy się klęską, przewidywał najgorsze.

Parę tygodni później, dopiero co odzyskawszy pamięć, Jeżał ze złamaną nogą i świeżą blizną na czaszce w łóżku, które dzielił z powierzoną mu więźniarką, i zastanawiał się, czy mógł coś zrobić, choć cokolwiek, by zmienić bieg wydarzeń.

Nie mógł odmówić wejścia na pokład samolotu. Pepperdyne uznałby go za kompletnego czubka, gdyby wziął przyjaciela na stronę i oświadczył, że ta podróż to zły pomysł, bo jego szósty zmysł wyraźnie ostrzega, żeby raz jeszcze przeanalizować sytuację i przygotować inny plan.

Pepperdyne miał zostać w Dallas, a John z Ruthie Fordham, uprzejmą Hiszpanką o łagodnym głosie, polecieć z panią Burnnwood i jej dzieckiem do Raleigh-Durham i stamtąd złapać samolot do Columbii.

Los pokrzyżował jednak ten plan podróży.

Wkrótce po starcie Kendall zaczęły dokuczać uszy. Szeryf Fordham zwróciła uwagę stewardesy na trapiącą jej podopieczną dolegliwość, a ta zapewniła, że gdy tylko nabiorą wysokości, ból przejdzie. Nie przeszedł. Kendall cierpiała straszliwe męki przez godzinę i czterdzieści minut, czyli przez cały lot. Wyuczujając zdenerwowanie matki, dziecko zaczęło się niepokoić i wreszcie

rozpląkało się. Siedzący naprzeciwko John złapał poręczę fotela, modląc się w duchu, by niemowlę przestało wrzeszczeć. Ale im intensywniej tego pragnął, tym głośniejsze maleństwo zawodziło.

- Zamów sobie coś do picia - zaproponował Pepperdyne, zauważywszy krople potu na czole McGratha.

- Jestem na służbie.

- Pieprz zasady. Pozieleniałeś.

- Nic mi nie jest. - Było, ale utkwiwszy wzrok w złączeniu na suficie, spróbował nie dopuszczać do świadomości płaczu dziecka.

Wydawało mu się, że samolot kołuje dłużej, niż leciał. Kiedy wreszcie stanął, John zaczął przepychać się wśród pasażerów, byle jak najprędzej dotrzeć do wyjścia. Ledwie weszli do terminalu, szeryf Fordham popędziła z Kendall do toalety. Pepperdyne trzymał dziecko i wyglądał dość zabawnie w roli niańki. Kiedyś John pożartowałby sobie z kawalerskiego braku wprawy przyjaciela, dziś jednak nie zdobył się nawet na uśmiech.

- Ten jej mąż, jaki on jest? - W ogóle go to nie obchodziło, chciał skupić uwagę na rozmowie, a nie dziecku w ramionach Jima.

- Nie miałem jeszcze przyjemności go zobaczyć. - Maleństwo przestało popłakiwać; Pepperdyne ostrożnie je kołyywał. - Z tego, co wiem, zwolennik supremacji białych, noszący trzyczęściowe klasyczne garnitury. Przystojny, kulturalnie się wysławiający, wykształcony, dbały o maniery. Broń nie ma dla niego tajemnic, to adept szkoły przeżycia. Fanatyk do potęgi, wierzący, że ojciec ma Pana Boga w kieszeni. Gdy Gibb Burnwood mówi „skacz”, pyta tylko, jak wysoko. _ Przerwał na moment, zanim powiedział: - Wejdiesz im w drogę, jesteś zimny trup.

John rzucił mu szybkie spojrzenie.

- Ona ma rację, John. - Pepperdyne wiedział, o czym myśli przyjaciel. - Jest sztywna denatka, jeśli oni obaj lub ich znajomki ją dorwą.

- Więc nie tylko baby-sitter jest wam potrzebna.

- Oczywiście, że nie. Burnwoodowie mogą siedzieć za kratkami, ale i tak mają długie macki. Nie o wszystkich... może nawet o wielu z nich nie wiemy.

- Jezu!

- Nie spuszcza jej z oka. Każdy jest podejrzan.

Kilka minut później dołączyły do nich obie kobiety. Kendall wzięła od Pepperdyne'a dziecko. Szeryf Fordham powiedziała coś, co zmieniło bieg rzeczy:

- Pani Burnwood nie może wsiąść do innego samolotu, dopóki lekarz nie zbada jej uszu.

- Miałam ostatnio dolegliwości spowodowane alergią wyjaśniła Kendall. - Jakaś infekcja musiała się wdać w uszy. Ciśnienie w kabinie samolotu wywołało okropny ból.

- To twoja parafia. - Pepperdyne zrzucił kłopot na Johna. McGrath odwrócił się do Kendall i po raz pierwszy spojrzeli sobie prosto w oczy. Właściwie nie mogliby wyjaśnić, dlaczego dotąd unikał patrzenia na nią wprost. Może bał się swojej reakcji.

Lisa wyprowadziła się, kiedy nie było go w domu, zabierając wszystkie swoje rzeczy i część jego. Nie zostawiła żadnej karcetki z wiadomością, numeru telefonu, ewentualnego adresu, nic. Nie dbał o to, żałował tylko, że nie może jej powiedzieć, iż za nią w ogóle nie tęskni. Cieszył się swoją samotnością. Na jakiś czas miał dosyć kobiet.

Ale w tej naprawdę coś było...

Patrzyła mu w oczy bez mrugnięcia. Od razu nabrał podejrzeń, że jest urodzoną kłamczuchą. Jej wzrok był zbyt nieruchomy jak na kogoś, kto nie ma nic do ukrycia. Tak bezgraniczną otwartość spojrzenia osiągało się po długim trenngu.

Podejrzewał, że rzekomy ból uszu jest pretekstem do opóźnienia podróży. Może nawet chciała podjąć próbę ucieczki, wmieszać się na lotnisku w tłum pasażerów. Niemniej, ponieeważ istniało prawdopodobieństwo, że cierpi naprawdę, musiał zabrać ją na badanie i zmienić rezerwację na późniejszą.

Zaraz po wyjściu z hali lotniska Pepperdyne ich opuścił.

Żegnając się, poklepał Johna po ramieniu. - Baw się dobrze, chłopie.

- Odchrzań się - burknął McGrath w odpowiedzi.

Pepperdyne uśmiechnął się niewyraźnie i poszedł do następnej taksówki, a on usadowił się w pierwszej, wciśnięty między dwie kobiety i popłakujące dziecko. Kierowca nie mówił po angielsku, więc używając kilku podstawowych słów i gestów John wytłumaczył mu, że chcą jechać do najbliższego szpitala przyjmującego nagłe wypadki.

Kiedy dojechali na miejsce, zostawił szeryf Fordham z dzieckiem w poczekalni, a sam poszedł z Kendall Burnwood na badanie. Pielęgniarka zmierzyła jej temperaturę i ciśnienie, zadała kilka pytań i wyszła.

Siedziała na szpitalnej kozetce, jej stopy zwisały luźno. Włoożył ręce do kieszeni spodni i odwrócony do niej plecami studiował kolorowy plakat przedstawiający układ krążenia człowieka, przyklejony taśmą samoprzylepną do ściany.

- Obawia się pan, że ucieknę?

- Słucham? - Odwrócił się.

- Przyszedł tu pan ze mną, ponieważ obawia się, że wybiegnę przez otwarte drzwi?

- Uśmiechnęła się lekko, nie oczekując odpowiedzi. - Sądzi pan, że porzuciłabym dziecko?

- Nie wiem. A porzuciłaby pani?

- Nie - odpowiedziała krótko ze stwardniałą nagle twarzą.

- Mam panią ochraniać, pani Burnwood. Na tym polega moja praca.

- I na oddaniu mnie do dyspozycji władz Karoliny Południowej.

- Właśnie.

- Gdzie prawdopodobnie zostanę zamordowana. Nie widzi pan w tym ironii? Ochrania pan moje życie, by mnie zawieźć w miejsce, w którym będę najmniej bezpieczna.

Owszem, dostrzegał w tym ironię losu, ale do cholery, robił tylko, co do niego należało. Nie płacili mu za zastanawianie się nad „za” i „przeciw”.

- Dopóki znajduje się pani pod moją opieką, nie mogę pani spuścić z oka - oświadczył stanowczo.

Wszedł lekarz, popatrzył z ciekawością na Johna, zerknął w kwestionariusz wypełniony przez Kendall, a potem zapytał:

- Pan Burnwood?

John pokazał lekarzowi legitymację.

- Szeryf? Naprawdę? Ona jest więźniarką? Co takiego zrobiła?

- Bolały ją uszy w samolocie - powiedział John, nie ukrywając rozdrażnienia. - Zamierza pan ją zbadać czy nie?

Lekarz osłuchał jej piersi, obmacał szyję i rzucił uwagę, że gruczoły są lekko obrzmiałe. Kiedy obejrzał uszy, stwierdził rozległą infekcję.

- Może podróżować samolotem?

- Nie ma mowy. Chyba że chce pan ryzykować pęknięcie bębenków.

Czekał w holu, aż pielęgniarka wstrzyknie jej antybiotyk.

Pojawiła się wreszcie i kiedy szli korytarzem w kierunku poczekalni, zdumiała go pytaniem:

- Myślał pan, że kłamię?

- Przemknęło mi to przez głowę.

- Oszczędziłabym sobie kłamstwa, które tak łatwo może wyjść na jaw.

- Czyli kłamię pani tylko wtedy, gdy ma nadzieję, że się pam upieczę.

- Właśnie, panie McGrath - oświadczyła, odwracając głowę, by na niego spojrzeć.

- Nie będzie tak źle.

- Łatwo ci powiedzieć. - McGrath był w kiepskim humorze i banały wypowiedane przez

Pepperdyne'a mocno go irytowały. - To nie ty masz przejechać z nimi tysiąc mil.

Upewniwszy się, że obie kobiety i dziecko są bezpieczne w motelowym pokoju, poszedł zdać relację Jimowi, który nadzorował transfer Kendall do Columbii.

- Nie ma rady, John - tłumaczył Pepperdyne cierpliwie. - Według lekarza nie będzie mogła wsiąść do samolotu co najmniej przez miesiąc. Tyle nie możemy czekać. Podróż zabierze ci raptem trzy dni.

- Z powodzeniem dotrę w dwa.

- Nie z pasażerami, a zwłaszcza z niemowlęciem. Prawdopodobnie uda ci się zrobić trzysta mil dziennie. Nie jedziesz na piknik, ale też nie będzie to trwać wiecznie. - Ignorując zboląłą minę przyjaciela, wręczył mu mapę i plan podróży. Wyruszyście rankiem. Pierwszy nocleg w Monroe w Luizjanie, drugi w Birmingham. Trzeciego dnia jesteście w Columbii.

Ciekawe tylko, czy do tego momentu dożyję, pomyślał John - Przynajmniej mam Ruthie Fordham - stwierdził, starając się dostrzec w tym wszystkim jakieś dobre strony. O ile w ogóle takie były. - Nieźle sobie z nimi obojgiem radzi.

- Będzie spała z panią Burnwood i dzieckiem. A ty zawsze w przylegającym pokoju, połączonym z ich sypialnią.

- Już nienawidzę każdej mili. - John spojrzał na plan podróży. - Myślisz, że można jej ufać? Nie zrobi czegoś głupiego?

- To znaczy nie ucieknie?

- Jest przerażona, Jim.

- Nic na to nie poradzisz. - Pepperdyne uśmiechnął się. - Więc jednak ją obserwowałeś, choćby wbrew sobie.

- Nie musiałem. Nawet ślepy kretyn by zauważył jej strach.

- Nie ruszy się bez dziecka. Raczej trudno by jej było walczyć z tobą i panią Fordham, żeby zwać z małym.

- Pewnie masz rację. Ale ta dziewczyna ma kupę odwagi i energii. I jeszcze coś powinieneś wiedzieć: to kłamczucha. - Kłamczucha? - powtórzył Pepperdyne ze śmiechem. O co ci chodzi?

- O to mi chodzi - przedrzeźnił go John - że wymyśla sobie różne bajeczki.

- Chyba nie wierzysz, że wymyśliła sobie...

- Nie. Akurat o Brotherhood mówi prawdę. Wszystkie dowody, które dotąd zebrałaś, to potwierdzają. Ale na pewno trzyma coś w zanadru. Nie powiedziała nam wszystkiego. Jest w niej coś pokrętnego.

- Jak to u prawniczki.

Obsługujący w drugim końcu pokoju drukarkę agent prychnął, usłyszawszy bezceremonialną uwagę Pepperdyne'a. - Co, znalazł pan coś? - spytał Pepperdyne.

- Kompletnie nic.

- Sprawdzamy ją rutynowo - zwrócił się Pepperdyne do Johna - i wygląda na to, że pięła się coraz wyżej. Jeśli wziąć pod uwagę stosunek wygranych spraw do przegranych, trzeba stwierdzić, że była całkiem skuteczną obrońcą z urzędu i nieźle dawała popalić kolegom prawnikom w Prosper. Muszę przyznać, biorąc pod uwagę to, co wiem o ludziach zajmujących tam najwyższe stanowiska, że jest naprawdę ostra, skoro zdołała tak długo się utrzymać.

- Więc o co wam chodzi? - spytał John, wskazując ruchem głowy komputer; wiedział, że FBI ma dostęp do zbiorów z informacjami nie tylko w kraju, ale i w świecie.

- Chyba jakiś wirus. Dane, które uzyskujemy, nie składają się w sensowną całość. Próbujemy to wyprostować.

- Daj mi znać, jeśli się czegoś dowiecie.

- Ha! - Pepperdyne uśmiechnął się. - Doktor McGrath się zainteresował?

- Nie masz powodu być złośliwy, Jim - powiedział McGrath zbierając się do wyjścia. - Natura ciągnie wilka do lasu, to wszystko.

- Możesz wrócić do roboty, kiedy tylko chcesz. Będę szczęśliwy, mogąc z tobą znowu pracować.

John wiedział, że przyjaciel mówi poważnie, i doceniał pokładane w nim zaufanie, niemniej musiał powiedzieć „nie”.

- Zbyt duże napięcie. To, czym się teraz zajmuję, jest dużo mniej stresujące. - Spojrzał na mapę z zaznaczoną trasą podróży z Teksasu do Karoliny Południowej i dodał ponuro: - W każdym razie do tej pory było.

Wspominając przeszłość, nieuchronnie musiał pomyśleć także o dniu wypadku. Wyjeżdżał z Birmingham w złym humorze, marząc, by wreszcie pozbyć się Kendall Burnwood i jej dziecka. Przewidywał, że dotrą do głównego miasta Karoliny Południowej przed zmierzchem. Ledwie zjedli śniadanie w kafeterii motelu, nie zważając na lekki deszcz, kazał im obu wsiąść do samochodu.

W miarę jak posuwali się na wschód, deszcz gęstniał. Do południa miał całkiem stargane nerwy. Cały czas mocno zaciskał dłonie na kierownicy i czuł już bolesne napięcie mięśni barków. Zaklął w duchu pod adresem kierowcy ciężarówki z przyczepą, która przejechała obok nich z prędkością, jak ocenił, ryzykowną nawet na międzystanowej autostradzie.

W pewnym momencie zauważył spowolnienie ruchu na wszystkich nitkach autostrady. W końcu zaczęli się ledwie toczyć. Wzmocnił natężenie głosu policyjnego radia, w które samochód był wyposażony, i słuchał ze wzrastającą niecierpliwością uwag, jakie wymieniano na temat wypadku i powstałego korka.

W wypadku zostało uszkodzonych wiele samochodów; był on konsekwencją utrzymującej się w całym południowo-wschodnim regionie kraju deszczowej pogody, powodującej lokalne powodzie i ryzykowne dla kierowców sytuacje.

Według wstępnej oceny McGratha do kolizji doszło wiele mil przed nimi. Ograniczono ruch tak, by na miejsce mogły dotrzeć karetki pogotowia, i John, niezależnie od współczucia, jakie żywił dla poszkodowanych, złościł się z powodu zwłoki.

Ruthie Fordham siedziała obok niego. Wręczył jej mapę i poprosił, by popatrzyła, czy nie ma innej drogi. Była, ale musieliby sporo nadłożyć. Zdecydował, że woli zrobić parę mil więcej, niż się wlec. Zjechali z autostrady na najbliższym rozjeździe.

W ten oto sposób znaleźli się na wiejskiej drodze, a los zesłał im zwałone drzewo. Jego decyzja, by zboczyć z ustalonej trasy, kosztowała Ruthie Fordham życie. Nie mógł zawiadomić biura w Columbii o zmianie marszruty przez telefon komórkowy, ponieważ nie było sieci w tym rejonie. Policyjne radio aż trzeszczało od rozmów dotyczących wypadku i pomyślał, że nie będzie im

dodawał kłopotów. Zamierzał zatrzymać się przy najbliższej budce telefonicznej, ale okazało się, że nie ma takich urządzeń przy publicznych wiejskich drogach. W konsekwencji nikt nie wiedział, gdzie się podzieli.

Jak długo czekali w Columbii z nadaniem komunikatów?

Do tej pory szukający ich ludzie Jima musieli już dotrzeć do szpitala w Stephenville. Ruthie Fordham nie żyła. Zastanawiał się, czy miała rodzinę. Jego partnerka zginęła niepotrzebnie. Dlatego że on popełnił błąd. Jeszcze jeden w karierze Johna McGratha.

Oczywiście Jim dowie się od lekarza o jego urazach. Ale to wszystko, o czym będzie wiedział.

Cholera, cwana była ta Kendall Burnwood! Analizując w tej chwili sytuację, musiał przyznać, że nie zostawiła za sobą najmniejszego śladu. Żadnej wskazówki, którą mogliby się posłużyć. Dla tych, którzy głowią się nad ich zniknięciem, wygląda to tak, jakby rozplynęli się w powietrzu.

Nagle zdał sobie sprawę, że przestała śpiewać kołysankę.

Słyszał szum wody w rurach biegnących we wnętrzu ścian čodkręciła prysznic. Zyskał parę minut na zastanowienie, nim odkryje, że się przebudził.

Miała przebłysk geniuszu, kiedy oznajmiła, że jest jej mężem.

To ją upoważniało do decydowania w jego imieniu, dopóki on sam nie był do tego zdolny. Niemniej jedno kłamstwo pociągało za sobą nieuchronnie następne. Ale wymyślała je naprawdę zrećźnie.

Zawsze odpowiadała na jego pytania relacjonując prawdziwe wydarzenia. Dzień ich ślubu, noc poślubna, zdrada małżeńska - wszystko rzeczywiste. Tylko że dotyczyło to jej pożycia z Mattem Burnwoodem. Zamiast wymyślać zdarzenia, trzymała się prawdy, niełatwo więc było ją przyłapać. Sprytne. Przy tym użyła jego własnego imienia na wypadek, gdyby przyszło jej się przejęzyczyć. Dobra była w kłamaniu.

Tak dobra, że John zaczął wątpić w szczerść jej reakcji ostatniej nocy.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Ostatniej nocy znowu obudziły go majaki. Nie tak dokuczliwe jak poprzednio, ale wystarczająco denerwujące, by gwałtownie wyrwać go ze snu. Niespokojny, czując, że mu zbyt gorąco, wyplątał się spod wilgotnego, przylepionego do skóry prześcieradła i usiadł.

Łóżko po stronie Kendall było puste, ale to go nie zaniepokoiło. Często wstawiała w nocy zajrzeć do dziecka. Instynktownie wrażliwa na potrzeby maleństwa, czasem odgadywała je nawet, zanim Kevin zareagował, co niezmiennie wprawiało Johna w zdumienie.

Opierając się na kulach, pokuśtykał przez hol do drugiej sypialni. Prowizoryczna kołyska była pusta. Pokój również. Ogarnęło go niemęskie przerażenie i dręczący żal. Wyśliznęła się? Była przez cały dzień dziwnie spokojna i uległa. Czy dlatego, że planowała kolejną ucieczkę?

Odwrócił się i podjął coś, co mogłoby uchodzić za bieg

o kulach. Dopadł do drzwi pokoju dziennego i zatrzymał się w miejscu tak gwałtownie, że omal nie przewrócił się jak długi.

Ciemności pokoju rozświetlały tylko promienie księżyca, przeświecające przez przejrzyste zasłony; falowały w otwartym oknie, wydymając się czasem do środka jak żagle na wietrze. Prawdopodobnie przyszła tu, zwabiona chłodnym powiewem.

Siedziała w fotelu bujanym, trzymając Kevina w ramionach.

Opuściła ramiączko koszuli nocnej, żeby go nakarmić. Maleńkie usteczka przylgnęły do brodawki. Co parę sekund dziecko ssało pierś, wydymając pulchne policzki jak małe miechy koowalskie, a potem zapadało w bezruch.

Oboje spali.

Wspominając to teraz, John przyznawał przed samym sobą, że pożerał ją wzrokiem wprost nieprzyzwoicie, prostacko naaruszając jej prywatność, ale za żadne skarby nie mógł się zmusić do wycofania. Stał, sparaliżowany pożądaniem.

Nawet jej szpetna fryzura nie umniejszała piękna tego obrazka. Głowę miała opartą o fotel, światło księżyca oblewało wygiętą szyję i płytkie wgłębienia u jej podstawy. Rowek między piersiami nikał w cieniu. Kusząca dolina, którą chciałby poznać. Wyobraził sobie, jak chowa twarz w piersiach Kendall, i zalało go tak przemożne pożądanie, aż mimowolnie jęknął.

Natychmiast się zmiętył, przestraszony, że ją obudził.

Jestem za stary, żeby się zakradać cichaczem popatrzeć na kobiece piersi, pomyślał. Idiotyczne, podniecać się sekretnie, tkwiąc w drugim końcu pokoju; niedojrzałe i jednostronne jak masturbacja.

Czuł niesmak do samego siebie, chciał odejść i nie był w stanie. Utkwił wzrok w jej ustach o pełnych wargach, których widok zawsze go rozpraszał, i gorąco zapragnął ich spróbować. Dotknąć bujnych piersi, zbadać nieznany łąd łona, poczuć na języku jej smak...

Nagle przeraźliwy gwizd rozdarł ciszę. Natychmiast się przebudziła.

O mało nie wyskoczył ze skóry; jedna kula z trzaskiem uderzyła o podłogę.

Przez kilka sekund zastygli jak na tableau. Był podniecony, zażenowany i wściekły, że go przyłapała.

- Co to jest, do cholery?

- Czajnik - odpowiedziała bez tchu. Pośpiesznie poprawiła ramiączko. Dziecko skrzywiło się i wydało pomruk niezadowolenia, kiedy wyjęła mu brodawkę z ust i uniosła je, opierając na ramieniu. - Nastawiłam go, zanim zaczęłam karmić Kevina. Dlaczego wstałeś?

- Cholernie gorąco, nie można spać.

- Zauważyłam wieczorem, że byłeś niespokojny. Chcesz herbaty? - Czajnik wciąż gwizdał furiacko. - Ziółowej. Bez kofeiny.

- Nie, dziękuję.

- Więc potrzymaj Kevina, dopóki nie zaparzę filiżanki dla siebie. - Podeszła do niego i oddała mu dziecko. Przemknęła przez hol i zniknęła w kuchni.

Przez jakiś czas stał nieruchomo. Zmuszał się, by nie myśleć, nie rejestrować żadnych doznań. Ale napływały i w końcu dopuścił je do świadomości, pozwolił, by pokonały barierę awersji i strachu.

Kevin był pulchnym dzieckiem, więc zaskoczyło go, że jest tak niewiarygodnie lekki. Równie mocno zdumiała go delikatność skóry. A może tylko taka mu się wydawała przez kontrast z jego owłosioną pierś. Wreszcie zdobył się na odwagę, by opuścić wzrok na dziecko. Zaniepokojony zobaczył utkwione w sobie oczy niemowlęcia. Wstrzymał oddech. To pewne, że zacznie wrzeszczeć, nie rozpoznawszy, kto je trzyma.

Tymczasem różowe usteczka rozwarły się w szerokim ziewnięciu, odsłaniając maleńki język i bezzębne dziąsła. Rozległy się trzy ciche bąki, słabo wyczuwalne przez pieluszkę.

John ku swemu zdziwieniu zachichotał.

- Miałam przecucie, że wy dwaj natychmiast dojdziecie do porozumienia, jeśli ci go kiedykolwiek zostawię.

Nawet nie zauważył, że wróciła, dopóki się nie odezwała.

Przeniósł na nią spojrzenie; obserwowała go znad parującej filiżanki, z której rozchodził się zapach pomarańczy.

- Jest w porządku.

- Nie udawaj. Jest cudowny. I lubi cię.

- Skąd wiesz?

- Puszczając ślinę. Zawsze tak robi, kiedy czuje się szczęśliwy.

Rzeczywiście malec rozpryskiwał drobinki śliny po podbródku Johna i wesoło wymachiwał rączkami. Wyglądał na zadowolonego, jednak McGrath nie miał co do tego pewności.

- Lepiej go weź ode mnie.

Sprawiła wrażenie rozbawionej, ale nic nie powiedziała. Postawiła filiżankę na brzegu stołu, zabrała dziecko i zaniósła do sypialni.

- Od razu znowu zasnął - stwierdziła po powrocie. - Dlaczego dorośli nie mają tego szczęścia?

- Za dużo rzeczy nam chodzi po głowie.

- A tobie co chodzi po głowie?

Wysłuchiwał się w ton jej głosu, ale nie było w nim szyderstwa. Zadała pytanie najzupełniej poważnie, więc odpowiedział tak samo poważnie:

Coś mi chodzi. A raczej: utkwiło w mózgowicy.

Nie musiał wyjaśniać; jej oczy się zamglily, w głosie pojawiły się gardłowe nuty.

- Mnie to też często krąży po głowie.

Obawiał się, że go znów odepchnie, ale po tym, co usłyszał, musiał ją do siebie przyciągnąć. Oparła się delikatnie o jego pierś; jej palce zwiły pierścionki z porastających ją włosów. Uniosła do góry twarz. Puścił kulę, a gdy upadła, zanurzył palce w obciętych włosach, podtrzymując jej głowę.

Spragnione wargi Kendall rozchyliły się ulegle. Wnętrze ust miała jeszcze gorące od herbaty. Pieścił je zaborczo językiem, a kiedy wreszcie przestał, oparła policzek o jego pierś i powiedziała:

- Zwolnij, John, nie mogę złapać tchu.

- To dobrze - mruknął ochryple. - Oddychanie jest opcjonalne.

Roześmiała się cicho i przesunęła rękami po jego barkach. - Nie mogę uwierzyć! Dotykam cię. Tyle razy tak straszliwie tego pragnęłam.

- Więc dotykaj do syta.

Miał nadzieję na jeden długi, nie kończący się pocałunek.

Raz jej posmakować, żeby jakoś przeżyć tę noc. To, co mówiła, jak zareagowała, przekroczyło jego oczekiwania. Rzeczywistość rozpalila go bardziej niż wszelkie fantazje, jakie snuł.

Kiedy się całowali, otoczyła ramionami jego szyję. Przesunął dłońmi po jej dołkach pachowych, wzdłuż żeber i po bokach piersi, czując ich podniecającą jędrność. Pochylił głowę i potarł kłującym policzkiem blady wzgórek. Zaczął całować jej piersi przez cienki materiał nocnej koszuli, niecierpliwie je oswoobodził, pieścił wargami, wnętrzem ust, językiem. Smakowały mlekiem i kobiecością, odurzyły go. Wziął brodawkę do ust i zaczął ją ssać.

- Boże! - jęknęła.

Jej przerywany głos, westchnienie; nie przypominał sobie, żeby słyszał bardziej pobudzające dźwięki. Pocałował ją w szyję. Skubał delikatnie zębami kark tuż przy postrzępionej linii obciętych włosów.

Powoli odwracała się do ściany, aż stanęła do niej twarzą i przycisnęła czoło do tapety w różyczki. Uniosła rękę ponad głowę i oparła przedramiona o ścianę.

Schwycił materiał koszuli i zbierając go w garści, podciągnął do góry. Wsunął dłoń za gumkę majteczek i zaczął ugniatać pośladki. Sięgnął jedną ręką do piersi, drugą przesunął po brzuchu, potem po wzgórkach łonowym między uda. Była wilgotna. Pożądanie go oszołomiło. Pieścił ją dwoma palcami, a po chwili wsunął je w jej wnętrze. Doznał zadziwiającego wrażenia pełnej intymności, jakby otuliła go sobą, i wiedział, że nie zapomni tego do końca życia.

Przytulił się mocniej i przycisnął wyprężonego penisa do rowka między jej pośladkami. Muskał jedną ręką stwardniałą brodawkę piersi, delikatnie poruszając palcami drugiej w jej wnętrzu. Zaczęła napierać biodrami, dopóki jego dłoń nie znieruchomiła. Ręce na tapecie w różyczki zacisnęły się w pięści, biodra poruszały się rytmicznie. W milczeniu przeżyła gwałtowny orgazm. Kiedy przestała drżeć, wycofał dłoń, oddwrócił ją do siebie i otoczył ramionami. Oparła się o niego, wyciszona, osłabła, jeszcze niespokojnie oddychając i pojękując na jego owłosionej piersi.

Uniósł palcami jej podbródek.

— Chciałbym cię zaprowadzić do łóżka, jeśli mogę. Zrozumiała. Podniosła kule, podała mu je i poprowadziła hołem do sypialni. Zsunął slipy i wszedł do łóżka.

Nieoczekiwanie się zawahała, nie pewna, czy zostać. Wyyglądała przedziwnie dziewiczo, jakby przed chwilą nie dzielili niewiarygodnego seksualnego doznania.

Teraz rozumiał jej wahanie. Spędzili ze sobą niemal każdą chwilę ostatnich kilku tygodni, ale w gruncie rzeczy pozostali sobie obcy. Nie był jej mężem. Był kochankiem, którego właśnie poznawała.

Gdzieś w głębi duszy miał tego całkowitą świadomość już wtedy. Ale zignorował niewygodny wewnętrzny głos. Zamknął ucho na budzącą poczucie wstydu świadomość. Zlekceważył intuicję, podpowiadającą, że to, co robi, jest złe. Wziął ją za rękę i pociągnął ku sobie.

- Połóż się.

- Możesz... z tym gipsem...?

- Żaden problem.

Ułożył ją na plecach. Zdjął nocną koszulę i cisnął na poddłogę. Pieścił piersi i brzuch, wciąż pulsujący echem orgazmu. Uważnie śledząc twarz Kendall, poprowadził jej rękę ku swojemu kroczu. Na ułamek sekundy zawahała się, a potem przesunęła dłoń. I znowu.

Rozdzielił jej uda i pochylił się nad nią. Bładoróżowa blizna po cesarskim cięciu biegła na granicy włosów. Zmarszczył brwi i obwiodł ją palcami, jak pierwszej nocy, którą spędzili w tym domu.

- Jesteś pewna, że nic się nie stanie, jeśli...

- Nic. - Uśmiechnęła się.

Z powodu gipsu musiał opierać się wyłącznie na łokciach. Nie odrywając od niej oczu, wszedł w nią zamierzenie powoli. Wniknął tak głęboko, jak to było możliwe. Objąwszy jej głowę dłońmi, całował ją w usta. Kiedy wreszcie się od niej oderwał, wyszeptał:

- Kłamałaś, Kendall.

Posłała mu szybkie, przestraszone spojrzenie. Zaczął się poruszać; uderzał i wycofywał się w rytm ruchów jej bioder.

- Nigdy z tobą przedtem nie byłem - mówił szybko, próbując jeszcze się powstrzymać. - Tego bym nie zaapomniał.

- Tylko nie przestawaj. - Objęła go mocniej, falując pod nim.

- Pamiętałbym cię. To też bym pamiętał. Kim, na litość boską, jesteś? - wydyszał przez zaciśnięte zęby.

- Proszę, nie przerywaj. - Wygięła plecy w łuk.

Nie mógłby. Wspięli się razem na szczyt, przeżyli burzliwy orgazm, ich ciała były tak zgodne... Nigdy czegoś takiego nie zaznał.

Kiedy się z niej zsunął, zmieniła pozycję i przywarła do jego piersi.

- Obejmij mnie - szepnęła. - Mocno.

Posłuchał z przyjemnością; przez tyle tygodni snuł fantazje, że jej dotyka, a nie tylko patrzy.

Nasycona, wymamrotała sennym głosem: - Dlaczego nie czułam się onieśmielona?

- A dlaczego miałabyś być? Jestem twoim mężem.

Nie odpowiedziała, bo zasnęła. Zastanawiał się teraz, czy po prostu nieświadomie głośno nie myślała. Dała upust swej zmysłowości z mężczyzną, z którym nigdy przedtem nie była, i chciała zrozumieć dlaczego.

On sam też chciałby to wiedzieć.

Nie mógł sobie jednak pozwolić na zbyt osobiste rozważania.

Musiał przyjąć do wiadomości przygnębiający fakt, że uprawiał seks z powierzonym jego pieczy głównym świadkiem. Amnezja niczego nie usprawiedliwiała. Wiedział. Cholernie dobrze wiedział, że cały czas kłamała.

Mimo to spał z nią. I było tak wspaniale, tak go to naładoowało, że jego pamięć zaskoczyła. Przypomnił sobie, że jest funkcjonariuszem federalnym. Że nie oczekuje się po nim zawierania intymnej znajomości z kobietami pozostającymi pod jego nadzorem. Każdy, kto pracował dla Wujka Sama, zachnąłby się na to.

Co ma teraz, do diabła, robić?

Żadne szkolenie - ani psychologiczne, ani na agenta FBI, ani szeryfa Stanów Zjednoczonych - nie przygotowało go na taką sytuację. Nie miał dokumentów, jakiegokolwiek świadczenia potwierdzającego jego tożsamość. I gdzie miałby ewentualnie szukać kogoś, kto by ją potwierdził? Przecież nawet dobrze nie wiedział, gdzie się znalazł.

Na domiar wszystkiego miał złamaną nogę. Dokąd mógł zawędrować o parze kul? Kendall na pewno nie pozwoli, by położył łapę na kluczykach od samochodu. A nawet jeśli uda mu się je wykraść i wziąć auto, nie ma wątpliwości, że zanim wróci, jej już tu nie będzie. Ma wiele powodów, by spróbować wysliznąć się jeszcze raz, a jest niewiarygodnie pomysłowa. Znajdzie sposób, żeby się rozplątać razem z Kevinem.

Gdzie, do licha, mogła wetknąć jego rewolwer? Oświadczyła, że tym razem go nie znajdzie, i jak dotąd miała rację. Szukał go wszędzie, gdy tylko nie było jej w pobliżu.

Strasznie była z siebie dumna, że wszystko planuje naprzód i niczego nie zostawia przypadkowi. Jak na razie szło jej łatwo z powodu jego stanu. Dobra, szeryfie Johnie McGrath, powieedział sobie, leżało się jak dętka, beznadziejnie wypranym z paamięci przez parę tygodni, ale teraz jest się z powrotem na służbie.

Wstał z łóżka i pokuśtykał do komody po czyste spodenki.

Slipy leżały zwinięte schludnie w szufladzie, skarpetki osobno. Typowo po żoninemu, pomyślał szydyczko i ze złością wsunął z powrotem szufladę. Nieoczekiwany hałas rozniósł się po domu jak wystrzał z armaty. Skrzywił się i zamarł, nasłuchując. Z ulgą usłyszał, że woda wciąż leci z prysznicza. Zostało mu jeszcze raz dane parę minut na szukanie broni.

Za sprytna była, żeby się go pozbyć. Nawet jeśli nie zamieerzała użyć rewolweru przeciwko niemu - a wciąż istniała taka możliwość, rozmyślał ponuro - zachowała go dla obrony.

Gdzieś w pobliżu mogli się czaić członkowie straży obywatelskiej. Nie zrezygnowałyby z rewolweru.

Przeszukał szuflady, starając się zostawić majtki i staniki poukładane w takim samym porządku. Nic nie znalazł, wrócił więc do łóżka i wsunął ręce pod materace, chociaż nie spodzieewał się, by powieliła jego pierwszy, tak bardzo nieoryginalny pomysł. Sprawdził na najwyższej półce w szafie. Pełzał po podłodze, badając, czy nie ma gdzieś obluzowanej deski. Szufflady w stoliku nocnym były puste.

Woda wciąż leciała z prysznicza.

Zdenerwowany, przeczesał palcami włosy. Co ma robić? Musi podjąć decyzję. Szybko.

Natychmiast.

Pierwsze wrażenie, jakie na nim wywarła Kendall Deaton Burnwood, potwierdziło się: utalentowana kłamczucha. Miała dość inteligencji i tupetu, by zrealizować najzuchwalszy plan, nawet jeśli oznaczało to skonsumowanie wymyślonego małżeństwa z mężczyzną, który był jej strażnikiem. Poza tym bała się nie tylko o swoje życie. Posunie się do wszystkiego, żeby ochronić dziecko. Co jej zresztą nie uprawniało do porywania oficera policji federalnej. Złamała prawo tyle razy, że trudno zliczyć. Miał obowiązek przekazać ją odpowiednim władzom. Właśnie to zrobi. Podejmie wszelkie kroki, jakie są do tego niezbędne.

Wyszedł do holu. Drzwi łazienki były lekko uchylone. Staarając się poruszać jak najciszej, dobrnął do nich i lekko poopchnął. Otworzyły się bezszelestnie na całą szerokość.

Stała przy umywalce. Świeżo umyte, wysuszone ręcznikiem włosy opadały wilgotnymi spiralami. Miała na sobie tylko majteczki. Jedno ramię trzymała uniesione nad głową - rozpylała dezodorant w pudrze pod pachą. Nuciała łagodnym głosem coś niemelodyjnego i nierozpoznawalnego.

Nie pozwolił sobie na uśmiech. Nawet na cieplejszą myśl. Jezu, uda mu się przez to przebrnąć?

Ale właśnie to było konieczne. I cholernie trudne. Być może była to najtrudniejsza rzecz w jego karierze. Obu karierach.

Mimo wewnętrznego sprzeciwu zmusił się, by dać krok do przodu. Obawiał się, że może zobaczyć go w lustrze, ale nie zobaczyła, nawet gdy stanął tuż za nią. Powoli wysunął kulę spod ramienia i mocno ją schwycił. Drugą ręką złapał Kendall za ramię i obrócił twarzą do siebie.

Rozdział trzydziesty

_ Co to znaczy zniknęła? -: Gibb Burnwood nie przyjął dobrze tej wiadomości. Jego oczy rzuciły złe błyski, głos brzmiał zjadliwie.

Nie zrobiło to wrażenia na adwokacie Burnwoodów. Siedział skrzyżowawszy bocznie nogi, długie wąskie dłonie trzyzymał splecione na udzie - elegancki, opanowany dżentelmen z Południa.

Wyglądał, jakby nigdy w swoim życiu nie zaznał fizycznego

wysiłku. Był ubrany w nieskazitelnie skrojony garnitur, w mankietach koszuli błyszcząły spinki z diamentową główką. Włosy miał wypomadowane, paznokcie wypolerowane. Jego zniewieściałość przyprawiała Gibba o ból żołądka. Nie tolerowałby Quincy'ego Lamara ani sekundy, gdyby nie cieszył się reputacją całkowicie skorumpowanego prawnika i najprzebieglejszego obrońcy, jakiego można było wynająć. Wielu kanciarzy z Południa zawdzięczało mu wolność.

_ Jak się wydostała? Kiedy? - pytał Gibb.

_ Według moich informacji zniknęła ponad dwa tygodnie temu.

_ Dwa tygodnie! - zagrział Gibb. - I teraz się o tym dowiadujemy?! Dlaczego nie od razu?

_ Nie ma powodu, żeby pan na mnie krzychał, panie Burnwood. Przekazuję panu wszystkie informacje natychmiast po ich otrzymaniu.

Lamara słuchało się przyjemnie, tak jak popijało whiskey. I podobnie jak trunek miódopłynny głos adwokata wydawał się nieszkodliwy. Potrafił nim ukołysać sędziów i świadków, zanim dał im tęgiego łupnia.

- Panią Burnwood aresztowano w Denver i przewożono pod eskortą do Karoliny Południowej, gdzie miała wziąć udział jako świadek w panów procesie.

- Źle, że się z nią rozwiodłem - odezwał się po raz pierwszy Matt. - Nie byłaby zmuszona zeznawać przeciwko mnie.

- Jestem pewien, że nikt jej nie zmuszał - głos Lamara zabrzmiał niezwykle łagodnie. Przerwał, żeby strzepnąć wyyimaginowany pyłek z rękawa. - Gdzieś po drodze pani Burnwood im się wymknęła i...

- Im? Uciekła dwóm szeryfom Stanów Zjednoczonych?

- Pozwoli mi pan kontynuować - Lamar popatrzył na niego - czy będzie mi pan bez przerwy przerywać? - Przepraszam - powiedział Matt sztywno.

Prawnik nie odmówił sobie niemego komentarza. Posłał Gibbowi pełne nagany spojrzenie, mówiące, że powinien lepiej wychować syna. Gdyby nie to, że Gibb równie mocno jak Matt chciał usłyszeć, w jaki sposób Kendall zniknęła, udusiłby adwokacine gołymi rękami.

- Jednym z tych szeryfów była kobieta - wyjaśnił Lamar i opowiedział, jak musieli się zdecydować na jazdę samochodem i spędzenie kilku nocy w podróży z powodu zainfekowanych uszu Kendall. Na koniec dodał: - Myślę, że ta kobieta była niezbędna, aby zapewnić pani Burnwood bezpieczeństwo i prywatność podczas karmienia dziecka.

Gibb i Matt spojrzeli na siebie i jednocześnie zerwali się z krzeseł. Gibb odczuł przyjemność na widok przerażenia adwokata, gdy chwycił go za lawendowy krawat i zmusił, by uniósł się z krzesła.

- Co pan powiedział?

Strażnik więzienny pośpieszył na pomoc, sięgając po rewolwer w kaburze na biodrze.

- Puść go! - krzyknął.

Gibb puścił Lamara. Prawnik opadł ciężko kościstymi pośladkami na drewniane krzesło. Wyciągnął szyję, jakby się upewniał, że wciąż tkwi na niej głowa.

- Wszystko w porządku - zapewnił strażnika, przygładziwszy włosy. - Mój klient jest trochę podenerwowany. To się więcej nie powtórzy.

Funkcjonariusz odczekał, by się upewnić, że adwokat rzeczywiście panuje nad sytuacją, a potem wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

- Kendall ma dziecko?

- Chłopiec czy dziewczynka? Ile ma?

Ignorując ich pytania, Lamar przyglądał się Gibbowi z groźbą w nieruchomych jak u gada oczach.

- Jeśli pan jeszcze raz mnie dotknie, pójdę sobie, a pan będzie się smażył na krześle elektrycznym razem ze swoimi faszyzującymi bigotami. Rozumiemy się, panie Burnwood?

Syczące nuty w jego głosie wywołałyby u zwykłego człowieka gęsią skórę, ale Gibb nie uważał się przecież za kogoś przeciętnego. Pochylił się nad stołem tak mocno, że jego twarz niemal dotknęła wąskiego nosa Lamara.

- Tylko mnie nie strasz, pedziu pierdzielony. Nie robi na mnie wrażenia twój modniutki garniturek, wybrylantynowane włosy ani jedwabny krawat. I nie podoba mi się to gówno.

Wyciągnął goździk z butonierki adwokata i zmiął go w garrści. - Tak samo mogę zgnieść ciebie.

Powiesz mi, co chcę wiedzieć o dziecku, które ma przy sobie moja synowa, czy mam ci rozdrapać gardło pazurami i sprzedać na przynętę dla ryb? Rozumiemy się, panie Lamar?

Quincy Lamar, znany z rozmiękczenia nawet najbardziej wrogo nastawionych świadków, stracił mowę. Rzucił wzrokiem na Matta i zobaczył w utkwionym w sobie kamiennym spojrzeniu potwierdzenie grózb ojca. Wystające jabłko Adama na szyi prawnika poruszyło się, gdy próbował przełknąć ślinę.

- Pani Burnwood urodziła chłopca - powiedział wreszcie.

Wyciągnął ze skórzanej walizeczki kopię aktu urodzenia i podał ją swoim klientom. - Sądzę, że dziecko jest...

- Moje - oznajmił dobitnie Matt, sprawdzwszy datę urodzenia. - Jest mój!

Gibb otoczył go ramieniem i mocno poklepał po plecach. - Jestem z ciebie naprawdę dumny, synu. Bóg okazał miłosierdzie, wreszcie dał mi wnuka. - Ich radość szybko jednak zgasła. Gibb

walnął pięścią w stół. - Ta suka!

- Słuchaj pan - zwrócił się Matt do Lamara - chcę mojego syna. Niech pan zrobi wszystko, co trzeba, żebym go odzyskał i zatrzymał. Wystąpiłem o rozwód nie wiedząc, że ona jest w ciąży. Usiłowanie morderstwa, porzucenie, i na dobitkę jeszcze zataiła przede mną fakt, że mam syna. Bez trudu powinienem uzyskać wyłączną opiekę nad dzieckiem.

- Panie Burnwood, proszę być rozsądnym. - Lamar rzucił nerwowe spojrzenie na Gibba. - Został pan oskarżony o popełnienie wielu poważnych przestępstw. Powinniśmy się skoncentrować na uwolnieniu pana od tych zarzutów, zanim podejmemy jakiegokolwiek postępowanie prawne przeciwko pańskiej żonie.

- Nikt nie jest nam w stanie udowodnić, że braliśmy z tatą udział w zabijaniu tego chłopaka, Li. Albo to wyssane z palca oskarżenie dotyczące tego typu Barny.

- Ten typ Bama był agentem FBI - przypomniał poważnym głosem prawnik.

- Kimkolwiek był, nie mamy z tym nic wspólnego. Nie strzelaliśmy mu w głowę ani nie ukryliśmy ciała gdzieś głęboko w lesie. Zresztą nie znaleziono ciała, więc nie ma nawet pewności co do tego, czy nie żyje. To włóczęga. Przywędrował do miasta, wywędrował z miasta, na jedno wychodzi.

- A co ze zniknięciem Michaela Li z więzienia?

- Najwyraźniej zwiął. Jego ciała też nie odnaleźli. I nie odnajdą. Gdzieś się przyczaił i nie ujawni się, bo będzie oddpowiadał za gwałt. Tak więc tato i ja zostaliśmy oskarżeni o dwa morderstwa, które nigdy nie miały miejsca.

- W takim razie jak pan wytłumaczy to, co pani Burnwood opowiedziała władzom? - spytał Lamar.

- Zgubiła się w lesie, wpadła w histerię, miała halucynacje.

I jednocześnie dostrzegła możliwość zemśczenia się na mnie za romans z Lottie Lynam.

Szczęki Gibba się zacisnęły. Reagował tak za każdym razem, gdy Matt wspomniał o Lottie.

Wiedział, że ich romans zaczął się na nowo niemal tego samego dnia, kiedy Matt znowu ujrzał Lottie. Uważał to za coś niepojętego, żeby jego syn, posłuszny i podporządkowujący się mu we wszystkich innych ważnych sprawach, miał taką słabość do tej rudej wywłoki.

Nie podobało mu się to zupełnie, ale dla świętego spokoju przymknął oko. Zresztą Lottie była mężatką i nic szczególnie groźnego nie mogło z tego wyniknąć - jak na przykład nie chciane dziecko. Lata temu Gibb zadbał o to, by nie doszło do nie planowanej ciąży.

Kiedy zorientował się, że jego szesnastoletniego syna zaślepiła namiętność do dziewczyny z „białej hołoty”, złożył wizytę jej ojcu. Ten zgodził się, że obaj powinni dopilnować, by ich szalone dzieciaki nie narobiły sobie kłopotów, i za siedem-

dziesiąt pięć dolarów zobowiązał się wrzucić małą pastylkę do mleka córki. Gibb zapewnił, że jest całkowicie nieszkodliwa; dostał ją wprost z rąk lekarza. Pigułka wywołała u Lottie kurcze, które ten sam lekarz zdiagnozował jak objaw zapalenia wyrostka robaczkowego. Łapówka lekarza pochłonęła dwieście dolarów, Gibb musiał też opłacić operację, w czasie której usunięto Lottie całkowicie niepotrzebnie wyrostek robaczkowy i podwiązano jajowody. W ten sposób Gibb otrzymał gwarancje, że Lottie nie da życia bastardowi Burnwoodów. Po dziś dzień uważał, że nigdy nie wydał pieniędzy na lepszy cel.

Dopóki ich romans nie kolidował z małżeństwem Matta i obowiązkiem spłodzenia męskiego spadkobiercy, Gibb nie widział wielkiego problemu w wizytach syna u Lottie, gdy jej mąż pijaczek wyjeżdżał z miasta.

Ale przecież nie chciał, żeby stało się to publiczną tajemnicą.

Matt Burnwood miał przejąć przywództwo Brotherhood i nie mogło wyjść na jaw, że podkochuje

się w białej wywłoce. To by zepsuło wizerunek Burnwoodów. Poza tym, jeśli Matt mógł odstąpić od przestrzegania surowego kanonu reguł Brotherhood, to inni też mieliby prawo żądać, by uczyniono dla nich wyjątek. Zakaz wchodzenia w związki z niższymi od siebie i przedstawicielami innych ras był regułą numer jeden, tabu Brotherhood.

Z tego właśnie powodu Gibb nie dopuszczał myśli, by roomans jego syna wyszedł na jaw w czasie procesu. Quincy Lamar sugerował jednak, by Lotti~ dała Mattowi alibi na tę noc, gdy Michael Li jak kamień w wodę zniknął w tajemniczy sposób z okręgowego więzienia.

Gdyby pani Lynam zeznała pod przysięgą, że Matt odwiedził ją owej nocy, być może udałoby się przeciągnąć na stronę oskarżonych wahających się sędziów przysięgłych. Lamar dooradzał przyznanie się do pomniejszego przestępstwa. Cudzołóstwo było grzechem, ale nie karano go śmiercią. Przynajmniej w Ameryce.

Ojciec i syn dyskutowali nad tą możliwością, ale niczego nie ustalili. Gibb optował za trzymaniem całej sprawy w tajemnicy, jak długo się da. Romans z Lottie nie należał do najbardziej świątlan,ych dokonań Matta i jeśli stanie się publicznie wiadomy, ludzie mu tego nie zapomną. Inna rzecz, że ich linia obrony opierała się na zaprzeczaniu i Gibb zdawał sobie sprawę, jak głupio byłoby nie wykorzystać wszelkich, choćby naj przykrzejszych możliwości oczyszczenia się z zaarzutów.

Ale teraz dowiedział się, że ma wnuka. To zmieniało proporcje. Co innego stawało się najważniejsze. Na czym innym należało się skupić. Być może powinien zrewidować swój pogląd co do posłużenia się Lottie Lynam.

Chociaż błądził myślami gdzie indziej, Gibb śledził jednocześnie dyskusję Matta z Lamarem. Kiedy stwierdził, że ich słowne utarczki prowadzą donikąd, odezwał się:

- Mój syn usiłuje panu wytłumaczyć, że chcemy mieć dziecko u siebie, panie Lamar. Należy do nas w świetle prawa.

- Otóż to - zgodził się Matl.

Lamar uniósł obie ręce z dłońmi skierowanymi w ich stronę, jakby chciał odeprzeć ewentualny atak.

- Mówię to dla waszego dobra, panowie. Obawiam się, że karmicie się nierealnymi nadziejami. Jego słowa nie zmniejszyły jednak zdecydowania Matta.

- Zrobię wszystko, co trzeba, żeby odebrać jej mojego syna. Jest zupełnie nie przygotowana do tego, by wychować Burnwooda. Nie będzie z niej dobrej matki, skoro nie potrafiła być nawet dobrą żoną. Dałem jej wolną rękę w robieniu kariery, ale sama ją zniweczyła, robiąc sobie wrogów z kolegów prawników. Nie skąpiłem pieniędzy. Traktowałem ją dobrze i nie uchylałem się od obowiązków, jakie niesie ze sobą małżeństwo. Może pan spytać, kogo chce. Usłyszy pan, że byliśmy doskonałą parą. I w jaki sposób mi odpłaciła? Opowiadając niegodziwe kłamstwa o mnie i ojcu. Napadła na mnie w naszym własnym domu i zostawiła w nadziei, że umrę. Porzuciła mnie. A teraz, z górą po roku, dowiaduję się o synku. Ma trzy miesiące, a ja nawet nie wiedziałem, że istnieje! Jakież z niej potwór! Pozbawić ojca syna!

Quincy Lamar, wysłuchawszy cierpliwie, co jego klient ma do powiedzenia, zatrza~nął spokojnie swoją skórzaną walizeczkę i wstał.

- Wspaniałe przemówienie, panie Burnwood. Przekonuje.

Sposób wygłoszenia też robi wrażenie. I co za zaangażowanie. Przekonał mnie pan nie tylko co do swej niewinności i nieesłuszności oskarżeń o zbrodnie, które panu przypisują, ale także co do tego, że padł pan ofiarą niesłychanej wprost perfidii pani Burnwood. Zobaczmy, jak pan wypadnie w krzyżowym ogniu pytań. - Zapukał w drzwi, sygnalizując koniec spotkania. Czekał, aż strażnik je otworzy, dodał: - Dopóki pani Burnwood nie może przedstawić swojej wersji, nikt nie poddważy

pańskiej chwytającej za serce historii. Ale kiedy ją znajdą, a może być pan pewny, że federalni przetrzną każdy skraaweczek Południa, próbując odszukać pańską żonę, to i owo trzeba będzie prawdopodobnie w tym opowiadaniu zmienić.

Wyszedł. Gibb i Matt mieli zostać za parę chwil odprowadzeni do osobnych cel.

- Tato, mam syna! Syna! - zawołał Matt.

- Wspaniała wiadomość, synu. - Gibb objął go ramieniem. - Jestem poruszony. Ale świętować będziemy później. Teraz nie ma na to niestety czasu. Nie ufam temu lalusiowaatemu pedziowi ani na jotę.

- Też mi się nie podoba. Chcesz wynająć kogoś innego?

- Wszyscy oni są niekompetentni w taki czy inny sposób - odparł Gibb potrząsając głową. -

Działają pokrętnie i potrafią być nielojalni, nawet jeśli należą do rodziny Coświadczył oschle. - Nie powinniśmy polegać ani na nim, ani na nikim innym. Musimy myśleć i działać na własny rachunek.

- Do czego zmierzasz, tato? - Matt spojrzał zaintrygowany na Ojca.

- Czas wziąć nasze sprawy we własne ręce.

Lottie ponownie przeczytała list. Był konkretny i bezceremonialny.

Zmiała arkusik papieru i rzuciła na podłogę. Zakławszy, podeszła do okna i wyjrzała na zaniedbane podwórze. Jego wygląd mówił wyraźnie: tu mieszka biała hołota. Charlie był nie tylko pożałowania godnym mężem, ale i dostarczał pożałowania godnych środków na utrzymanie. Nigdy nie mogła sobie pozwolić na upiększenie mieszkania i jego otoczenia.

Ale czego się właściwie spodziewała? Że małżeństwo cudownie odmieni jej życie?

Urodziła się wśród białej hołoty i zawsze miała wśród niej żyć. Zdawała sobie z tego sprawę. I Charlie też. A także Matt. Właśnie tak ją nazwał, gdy pierwszy raz się do niej odezwał.

Byli w czwartej klasie, kiedy zasadził się na nią po szkole.

Zeskoczył z nisko rosnącego konara drzewa i przestraszył ją śmiertelnie, zagradzając drogę.

Myślisz, że seksowna z ciebie gówniara, co rudzielcu? - prowokował. - Nic podobnego. Tata mówi, że jesteście biedna biała hołota i nigdy nie powinienem się z takimi jak ty zaadawać.

- A ja mówię, że z ciebie i twojego taty gówniani bogacze. Moje szczęście, że nie muszę się z tobą zadawać, Matcie Burnnwood. Zjeżdżaj mi z drogi. - Usiłowała go wyminąć, on jednak dał szybko krok na bok i złapał ją za ramię.

- Gdzie się tak śpieszysz?

Chciał ją pocałować, ale walnęła go kolanem w krocze i uciekła.

Dopiero po paru latach zebrał się na odwagę, żeby znowu spróbować. Tym razem pozwoliła się pocałować. Od tego dnia byli zawsze wyczuleni na obecność tego drugiego, a zarazem świadomi faktu, że nic poważnego między nimi nie jest możliwe. Już jako dzieci wyczuwali, że należą do innych kast. Chadzali odrębnymi ścieżkami - dosłownie i w przenośni - które nigdy nie miały się skrzyżować.

Nie przeszkadzało im to flirtować ze sobą, wabić się naawzajem rozkwitającą seksualnością, nie poznaną do końca aż do pewnego omdlewającego od żaru letniego popołudnia, kiedy spotkali się przy strumieniu na wzgórzu. Rozebrani do bielizny, swawolili w wodzie. Matt zaproponował zawody, kto dłużej wytrzyma pod powierzchnią.

Wygrał oczywiście i zażądał w nagrodę, żeby zdjęła biustonosz i pozwoliła mu popatrzeć na swoje piersi. Wyczuła za jego arogancją niepewność, która wydała jej się urocza.

Odpięła stanik.

Patrzył przez długą chwilę, a potem zaczął jej dotykać.

Delikatnie i niepewnie. Dlatego właśnie pozwoliła mu posunąć się tak daleko, jak nigdy nie

pozwalala innym chłopcom. Wkrótce ona też go dotykała.

Byli niezręczni i nie czuli się swobodnie. Matt był niezdarny i zbyt spięty, a ona chciała mu się tylko przypodobać. Ale zapamiętała przejmujące dreszczem gorąco skóry, przyśpieszone, krzyżujące się ze sobą oddechy, łomot serc, westchnienia, radość odkrywania. Ich namiętność była nieklamana, przepełniała ich radością. Nie czuli wstydu i było to całkowicie niewinne.

Lottie oparła czoło o brudną szybę, łzy pociekły jej po policzkach. Od tamtej pory kochała Matta Burnwooda do szaleństwa. Na zawsze.

Dlatego pozwalala mu się wykorzystywać, dlatego tak ulegle odpowiadała na jego pożądanie. Zaspokajała nie tylko seksualne potrzeby Matta. Podejrzewała, że związek z nią był wyrazem jego buntu przeciwko Gibbowi Burnwoodowi. Osiągnął wszystkie cele, jakie mu ojciec wyznaczył. Żył tak, jak się tego spodziewano po potomku Burnwoodów. Zawsze postępował, jak należało. Pozwolił sobie tylko na jeden wyskok: romans z Lottie Lynam.

To, że musieli zachować swój związek w tajemnicy, podnosiło jego atrakcyjność w oczach Matta. Gdyby akceptowano ją w kręgach, w jakich obracali się Burnwoodowie, przestałby się nią interesować już wiele lat temu. Przychodził do niej, ponieważ była dla niego absolutnie nieodpowiednią osobą.

Na swój sposób nawet ją kochał. Tylko że nie umiał nikogo pokochać bardziej niż ojca. Obdarzał Gibba ślepą lojalnością i wyłącznie dla niego był zdolny całkowicie się poświęcić.

Z tego właśnie powodu trochę współczuła Kendall Deaton, która poślubiając Matta promieniowała zupełnie bezsensownym optymizmem. Nie umiała też pogodzić się z tym, że jeśli chodzi o uczucia męża, nie ona znajduje się na pierwszym miejscu, i chyba dała to odczuć teściowi. Matt, jeszcze zanim się rozwiódł, wielokrotnie uskarżał się, że Kendall zbyt otwartością przynosi sobie szkodę.

Co z tego wynikało dla Lottie? Kim dla niego była? Poddóżkiem? Powolną, nie uskarżającą się na nic, usłużną koochanką?

Oczywistą odpowiedź na te pytania zawierał list, który doostała dzisiaj od Matta. Pochyliła się, podniosła go z podłogi, rozwinęła i położywszy na kuchennym stole wygładziła załamana.

Matt jej potrzebował. Teraz. Rozpaczliwiej niż kiedykolwiek dotąd i prawdopodobnie jak nigdy w przyszłości.

Rozejrzała się po pokoju, po starych, zniszczonych meblach, suficie z zaciekami, popatrzyła na wytartą, skrzypiącą przy każdym kroku drewnianą podłogę.

To zupełnie jak moje życie, pomyślała smutno.

Po wyjeździe Kendall z miasta proces Lottie został przełożony do czasu zatrudnienia nowego obrońcy. Od razu poprosił o odroczenie sprawy, ponieważ musiał zapoznać się z przypadkiem, zweryfikować, co dotąd ustalono w trakcie dochodzenia, przygotować własną linię obrony. Sąd przychylił się do jego prośby. Zważywszy na liczbę czekających w kolejce nie rozstrzygniętych spraw, mogły minąć miesiące przed wyznaczeniem daty rozprawy.

Lottie chciała mieć to jak najprędzej za sobą. Niezależnie od wyroku, jaki miał zapaść, jej życie po zabiciu Charliego toczyło się jakby w zawieszaniu. Nie była uwięziona, ale i nie wolna. Nie miała męża, dzieci, rodziny, która by się nią interesowała. Miała dom, ale nie był to dom w prawdziwym tego słowa znaczeniu - dawał tylko schronienie. Była poza nawiasem społeczeństwa.

Przez całe swoje życie zaznała szczęścia tylko w ramionach Matta Burnwooda. Znała jego wady, wiedziała, że kierował się uprzedzeniami, ale go kochała.

Przeczytała jeszcze raz list z więziennej celi. Prosił ją w nim o szczególną przysługę. Jeśli mu ją wyświadczy, ryzykuje życie.

Z drugiej strony, gdy się pomyśli, jak wygląda to życie, nie miała nic do stracenia.

Rozdział trzydziesty pierwszy

- Uciekli! - ogłosił sensacyjną wiadomość zastępca szeeryfa, którego jedynym obowiązkiem było wskazywanie drogi i udzielanie informacji osobom mającym coś do załatwienia w Sądzie Okręgowym w Prosper.

Nie odznaczał się zbyt dużą bystrością. Ledwie zaliczył egzamin wymagany przed podjęciem pracy. Ale jednak go zaliczył i teraz z dumą nosił uniform koloru khaki i plakietkę z nazwą biura. Szttywny kołnierzyk koszuli luźno otaczał przeraźliwie chudą szyję, drżącą podstawę małej, spiczasto zakończonej głowy.

Nazywał się Lee Simon Crook i był kuzynem Billy'ego Joe i bliźniaków.

Luther Crook szykował się właśnie do perfekcyjnego udeerzenia, gdy do sali bilardowej wpadł Lee Simon i wyrzucił z siebie wiadomość, z którą biegł przez dwie przecznice. Luther nie uderzył perfekcyjnie i stracił szansę odzyskania dziesięciu dolarów, które poprzednio przegrał. Klnąc, odwrócił się do krewniaka z rękami zaciśniętymi w pięści, gotów do bijatyki.

- Lee Simon, ty gówniany gnojku! Spiorę cię na kwaśne jabłko! Miałem ustawiony...

- Zamknij się, Luther - warknął Henry. - 'Coś ty poowiedział, Lee Simon? Że kto tam uciekł?

- Oni. Z więzienia.

- Kto, dupku żołądny? - Luther złapał kuzyna za rękaw munduru i obrócił nim dokoła. - Bu... Bu...

Burnwoodowie.

- Co ty, do cholery, gadasz?!

- Przysięgam na Boga. - Nakreślił krzyż na zapadniętej piersi. - Jakies dziesięć minut temu.

Pieć się tam zaczęło i w całym tym zamieszaniu wyszłem i poleciałem szybko, jakem tylko mógł, żeby wam to przekablować.

Nawet w środku dnia salę bilardową zapełniał tłumek mężczyzn, zabijających czas piciem piwa i utyskiwaniem na opieszałość poczty, która bezustannie spóźniała się z czekami z opieki społecznej.

Rzuciwszy kuzynowi groźne spojrzenie spode łba, Henry zaciągnął go do ciemnego, zadymionego boksu w kącie sali i pomachał na Luthera, by się do nich przyłączył.

- Zamierzasz przerwać grę? - spytał przeciwnik Luthera. Bliźniak rzucił na wojłok następny dziesięciodolarowy banknot, odłożył kij bilardowy i wśliznął się do boksu. Usiadł koło brata, tak że obaj mogli patrzeć wyszydzanemu od dzieciństwa kuzynowi prosto w twarz.

Prostacy bracia przemieniali w piekło każdą rodzinną wiiżyte niewydarzonemu dziecku brata ojca, które spłodził z trzecią żoną. Tymczasem ich nieustanne zncęanie się odniosło nieoczekiwany skutek: zaowocowało bezprzykładną miłością, uwielbieniem i lojalnością Lee Simona wobec stryjecznych braci. To, że bliźniacy rozmijali się często z prawem, podsycalo tylko jego podziw.

- Powiedzieliście, że bym miał na oku, co się tamuj wyraabia - wskazał kciukiem w kierunku sądu. - No to i miałem, ale nie liczyłem, że takie atrakcje się zdarzą.

- Co się stało?

- Zerwali się. Matt i starszy pan. W biały dzień.

- Jak? Uziemili strażnika?

- Pobudzili, chciałeś powiedzieć - zarechotał Lee Simon.

- Co znowu?

- Pani Lottie Lynam...

- Co? - zapytali bliźniacy chórem.

- No więc przez ostatnie parę dni przychodziła odwiedzać Matta całkiem regularnie. Przynosiła z

kawiarni cheeseburgery i ciasto z kremem ananasowym. Pisma i książki, i takie tam bzdury. - Pochylił się nad stołem i przybrał wyraz twarzy „między nami mężczyznami”. - Wiecie, jak dobrze jest zbudowana. Ciskała się po kiciu jak królowa Saba. Wszystkich podniecała, sami wiecie. Strażników też. Nawet mnie. Pewne jak cholera, może człowiek być w mundurze, ale pod spodem jest mężczyzną, no nie?

- No, ta to ma zderzaki, że o mało gały nie wyskoczą. Źroświadczył Luther i dodał niecierpliwie: - Gadaj dalej, co?

- No więc Lottie przyszła dzisiaj w naprawdę dopasowanej sukience. - Lee Simon oblizał kąciki ust, w których wciąż gromadziła się mu ślina. - I postarała się, żeby każdy ją dobrze zauważył, szczególnie stary Wiley Jones. - Odchylił się z powrotem na oparcie siedzenia. - Willy wpuścił ją do pokoju widzeń, a ona się potknęła i rozsypała całą torebkę. Klękała na czworaki i zaczęła zbierać cały ten bałagan, a Willy’emu jak mi mówili, gały wyszły na wierzch. Podobno nie miała majtek, ale to może być plotka. Albo pobożne życzenia, nie?

- Przejdiesz wreszcie do rzeczy?

- Dobra, w porządku. Ale nie chciałem niczego pominąć. - Lee Simon odetchnął szybko. - Wiecie, ile wszyscy robią zamieszania koło Gibba Burnwooda? Że niby kapitalny z niego chłop, i tak dalej. Większość strażników uważa, że i tak dostał porządne kopa, więc za bardzo się przy nim i przy Matcie nie spinali, można powiedzieć. Tak że kiedy pani Lottie upuściła tę torebkę, Willie zaraz ruszył się od drzwi jej pomóc. Jak zbierał te jej szminki i gumy do żucia, Matt z Gibbem, bo już tam na nią czekali, przeszli zwyczajnie przez drzwi, gładko jak po maśle. Lottie podziękowała Willy’emu, a potem powiedziała, jakby jej tchu brakło, coś jak: „Święty Boże, nie mogę się w takim stanie pokazać ludziom!” Przygładziła włosy, przeesunęła rękami z góry do dołu po sukience, sami wiecie, żeby to ją niby wygładzić... i poleciała do damskiej toalety, gdzie czekali Matt z Gibbem. Zamknęła za sobą drzwi, oni się przebrali w rzeczy, co je tam przedtem zostawiła, i wszyscy troje razem poszli do frontowych drzwi, wsiedli do samochodu i tyleś ich widział. Kupa ludzi ich zobaczyła, jak wychodzili z sądu. Śmieli się, ściskali ręce i mówili, że ich wypuścili za kaucją i czy to nie wspaniałe, sprawiedliwość jednak zwyciężyła? I takie tam. Mają jaja te Burnwoody. A Willie, biedny stary jołop, nawet się nie zorientował, co się stało. Cały czas siedział na krześle i czekał, kiedy pani Lottie wróci odświeżona, i marzył sobie o tym, co zobaczył u niej pod sukienką. Taki był trzaśnięty, że nawet się nie spostrzegł, że jego więźniowie sobie poszli!

~ Gdzie są teraz?

- Jak dawno temu uciekli?

- Spokojnie, krewniacy. Zara do tego dojdę. Pewnie dobrze by mi zrobiło, jakbym zwilżył gardło. - Zerknął w stronę baru.

Henry dał znak barmanowi i ten postawił przed zastępcą szeryfa piwo.

- Nie wolno mi pić, jak jestem na służbie, ale w całym tym harmidrze nikt nie zauważy, że czuć ode mnie. - Siorbnął piwo spod piany. - Nie widziałem tego osobiście, ale mówią, że ten agent FBI, ten Pepperdyne... ale nawisko, co? Mówią, że jak go doszła wiadomość o ucieczce, cholernie się wkurzył. Pytał się, jak to możliwe, żeby do pilnowania takich więźniów wyznaczili starego kretyna. I kto go tam postawił. Mówią, że jakby słowa mogły zabijać, to oni wszyscy tam, nawet razem z jego własnymi ludźmi, byliby sztywni na amen. Cholernie się wściekł.

- W jaki sposób Lottie wywiozła ich z miasta? - spytał Henry.

- Myślą, że czekał już na nich inny samochód. Nimem tu przyznał, słyszałem, jak mówili, że znaleźli auto pani Lottie pod mostem. Ale nikt ich nie zauważył, kiedy się przesiadali. Sprawdzili wszystkie samochody Burnwoodów. Musieli trzywać ten wóz w jakimś miejscu, o którym nikt nie

wiedział. Odjechali już spory kawałek, takie jest moje zdanie.

- Dokąd?

- Każdy by chciał wiedzieć. - Lee Simon wrzucił guzowatymi ramionami.

- Nikt się nie domyśla? - dopytywał się Luther.

- No, chodzą gadki po sądzie. Różne plotki. - Siorbnął głośno kolejny łyk piwa. - Właściwie wszyscy mówią, że pojechali zastrzelić eks-żonę Matta. Dlatego ten Pepperdyne rzuca kurwami. To ona powiedziała, że zabili tego Chińca, co to zwiął z więzienia. Że obcięli mu fujarę, a potem go ukrzyżowali - wyszeptał.

Henry i Luther wymienili spojrzenia wyrażające pogardę dla głupoty ludzi strzegących prawa.

- Podobno wymknęła się szeryfom, którzy ją wieźli do nas, żeby tu zeznawała? - zapytał Henry.

- To prawda. Nikt nie wie, gdzie ona jest. - Zastępca szeryfa znowu zniżył głos. - Założę się, że też byście chcieli wiedzieć.

- Masz całkowitą rację, Lee Simon. Jesteś mądrzejszy niż ładniejszy.

Rozpromienił się, usłyszawszy pochwałę z ust starszych, roztropniejszych i ważniejszych kuzynów.

- Mama mi mówiła, że macie pretensję do pani Burnwood, bo przez nią Billy Joe wylądował w więzieniu. Mówiła też, że wasza mama jeszcze nie doszła do siebie.

Kiedy Billy Joe wydobrał dostatecznie, został przewieziony do centrum rehabilitacyjnego, gdzie zaopatrzone go w protezę. Zanim zdążył nabyć biegłości w posługiwaniu się nią, zaatakował rehabilitanta. Używając sztucznego ramienia jak maaczugi, zadał mu kilka groźnych ciosów w głowę. Tym razem sądono go jako osobę pełnoletnią i właśnie odsiadywał karę. Jego nieszczęściu był oczywiście winny obrońca z urzędu, czyli Kendall Burnwood, która w ten sposób po raz drugi naraziła się rodzinie Crooków.

- Przenigdy nie powinniśmy jej ufać - stwierdził Henry gorzko, wykrzywiając wargi. - Co dupy mogą wiedzieć o prawie?

- Nic. Ni cholery - zgodził się Luther. - Inaczej mały nie siedziałby w więzieniu.

- I miałby prawą rękę - dodał Henry.

Lee Simon osuszył kufel i beknął donośnie, żeby zrobić wrażenie na kuzynach.

- Lepiej już pójdę. Pewnie byście chcieli usłyszeć ostatnie wieści.

Bracia pożegnali go z roztargnieniem. Luther wstał i przeesiadł się na miejsce zwolnione przez Lee Simona; chciał patrzeć bratu w twarz. Spoglądali na siebie ponad stołem, aż w końcu Luther spytał:

- Co o tym myślisz, Henry?

- A co ty myślisz?

- Pierwszy zapytałem.

Henry uderzał palcami w podbródek, jakby był uczniakiem zastanawiającym się nad wyjątkowo skomplikowanym prawem fizyki.

- Piekielna hańba, jeśli ktoś inny... nawet Gibb i Matt, zabije tę Burnwood, zanim my to zrobimy.

- Piekielna, jak jasna cholera - zawtórował mu Luther.

- Nigdy więcej bym się nie odważył popatrzeć w lustro.

- Chodzi o godność rodziny.

- O dumę.

- Przysięgliśmy mamie, że odpłacimy tej Kendall Burnwood za wszystko, co zrobiła Billy'emu Joe.

- Nie powinna nadepnąć Crookom na odcisk.

- Ale jak mamy dotrzymać danej mamie przysięgi...?

- Musimy znaleźć ją pierwsi. - Henry wygramolił się z boksu i machnął na brata, żeby szedł za nim. - Zobaczmy, co mama na to.

Mama uważała, że pomysł jest wspaniały. Dała im nawet dodatkową podniechęć do działania: coś, o czym sami nie pomyśleli, ale co doskonale przystawało do ich motywów. Ze złym błyskiem w oku powiedziała:

- Kto wie, co zrobi starszy pan Burnwood, jeśli rozwiążecie ten problem za niego. Ma kupę forsy, nie?

Henry oczywiście pierwszy pojął, o co mamie chodzi. Mrugnął do brata.

- Będzie skłonny wypłacić trochę gotówki, skoro mu oszczędzimy tłumaczenia się w sądzie - stwierdził.

Kiedy rozniosła się wiadomość o Brotherhood i Crookowie dowiedzieli się o działającej wśród nich organizacji, ogarnęła ich złość - tylko dlatego, że zostali pominięci. Według nich była to wspaniała idea: przestrzegać czystości rasy i oczyścić Prosper z obcych, nie mogli więc zrozumieć, by ktoś chciał za to karać.

Nie przyszło im oczywiście do głowy, że to sędzia Fargo kazał pozbawić Billy'ego Joe ramienia, żeby dać jemu i Kendall nauczkę. Nie spodziewali się również, że postanowiono im wymierzyć specjalną karę za to, że ośmielili się grozić Burnwoodom. Bracia z Brotherhood odłożyli ją na później wyłącznie dlatego, że mieli pilniejsze sprawy do załatwienia.

Crookowie niesłusznie zatem obarczali Kendall winą za nieszczęścia, które na nich spadły. Planowali zemstę od dnia, w którym zabrano Billy'ego Joe. Listy z pogrózkami, wybicie szyby, martwy szczur - to wszystko było tylko na rozgrzewkę. Podobnie jak zdemolowanie jej biura. Poprosili wtedy o pomoc Lee Simona, który przemycił ich do gmachu sądu po godzinach urzędowania. W rewanżu nastroczyli mu kobietę, która za dwadzieścia dolarów zgodziła się spędzić z nim noc. Uważali, że nie przepłacili, a ich kuzyn nie posiadał się z radości.

Planowali, tak jak to wymyśliła mama, nękać Kendall Burnwood, dopóki nie dotknie jej nieszczęśliwy „wypadek”. Tuż przed śmiercią miała się dowiedzieć, że to właśnie bracia Crook wywarli na niej zemstę. Niestety przed wielkim finałem wyjechała z miasta w nieznaną.

Henry i Luther upili się dla większego animuszu i podpalili stodołę, żeby się lepiej poczuć.

Nie zapomnieli oczywiście, że przysięgali zemstę, a ich nienawiść do Kendall Burnwood nie przygasła przez rok, który minął od jej zniknięcia. Kiedy usłyszeli, że odnaleziono ją w Kolorado i zostanie przewieziona do Karoliny Południowej, uczcili wiadomość pijatyką i zdeflorowaniem dwunastoletniej siostrzenicy. Ledwie zdołali pozbierać się po kacu, gdy doszło do nich, że wymknęła się dwóm szeryfom i znowu znalazła na swobodzie. Pograżyło ich to ponownie w głębokiej rozpacz.

Wieści przyniesione przez Lee Simona na nowo pobudziły w nich chęć zemsty. A mama nakreśliła wizję, jak sobie mogą przy okazji napchać kabzę. Zasedli wszyscy w kuchni przy stole z butelką bimbru, żeby dopracować plan i wypić za jego pomyślne przeprowadzenie.

- Słyszałem, że ma dzieciaka - zauważył Luther, marszcząc brwi. - Co z nim zrobimy, jak ją zabijemy?

- Kretynie skończony! - Mama trzepnęła go w szczękę. - Przywieziecie go tutaj starszemu panu Burnwoodowi! Zapłaci wam w dwójnasób za odzyskanie wnuka.

Bracia uśmiechnęli się do siebie. Jak przychodzi do robienia interesów, mama jest nie do przebiccia.

Rozdział trzydziesty drugi

- Czy to nie dziecko?

- Hmm? - Kendall się poruszyła.

- Słyszę, że Kevin płacze.

- I tak spał dłużej, niż się spodziewałam. - Wstała i włożyła szlafrok. - Masz coś przeciwko temu, żebym go tutaj przyniosła?

- Nie...

Co wywołało u niego tę awersję do dzieci, zastanawiała się idąc do pokoju Kevina. Śniąc koszmarny wolał do Pepperrdyne'a, żeby przestały płakać. Słyszał płaczące dzieci we śnie? Jaki to miało związek z jego pracą? Co go tak nękało? Co się zdarzyło?

To tylko kilka z miliona pytań, jakie chciałaby mu zadać, gdyby okoliczności ułożyły się inaczej. Jak na ironię, amnezja Johna McGratha chroniła ją, choć w kruchy i niepewny sposób, przed zdemaskowaniem, lecz jednocześnie stanowiła nieprzekraczalną barierę. Nic nie wiedziała o jego pochodzeniu. Nawet tego, kiedy przypadają jego urodziny ani jak ma na drugie imię.

Nie знаła go, chociaż tak blisko z nim była.

Znała wszystkie odcienie jego głosu; wysokość, timbre - ale nie przekonania czy zasady, jakimi się kierował. Znała wszystkie blizny na jego ciele, ale nie wiedziała, kiedy i jak powstały. Jej palce zbadały każdy skrawek jego skóry, ale nie miała pojęcia, ile kobiet go pieściło.

Może nawet był żonaty.

Natychmiast odsunęła od siebie tę niewygodną myśl. Nie może sobie pozwolić na rozważania, czy on kogoś kocha, czy kogoś zdradza, śpiąc z nią. Zresztą nie odpowiadał za to, co robił, skoro był dotknięty amnezją.

Wina leżała wyłącznie po jej stronie. To ona pod wpływem impulsu oświadczyła, że jest jej mężem, sądząc, że dzięki temu genialnemu pomysłowi zyska na czasie. Ale nie planowała, że go porwie i będzie żyła u jego boku przez kilka tygodni. Nie planowała też, że on zmieni się przebywając z nią i Kevinem, że złagodzi to jego charakter, stanie się mniej ponury, miłszy.

A już na pewno nie planowała, że się w nim zakocha. Rankiem, po nocy, kiedy pierwszy raz się kochali, przeżyła chwilę paniki. Wśliznął się niepostrzeżenie do łazienki i stanął przy umywalce tuż za nią. Chwycił ją szorstkim ruchem i oddwrócił twarzą do siebie. Była pewna, że odzyskał pamięć, tak dziko żarzyły się jego oczy.

Pomyliła gniew z namiętnością. Jego gwałtowny pocałunek uspokoił ją. John nigdy nie uchyliłby się przed wypełnieniem swoich obowiązków i gdyby wróciła mu pamięć, byłby wściekły. Zrobiłby wszystko, co w jego mocy, żeby ją odwieźć do Karoliny Południowej. Zdawała sobie z tego sprawę i wolała o tym nie myśleć.

Przewinęła Kevina i wróciła z nim do łóżka. John podparł się na łokciu i patrzył, jak układa dziecko przy piersi. Małeńkie piąstki uderzały w jej ciało, usteczka na oślepek szukały brodawki. Przywarły do niej łapczywie, kiedy tylko je na nią naaprowadziła.

- Żarłoczny z niego jegomość - zauważył John.

- Ma dobry apetyt.

- Dlaczego zrobili ci cesarskie cięcie?

- Bronił swojej niezależności jeszcze przed urodzeniem - odparła z uśmiechem i pogładziła dziewczęce kędziory na główce synka. - Nie chciał przyjąć właściwej pozycji. Położnik próbował go przekreślić, ale Kevin nic sobie z tego nie robił. Sądzę, że przez próżność. Wolał nie popsuć pięknego kształtu swojej główki.

John wyciągnął z wahaniem rękę i dotknął skroni Kevina; pod delikatną skórą mocno bił puls. Ostrożnie nakrył dłonią główkę dziecka.

- Jest ładny...

- Dzięki.
- Podobny do ciebie.
- Tak?
- Tak. A ty jesteś piękna.

Ich oczy się spotkały.

- Naprawdę?

- Tak.

- Zwłaszcza moje włosy, co?

- Może zapoczątkujesz nową modę. - Jego oczy powędrowały ku wystrzępionym kosmykom. -

Koafiura ci la John Deere.

- Któż to taki?

- Nieważne - odparła, śmiejąc się cicho.

- Racja, nieważne. I tak jesteś piękna.

Wiedziała, że naprawdę tak myśli. Według niej on też był piękny. Nie klasycznie, ale jego twarz przykuwała uwagę, była bardzo męska, z wyrazistymi brwiami i mocno zarysowaną kwadratową szczęką. Dziwne, że uważała go za tak pociągającego, różnił się przecież zdecydowanie od Matta, którego uznała za najprzystojniejszego mężczyznę, jakiego spotkała w życiu. Matt był wysoki, szczupły, John równie wysoki, ale mocniej zbudowany. Matt miał blond włosy, John czarne z nitkami siwizny. Patrycjuszowskie rysy Matta były niemal zbyt regularne, by wydać się interesujące. Na twarzy Johna wycisnęło swoje piętno życie i przydawało jej to charakteru.

Uwielbiała jego fascynujące, zielono-brązowe oczy, zmieniające kolor w zależności od nastroju.

Zachowywał się bardzo chłodno, ale to tylko dodawało blasku jego rzadkim uśmiechom i gorzkim żartom. Miał jakieś zahamowania, które przypisywała niezbyt szczęśliwemu dzieciństwu. Zgadywała, że nie obdarzano go czułością, gdy dorastał. Nie nauczył się okazywania uczuć i emocji i przysparzało mu to wiele trudności w kontaktach z ludźmi. Ale był zdolny do przeżywania głębokich uczuć i wiedziała, że potrafi się nimi kierować. Wspomniawszy, jak świetnie poradził sobie z napasstującymi ją nastolatkami, pomyślała, że wda się w każdą awanturnę, żeby obronić ją i Kevina.

Był twardy, ale potrafił też być niezwykle delikatny, jak dziś w nocy, kiedy gubiła się w jego błędzących po jej rysach oczach jak w leśnej mgłę.

- Robiłaś to w ten sposób przedtem? - spytał zgrzytliwym głosem.

- Co?

- Pieściłaś mnie?

Poczerwieniała gwałtownie i chowając twarz na jego ramieniu, potrząsnęła głową.

- Dlaczego nie?

- Nigdy przedtem tego nie chciałam. - Odsunęła twarz i popatrzyła mu prosto w oczy.

Wpatrywał się długo w jej źrenice we właściwy sobie przenikliwy sposób, potem przyciągnął ją do siebie, objął mocno i skrył jej głowę pod swoim podbródkiem.

- Dobrze to robiłam? - spytała po chwili nieśmiało.

- Och, tak - potwierdził, jęknąwszy cichutko. - Bardzo dobrze.

Trzymając ją w objęciach, pieścił jej plecy i biodra, rozzniecając na nowo pożądanie. W końcu podniósł ją i posadził na sobie.

- Tak też nigdy z tobą nie byłam - przyznała.

- Po prostu bądź sobą. Nie musisz robić niczego, czego nie chcesz. - Otoczył dłońmi jej twarz,

kciukiem obwiódł wargi, rozdzielił je, pieścił językiem. Opuścił ręce na jej piersi i przykrył dłońmi sutki. Ugniatał je i gładził, stwardniałe, a ona poruszała się coraz gwałtowniej.

- Jezu - wyszeptał, obejmując jej talię, by ją przytrzymać i poprowadzić.

Wsunął dłoń między ich ciała, środkowym palcem zaczął delikatnie masować niewielki wznórek i Kendall doznała tak intensywnej przyjemności, że wydawało jej się, jakby zaraz miała umrzeć.

Teraz doznawała przyjemności równie intensywnej, ale chyba pełniejszej. Karmiła Kevina, a John na nią patrzył; niemal uwierzyła, że naprawdę są rodziną. Zawsze tego chciała i nigdy nie stało się jej udziałem: mężczyzny, który by ją kochał, dziecka, rodziny. Jakby los, wodząc ją po krętych ścieżkach, nie chciał spełnić jej niezbyt wyszukanego marzenia.

To nie mogło trwać długo. John w każdej chwili mógł odzyskać pamięć. Mogli też odkryć miejsce ich pobytu agenci federalni i aresztować ją za porwanie oficera federalnego. Albo - co najbardziej przerażające - mogli ich znaleźć Burnwoodowie.

Byli tropicielami. Umieli iść po śladach zwierzyny. Trofea zakończonych sukcesem pościgów wisiały wypchane na ścianach domu Gibba. Identyfikowała się z tymi biednymi stworzeniami, które nieostrożnie przecięły pole widzenia Burnwoodów i bała się, że będzie kolejną zdobyczą, a Kevin wpadnie w ich szpony.

Tak czy owak, nie miało być szczęśliwego zakończenia tej historii. Najlepsze rozwiązanie, na jakie liczyła, oznaczało wymknąć się Johnowi, nigdy więcej go już nie zobaczyć i uciekać do końca życia.

Musi go zostawić natychmiast, zanim on odzyska pamięć, zanim sobie uświadomi, że jest jej strażnikiem. Z pewnością poczuje dla niej pogardę, kiedy zrozumie, że nieświadomie grał wyznaczoną przez nią rolę. Uczyniła rzecz niewybaczalną: pozwoliła, by się opiekował nią i Kevinem, całkowicie śmiała tego, że wkrótce porzuci go i będzie musiał samotnie stawić czoło konsekwencjom jej dwulicowości. Znienawidzi ją jednak, nie tylko z zawodowych powodów, przede wszystkim z osobistych.

Miała nadzieję, że uda jej się zniknąć na dobre, że nie doświadczy jego pogardy. Tego nie wytrzyma. Boże, niech nigdy nie przyjdzie mu do głowy, choćby przez sekundę, że kochała się z nim tylko dla jeszcze jednej paskudnej manipulacji.

Ale jak miała znaleźć w sobie siły, żeby go opuścić, kiedy tak na nią patrzył? Kiedy trzymając rękę na jej policzku, tak długo i mocno całował?

Zdławiła szloch, ujęła jego głowę i pocałowała go z całym żarem, zrodzonym przez miłość i strach. Otoczył ich oboje ramionami, ją i ssącego pierś Kevina. Pragnęła, żeby te słodkie chwile doskonałej intymności nigdy się nie skończyły.

Było to jednak niemożliwe. Musiała odejść. Ale jeszcze nie tej nocy.

Rozdział trzydziesty trzeci

- Co z nami będzie, Matt? Czym to się skończy?

- Nie martw się, Lottie. - Przesunął ręką po krzywiźnie jej biodra. - Tata się wszystkim zajmie.

- To chyba normalne, że się martwię, Matt. - Odsunęła się od niego i usiadła. - Złamałam prawo. Uciekam.

- Tata wszystko załatwi.

- Ten twój tata to maniak. Nie widzisz tego? - Przesunęła dłońią po kasztanowych włosach i zaśmiała się bezrado śnie. - Szy...! Może cię usłyszeć.

Spojrzał nerwowo na ścianę oddzielającą ich pokoje. Nocoowali w obskurnym motelu - nędzne

pokoje przedzielały cienkie ściany, na podłodze leżała wytarta wykładzina - miejscu spotkań nielegalnych kochanków, którzy nie mieli zbyt wiele pieniędzy.

Ale on i Lottie nie byli nielegalnymi kochankami. Właśnie dopełniała się ich historia miłosna, trwająca od czasu, gdy zaczęły się w nich burzyć hormony. Już teraz wiedział, że dziewczyna, której pożałował, wyrosła na kobietę, którą kochał.

Dwa dni temu dodała do listy przestępstw, które popełniła, udzielenie pomocy w ucieczce z więzienia. Mimo to Matt Burnwood nigdy w życiu nie czuł się szczęśliwszy. Był z Lottie. Jawnie. I ojciec to aprobował.

Zdawał sobie sprawę z tego, że robi na niej, i najprawdopodobniej na wszystkich innych ludziach, wrażenie człowieka naiwnego, ufając ojcu tak bezgranicznie. Naprawdę jednak wierzył, że Gibb uładzi wszystkie sprawy. Powiedział, że się wszystkim zajmie, a na jego słowie można było polegać. I nigdy się nie mylił. Odkąd Matt pamiętał, ojciec miał zawsze rację. I był uosobieniem prawdziwego Amerykanina.

Zupełnie jak dziadek. Matt nie znał go wprawdzie, ale wiedział o nim wszystko od Gibba. O jego niezrównanej sprawności żołnierskiej. Ojciec znał każdy szczegół wojskowej kariery dziadka na Pacyfiku Południowym i często opowiadał, w jaki sposób przeżył, choć miał tak nierówne szanse.

Gibb wierzył, że jego ojciec nie podlega żadnym ocenom.

Matt również ślepo ufał swemu ojcu. Nigdy nie zdarzyło się, by Gibb źle nim pokierował.

No, może pomylił się w ocenie Kendall.

To on nalegał, żeby Matt ją poślubił. Twierdził, że będzie doskonałym parawanem dla poczynań Brotherhood. Uważał, że dzięki niej swobodnie dobiorą się do indywidualów podkopujących fundamenty, na jakich opiera się Ameryka. Teoretycznie poślubienie obrońcy z urzędu było rzeczywiście wspaniałym pomysłem, nie docenili jednak niezależności Kendall. Poza tym nie była skorumpowana ani powolna ich życzeniom, jak tego oczekiwali. Co prawda, tu akurat ona zaawiniła, nie Gibb.

Matt uważał, że ojca często nie doceniano. Miał obsesję na punkcie sprawowania władzy. Jeśli go zlekceważono, nie zapominał tego; nigdy też nie wybaczał afrontu. Jeśli wszedłeś mu w drogę, zostawałeś jego wrogiem na całe życie. Był apodyktyczny i obstawał przy swoim, kiedy uważał, że ma rację. Raz coś postanowiwszy, trwał przy tym z nieugiętą zawziętością.

W oczach Matta cechy te były zaletami, nie wadami. Wszystko zależało od punktu widzenia. Inni mogli mówić o ojcu, że jest zbyt radykalny, ale on widział tylko jego konsekwencję, odwagę i oddanie sprawie. Gibb nigdy nie odstąpił od tego, w co wierzył. Matt chciałby być tak silny jak ojciec i dziadek.

Chociaż gdyby taki był, na pewno nie umiałby pokochać tak bardzo Lottie. A jeśli miłość do niej oznaczała słabość, nie zamierzał jej przewycięzać.

- Proszę, nie denerwuj się - wyszeptał, przyciągając ją znowu do siebie.

Opierała się z początku, ale w końcu pozwoliła wziąć się w ramiona. Pocałował ją w kark; uwielbiał smak jej skóry. Wszystko w niej uwielbiał. Tyle razy oglądał jej ciało, i nigdy nie znalazł w nim najmniejszej skazy. Była doskonała.

Z wyjątkiem jednego: nie mogła mieć dzieci. Gdyby nie to, prawdopodobnie postawiłby na swoim i powiedział ojcu, że jest kobietą, jakiej zawsze pragnął, i ożenił się z nią.

- Po prostu tego nie widzisz, prawda, Matt? - Uśmiechnęła się smutno.

- Że jesteś piękna? Oczywiście, że widzę. Wszyscy to widzą.

- Przeszedłeś pranie mózgu, kochany, i nawet o tym nie wiesz. - Zawahała się, ale jednak zapytała: - Matt, czy to prawda, co mówią o tobie, twoim ojcu i innych? Że zabijaliście według

jakiegoś rytuału ludzi? Że okaleczyliście przed ukrzyżowaniem tego chłopca, Li?

- To nie ma nic wspólnego z nami, Lottie - pocałował ją.

- Ale czy to zrobiliście?

- Cokolwiek zrobiliśmy, mamy błogosławieństwo Boga.

- Więc to prawda - wyszeptała. - Jezu, Matt - jęknęła. - Nie rozumiesz, że kroczymy prosto w przepaść? - Jesteś pesymistką. - Cmoknął ją w czubek nosa.

- A ty głupcem.

- Skoro naprawdę tak myślisz, dlaczego pomogłaś nam uciec? Dlaczego z nami pojechałaś?

- Ty idioto. - Zanurzyła palce w jego włosy, zaciskając je na nich tak mocno, aż jęknął z bólu. -

Biedny, głupi, piękny idioto.

Zobaczył łzy w jej oczach.

- Bo cię kocham - wyznała gorącym szeptem. - Jedynej radości w całym moim parszywym życiu zaznałam kochając się z tobą. I będę cię kochać do końca.

Opadła na materac i pociągnęła go za sobą.

Zakręciła kurki prysznic i wyszła z brodzika. Sięgnęła po cienki, wytarty ręcznik i w tym momencie wyczuła czyjąś obecność. Odwróciła się i krzyknęła przerażona.

- Dzień dobry, Lottie - powiedział Gibb. - Dobrze spałaś?

- Co ty tu robisz?

- Na pewno dobrze spałaś. Zmęczyłaś się cudzołóżąc z moim synem.

- Wyjdź stąd. - Przycisnęła skąpy ręcznik do ciała. Szczękała zębami. - Jeśli Matt cię tu zastanie...

- Nie zastanie. Przecież wiesz, że poszedł po kawę i pączki. Zajrzał do mojego pokoju przed wyjściem, żeby zapytać, co bym chciał. Jak zwykle uważający i posłuszny syn. Chyba że chodzi o ciebie.

Pogratulował jej brawury, z jaką odegrała swoją rolę w czasie ich ucieczki, pochwalił za odwagę i wytrwałość w realizowaniu zuchwałego planu, ale nie brzmiało to szczerze. W jego oczach nie było śladu ciepła, gdy do niej mówił. Drżała nie tylko dlatego, że stała mokra i naga. Bała się go.

Zawsze skóra jej cierpła na jego widok. Już jako mała dziewczynka, kiedy ojciec zabierał ją do jego sklepu, czuła się nieeswojo w obecności Gibba Burnwooda. Jej awersja była instynktowna, pierwotna. Domowe zwierzęta okazują czasem niektórym członkom rodziny niechęć bez żadnego wyraźnego powodu; podobnie zmysły Lottie ostrzegały ją przed czymś odrażającym w psychice Gibba Burnwooda, choć wiedziała, że nikt poza nią niczego podobnego nie odczuwał. Teraz, po ostatniej rozmowie z Mattem, rozumiała przyczynę swojej niechęci. Był złym człowiekiem, który wychował syna według własnego, spaczzonego kodeksu postępowania, opartego na bigoterii i przemocy.

- Przepraszam, ale chciałabym się ubrać. - Starła się mówić spokojnym głosem, wiedząc, że Gibb ze swoim instynktem myśliwego natychmiast wyczuje jej strach.

- Po co? Zawsze byłaś dumna ze swojego ciała. W każdym razie przed moim synem pyszniłaś się nim przez lata. Był chory z pożądania. Dlaczego nagle udajesz skromną?

- Nie wiem, o co ci chodzi, ale nie podoba mi się to wszystko. Zapewniam cię, że Mattowi też by się nie podobało. - Wiem lepiej, co dobre dla Matta.

- Zrobić z niego mordercę? To uważasz za najlepsze dla własnego syna? To ma być miłość?

Uderzył ją mocno w twarz. Zatoczyła się na umywalkę i złapała za zimną porcelanową miskę, by się uchronić przed upadkiem. Ściany łazienki zachwiały się, błyski zieleni przecięły zapadającą

zasłone czerni. Parę sekund później poczuła ból. Jej mózg znów zaczął pracować.

- Ty dziwko! Kim ty jesteś, żeby mi udzielać świętoszkowatych pouczeń?! - Chwycił ją za ramię i zmusił, by uklękała.

- Proszę, nie - szepnęła. - Cokolwiek... - Wiedziała jednak, że na nic nie zda się błaganie, zamknęła więc oczy i zaczęła się modlić po raz pierwszy w życiu. Modliła się o łaskę utraty przytomności.

Gibb złapał pełną garść jej mokrych włosów i zadarł głowę do góry. Ból, jaki jej zadał, i upokorzenie były zbyt silne, żeby mogła zemdleć.

Matt, stosując się do wskazówek Gibba, znalazł zatłoczony, nowoczesnie urządzonej sklep, gdzie kasjerzy i klienci zbyt byli zaabsorbowani, żeby zwracać uwagę na kogokolwiek. W saamobsługowym barze napełnił kawą trzy plastikowe filiżanki i wziął przy kasie pół tuzina pączków. Nikt na niego nawet nie spojrział.

Tata zawsze ma rację, pomyślał.

Otworzył kluczem drzwi motelowego pokoju, który zajmowali z Lottie.

- Tata? Cześć - powiedział, zauważywszy Gibba siedzącego na jedynym znajdującym się w pomieszczeniu krześle. Nie spodziewałem się ciebie tutaj. Dokładnie, jak mówiłeś... _ Nagle krzyknął i upuścił papierową torbę, którą przyniósł.

Plastikowe filiżanki wypadły, parząca kawa rozprysła się na jego spodniach, ale on nie czuł tego.

- Zamknij drzwi, synu.

Matt patrzył, zdjęty grozą, na łóżko, w którym leżała Lottie - naga, rozkrzyżowana, martwa. Otwarte oczy zastygły w wyrazie przerażenia. Miała podcięte gardło. Musiało to stać się niedawno, bo z rany wciąż powoli sączyła się krew; prześcieradło było jasnoczerwone. Krew z przeciętej arterii trysnęła również na ścianę za łóżkiem, ochlapując kiepski obrazek przedstawiający dereń w rozkwicie.

Gibb podniósł się, obszedł sparaliżowanego zgrozą syna i cicho zamknął drzwi. Jedna filiżanka z kawą pozostała nieetknięta. Podniósł ją z podłogi, odemknął pokryweczkę i pociągnął łyceczek.

Matt ruszył chwiejnie naprzód i rzuciłby się na ciało Lottie, gdyby Gibb go nie złapał.

_ Nie było innej rady, synu - oświadczył łagodnym, spokojnym tonem. - Sam wiesz. Z zimną krwią zabiła męża. Oskarżyła go o gwałt i zastrzeliła we śnie. Jakiż to przykład dla innych kobiet? Czy chcemy, aby nasze kobiety powzięły przekonanie, że mają prawo zabijać mężów, gdy ci egzekwują

należne im małżeńskie prawa, mężów sprawujących daną im przez Boga władzę nad nimi? Brotherhood już dawno ją naaznaczyło, jednak z szacunku dla ciebie przełożyli wykonanie wyroku. W gruncie rzeczy oddałem jej przysługę. Działalem szybko i byłem miłosierny. Umarła robiąc to, co najbardziej lubiła.

Matt popatrzył na ojca oczami pustymi jak oczy Lottie.

- To prawda, synu. Umarła pode mną. Wypróbowałem ją. Jak szatan naszego Pana na pustyni. Ale w przeciwieństwie do Jezusa zawiodła. - Spojrział na ciało.

Matt się nie odzywał. Oprócz okrzyku wywołanego szokiem na widok martwej Lottie nie wydał żadnego dźwięku.

- Wijąc się i błagając jak prawdziwa rozpustnica, rozchyliła dla mnie nogi. Zwiodła mnie na pokuszenie, tak jak wiodła na pokuszenie ciebie przez całe lata, i zgrzeszyłem. Możesz jeszcze zobaczyć moje nasienie, zmieszane z twoim. Tylko prawdziwa dziwka zdolna jest popełnić czyn tak odrażający.

Matt patrzył nieruchomo na obscenicznie rozciągnięte ciało. Gibb położył mu rękę na ramieniu.

- Piekło ją spłodziło, synu. To nierządnicą z piekła rodem.

Gdybym jej nie powstrzymał, dalej rozniecałaby pożądanie w mężczyznach, a ciebie znieprawiała. Nie mogłem na to pozwolić.

- Ale... - Matt przełknął ślinę.

- Pomyśl o swoim synu. Twój syn będzie z nami. Jego też by splugawiła.

- Ona... nie. Była dobra.

- Matt, mylisz się. Wiem, jak trudno ci to teraz zrozumieć, ale z czasem przyznasz mi rację.

Pamiętasz, jak było z twoją matką?

Matt skinął niemo głową.

- Kochałem tę kobietę, synu. Z całego serca kochałem Laurelann, ale przekroczyła granicę.

Odkryła prawdę o Brotherhood i miała zamiar odsłonić ją ludziom, którzy nie są w stanie pojąć naszej misji. Musiała zamilknąć. Płakałem, Matt. Ty też płakałeś. Pamiętasz?

- Tak, ojczu.

- To była bolesna konieczność. Byłeś jeszcze chłopcem, ale nawet ty rozumiałeś, że to konieczne.

Prawda, synu?

- Tak, ojczu.

- W końcu ból przygasł, jak przepowiadałem. Twoja dusza ozdrowiała. Uświadomiłeś sobie, że nie tęsknisz już tak mocno za matką. Wierz mi, synu, znacznie lepiej dla ciebie, że ta skaza na twoim życiu znikła. Być może twoje małżeństwo by przetrwało i w ogóle nie mielibyśmy kłopotów, gdybyś nie był z tą dziwką. Wierzę, że Kendall otworzyłyby się w końcu oczy i zaakceptowały Brotherhood. Ale duma nigdy nie pozwoliłaby jej zaakceptować Lottie. I całkowicie słusznie. Popełniłeś cudzołóstwo, synu, choć wiem, że to nie twoja wina. - Wskazał na zwłoki. - Szatan stworzył to ciało, żebyś płonął z pożądania. Winna jest ona. Kusiła cię ponad twoją wytrzymałość. Więc jej nie oplakuj. - Poklepał Matta po plecach. - Zanieśmy rzeczy do samochodu. Nie pozwólmy, by ta sprawa przeszkodziła nam w tym, co musimy zrobić: w znalezieniu twojego syna.

Rozdział trzydziesty czwarty

Dom stał spory kawałek od drogi i można się było do niego dostać tylko wąską zwirowaną aleją obramowaną gęstym szpaalerem krzewów. Gałęzie drzew tworzyły ponad nią rodzaj baldachimu, zatrzymującego światło księżyca.

Zważywszy na cel ich wyprawy, dom nie mógł stać w lepszym miejscu.

Było sporo po północy. Co najmniej od godziny nie pojawił się na drodze żaden samochód. Z wyłączonymi światłami przejechali kilkakrotnie przed aleją, zanim wreszcie zatrzymali wóz i zgasilili silnik. Siedzieli w ciszy, czekając na jakikolwiek sygnał, że zauważono ich przyjazd. W ciągu godziny nic się nie wydarzyło.

- Myślisz, że jest w środku?

- Nie dowiemy się, dopóki sami tam nie wejdziemy. Przecież nam tego nie ogłosi.

Ciemności skrywały ich sylwetki, gdy wysiedli z samochodu i zaczęli się skradać brzegiem alejki, trzymając jak najbliżej bujnego listowia; dwa wydłużone cienie wśród tysięcy innych. Trzydzieści jardów od ganku przykucnęli za krzewami i przyjrzyli się uważnie domowi, który należał kiedyś do Elvie Hancock. Porozumieli się ruchami rąk i rozdzielili. Jeden poszedł na prawo, drugi na lewo. Unikając odsłoniętych miejsc, przeemykali się w cieniu okalającego posiadłość lasu. Dotarli na tył domu z przeciwnych kierunków i spotkali się przy składziku.

- Słyszałeś coś albo widziałeś?

- Nic. Cicho jak w grobowcu.

- To nie znaczy, że nie ma jej z dzieckiem w środku.

- I z tym szeryfem?

- Może.

Wymienili niezdecydowane spojrzenia.

- Gotowy? - spytał w końcu jeden drugiego.

- Idziemy.

Przygotowali się na konieczność wyłamania zamka w tylnych drzwiach, ale były otwarte.

Zaskrzypiały słabo, gdy je poopchnęli. Wśliznęli się do spiżarni, a stamtąd bezszelestnie do kuchni.

Była czysta i wysprzątana. Przy zlewie stały porządnie ustaawione talerze, ani śladu nieporządku na blatach. Jeden z intruzów otworzył lodówkę, ale gdy zapaliło się światło i silnik zaczął brzęczeć, pośpiesznie ją zamknął.

- Co to było? - Kendall usiadła na łóżku.

- Co?

Przebudziła się z niewytłumaczalnym uczuciem strachu.

- Słyszałeś coś? - wyszeptła.

John uniósł głowę, nasłuchując, ale w domu panowała cisza. - Nic. Co to był za dźwięk?

- Nie wiem. Przepraszam, że cię obudziłam. Pewnie mi się śniło.

- Coś przerażającego?

- Chyba tak.

Położył znowu głowę na poduszce i potarł nosem jej nagie ramię.

- Z dzieckiem wszystko w porządku?

- Tak.

Po ostatnim karmieniu zostawili Kevina razem z nimi w łózzku. Spał przytulony do piersi Kendall, która leżała tyłem do Johna, z pupą przyklejoną do jego brzucha, z udami przyciśniętymi do jego ud. Obejmował mocno i ją, i Kevina. Mając go tak blisko, czuła się bezpieczna i chroniona.

Była zadowolona, że rewolwer pozostaje poza jego zasięgiem. Nienawidziła broni. Twarz Bamy stanowiła ponure meemento. Nigdy sama nie wystrzeliła, choć Matt wielokroć ofiaarowywał się, że nauczy ją tej sztuki. Ale nie zawaha się zabić, jeśli trzeba będzie ocalić Kevina albo Johna.

Poruszali się bezszelestnie po domu już co najmmE pięć minut, wciąż nie wiedząc, czy ich ofiara właśnie tu się schrooniła. Przemierzali ukradkiem pokoje, ale nie sposób było stwierdzić, czy ktoś w nich ostatnio przebywał. Gdyby użyli latarki, może znaleźliby jakieś osobiste drobiazgi potwierrdzające ich domysły, ale obawiali się, że zdradzą w ten spoosób swoją obecność.

Strawili jeszcze kilka następnych minut na bezowocnych poszukiwaniach i wreszcie jeden odwrócił się do drugiego, przesadnie wzruszając ramionami. Tamten pokazał gestem, że powinni skierować się do sypialni; jeśli ktoś był w tym domu, to o tej porze naj prawdopodobniej właśnie tam się znajdował.

Ruszyli jeden za drugim przez hol. Troje drzwi prowadziło do dalszych pokoi. Doszli do pierwszych i już mieli je otworzyć, gdy pierwszy potknął się o coś i ledwie zdołał utrzymać równnowagę. Ukłął i podniósł jakiś przedmiot.

Pluszowy miś.

Pokazał go swemu partnerowi. Uśmiechnęli się do siebie.

Pierwszy wskazał lekko uchylone drzwi po przeciwnej stronie holu. Drugi kiwnął aprobująco głową.

Kendall wsunęła do otworu automatu odpowiednią liczbę monet. Uzyskała połączenie

międzykrajowe i aparat po drugiej stronie linii zaczął dzwonić. Ścisnęła słuchawkę spoconą dłonią.

- Bristol i Mathers - usłyszała po drugim dzwonku głos Ricki Sue.

- To ja, ale nie daj tego po sobie poznać. Możesz mówić?

- Jezusie święty, żyjesz! Byłam chora ze zmartwienia. Świetnie mnie odchudziłaś, jak nic dotąd w życiu.

- Wiedziałam, że się martwisz, ale nie mogłam wcześniej ryzykować telefonu. Teraz też nie powinnam.

- Naprawdę porwałaś szeryfa Stanów Zjednoczonych? - zapytała Ricki Sue cicho, ale z naciskiem.

- W pewnym sensie.

- Co to ma znaczyć? Porwałaś czy nie? I gdzie, do diabła, jesteś?

- Nie powiem ci tego ze względu na twoje bezpieczeństwo. Nie możemy też długo rozmawiać.

Telefon jest prawdopodobnie na podsłuchu.

- Jestem o tym przekonana. Sheridan aż się roi od agentów federalnych i wszyscy szukają ciebie, dziecinko. Kendall nie była zdziwiona. Niemniej, usłyszawszy na własne uszy potwierdzenie swych obaw, zupełnie upadła na duchu. - Byli także u nas kilka razy - mówiła Ricki Sue. - Wgryzali się we wszystko, co dotyczy Kendall Deaton.

- O mój Boże!

- Zostawili nawet paru facetów w domu babci.

- W domu? - Kendall zrobiło się niedobrze; babcia nienawidziła, gdy ktoś naruszał jej prywatność. - Głupio i niepotrzebnie. Wiadomo, że to pierwsze miejsce, gdzie będą mnie szukać, więc nie pojawiłabym się tam nawet w pobliżu.

- Nie tylko fedszi założyli, że się tu zjawisz. Ostatniej nocy włamali się tam dwaj mężczyźni, najwyraźniej szukając ciebie. - Dwaj mężczyźni? Co za jedni?

- FBI zastawiło pułapkę, ale bez powodzenia. Tamci uciekli, zanim ich rozpoznano. Biegli do samochodu pod gradem kul, który by nieboszczyka podniósł do góry, ale wygląda na to, że uszli cało.

- Ale kto...

- Tylko nie wpadnij w panikę, dziecinko, ale to mógł być twój mężulek ze swoim tatusiem.

- Siedzą w więzieniu - zaprotestowała Kendall słabym głosem.

- Już nie. Uciekli trzy dni temu.

Kendall natychmiast się rozłączyła, nadal jednak trzymała obie ręce jak przyklejone na słuchawce, jakby linia telefoniczna łączyła ją z życiem. Bała się odwrócić, obawiając się, że Gibb i Matt ją obserwują, uśmiechając się z zadowoleniem do siebie.

- Przepraszam, czy pani już skończyła?

Wzdrygnęła się mimowolnie i szybko zerknęła przez ramię.

Przed budką czekał zniecierpliwiony mężczyzna w stroju do baseballu.

- Och, przepraszam pana.

Odeszła ze spuszczoną głową. Nie zauważyła niczego poodejrzanego w otoczeniu stacji obsługi. Ktoś tankował benzynę, a inny klient wsuwał monety do otworu automatu z paapierosami. Dwóch mechaników stało pod samochodem ustaawionym na podnośniku hydraulicznym i rozmawiało z jego właścicielem. Nikt nie zwrócił najmniejszej uwagi na panienkę w dzinsach i tenisówkach. Najwyraźniej nie przypominała obrońcy z urzędu, Kendall Burnwood, za którą rozesłano listy gończe.

Policja całego Południa szukała auta, którym Kendall wydoostała się ze Stephenville. Ruchomy cel na drodze. Podejmoowała ogromne ryzyko, ilekroć do niego wsiadała; musi się jeszcze wiele nauczyć o tym, jak się odbywa polowanie na człowieka i jak łatwo można dać się złapać.

Pośpieszyła do wozu. Przede wszystkim musi jak najszybciej zmienić tablice rejestracyjne. Gorąco we wnętrzu odbierało oddech, mimo to drżała wjeżdżając na autostradę prowadzącą do domu.

Domu?

Tak. Dla niej i dla babci był to dom, taki sam jak ten w Sheridan. Dziadek odziedziczył go po swoim wuju. Nie zdążył się nim zbytnio nacieszyć, umarł wkrótce potem, ale Kendall i babcia przyjeżdżały tu każdego lata.

Ledwie ogłoszono w szkole ostatni dzień zajęć, jechały na wieś i spędzały tam leniwie dni pełne błogiego spokoju. Wędtkowały, robiły przetwory z owoców kupowanych na przydrożnych straganach lub po prostu leniuchowały, ciesząc się własnym towarzystwem. Czytały na głos wieczorami, splatały wianki ze stokrotek, siedząc na ganku, i urządzały sobie pikniki w ulubionym miejscu przy wodospadzie.

Nigdy nie przyjmowały gości. Nikt nigdy nie został zaproszony, by do nich dołączyć. Przyjaciele wiedzieli, że obie opuszczą Sheridan w czerwcu i wrócą dopiero po Labor Day, jednak żaden z nich nie wiedział, gdzie się znajduje ich saamotnia. Dlatego właśnie Kendall uznała ten dom za bezpieczną kryjówkę.

Ale teraz, kiedy Gibb i Matt byli na wolności, w jakim miejscu mogła się czuć bezpieczna?

Pepperdyne musi szaleć. Zniknął mu świadek i jego przyjaciel, John McGrath, a teraz również główni podejrzani. Agent specjalny zrobił na Kendall wrażenie całkiem miłego człowieka, choć na pozór gburowatego. Nie mogła mieć pretensji, że wykonywał to, co do niego należało. Ale też postara się ze wszystkich sił, żeby nie złapał jej ponownie.

Z drugiej strony wolała, żeby Pepperdyne ją aresztował, niż żeby Gibb i Matt ją znaleźli. A znajdą na pewno. Przeżyje tylko wtedy, jeśli uda się jej trzymać od nich z daleka, dopóki ich nie złapią i nie osadzą z powrotem w więzieniu. Musi odejść z Kevinem jeszcze dzisiejszej nocy.

Ale co z Johnem?

Wciąż chodził o kuli, choć właściwie był całkiem zdrowy.

Mogła go z czystym sumieniem zostawić. Problem polegał na tym, że tego nie chciała.

Kochała go. Czyż jednak nie był to dodatkowy powód, by go opuścić? Dopóki z nią przebywał, jemu także groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie pozwoliłby Burnwoodom położyć łapy na niej ani na Kevinie, zwłaszcza teraz, gdy przywiązywał się do nich z każdym dniem mocniej. Nie może dopuścić, by zginął w ich obronie. Nie mieli przed sobą wspólnej przyszłości, ale skoro ma spędzić resztę życia bez niego, chciałyby przynajmniej mieć świadomość, że nie umarł.

Co powinna zrobić? Oddać się w ręce policji?

Natychmiast odrzuciła tę myśl. Ricki Sue powiedziała, że agenci FBI odwiedzili biuro i grzebali w jej przeszłości. Jeśli coś znaleźli, jej wiarygodność legła w gruzach. Zostanie uznana za świadka, na którym nie można polegać, jaki więc będą mieli z niej pożytek? Na dodatek mogą ją oskarżyć o porwanie Johna i wsadzić do więzienia. Albo zostawią ją bez żadnej ochrony na łaskę Matta, Gibba i ich popleczników.

Jedyne wyjście to znowu zniknąć. Wyrzucała sobie, że zostawiła Kevina z Johnem. Gdyby miała dziecko przy sobie, po prostu pojechałaby dalej. Serce jej się rozdzierało na strzępy na myśl, że miałyby go tak zostawić, nawet bez spojrzenia na pożegnanie, ale jeszcze ciężiej jej będzie odejść, gdy zobaczy Johna znowu.

Jednak musi.

- Kto spieprzył sprawę?

Agenci milczeli pod bezlitosnym wzrokiem swego zwierzchnika. Ledwie śmieli oddychać.

- No?! - Od wrzasku Pepperdyne'a zadrżały szyby w oknach posterunku policji w Sheridan, gdzie założył swoją kwaterę główną po wyjeździe z Prosper.

- Mieliśmy oko na dom od czasu, gdy zniknęła, ale nic się nie wydarzyło - odważył się wreszcie przemówić jeden z dwóch wywiadowców, którzy brali udział w wydarzeniach tej nocy.

- Więc?

- Więc dlatego... hm... spieprzyliśmy - dokończył niezręcznie.

- Poza tym - wtrącił drugi bojaźliwie - nie celowaliśmy zbyt dokładnie w obawie, że to pani Burnwood. Albo szeryf McGrath.

- Właśnie - zawtórował mu pierwszy, ciesząc się z tego mizernego pretekstu. - A gdyby to byli naprawdę oni i w dodatku z dzieckiem?

- Taa, na pewno to byli właśnie oni. Albo Czerwony Kapturek z Wilkiem. Tego nie wiemy, prawda? Zdaje się, że nie zidentyfikowaliście napastników. Nie macie nawet marki ich samochodu.

- To nie była pani Burnwood - oświadczył kategorycznie jeden z wywiadowców. -

Zdecydowanie dwaj mężczyźni.

- Dwaj mężczyźni. To znacznie zawęża pole poszukiwań.

Możliwe, że Batman i Robin. - Pepperdyne odetchnął głębooko, wypuszczając wraz z powietrzem strumień nieprzyzwoitych wyrazów. - Spędzicie teraz obaj godzinę na strzelnicy, położonej w najgorętszym i najbardziej wystawionym na działanie słońca miejscu tego hrabstwa. Postrzelacie sobie, aż się wam zacznie dymić z rączek. Bo ostatniej nocy nie wcelowalibyście nawet w dupę słonia.

Jeden z agentów nieostroźnie pozwolił sobie na uśmiezek.

- Śmieszne, tak?! - zaryczał Pepperdyne. - Zostaniecie tam dwie godziny! I wynocha, zanim się naprawdę wkurwię!

Wyszli gęsiego, zamykając za sobą drzwi. Zostawszy sam, Pepperdyne opadł na krzesło i przeciągnął dłońmi po twarzy. Optymizm, jakim napełniło go zidentyfikowanie samochodu, którym Kendall odjechała ze Stephenville, zgasł.

Nieźle dawało mu to wszystko popalić - od początku, od momentu, kiedy mylnie założyli, że mają wirusa w komputerze. Gdyby operator nie zlekceważył uzyskanych informacji, Ruthie Fordham wciąż by żyła, a Kendall Burnwood nie zniknęła wraz z Johnem. Kiedy udało im się odkryć błąd w rozumowaaniu i rozwikłać zagadkę sprzecznych danych, McGrath zmierzał już ku swemu przeznaczeniu. Nie udało im się skontaktować z nim przez telefon komórkowy. A potem wpadł na zwalone drzewo i stracił pamięć.

Jezu, co za paskudny splot okoliczności.

Ucieczka Burnwoodów z więzienia w Prosper to następna katastrofa. Musiał odnaleźć Johna i Kendall Burnwood przed tymi maniakami. Mogło nie pójść łatwo. Ukrywała się w Denver przez rok, zanim wpadli na jej ślad.

Nie była na tyle głupia, aby wracać do rodzinnego miasta, ale najwyraźniej ktoś założył, że tak będzie, skoro szukano jej w domu babki zeszłej nocy.

Wiadomość o wczorajszej ucieczce włamywaczy zaniepokoiła i zdenerwowała Pepperdyne'a; był przekonany, że to Gibb i Matt Burnwoodowie.

Spojrzał na leżącą przed nim fotografię Kendall Burnwood, którą rozesłano po całym kraju. Potem zerknął na zdjęcia z miejsca zbrodni, które przyniesiono godzinę temu. Żołądek mu się skręcił na widok nagiego, skrwawionego ciała Lottie Lynam.

- Dziewczyno, możesz mieć tylko nadzieję, że znajdę cię przed nim i jego tatusiem - mruknął.

I co, do cholery, robił przez cały ten czas John?

Rozdział trzydziesty piąty

Stojąc przed frontowymi drzwiami, John patrzył, jak samochód Kendall znika z zasięgu wzroku, a potem pokuśtykał do sypialni, gdzie w kojcu leżał na pleckach Kevin.

- Słuchaj, mam naprawdę mało czasu, więc musisz ze mną ściśle współpracować, dobrze? Nie będzie ci tu źle samemu, a ja niedługo wrócę. Leż spokojnie, dopóki nie przyjdę z powrotem. - Zawahał się, jakby oczekiwał, że dziecko zacznie się z nim spierać.

Kevin zamachał piąstkami i wypuścił parę banieczek śliny, wcale nie okazując niezadowolenia z faktu, że zostanie sam. - W takim razie w porządku - stwierdził John i wyszedł. Doszedł do polany i zatrzymał się. Wydało mu się, że słyszy jakiś hałas. Jakby się coś dusiło? Jakiś skowyt? Przyszły mu do głowy rozmaite przerażające możliwości. Ogień. Dzikie zwierzęta. Insekty.

- Cholera!

Musiał powtórzyć wszystkie te kroki, które właśnie dał o kuli.

- Dobra, chłopie. Mam nadzieję, że dasz radę. - I dodał cichutko sam do siebie: - Mam nadzieję, że ja dam radę. Ćcisnął na ramiona nosidełko, którego Kendall używała czasem nosząc synka, oparł kule o kojec i balansując na jednej nodze pochylił się, by wyjąć Kevina. - No tak, tak, kupa zabawy - mruknął, kiedy dziecko zagulgotało radośnie. Usaadowił je wygodnie, wziął kule i ponownie wyruszył z doomu. - Ani słowa matce, rozumiesz? Zdolna dziewczynka z tej twojej matki. Zabrała mi znowu broń, nie mogę więc w nią wycelować i zażądać, żeby nas stąd wywiozła. Sam bym mógł poprowadzić, ale jak wrócę, już jej nie zastanę. - Spojrzał w dół na Kevina. - Ty pewnie nie wiesz, gdzie go schowała, co? Jest za cwana, żeby to wyrzucić, ale za cholere.. . o, przepraszam, za nic nie mogę go znaleźć. Wywróciłem ten chrzaaniony dom do góry nogami...

Szybko pokonał dystans dzielący go od głównej drogi i przyystanął, żeby złapać oddech. Ociekał potem; krople kapały mu z czoła, zalewając szczypiącą wilgocią oczy. Trudno mu było otrzeć je

rękawem; obiema rękami musiał przytrzymywać kule. Wiedział, że decyduje się na wymagającą ogromnego wysiłku eskapadę, ale nie wziął pod uwagę konieczności dźwigania piętnastu dodatkowych funtów - bo tyle ważył Kevin.

Odпочawszy ruszył szybko w stronę domu, który zauważył tego dnia, kiedy pojechał do miasta z Kendall.

- Coś ci powiem: twoja matka jest za cwana i obraca się to przeciwko niej - oświadczył z rozdrażnieniem. - Powinna mi oddać rewolwer. Na pewno lepiej od niej wiem, jak się nim posłużyć w razie potrzeby.

Mówienie do dziecka pomagało mu nie myśleć o tym, czy jego karkołomna ekspedycja się powiedzie. Oddychał z coraz większym trudem; nie odzyskał jeszcze dostatecznie sił, by podejmować większy wysiłek. Popołudnie było parne i gorące. Wykorzystywał każdy skrawek cienia, jaki ofiarowało pobocze drogi, ale nie przynosiło mu to większej ulgi:

Musiał wrócić przed nią do domu, a nie miał pojęcia, jak szybko pozałatwia swoje sprawy. Kiedy z nią jechał do miasta, oszacował odległość od domu na mniej więcej dwanaście mil i dał sobie pół godziny na sprowadzenie pomocy.

Ale szedł zbyt powoli, nie był w formie. Jeśli będzie miał szczęście, może jakiś samochód podwiezie go do najbliższego telefonu. Sześćdziesiąt sekund - tyle potrzebował, żeby zadzwonić..

Spojrzał na zegarek. Od jej wyjazdu upłynęło siedem minut.

Mięśnie ramion i pleców paliły go żywym ogniem od wysiłku, mimo to zmusił się, by iść szybciej. Wspiął się na wzniesienie drogi i w nagrodę za wytężoną pracę zobaczył dom, o który mu chodziło. Ćwierć mili, może mniej. Trudno było ocenić odległość - fale rozgrzanego powietrza zniekształcały krajobraz.

- Jeśli się naprawdę sprężę, dojdę w cztery minuty - zapewnił Kevina. - Góra w pięć. Cholera, gadam jak wariat do kogoś, kto prawdopodobnie wcale mnie nie rozumie. Może jestem w śpiączce i znów mnie męczy ten piekielny koszmar? To musi być to. Śniesz mi się. O...! - roześmiał się. - Siusiasz na mnie, tak? - Gorący strumyczek spływał mu po piersi. - No, jest to jakiś sposób, żebym się przekonał o twojej realności.

Ten monolog pomagał mu odwrócić uwagę od odmawiającego posłuszeństwa mięśni, straszliwego gorąca i odległości, jaką musiał jeszcze pokonać. Poczł ogromną ulgę, gdy dotarł do podjazdu. Wdrapanie się pod dom omal go nie zabiło. Dotarł na ganek i opadł na podłogę.

- Halo! - zawołał, opierając plecy o słupek. Ale z jego gardła wydobył się jedynie głuchy skrzek. Odetchnął kilka razy głęboko, przełknął z wysiłkiem ślinę i spróbował znoowu: - Halo!

Kevin rozplakał się.

- Szsz... Nie na ciebie krzyczę. - Poklepał go uspokajająco po pupce. Dziecko przestało kwilić, ale widać było, że jest w kiepskim nastroju. Usteczka mu się wygięły w podkówkę, w oczach zbierały łzy. - Wiem, jak się czujesz, stary. Sam bym zapłakał.

Przyjrzał się baczniej domowi i stało się dla niego oczywiste, że jest nie zamieszkanym od dłuższego czasu. Kwiaty w doniczkach na ganku zamieniły się w bezlistne brązowe kikuty. Żaluzje we wszystkich oknach były opuszczone: Pająki założyły sieci w rogach ościeżnicy.

Co teraz? Ubranie ma mokre od potu. Odwodni się, zanim wróci. A dziecko...

Jezus Chrystus! Skoro jemu jest gorąco i czuje się wysuszony, to samo dzieje się z Kevinem. Przypomniało mu się, że podobno dzieci mają wyższą niż dorośli temperaturę ciała. Przyłożył dłoń do czoła chłopczyka. Jeśli jemu było gorąco, to Kevin płonął.

Zszokowany, wsunął jedną kulę pod ramię i opierając się na niej stanął ciężko na nogi. Posłużywszy się doniczką, zbił szybkę we frontowych drzwiach, sięgnął ręką do środka i otworzył

zamek, a potem drzwi.

Nie dbał o to, czy ktoś zawiadomi lokalną policję. Wiedział już, że nie jest zbiegiem, który popełnił zbrodnię, i nie miał nic przeciwko temu, żeby go złapano. Przede wszystkim musiał wlać w siebie jakiś płyn. I w dziecko.

Dom nie był duży. Pokoi najwyraźniej nikt od dawna nie używał, znamiona opuszczenia były wyraźne. John przemierzał je pośpiesznie, ledwie zwracając uwagę na wyposażenie. Kiedy zlokalizował kuchnię, dopadł zlewu i odkręcił kran z zimną wodą. Nic.

- Kurwa!

Nagle rozległ się stukot, coś zagrzechotało, kran zaświstał i trysnęła woda. Na początku brudno rdzawa, potem czysta. Nabrał jej w stulone dłonie, podniósł do ust i chciwie przełknął. Zaczepnął znowu i rozlał po karku. Zwilżoną dłonią przesunął delikatnie po główce Kevina.

- Lepiej? Chłodniej? - zapytał, dotykając czerwonych policzków dziecka.

Ale maleństwo musiało się napić, a John uświadomił sobie nagle, że nie ma jak zaspokoić jego potrzeby. Kendall dawała czasem małemu sok albo trochę wody z buteleczki, tylko że on oczywiście nie pomyślał, by ją zabrać. W szafce stały różne szklane naczynia, ale Kevin mógłby się zakrzusić, gdyby próbował go z nich napoić. Dziecko umiało tylko ssać, więc...

Jeszcze nie skończył tej myśli, a już trzymał wskazujący palec pod kranem. Przytknął ociekający wodą palec do ust Kevina. Chłopczyk natychmiast zaczął ssać. Było to nieznanne odczucie, przyprawiające o niepokój, ale mimo to poczuł się przedziwnie zadowolony.

- Niezupełnie jak mleko twojej matki, co mały - przemaawiał do dziecka, zwilżając ponownie palec i dając go Kevinowi do ssania.

Co by powiedzieli przyjaciele i znajomi, gdyby mogli zobaaczyć tę przedziwną scenkę? Pewnie nie wierzyliby własnym oczom.

A Lisa? Daj sobie spokój. Nazwała cię egoistycznym skurrwysynem, bo nie chciałaś dać jej dziecka. Unikałaś nawet rozmowy na ten temat.

Właśnie z tego powodu się rozstali.

- Mój biologiczny zegar pędzi do przodu - ogłosiła pewnego wieczoru.

- To go wyreguluj - zaproponował spoza gazety. Rzuciła w niego poduszką. Opuścił gazetę w przeczuciu, że zaraz zaczną najważniejszą bitwę - Waterloo ich znajomości. Podnosiła ten temat już wcześniej, ale zawsze się wykręcał. Tym razem przypuściła bezpośredni atak.

- Chcę mieć dziecko, John. Z tobą.

- Czuję się zaszczycony, ale nie, dzięki. Nie zamierzam mieć dziecka. Nigdy nie chciałem. I nie będę chciał.

- Dlaczego nie?

- Ze zbyt wielu powodów, żeby je wyliczyć.

Usadowiła się wygodniej na krześle, przygotowując psychicznie do walki wręcz.

- Nigdzie mi się nie śpieszy. Chętnie wysłucham, jakie masz obiekcje.

- Przede wszystkim - oświadczył - jest to niemożliwe do zrealizowania. Oboje podróżujemy i rzadko bywamy w doomu.

- Wezmę urlop w moich liniach lotniczych. Następną przeszkodą? - spytała irytująco bezczelnym tonem.

- To, że... - Omal nie powiedział, że jej nie kocha. Był przekonany, że dziecku powinno dać życie dwoje ludzi, którzy się kochają.

Sam nie zaznał szczęśliwego życia w pełnej rodzinie; nie skończył nawet dwóch lat, gdy dotknął go rozwód rodziców. Dopóki nie dorósł i nie stał się niezależny, przerzucali go między sobą - dwie

wybitne indywidualności, którym przyysparzał kłopotów i przypominał o nieudanym związku małżeńskim. Oboje niestrudzenie rozwijali swoje budzące szacunek kariery. Ojciec dopracował się satysfakcjonującego dorobku w naukach humanistycznych i niekwestionowanej pozycji w Ivy League. Matka była wiceprezesem w firmie projektanckiej.

W pełnieniu ról rodzicielskich zawiedli natomiast żałośnie i całkowicie. Jego kontakt z nimi dzisiaj ograniczał się do konwencjonalnych telefonów w czasie świąt. Nie odczuwał ich obecności w swoim życiu, właściwie ich nie obchodził. Rzadkie rozmowy, jakie z nimi przeprowadzał, były bardzo grzeczne i chłodne. Zawadzał im od momentu, kiedy się urodził. Byli skoncentrowani wyłącznie na sobie i nie zmieniło się to przez czterdzieści trzy lata.

W konsekwencji jego stosunek do spraw związanych z uczuciami i życiem rodzinnym był zaprawiony żółcią. Wychowany w źle funkcjonującej rodzinie, nie potrafił utrzymać stałego związku, nie rozbudowano też w nim potrzeby ojcostwa. Raczej odwrotnie. Nie żywił nieprzyjaznych uczuć wobec dzieci; wręcz im współczuł. Zbyt często stawały się bezbronnymi ofiarami kiepskich rodziców. Skoro miał świadomość, jakim parszywym będzie ojcem, po co miał nim zostawać?

Podczas studiów psychologicznych zrozumiał, jak poważnie rodzice mogą zakłócić rozwój emocjonalny dziecka. Ze wspańskiego dzieciaka może wyrosnąć z ich winy nieprzystosowany dorosły w najlepszym wypadku, a wielokrotny morderca w najgorszym. Żeby popełnić błędy nie do odrobienia, nie muszą nawet dziecka poniżać czy traktować złośliwie, wystarczy, że będą egoistami. On sam nie był aż tak egoistycznie nastawiony, żeby zdecydować się na założenie rodziny z Lisą. Poważnie wątpił, by dotrwali razem do starości. Okazałby wyjątkową nieodpowiedzialność, dając życie dziecku po to, by je unieszczęśliwić. A do tego jeszcze ta wpadka, przez którą zrezygnował z pracy dla FBI...

Jakby czytając w jego myślach, Lisa zapytała:

- Czy to ma coś wspólnego z wydarzeniami w Nowym Meksyku?

- Nie.

- Myślę, że tak.

- Nie.

- Gdybyś ze mną o tym porozmawiał, na pewno poczułbyś się lepiej.

- Nie chcę o tym rozmawiać. Nie chcę mieć dziecka. Kropka. Koniec dyskusji.

- Ty egoistyczny skurwysynu!

Dąsała się przez kilka dni, zanim raczyła się znowu do niego odezwać. Nie dowierzał jej; bał się, że zajdzie w ciążę bez jego zgody, zaczął więc używać prezerwatywy i umówił się na zabieg podwiązania kanalików nasiennych. Zanim do tego doszło, wściekła się z powodu kondomów i odeszła. Zaraz potem wezwano go do Denver, żeby eskortował świadka do Karoliny Południowej.

Teraz poił niemowlę wodą, dając mu do ssania koniuszek palca. Trzy tygodnie temu, nawet zagrożony karą śmierci, nie zbliżyłby się do żadnego dziecka. Nie mówiąc o dotykaniu czy rozmawianiu. A już to, co robił w tej chwili, było absolutnie niewyobrażalne.

- Życie potrafi człowiekowi dopieprzyć, co, Kevin? Małeństwo sprawiało wrażenie całkiem zadowolonego. John spojrzął na zegarek. Cholera jasna! Dwadzieścia trzy minuty, odkąd wyjechała. Nie może dopuścić, by wróciła przed nim.

Dopóki wierzy w jego amnezję, ma nad nią przewagę. Jeśli odkryje, że wyszedł z domu w poszukiwaniu...

Telefon!

Śpiesząc się, żeby napić dziecko, zupełnie zapomniał, po co tu przyszedł. Zakręcił wodę i wrócił do pokoju dziennego. Był. Na brzegu stolika stał staroświecki czarny telefon z tarczą.

Roześmiał się głośno i podniósł słuchawkę. Głucho. Postukał w widełki, mając nadzieję, że aparat, tak jak kran, zaraz ożyje. Ale tym razem nie pomogło; tracił tylko czas.

Zamknął za sobą frontowe drzwi.

- Przepraszam za okno - powiedział pod nosem do nieobecnego właściciela, zszedł po schodkach i podniósł zostawioną na ganku kulę.

Z powrotem przynajmniej miał iść z górki, ale upał obezwładniał, a pozbawione systematycznego treningu mięśnie boolały, były jak galareta, którą ktoś naszpikował gwoździami. Doszedł do końca podjazdu i oparłszy się o skrzynkę na listy, próbował głębokimi oddechami ugasić pożar w płucach. Już po kilku sekundach rozgrzany metal palił jego ramię jak żelazo do cechowania bydła.

Zostaw wiadomość w skrzynce, ty kretyński idioto!

Warto było pocierpieć, skoro wyzwoliło to sensowny pomysł.

Napisze notatkę w nocy, wysliznie się i wrzuci ją tu do skrzynki. Zaadresuje ją do listonosza i poprosi o powiadomienie władz. Poda swój telefon do biura i do Pepperdyne'a, gdyby listonosz chciał sprawdzić, czy to nie kawał. Zawiesi czerwoną flagę na skrzynce, tak że nie sposób będzie ją ominąć. Albo lepiej, złapie listonosza, kiedy będzie dokonywał porannego objazdu.

Rozważając ten plan, poczuł taki przyływ energii, że pokonał powrotną drogę do domu w czasie o połowę krótszym. Mimo to dochodząc do ganku usłyszał skrzęcający w aleję samochód.

Zostawił jedną kulę w pokoju dziennym i pokuśtykał do łazienki. Zamknął drzwi na klucz i oparł o nie głowę. Mięśnie odmawiały mu posłuszeństwa. Sapał głośno jak lokomotywa. Ubranie miał mokre od potu. I śmierdział.

Jeśli Kendall zobaczy go w tym stanie, od razu domyśli się, że coś kombinował. Ręce mu drżały ze zmęczenia, mimo to wyjął Kevina z noosidełka i położył na macie na podłodze.

Wejdziemy razem, dobrze? - powiedział do małego. Włożył zatyczkę i puścił wodę. Usłyszał jej kroki na ganku.

- John...

Zdarł z siebie ubranie i wcisnął je do kosza na brudną bieliznę. Potem zabrał się do Kevina. - John?

- Aha?

Kevin leżał wciąż w pieluszce.

- Gdzie jesteś?

- Kendall? - Rozwinął pieluszkę. - Już wróciłaś? Zanurzył się w wannie, uważając, by nie zamoczyć gipsu.

Trochę musiał się natrudzić, ale zdołał wsunąć głowę pod kran i dokładnie zmoczyć włosy. Potem sięgnął po gołego Kevina leżącego na łazienkowym dywaniku.

- Dobry z ciebie kumpel - wyszeptał opierając się o brzeg wanny i kładąc sobie maleństwo na piersi. - Nigdy ci tego nie zapomnę, stary.

- John, co ty robisz? Gdzie jest Kevin?

- Co? Nie słyszę, Kendall! Woda leci.

- Gdzie jest Kevin?!

- Tutaj, ze mną. - Prysnał wodą na ciało dziecka; zaagruchało i z zadowoleniem zaplaskało piąstkami na piersi Johna.

- Z tobą?

- No tak. A gdzie miałby być?

- Zamknąłeś drzwi na klucz? - spytała ruszywszy klamką.

- Oj, przepraszam.

- Otwórz.

- Siedzę w wannie. To spory wyczyn wleźć do niej i wyjść, jak się ma nogę w gipsie.

- Wchodzę.

Teraz już mogła. Słyszał panikę w jej głosie i zrozumiał, że nie ufała mu całkowicie, choć byli kochankami. I mądra była, że nie ufała. Gdyby miał możliwość, wydałby ją dzisiaj policji. Gdyby tamten dom był zamieszkały, telefon działał albo gdyby udało mu się zatrzymać jakiś samochód na drodze, federalni już by tu jechali.

Nie udało mu się dzisiaj, ale spróbuje jutro i pojutrze "dotąd, aż się uda. Bez broni, ze złamaną nogą, nie zdoła jej ochronić, jeśli członkowie Brotherhood się tu zjawią. Władze potrzebowały jej zeznań, by raz na zawsze unieszkodliwić Burnwoodów, a ona potrzebowała ochrony władz, inaczej nie miała najmniej szanych szans w starciu z Brotherhood. Zrobi to dla niej, choćby miała go za to znienawidzić.

Kendall otworzyła nieskomplikowany zamek szpilką do włosów, wpadła przez otwarte drzwi i zatrzymała się w miejscu zobaczywszy ich dwóch półleżących w wannie. Warto było na nich popatrzeć: noga Johna zwisała z boku wanny, a Kevin spoczywał na jego piersi - maleńki, delikatny, różowiutki.

- Wróciłaś akurat na czas, żeby się do nas przyłączyć odezwał się z niewinnym uśmiechem. - Chociaż może być nam trochę ciasno. Nie zakręciłabyś nam kranu? Chyba mamy już wystarczająco dużo wody.

- Co ty wyrabiasz? - zapytała piskliwym z przerażenia głosem, jakby w ogóle nie usłyszała jego gładkich zdanków.

- Kąpię się - oznajmił z udanym zdumieniem.

- Z Kevinem?

- Dlaczego nie? Pomyślałem, że też z przyjemnością się ochłodzi.

- Kiedy weszłam, dom wyglądał na zupełnie opuszczony. Nie wiedziałam, gdzie jesteś, Kevin nie było w kojcu. Pomyślałam... Sama nie wiem, co pomyślałam.

Usiadła ciężko na pokrywie sedesu. Była bliska łez, miała bladą twarz i poszarzałe wargi. Pochyliła głowę i zaczęła masować skronie. Była straszliwie zdenerwowana i John pomyślał, że chwilowe zniknięcie ich obu z zasięgu jej wzroku nie mogło być tego przyczyną.

Coś się wydarzyło w mieście.

Ale co? Sprawiała wrażenie jeszcze bardziej przerażonej niż parę dni temu, kiedy obsmyczyła sobie włosy, żeby nie można było jej poznać. Musi się koniecznie dowiedzieć, o co chodzi. I skąd uzyskuje informacje? Jaka wiadomość mogła tak nią wstrząsnąć?

- Proszę, nie strasz mnie więcej, John - powiedziała, opuszczając rękę na kolana i podnosząc głowę.

Sposób, w jaki na niego patrzyła, i jej drżący głos sprawiły, że poczuł się jak ostatnia świnia.

- Nie chciałem cię przestraszyć. - Zanim zmiękł całkiem, przypomniał sobie, że niezależnie od tego, jak wzruszająco wygląda z tą bladą twarzą i postrzępionymi włosami, jest kobietą, która popełniła dwa przestępstwa: dokonała uprowadzenia i uciekła, by nie składać zeznań.

Przysiągł wypełniać swoje obowiązki służbowe, zrobi więc, co konieczne, by ją oddać z powrotem władzom. Jego metody nie były zgodne z ogólnie przyjętymi zasadami, ale żaden podręcznik nie omawiał podobnej sytuacji. Robił, co mógł.

Nie prosił się o to zadanie. Zostało mu narzucone, najpierw przez Jima, a potem przez nią. Ukrywanie tego, że odzyskał pamięć, przywiązywanie się do dziecka i kochanie z Kendall należały w

tym wypadku do jego obowiązków służbowych.

Brawo, McGrath. Przepowiedz to sobie jeszcze kilka razy, a zaczniesz w to wierzyć.

Rozdział trzydziesty szósty

Ricki Sue niecierpliwie szarpnęła oddartą skórę przy kciuku. Kiedy stary Bristol podszedł do jej biurka i dyskretnie poprosił, by z nim poszła, zachowywała się tak, jakby podobne wydarzenie było dla niej chlebem powszednim. Ignorując ciekawskie spojrzenia innych urzędników, kroczyła z wysoko uniesioną głową przez wyłożony wykładziną dywanową hol do pokoju konferencyjnego. Jej przewodnik otworzył przed nią masywne drzwi i powiedział:

- Proszę tu poczekać, panno Robb. Powinni zaraz nadejść. Aha, na pewno, pomyślała.

Czekała już pół godziny, a „oni” nie nadchodzili. Rzadko używany pokój konferencyjny sprawiał równie przyjemne wrażenie jak mauzoleum. Właściwie można by tu przechowywać mięso, tak w nim zimno, stwierdziła. Z połączonych ram spoglądały na nią surowe twarze zmarłych współwłaścicieli firmy posepne, wyniosłe, osadzające. Poczowała przelotną chęć, żeby się do nich powykrzywiać, ale zaraz się rozmyśliła. Nie dałaby pięciu groszy, czy Bristol & Mathers nie podglądają swoich pracowników ukrytymi kamerami. W końcu przecież przyłapali Kendall, nie?

Nawet gdyby ją torturowano, nie przyznałaby się, że jest zdenerwowana. Agenci FBI wypytywali ją już wielokrotnie, dużo więcej razy niż kogokolwiek w firmie - najwyraźniej dobrze wiedzieli, że łączy ją zażyłe stosunki z Kendall. Nic im oczywiście nie powiedziała. I będzie dalej grać głupią, choćby jej mieli wpychać szpilki pod paznokcie.

Nagle rozwarły się drzwi i do sali konferencyjnej wszedł wstawić 289

- Zbyt lekko pani to bierze, panno Robb. Dowcipkuje sobie pani, robi erotyczne aluzje, a tymczasem pani Burnwood grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Wydaje się też, że jest ona jedyną osobą na ziemi, która zna miejsce pobytu naszego zaginionego funkcjonariusza. Zamierzam znaleźć ich oboje, i pani mi w tym pomoże.

- Z jakiego powodu? - Przytknęła palcami w akta. _ Skoro sądzi pan, że wie wszystko, po co miałabym panu pomóc?

- Ponieważ uważa się pani za przyjaciółkę pani Burnwood, a ja mam wszelkie dane, by obawiać się, że nie pożyje ona już zbyt długo.

- Nie krępujcie się zacząć odgrywać dobrych gliniarzy w stosownym momencie - zwróciła się Ricki Sue do dwóch agentów, a potem spojrzała na Pepperdyne'a. - Bo pan ma być złym gliniarzem, tak? Chce mnie pan zastraszyć, żeby zmusić do mówienia. Nie dam się wpuścić w ten kanał. Myśli pan, że się wczoraj urodziłam? Tak się składa, że było to czternastego czerwca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku. No dobra, sześćdziesiątego, ale kto by tam liczył.

- Nadal pani uważa, że to dobra zabawa? - Oczy Pepperdyne'a zwięziły się. - Zapewniam panią, że nie. Pani przyjaciółka porwała szeryfa federalnego. Wnioskujemy, że go zabiła i ukryła zwłoki.

- W życiu by czegoś takiego nie zrobiła! - wykrzyknęła Ricki Sue.

- Zostawiła szeryf Fordham w tonącym samochodzie! - wrzasnął Pepperdyne.

- Ta kobieta już wtedy nie żyła! - wrzasnęła równie głośno Ricki Sue. - Gazety to podawały.

Czytałam ten sam raport koronera, co pan, niech więc pan przestanie mnie wreszcie terroryzować. Moja przyjaciółka nie skrzywdziłaby nawet muchy. A co dopiero faceta ze złamaną nogą i cierpiącego na amnezję. Zresztą na pewno spodziewa się, że on ją w razie potrzeby obroni.

- W takim razie grozi jej większe niebezpieczeństwo, niż pani potrafi sobie wyobrazić. -

Pepperdyne powiedział to zdumiewająco cicho, ale tak złowroźnie, że piegowate ramiona Ricki Sue pokryły się gęsią skórą. - Z kim jak kim, ale właśnie z Johnem McGrathem pani Burnwood nie powinna mieć nic do czynienia.

Ricki Sue obrzuciła obu agentów badawczym spojrzeniem, ale okazali się lojalni wobec szefa i zachowali niewzruszony spokój.

- Dwa lata temu - zaczął Pepperdyne - w jakiejś zakaazanej dziurze w Nowym Meksyku, której nazwy nawet nie pamiętam, wtargnął rankiem do banku mężczyzna uzbrojony w dwa automaty i kupę zapasowych magazynków. Zażądał rozmowy z byłą żoną, kasjerką, chcąc ją przekonać, że jeśli do niego wróci, zaczną wszystko od nowa. Nie mógł wiedzieć, że zadzwoniła wcześniej, prosząc o dzień wolny z powodu choroby. Kiedy się o tym dowiedział, odbiło mu jeszcze bardziej. Co do cholery, nie ma jej? Ale on jest, uzbrojony po zęby, a skoro tak, będzie po prostu strzelać i nie przestanie, dopóki wszystkich nie powystrzela albo żona mu nie przebaczy.

Ricki Sue wypuściła powietrze wydętymi ustami, demonstrując znudzenie. Poprawiła się na krześle i westchnęła.

- Niezwykle fascynująca historia, panie Pepperdyne, ale...

- Niech pani wreszcie zamilknie i słucha!

- Dobra, słucham. - Splotła ramiona na masywnym biuście. - Ale jeśli ten czas, spędzony poza biurkiem, policzą mi jako przerwę w pracy, wkurzę się naprawdę.

- W miarę upływu czasu położenie zakładników stawało się coraz trudniejsze - kontynuował Pepperdyne, puściwszy jej uwagę mimo uszu. - Miejskowa policja usiłowała z nim dyskutować, ale tylko go to podjaralo i aż się palił do użycia broni. Postanowił udowodnić, że nie żartuje, zabił strażnika i wyrzucił jego ciało z pierwszego piętra. Wtedy właśnie zostałem wezwany. Przyleciałem razem z naszym najlepszym negocjatorem, Johnem McGrathem.

Ricki Sue popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Tak, Johnem McGrathem - powtórzył Pepperdyne. Ma doktorat z psychologii i kryminologii. Kiedy tam dotarliśmy, John grzecznie zaproponował temu świrowi, żeby porozmawiał z nim przez telefon. Złożył wszelkie obietnice, jakie czynimy w tego rodzaju sytuacjach, i mówił tak przekonująco, że uwierzyłem w naszą wygraną. Rozmawiał z nim także o żonie. Czy rzeczywiście sądzi, że odzyska jej uczucie, zachowując się w taki sposób? Czy przyjmie go z powrotem, jeśli dalej będzie zabijał? I tym podobne. Determinacja bandyty wyraźnie osłabła i zaczęliśmy mieć nadzieję, że więcej już nikt nie zginie.

Jedna z klientek miała ze sobą dwoje dzieci, niemowlę i dwuletniego szkraba. Zaczęły płakać, najpierw małe, potem dołączając braciszek. Ich płacz zdenerwował bandziora. Kazał matce, by je uciszyła. Robiła, co mogła, ale dzieci były zmęczone i głodne. I za małe, aby rozumieć, na jakie niebezpieczeństwo się wystawiają. Kwiliły i płakały, a facet zagroził, że je zabije, jeśli się nie zamkną. Nie potrafię pani opisać naszych uczuć, kiedy słuchaliśmy płaczu dzieci i błagań matki, by je oszczędził. Nie wiem, jak John zdołał zachować pozory spokoju. Klnąc przestępowaliśmy z nogi na nogę, a on był niewzruszony. Dał z siebie wszystko. Obiecał świrowi pieprzoną gwiazdkę z nieba, jeśli tylko wypuści matkę z dziećmi cało. Jego głos brzmiał hipnotycznie; równo i pewnie, choć był tak samo przerażony jak reszta. Nigdy przedtem nie widziałem, żeby ktoś się tak pocił. Mało brakowało, a wyrwałby sobie wszystkie włosy z głowy podczas negocjacji. Cholernie chciał uratować te dzieci.

Przerwał. Ricki Sue wiedziała, że wrócił na powrót myślami w tamto miejsce. Przełknęła głośno ślinę.

- I co się stało?

- Zastrzelił ich jedno po drugim. Z zimną krwią, panno Robb. - Wzrok Pepperdyne'a wbijał ją w pokryte skórą krzesło. - Matkę. Niemowlę. Chłopczyka. Wykończył ich trzema precyzyjnymi strzałami. Na szczęście do akcji wkroczyła brygada specjalna i rozwalili faceta, niemniej przedtem

zabił piękną młodą kobietę i jej dwoje dzieci. Wszyscy to oczywiście ciężko przeżyli, ale nie tak jak John. Patrzyłem, jak mój współpracownik i przyjaciel się wykańcza. W kilka miesięcy po tych wydarzeniach odszedł z FBI i zaczął pracować w biurze szeryfa. Do dziś dnia się za to obwinia. Uważa, że jego błąd kosztował młodego mężczyznę utratę rodziny. John nie mógł nic więcej zrobić; powiedzieć jeszcze czegoś, czego by nie powiedział. Nigdy przedtem nie przekonywał nikogo z taką siłą, choć jego trud spełził na niczym. Nie był w stanie ocalić tych trojga, mimo to poczucie winy nęka go do tej pory.

Zapadła grobowa cisza. Ricki Sue omal nie wyparowała pod palącym wzrokiem Pepperdyne'a. Wreszcie zapytała:

- Po co pan mi to opowiedział?

- Żeby zdała sobie pani sprawę, jak niemądrze zrobiła pani przyjaciółka, zabierając ze sobą Johna. Nie zdając sobie z tego sprawy, stąpa po bardzo grząskiej ścieżce. John jest niezrównoważony emocjonalnie, gdy ma do czynienia z dzieć-

mi. - Pochylił się nad nią tak, że ich nosy prawie się zetknęły. - Łapiesz, o co mi chodzi, Ricki Sue? - spytał cicho, zapominając o oficjalnym tonie. - Pani Burnwood i jej synkowi grozi niebezpieczeństwo.

Nie odpowiadała, zachwycona wyrazem erotycznego zainteresowania, jakie dostrzegła w jego oczach. Nagle mrugnęła powiekami i odchyliła głowę do tyłu, odsuwając się od niego.

- Znowu robi mnie pan w jajo, ale to nie przejdzie.

- Robię ją w jajo? - zwrócił się o opinię do agentów.

Z powagą potrząsnęli przecząco głowami. Pepperdyne oddwrócił się z powrotem do niej.

- Niech mi pani wierzy, nawet jeśli John stracił pamięć po wypadku, nie pozbył się fobii w stosunku do dzieci. Zbyt głęboko jest to zakodowane w jego podświadomości. Dostaje hopla, jeśli się znajdzie w pobliżu dziecka. Powinna go pani widzieć podczas lotu z panią Burnwood z Denver do Dallas. Głupieje, gdy usłyszy dziecięcy płacz.

- Skoro jest tak niezrównoważony, jak pan twierdzi, dla czego powierzył ich pan jego opiece?

- Bo nie przewidziałem wypadku ani tego, że zginie szeryf Fordham. Biorę na siebie pełną odpowiedzialność za ewentualne załamanie nerwowe Johna i popełnione przez niego w tym stanie czyny. Miałem dobre zamiary. Sądziłem, że opieka nad panią Burnwood i niemowlęciem będzie dla niego rodzajem terapii. Nie przewidziałem oczywiście jej głupiego postępu... a właściwie przestępstwa. Nie gwarantuję, czy już się nie załamał i czy ich nie zabił - rozłożył bezradnie ramiona.

- Nie, całkiem dobrze się miewają. - Zorientowała się, że wpadła w pułapkę, i zakłęła pod nosem.

- Więc miała pani od niej wieści? - przypuścił błyskawicznie atak.

- Nie, nie miałam.

- Gdzie jest?

- Nie wiem.

- Nie czyni jej pani przysługi, zatajając miejsce ich pobytu.

- Przysięgam, że nie wiem, gdzie są. - Uświadomiła sobie, że mruga szybko oczami: widomy znak kłamstwa. - No więc dobrze, rozmawiałam z nią. Dziś rano. Zadzwoiła do biura, wiedząc, że to ja odbiorę. Powiedziała, że mają się dobrze, i przerwała połączenie. Trwało to parę sekund, bo obawiała się, że telefon jest na podsłuchu. - Przerwała, czekając, by zaprzeczył, ale on tylko na nią patrzył. - To prawda, tak? I prawdopodobnie mój domowy też! - Zerwała się na równe nogi. - Ty cholerny skurwysynu! Wiedziałaś, że do mnie dzwoniła, kiedy mnie o to pytałeś!

- Proszę usiąść.
- Odpieprz się.
- Proszę usiąść! - Popchnął ją z powrotem na krzesło.

Była wściekła, ale czuła również podniecenie. Wspaniale wyglądał, kiedy się rozzłościł.

- Jest pani jej najlepszą przyjaciółką. Musi się pani domyślać, gdzie jest.
- Podśluchiwaliscie. Wiecie, że ją o to pytałam, ale mi nie powiedziała.
- Ale musi się pani domyślać.

- Nie.

- Jeśli stwierdzę, że pani kłamie, oskarżę panią o współudział.

- O hoho... Ale się przestraszyłam. - Uniosła w górę łokcie i wprawiła w ruch piersi, drżąc z udawanego strachu. - Ekstra.

- Naprawdę pan tak myśli? - Zachichotała i puściła oko do agentów. Pepperdyne wyglądał, jakby zamierzał ją udusić. Mogłoby być zabawnie, pomyślała. - Niech pan posłucha. Nie wiem nawet, gdzie mieszkała przez cały ten rok w Denver. Naprawdę. Przysięgam. Nie powiedziała tego ani mnie, ani babci, gdy jeszcze żyła. Dla naszego własnego bezpieczeństwa, jak się wyraziła. Nie chciała, byśmy musiały kłamać, jeśli ktoś zacznie jej szukać. - Obdarzyła Pepperdyne'a bezczelnym uśmiechem. - Niegłupio, jak się okazuje, co?

- Dużo mądrzej niż to, co pani robi. - Położył ręce na oparciu krzesła i pochylił się nad nią. - Jest w towarzystwie mężczyzny, który traci równowagę psychiczną, ilekroć usłyszy płaczące dziecko.

Sparodiowała dźwięk dzwonka, który rozlega się w kwizach telewizyjnych, gdy gracz udzieli błędnej odpowiedzi.

- Niech pan dalej próbuje. Gdyby ten wasz psychoanalityk był aż tak nie zrównoważony, nie mógłby w ogóle pracować. Nie zrobi najmniejszej krzywdy ani jej, ani dziecku.

Utkwił w niej oskarżycielskie spojrzenie i nie odwracał go przez dłuższy czas.

- Może nie - oświadczył w końcu. - Ale nie tylko stan umysłu Johna stanowi problem. -

Wyciągnął rękę i jeden z agentów położył mu szybko na dłoni kopertę, jak instrumentariuszka wręczająca chirurgowi skalpel. Wciąż nie spuszczać z Ricki Sue oczu, wyciągnął zdjęcie i podał je jej bez słowa.

Ricki Sue krzyknęła przeraźliwie. Gula rosła jej w gardle. Przycisnęła dłoń do ust. Na pobludłej twarzy ostro odcinały się piegi.

- To sprawka Gibba i Matta Burnwoodów. Była kochanką Matta i pomogła im uciec z więzienia. Rana jest głęboka... omal nie odcięli jej głowy.

- Proszę! - wydyszała, unosząc do góry drżącą rękę.

- Proszę co? Przestać? Nie mówić nic więcej? - Podniósł głos. - Będę mówił, do cholery, jeśli w ten sposób wycisnę z pani jakieś informacje.

- Powiedziałam panu: nie wiem, gdzie jest Kendall! - Jej głos brzmiał piskliwie.

- Popełnia pani wielki błąd, Ricki Sue. Ucieczka z więzienia to poważne przestępstwo. Nie wspominając już o gwałcie i morderstwie. Tak, pani Lynam została zgwałcona, zanim poderżnięto jej gardło. Mamy do czynienia z szaleńcami. Nic ich nie powstrzyma. Nie mają już odwrotu. Ani nic do stracenia. Nie mogą żyć jak do tej pory i wiedzą o tym. Ale nawet szalenie nie posuwa się do tak krańcowych czynów, jeśli nie został oświadczył o misji, jaką ma do spełnienia. - Pochylił się nad nią jeszcze bardziej i wyszeptał: - Jak pani myśli, co nimi oświadczył?

- Znaleźć... Chcą ją znaleźć.

- Właśnie - potwierdził ponuro.

- Czy to oni włamali się do domu babci?

- Tak przypuszczamy. Zatrważające, co?

- Są bardzo zawzięci?

- Raczej zdeterminowani. W każdym razie Gibb, a Matt najwyraźniej robi, co mu ojciec powie.

Kiwnęła głową. Od początku miała takie wrażenie, a każdy szczegół małżeńskiego pożycia przyjaciółki, który jej zdradziła, tylko to potwierdzał.

- Idą na całość - powiedział Pepperdyne. - Nie obchodzi ich nawet to, że mogą zostać ujęci. Chcą na zawsze zamknąć usta osobie, która ogłosiła ich istnienie światu. Uważają, że ich zdradziła, że jest odszczepieńcem. Są oburzeni, że ośmieliła się zakwestionować ich racje i wystąpiła przeciwko nim. I jeszcze jedno: dopiero kilka dni temu Matt Burnwood dowiedział się o synu. Nie sądzę, by był zadowolony, że jego była żona utrzymywała to w sekrecie. - Uśmiechnął się blado. - Nie widziała pani dotąd dziecka, prawda? Ja tak. Trzymałem je nawet. Śliczny mały chłopczek. Podobny do matki, pani najlepszej przyjaciółki.

- Dosyć - jęknęła Ricki Sue.

- W mojej pracy zetknąłem się z wieloma potwornymi zbrodniami - mówił Pepperdyne uprzejmym, rzeczowym tonem - ale muszę przyznać, że to, czego dowiedziałem się w ciągu ostatnich dni o Burnwoodach i Brotherhood, ścięło mi krew w żyłach. A dotknęliśmy dopiero czubka góry lodoowej. - Znów się pochylił, przybliżając do niej twarz. - Mogę sobie wyobrazić tych fanatyków dokonujących rytualnego morrdu na dziecku, by udowodnić, że są uświęconymi wybrańcami, stojącymi ponad prawem ustanowionym przez ludzi i przez Boga. Chce pani, żeby mały Kevin w ten sposób zakończył życie? - Podsunął jej pod oczy fotografię Lottie Lynam.

- Dosyć tego! - Wytrąciła mu fotografię z ręki i zaczęła podnosić się z krzesła.

Uniemożliwił jej to, kładąc ręce na ramionach.

- Jeśli pani wie, gdzie się ukrywa pani Burnwood, może jej pani uratować życie.

- Przysięgam, że nie wiem! - zawołała Ricki Sue i rozszlochała się.

- Niech pani pomyśli. Dokąd mogła pojechać?

- Nie wiem!

- Cóż, wspaniale. - Pepperdyne wyprostował się i westchnął głęboko. - Proszę mi nie ufać. Proszę mi nic nie mówić. Ale zachowując milczenie, naraża pani na śmiertelne niebezpieczeństwo tych dwoje, nie wspominając o szeryfie McGracie. - Położył służbową wizytówkę na stole. - Napiisałem na odwrocie numer telefonu, pod którym można mnie tu znaleźć. Mamy prowizoryczne biuro w tutejszej policji. Zawsze ktoś będzie powiadomiony, gdzie jestem. Dwadzieścia cztery godziny na dobę. Gdyby pani Burnwood zadzwoniła, proszę jej powiedzieć, by się ujawniła. Proszę ją o to błagać. Zapewnimy jej ochronę.

- Zapewnicie jej ochronę? - Ricki Sue wytarła nos grzbieciem dłoni. - Taką jak do tej pory?

Przyniósł jej trochę satysfakcji ten pożegnalny strzał: Pepperdyne wypadł z pokoju z wściekłą miną.

Rozdział trzydziesty siódmy

- Mama jest wściekła jak osa. - Henry z ponurą miną odwiesił słuchawkę automatu telefonicznego i odwrócił się do brata.

Luther jadł burrito z fasoli i popijał wodą sodową. Z rozztargnieniem wyciągnął kawałek burrito w stronę Henry'ego. Jego uwagę pochłaniały trzy nastolatki, które wlewały benzynę do baku kabrioletu marki Mustang.

- Nie powinny ganiać tak do połowy nagie - oświadczył pociągając łyk wody. - Półdupki im wystają z tych krótkich szortów. A popatrz na tę skąpą górę. Ale jak facet taki jak ja odważy się spróbować tego, co pokazują, cholernie słono za to płaci. Lolitki! - utyskiwał.

Henry spojrział na dziewczęta, ale zbyt był przygnębiony, by docenić ich wdzięki. Właśnie dostał reprimendę od mamy, wcale nie mniej bolesną niż lanie, jakie ojciec mu spuszczał paskiem do ostrzenia brzytwy. Gryząca ironia mamy mogła człowieka nieźle posiniaczyć.

— Luther, słyszałeś, co mówiłem? Mama jest na nas wkurzona.

Brat wepchnął sobie do ust ostatni olbrzymi kęs burrito, zmiął opakowanie i upuścił na ziemię.

- O co poszło?

- O to, co się stało ostatniej nocy.

- Skąd mogliśmy wiedzieć, że w domu starej czekają fedsy?

Według mnie cholernie sprytnie z naszej strony, żeśmy w ogóle dotarli aż do jej domu.

Powiedziałeś to mamie?

— Próbowiałem. Ale nie jestem pewien, czy to do niej doszło.

— Za głośno złorzeczyła. Przecież wiesz, że jak się już rozkręci i wpadnie we wściekłość, nie obchodzi jej, co mówisz.

Luther skinął głową. Dziewczęta właśnie przechodziły koło niego, żeby zapłacić za benzynę. Chichotały, całkowicie poograżone w rozmowie, i nie zaszczyciły go nawet spojrzeniem. Bogate panienki, które tatusiowie obdarowują nowiutkimi błyszczącymi samochodami na szesnaste urodziny, nie należały do jego świata. Patrzyły na niego, jakby był powietrzem. Śmieciem. Nienawidził tego.

- Powinni ustanowić jakieś prawo, żeby nie wolno im było tak trząść cyckami - zamruczał do siebie. - Jezu! Aż za cholernie dobrze wiedzą, jak to działa na faceta!

- Przestań się wreszcie onanizować i posłuchaj mnie! Pwrzasnął Henry.

Urodził się ledwie parę minut wcześniej od brata bliźniaka, ale grał rolę starszego. To on wszystko planował i on się zamartwiał. Nigdy się o to nie kłócili. Luther bez sprzeciwu poddał się jego przewodnictwu. Zresztą wolał nie brać na siebie odpowiedzialności, a po prostu robić, co mu kazano, obojętne, czy to się zgadzało z prawem czy nie. Do niego należało wykonawstwo, nie myślenie.

- Powiedziała, że nawet nasze dwa mózgi połączone razem to jeszcze za mało dla jednego - powtórzył Henry, wciąż przygnębiony połajanką rodzicielki. - Skończony głupek by tam nie poszedł, bo to pierwsze miejsce, gdzie wszyscy będą jej szukać.

- Powiem ci coś, Henry - oświadczył Luther. - Ale przyśięgnij na Boga, że nikomu nie powiesz, a na pewno nie mamie. - No co?

- Obsikałem sobie portki, jak te fedsy za nami lecieli i strzelali. W życiu się tak nie bałem.

- Ani ja. Zwyczajnie mieliśmy szczęście, inaczej już by nas zapudłowali.

Każda wzmianka o więzieniu przypominała im o Billym Joe i okropnym położeniu, w jakim się znalazł za sprawą kobiety, której szukali. Czasem ich zapał przygasał, ogarniało ich zmęczenie, nuda i zniechęcenie, ale wystarczyło wspomnieć braciszka zamkniętego za kratami z pedałstwem i świrami wszelkiego rodzaju i wszelkiego koloru skóry, zmuszonego spędzić resztę życia jako biedne dziwadło o jednym ramieniu, aby nienawiść ożyła, a solenne przyrzeczenia zemsty nabrały znowu mocy.

- Marnujemy czas, stercząc tutaj - oświadczył Henry. Jej ślad stygnie z każdą minutą.

- Zaraz wracam - Luther skierował się do wejścia. - Kupię sobie drugie burrito.

- Burrito, ty dupku. - Henry złapał brata za koszulę i pociągnął go do samochodu. - Chcesz sobie łypnąć okiem na te panienki.

- A jest coś złego w patrzeniu?

Blisko godzinę krążyli po ulicach Sheridan w nadziei, że coś ich oświeci, dostarczy im jakiejś

wskazówki co do ewentualnego miejsca ukrycia Kendall Burnwood, którym na pewno nie był położony na obrzeżach miasta w rzadko zaludnionej okolicy dom jej babci - przekonali się o tym nadto boleśnie ostatniej nocy. Nie sądzili, że tak trudno będzie ją znaleźć. Czuli zniechęcenie i tęsknili za domem. Mama, tam w Prosper, wściekała się, że zawalili sprawę. Jeśli szybko czegoś nie wymyślą, obedrze ich ze skóry, to pewne.

Po godzinie bezsensownego jeżdżenia Henry podjechał na parking przy sądzie.

- Co ty wyrabiasz, do cholery! - Luther rozejrzał się nerwowo. - Glin tu więcej niż much na padlinie.

- Nie przyjrżeli się nam ani samochodowi. W gazetach pisali o nie zidentyfikowanych sprawcach. Myślą, że to jakieś dzieciaki szukające sprzętu stereo, żeby go sprzedać paserowi i kupić narkotyki.

- Nic nie rozumiem. - Wyjaśnienie Henry'ego nie rozwiało wątpliwości Luthera. - Co my mamy tu do roboty? - Poobserwujemy sobie.

- Co poobserwujemy?

- Wszystko. Co tylko nam się uda zobaczyć. Na coś możemy trafić. Nie my jedni szukamy tej suki. Może ktoś nas do niej zaprowadzi.

Luther rozparł się na siedzeniu, odchylił głowę i zamknął oczy. Pogwizdując fałszywie przez zęby, zaczął snuć lubieżne fantazje, w których trzy nastolatki w szortach i skąpych bluuzeczkach entuzjastycznie spełniały wszelkie jego życzenia. Na chwilę nawet chyba się zdrzemnął, bo aż podskoczył, kiedy brat dał mu kuksańca w zębra.

- Rusz się. Idziemy.

- Dokąd? - Luther wyprostował się i ziewnął.

- Widzisz tych facetów, co tam przechodzą ulicę?

- Tych w ciemnych garniturach? - spytał Luther, patrząc w ślad za wskazującym palcem Henry'ego.

- Właśnie wyszli z sądu. Na kogo ci wyglądają?

- Fedsy, niech ja skonam.

- Uhm...

- To nie tam pracowała Burnwoodowa? Ale im śpieszno.

- Właśnie. Tak sobie myślę, że to może być coś ważnego.

Wysiedli z samochodu i szybko poszli za agentami FBI, zmierzającymi do siedziby Bristol & Mathers. Próbowali już przedtem czegoś się tu dowiedzieć, ale amatorskie śledztwo w niczym im nie pomogło.

- Sa na górze - stwierdził Henry, gdy znaleźli się w hoolu. - Widzisz, gdzie się zatrzymała winda? Piąte piętro.

Kręcili się po holu, starając się nie rzucać zbyt w oczy, ale byli tak łudzaco do siebie podobni, że wszyscy na nich zerkali. Luther szybko się znudził i zaczął narzekać, ale Henry nie chciał wyjść. Mniej więcej po półgodzinie ich wytrwałość została nagrodzona. Winda się otworzyła i wyszło z niej trzech mężczyzn. Byli wyraźnie ożywieni. Jeden z nich mówił równie szybko, jak szedł:

- Dalej twierdzą, że ona coś ukrywa. Bardziej przejmuje się tym, że mogłaby zdradzić przyjaciółkę, niż nami.

Tyle usłyszeli, nim tamci wyszli przez obrotowe oszklone drzwi. Wymienili spojrzenia.

- Jak myślisz, o czym oni gadali? - spytał Luther. Jakby w odpowiedzi na to pytanie, drzwi windy znów się otworzyły i do holu wmaszerowała duża kobieta z wielkim biustem i indiańskim totemem z rudych włosów na głowie. Miała podpuchnięte, czerwone oczy - najwyraźniej niedawno płakała. Nie zważając na Luthera i Henry'ego, przyłożyła chusteczkę higieniczną do nosa i głośno go wysiąkała.

Nie widziała ich po prostu; wzrok miała utkwiony w trójce mężczyzn kierujących się w stronę sądu. Wyszła na zewnątrz i pokazała im plecom uniesiony środkowy palec. Nie mogli oczywiście dostrzec jej gestu, lecz samo jego wykonanie wyraźnie dało jej wiele satysfakcji.

- Co to za gruba dziewczucha?

- Nie wiem - odpowiedział Henry z namysłem - ale nie kochają się zbyt, ona i fedsy, co? A co mogło ich poróżnić, jak nie Kendall Burnwood?

- Co za obrzydliwa osoba! - Gibb zmiotł ze stolika do kawy w mieszkaniu Ricki Sue plik magazynów Playgirl. _Plugastwo. Śmiecie. Dokładnie to, czego spodziewasz się w doomu prostytutki.

Matt zapatrzył się w czasopisma leżące na podłodze, ale nawet jeśli uznał je również za odrażające, nie okazał tego. Był obojętny i apatyczny od czasu, gdy opuścili motel, zostawiając w nim zwłoki zamordowanej Lottie.

- Ta kobieta jest krzykliwa i nieznośna. Bezustannie robi lubieżne aluzje. Pamiętasz, jak nas wprowadziła w zmieszanie podczas twojego wesela, synu?

- Tak, ojczu.

- Zupełnie nie nadaje się na przyjaciółkę żony Burnwooda.

- Nie, ojczu.

- Tylko że, jak się okazało, poślubiłeś zdrajczynię.

- Tak, ojczu.

Od kilku godzin przeszukiwali dom Ricki Sue, usiłując znaleźć jakąś wskazówkę co do miejsca pobytu Kendall. Opróżnili każdą szufladę, przeczytali każdy skrawek zapisanego czy zaadrukowanego papieru, obojętne czy dotyczył zwrotu nadpłaty podatku, pochodził z kalendarza, czy zawierał tylko podpis pod nadrukowanym okolicznościowym tekstem.

Jak dotąd nie odkryli nic ciekawego o Kendall, za to zyskali całkiem niezłe pojęcie o stylu życia Ricki Sue. Oprócz olbrzymich ilości środków służących do pielęgnacji urody miała bogatą kolekcję książek erotycznych i kaset wideo. W szufladach szafki przy łóżku odkryli ponadto kondomy w liczbie stosownej dla małej apteki. W różnych rozmiarach, kolorach i wzorach. Lubiła duszące, słodko pachnące perfumy i takie same płyny do kąpieli. Posiadała niezliczoną liczbę sztuk bielizny, w tym dwie pary rajstop z wycięciami w kroczu i flanelową koszulę do samej ziemi.

Szafki w kuchni wypełniały ciasteczka, chipsy ziemniaczane i dietetyczne napoje. W lodówce znaleźli mleko, cztery opakowania mieszczące po sześć piw i słoje oliwek w zmętniałej zalewie. Nie była świetną gospodynią, ale nie to ich obchodziło. Przeszukali dokładnie całe mieszkanie, a teraz przetrząsali je ponownie, by się upewnić, że niczego nie pominęli.

- Sprawdzałeś pod łóżkiem? - spytał Gibb.

- Nie, ojczu.

Zrzucili pościel i przewrócili materace, ale rzeczywiście zapomnieli zajrzeć pod łóżko. Matt uklęknął.

- Jest tu jakieś pudełko, ojczu.

- Co za pudełko? - ożywił się Gibb.

Matt wyciągnął zwyczajne kartonowe opakowanie po butach i podniósł zakurzoną pokrywkę. Stwierdził, że zawiera prywatne listy i kartki pocztowe, i pokazał je Gibbowi.

- Może jest tam w środku coś od Kendall - powiedział Gibb podekscytowany. - Zabierzmy się do tego.

Wrócili do pokoju dziennego, żeby mieć więcej miejsca na rozłożenie korespondencji, nie zdążyli się jednak do tego zaabrać. Gibb uniósł rękę, dając znak, by syn zachował ciszę. Skradając

się podszedł do okna wychodzącego na front budynku i wyjrzał przez nie ostrożnie.

- Jej samochód zbliża się do podjazdu - powiedział. Ogarnął pełnym obrzydzenia wzrokiem pornograficzne albumy, a potem powoli przeniósł spojrzenie na Matta. - Musimy skorzystać z okazji, Matthew. Zostaliśmy tu po to przysłani. Tak miało być. Inaczej po cóż by się zjawiała nieoczekiwanie w domu, na kilka godzin przed końcem pracy? Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

- Tak, ojcze. - Matt skinął głową, nie okazując zdziwienia.

Gibb nakazał mu, by ukrył się za drzwiami, a sam cofnął się do aneksu jadalnego, skąd mógł patrzeć na drzwi frontowe. Obaj utkwili wzrok w kłamce, kiedy usłyszeli, że Ricki Sue wkłada klucz do zamka.

- Hej, rudasku! - zawołał ktoś z ulicy.

Sprawa przybrała niespodziewany obrót i Matt spojrzał na ojca, oczekując instrukcji. Gibb zerknął na zewnątrz przez listewki żaluzji, próbując stwierdzić, co się dzieje.

- A bo co? - Zostawiwszy klucz w zamku, Ricki Sue odwróciła się, by zobaczyć, kto do niej krzyczy. - Szukamy Sunset Street. Wiesz, gdzie to jest?

- Może tak, może nie.

- A nie przyszłabyś do nas, żeby to ustalić?

Twarz Gibba stężała z wściekłości. Przeszył powietrze wskaazującym palcem, pokazując Mattowi, aby wyjrzał. Przy kraawężniku stało stare camaro. W środku siedzieli Henry i Luther Crookowie..

- A cóż oni tu robią? - wyszeptał Matt.

Ricki Sue podeszła do nich wolnym krokiem. Pochyliła się przyoknie od strony kierowcy, żeby im objaśnić drogę. Flirtowała z nimi, a bliźniaków najwyraźniej oszołomiły obfitości jej figury.

_ Robią to samo co my - odezwał się po chwili Gibb. -

Chcą zlokalizować Kendall z powodu Billy'ego Joe. Obwiniają ją za nieszczęśliwy wypadek, który go spotkał. Pragną zemsty i usiłują ją znaleźć, zanim władze to zrobią. - Prychnął i spojrział na Matta. - Tak samo jak my, synu. Tylko że nie mają do tego prawa jak my. Prawdopodobnie to właśnie oni wpadli w pułapkę FBI w domu jej babki. W gazetach spekulowano, czy to nie my. Jakbyśmy byli zdolni do takiej głupoty.

Matt słuchał, ze zrozumieniem kiwając głową.

Ricki Sue szerokimi gestami rąk uzupełniała wskazówki, jak dojechać do Sunset Street.

_ Chodźmy - powiedział Gibb, podchodząc do Matta i kładąc mu dłoń na ramieniu. - Pan musiał zmienić swe zamierzenia. Może czas nie był odpowiedni. Gdy nadejdzie, da nam znak. Zabierz ze sobą pudełko. - Poszedł do sypialni, przez okno której włamali się do mieszkania Ricki Sue.

Matt bez słowa podążył za nim.

Rozdział trzydziesty ósmy

- Jest rozmowa do pana. - Policjant z Sheridan wszedł do prowizorycznego biura Pepperdyne'a. - Powiedziała, że nie chce mówić z nikim innym. Na trzeciej linii.

Powiedziała? Pani Burnwood? Pepperdyne, poczuwszy przypływ nadziei, złapał słuchawkę i nacisnął mrugający guziczek.

- Tu Pepperdyne.

- Ty skurwysynu!

- Proszę...?

- Słyszałeś chyba. Ty pieprzony skurwysynu! To na początek. Zamierzam się przelecieć przez wszystkie znane mi przekleństwa w angielskim, i nie tylko w angielskim, żeby ci chociaż mniej więcej dać pojęcie, jakim odrażającym osobnikiem jesteś w moim mniemaniu.

- Mam to pojęcie, panno Robb - stwierdził z westchnieniem. - Może by mnie pani poinformowała, co spowodowało ten obelżywy telefon.

- Dobrze wiesz, ty skurwielu pospolity!

Wrzeszczała tak głośno, że agenci siedzący w tym samym pokoju słyszeli jej głos ze słuchawki. Oderwali się od pracy i zerkali z ukosa na Pepperdyne'a. Większość prawdopodobnie żałowała, że brak im tupetu Ricki Sue.

- Te pieprzone palanty rozwaliły mi całe mieszkanie!

- Co za pieprzone palanty?

- Twoje pieprzone palanty. Przegrzebali mi wszystkie szuflady. Rozrzucili całą bieliznę po podłodze...

- Chwileczkę - Pepperdyne wyprostował się na krześle. - Splądrowano pani dom?

- Nie, twojej babci, ty Sherlocku.

- Uważa pani, że to moi ludzie?

- Nie rób ze mnie głupiej. Oni...

- Za chwilę u pani będę. - Rozłączył się. Rzucając krótkie, ostre rozkazy, polecił dwóm swoim ludziom, by mu towarzyszyli, ściągnął szarpnięciem marynarkę z wieszaka i popędził do wyjścia.

Pięć minut później stanął czoło Ricki Sue stojącej w drzwiach frontowych. Trzęsła się z oburzenia tak gwałtownie, że nawet jej fryzura zaczynała się rozplątywać.

- FBI powinno pana skierować na przyspieszony kurs dobrych manier, panie agencie specjalny. Najpierw wysyła pan zboczeńców, którzy rujnują mi dom, a potem rzuca słuchawką. Nie zapłacę złamanego centa więcej podatku, skoro tylko tyle potrafią pieprzeni fedsy...

- To wcale nie moi zboczeńcy zrujnowali pani dom... Odsunął ją, wszedł do środka i zasypał Ricki Sue pytaniami: ~ Dokładnie tak to pani zastała? O której odkryła pani włamanie? Czy czegoś brakuje? Dotykała pani czegoś?

Dwaj agenci zaczęli chodzić po mieszkaniu, oceniając zniszczenia, ale starając się nie zatrzeć ewentualnych śladów, a Ricki Sue stanęła pośrodku pokoju dziennego, opierając zwinięte w pięści dłonie na szerokich biodrach.

- Nabija mnie pan w butelkę, Pepperdyne?

- Nie. Dostałaby pani nakaz, gdyby to miało być oficjalne przeszukanie. Postępujemy ściśle według litery prawa, zwłaszcza w tym przypadku, bo możemy trafić na sędziego z wodą zamiast mózgu albo niekoniecznie kierującego się etyką, który oddali oskarżenie z powodu technicznych uchybień. W każdym razie zapewniam panią, że nie zrobił tego żaden z moich ludzi, nikt z biura szeryfa ani z policji w Sheridan.

- Więc kto, do cholery?

- Nie wiem. Ale zamierzam się tego dowiedzieć - oświadczył zdecydowanym tonem. - Czy coś zginęło?.

- Nie zauważyłam, ale i nie sprawdzałam dokładnie. Kiedy weszłam i zobaczyłam cały ten bałagan, byłam tak wściekła, że nie rozejrzałam się dobrze przed telefonem do pana.

- Proszę więc teraz sprawdzić.

Zrobiła, o co prosił, a jeden z jego ludzi zadzwonił, by natychmiast przysłano speców z laboratorium kryminalistyki. Przyjechali i Ricki Sue przyglądała się bezradnie, jak jej dom jest wywracany do góry nogami po raz drugi dzisiejszego dnia, tym razem przez specjalistów poszukujących śladów tego, kto zapoczątkował dzieło zniszczenia.

- Niech pani przestanie, to nie jest taka sobie zwykła sprawa - powiedział Pepperdyne, kiedy zaczęła znów złorzeczyć. - Pracujemy nad przypadkiem podlegającym władzom federalnym, a pani z

racji bliskich stosunków z Kendall Burnnwood odgrywa tu poważną rolę.

- To prawdopodobnie przypadkowe włamanie i nie ma z tym nic wspólnego.

- Nie wierzy w to pani tak samo jak ja - powiedział domyślając się, że wybuch złości miał zamaskować narastający w niej lęk. Straciła wiele ze swej zawadiackości, i dobrze. Może wyjawi im ze strachu coś, co pozwoli ustalić miejsce pobytu pani Burnwood. - Ktokolwiek tu był, nie chciał nic ukraść. Nie zabrał niczego, co zwykle ginie w takich przypadkach: wideo, telewizora, sprzętu stereofonicznego. Szukał czegoś zupełnie innego.

- Na przykład?

- Na przykład wskazówki co do tego, gdzie przebywa pani Burnwood.

- W takim razie miał zasrane szczęście.

- Mogę się założyć, że nie zrobił tego jeden człowiek - drażył Pepperdyne, ignorując jej wulgarną uwagę. - Pani również jest o tym przekonana. Mówiąc o włamaniu, zawsze używała pani liczby mnogiej.

- Niech się pan tak nie podnieca, panie Pepperdyne. Mówię, co mi akurat przychodzi do głowy.

- Tylko że przychodzi pani do głowy z określonego powodu, prawda, panno Ricki Sue? O kimś pani myśli. Tak jak i ja. - Podejrzewa pan - zdenerwowana oblizwała wargi - że to Matt Burnwood z ojcem?

- Biorę pod uwagę tę możliwość.

- Nie, cholera! - jęknęła. - Nie chcę mieć nic do czynienia z tymi szurniętymi zbirami.

- Kiedy przyjechałem, określiła pani włamywaczy jako zboczeńców. Dlaczego? - spytał Pepperdyne. - Nie jest to takie oczywiste. Wyrzucili pani bieliznę z szuflad, ale wszyscy złodzieje tak robią, szukając cennych drobiazgów.

- Z innego powodu. - Wzięła go pod ramię i pociągnęła w stronę stolika do kawy. - Niech pan spojrzy na te czasopisma.

Z rozkładówki Playgirl uśmiechał się uwodzicielsko nagi muskularny przystojniak.

- No, dobry bysio. I co z tego?

- Dobry, fakt. Więc po co to niszczyć, wbijając w zdjęcie obcas?

Pośrodku fotografii papier załamywał się promieniście, jakby rzeczywiście ktoś kręcił po nim obcasem.

- Może to niechący?

- Nie sądzę. - Potrząsnęła rozluźnionym totemem z włosów na głowie. - Jest tego więcej.

Naprawdę się wkurzyłam. Za tę książkę zapłaciłam pięćdziesiąt doków. Jedyna pamiątka, jaką przywiozłam sobie dwa lata temu z San Francisco - mówiła, prowadząc go za sofę.

Z półek zmieciono wszystkie książki i kasety wideo. Pepperrdyn e klęknął, żeby się dokładniej przyjrzeć. Album z erotycznymi fotografiami leżał otwarty na całostronicowym zdjęciu kochającej się pary. Papier wyglądał, jakby ktoś wytarł o książkę buty.

- Niezbyt bogobojna pozycja - zauważył Pepperdyne.

- Właśnie dlatego to najbardziej ekscytująca fotografia w całym albumie. Bóstwiak, mężczyzna moich marzeń. Ta jedna fotka warta była pięćdziesięciu doków.

- Kupię pani inny egzemplarz. Całą bibliotekę cholernie nieprzyzwoitych książek - zapewnił, wstając na nogi - byle mi tylko pani powiedziała, gdzie ona jest.

- Dobry ma pan słuch? Bo jak nie, będzie pan mi musiał czytać z warg: nie wiem! - Rozłożyła ramiona, ogarniając nimi nieład panujący w domu. - Ktokolwiek tu przetrzepał mi mieszkanie, szukając jakiegoś śladu, jest takim samym palantem, jak wy! Strzelacie do niewłaściwej bramki.

- Nie ma wątpliwości, to na pewno oni. Odciski pasują. Pepperdyne podziękował oficerowi,

który przyniósł mu kopię protokołu, kiedy go tylko sporządzono, a potem odwrócił się do kapitana policji.

- Słyszał pan. Gibb i Matt Burnwoodowie splądrowali dom panny Robb dzisiaj po południu. Są w mieście. Niech pan wezwie wszystkich swoich ludzi. Chcę dostać tych sukinnosynów. Dzisiaj. Zaraz. - Policjant odwrócił się, by wypełnić jego rozkaz, ale Pepperdyne zatrzymał go jeszcze i dodał: "To wyjątkowo groźni skurwysyni. Niech pan uprzedzi ludzi, by nie dali się zwieść gładkim manierom i przyzwoitej aparycji.

To fanatycy, głęboko przekonani, że Bóg ich wyświęcił. Zabijają każdego, kto stanie im na drodze. Niech pan ostrzeże ludzi, by zachowali największą ostrożność w ich pobliżu.

Policjant wyszedł, a Pepperdyne opadł ciężko na krzesło i przetarł dłońmi oczy. Nie mógł sobie pozwolić na luksus zmęczenia. Odkąd doniesiono mu o zaginięciu Johna, posypiał tylko czasem, łapiąc każdą minutę snu, kiedy mógł. Nie prześpi ani jednej nocy, dopóki nie znajdzie Johna i pani Burnwood, a Matta i Gibba Burnwoodów nie posadzi za kratami, każąc im strzec w dzień i w nocy. Chyba że przedtem zginą.

Właściwie wypowiadał się tej rudowłosej jędry - rzeczywiście czuł się odpowiedzialny za uwikłanie McGratha w cały ten bałagan. Myślał, że to się okaże dobrą terapią dla Johna, że czas spędzony z dzieckiem pani Burnwood naprawi szkody, jakie poniosła jego psychika w Nowym Meksyku. Tak właśnie myślał, pakując ich do samochodu. W najdzikszych fantazjach nie przewidywałby, że przez niego przyjdzie odegrać przyjacielowi znaczącą rolę w najbardziej przerażających wydarzeniach, z jakimi on sam dotychczas się zetknął.

Im więcej FBI dowiadywało się o Brotherhood, tym bardziej Pepperdyne obawiał się o Johna i panią Burnwood. Rytualne egzekucje i okaleczenia, hymny i sekretne hasła, morderstwa i tortury, przy których markiz de Sade sprawiał wrażenie amatora.

Z ociąganiem podniósł się na nogi i wyprostował pobolewaający kręgosłup. Podszedł do okna i wyjrzał na Sheridan. Zaaczynał zapadać zmierzch. W ciemnościach łatwiej będzie znaleźć Burnwoodom kryjówkę i ująć pościgowi. Gdzieś tutaj byli... ale gdzie?

Gdzieś tutaj była również pani Burnwood wraz z jego przyjacielem, Johnem McGrathem. Nikt, choćby był tak sprytny jak ona, nie może zniknąć zupełnie bez śladu. Ktoś musiał ich widzieć. Gdzieś są.

- Gdzie, do diabła? - spytał na głos.

Nie miał pojęcia, od czego zacząć poszukiwania.

Jedno wiedział absolutnie na pewno: jeśli Matt Burnwood odszuka byłą żonę przed władzami, nie będzie musiała się obawiać zeznań przed sądem.

Zostanie zabita.

Rozdział trzdziesty dziewiąty

... umarła na AIDS, zanim jej sprawa weszła na wokandę. Umierała w cierpieniach, w nie najlepszych warunkach. Tej kobiecie zależało tylko na tym, by pożegnać się z dziećmi. Ale jej prośbę odrzucono. - Opowiadała Johnowi historię, którą zrelacjonowała także Gibbowi i Mattowi. W innym życiu, jak jej się zdawało. Bo było to inne życie, jakże odległe od małej sypialni w wiejskim domku babci w południowo-wschodnim Tennessee. - Ilekroć przegram jakąś sprawę, bardzo to przeżywam. Jakbym znów ją zawiodła.

_ I dlatego wybrałaś jedną z naj trudniejszych dróg w swoim zawodzie?

- Być może.

_ Rzeczywiście wzruszająca historia, ale myślę, że nie tylko o nią chodzi. Skłonność do angażowania się osobiście została w tobie wykształcona, zanim zetknęłaś się z tą chorą na AIDS

kobietą, zanim nawet zostałam prawnikiem.

_ Dlaczego chcesz rozmawiać o moim życiu? - Uniosła głowę z jego ramienia, by spojrzeć mu prosto w twarz. - To takie ważne?

- Nic o tobie nie wiem. Pamiętam wyłącznie to, co się zdarzyło po tym, jak odzyskałem przytomność. Tak, dla mnie ważne.

Westchnąwszy, położyła głowę z powrotem na jego ramieniu.

Prawdę mówiąc, wcale nie odczuwała takiej niechęci do rozmowy, jaką okazywała. Jego spokojny sposób bycia usposabiał do zwierzeń, a poza tym chciała, by ją zapamiętał. Potem.

- Co cię tak nakreca, Kendall?

- Kto mówi, że jestem nakrecona?

- Ej - powiedział karcąco - nie rób uników. Co się stało z twoimi rodzicami?

- Zginęli w katastrofie prywatnego samolotu, gdy lecieli na narty do Kolorado.

- Jacy byli?

- Niezwykle witalni. Pogodni. Oddani sobie nawzajem i mnie. Dwoje najcudowniejszych ludzi pod słońcem. Kochałam ich z całego serca.

- Umarli zbyt wcześnie, więc uznałaś, że musisz to odrobić, żyć w dwójnasób, także za nich. To cię napędza.

Znowu gwałtownie uniosła głowę.

- Ty co, odgrywasz psychiatrę? - zadrwiła, ale się me uśmiechnął.

- Dlaczego jesteś tak uparta i tak rygorystyczna wobec siebie, Kendall?

- Mówiłam ci...

- Sięgnij głębiej.

- Świetnie, skoro masz ochotę bawić się w lekarza, mogę cię rozerwać. - Z rezygnacją wzięła głęboki oddech. - Tego ranka, gdy wylatywali do Kolorado, ojciec uściskawszy mnie na pożegnanie, powiedział: „Zobaczmy, czy do naszego powrotu uporządkujesz swój pokój tak, żebyśmy mogli być z ciebie dumni”. Cóż, nigdy nie wrócili. Chyba wciąż próbuję sprawić, by mogli być ze mnie dumni.

- Skondensowane, ale wnikliwie.

- Dziękuję ci. Skoro tak, może byśmy się zajęli czymś bardziej relaksującym? Znam znacznie przyjemniejsze wersje zabawy w doktora.

- Nie uzyskasz akceptacji kogoś, kto nie żyje, Kendall. Nie musisz być zawsze najlepsza.

- Już to słyszałam.

- Od kogo?

- Od męża. - Spojrzał na nią przenikliwie i serce Kendall omal przestało bić. Panika w niej rosła, ale wiedziała, że musi coś powiedzieć, dać jakiegokolwiek naprędce wymyślane wyjaśnienie. - To znaczy, tak się zmieniłeś, że mam wrażenie, jakbyś był kimś innym, nie tym mężem, który mnie zdradził.

- Bo jestem kimś innym, prawda?

- Jesteś - zapewniła zdecydowanie. - Zmieniłeś się nawet, odkąd tu przyjechaliśmy~ Właściwie wcale nie przypominasz mężczyzny, którego poślubiłam. Jakby odpłynął ze złym snem, który miałam w innym czasie i w innym miejscu.

Patrzył jej w oczy przez dłuższy czas, nim wreszcie na nowo podjął rozmowę.

- Zaczęłaś kłamać po wypadku rodziców, tak?

- Nie kłamię.

- Nie ma nad czym dyskutować, Kendall. Jesteś w tym dobra.

- Gdybym była, nie podejrzewałbyś, że wszystko, co mówię, to kłamstwo.

- Nie wszystko. Ale wiele. Musiałaś całe lata trenować.

- Zawsze chciałam upiększać zdarzenia. Już jako dziecko... ja nie kłamałam, przekształcałam rzeczywistość, żeby wyglądała przyjemniej. Zamiast mówić o rodzicach, którzy nie żyją, opowiadałam o dwojgu fascynujących ludziach i ich olśniewających karierach, wymagających przebywania poza domem. Jednego roku byli gwiazdami filmowymi, usiłującymi chronić mnie przed zepsuciem Hollywoodu. Drugiego badali Biegun Północny. Byli nawet misjonarzami działającymi za żelazną kurtyną: w niedzielę nawracali zagubione owieczki, a w ciągu tygodnia wypełniali niebezpieczne zlecenia CIA.

- Co za wyobraźnia.

- Nie spotykała się z uznaniem nauczycieli - uśmiechnęła się. - Stale wpadałam w kłopoty z powodu tego, co nazywano kłamstwem, a co było tylko sposobem na upiększenie faktów, zmianę sytuacji, której inaczej nie byłabym w stanie znieść.

- A co z dorosłością? Upiększałaś fakty, gdy powstawała sytuacja, którą trudno ci było znieść?

- Co masz na myśli? - zapytała podejrzliwie.

- Na przykład, gdyby twój mąż został dotknięty amnezją i nie pamiętał niczego o tobie ani waszym związku, czy zdołałabyś ukryć swoje prawdziwe uczucia wobec niego?

- Masz rację. - Łzy napłynęły jej do oczu. - Trudno zliczyć, ile razy skłamałam. Zwykle po to, by zmienić sytuację na lepszą. Ale czasem, przyznaję, tylko po to, żeby postawić na swoim. - Musnęła palcami jego włosy, rzęsy, wargi. - Ale pewnych rzeczy nie da się ukryć. Miłość do nich należy. Nie mogłabym udąć, że cię kocham. Nawet cierpiąc na amnezję, wiedziałbyś o tym. Po prostu byś to czuł. - Przyłożyła jego rękę do swego serca i przytrzymała ją tam. - Kiedy odzyskasz pamięć, możesz zapomnieć o wszystkim, co się zdarzyło po wypadku. Także o czasie spędzonym tutaj, w tym domku.

- Otoczyła jego twarz dłońmi. - Ale pamiętaj, że cię kochałam, kiedy byliśmy razem. -

Przypieczętowała pocałunkiem to wyznanie.

Odpowiedział pocałunkiem i już nie oderwali od siebie ust.

Jego ręce zaczęły błądzić po zaokrąglonych krzywiznach jej ciała. Jej zgięte kolano prowokująco dotknęło jego pachwiny. - Jeszcze - szepnął.

Przyciskała lekko kolano do kędzierzawej gęstwiny, aż wyraźnie poczuła jego erekcję. Zaczęła masować naprężony, gładki seks.

Całował jej ciało, odchylając je coraz bardziej, aż ułożył ją na plecach. Pieścił językiem i zębami skórę brzucha, pocierał brodą wzgórek łonowy. Głaskał jej uda, a potem rozdzielił je i zaczął ją całować.

Owładnęły nią zupełnie oszalamiające doznania. Bez cienia wstydu czy skrępowania pozwoliła, by ją pochłoneły. Jego język sondował delikatnie, drażnił, trzepotał, aż zadrżała jak kryształ.

Uniósł się, pocałował ją w usta i wszedł w nią. Kiedy poruusiła biodrami, by go przyjąć, zamamrotał coś i zamknął oczy. Zanurzyła mu palce we włosy i mocno je zacisnęła.

- Otwórz oczy, John. Patrz na mnie - powiedziała cicho, ale z naleganiem. - Patrz na moją twarz. Zapamiętaj mnie.

Otworzył oczy, jak prosiła, i nie mógł powstrzymać głębokich, mocnych pchnięć. Wykrzyknął jej imię ochryłym, przeerywanym głosem i poddał się spazmowi, który rozkołysał cały świat.

Kiedy było po wszystkim, ogarnął ją ramionami, otulił sobą, skrywając płonąca twarz w wygięciu jej szyi.

Kendall długo trzymała go w objęciach i głaszcząc po głowie szeptała:

- Zapamiętaj mnie, John, zapamiętaj.

Rozdział czterdziesty

- Cześć - powiedział chudy blondyn, wślizgując się na miejsce za stołem naprzeciwko Ricki Sue.

- Odwal się.

- Niezbyt przyjazne powitanie. Nie pamiętasz mnie? Pytałem się z bratem o drogę dziś rano.

Ricki Sue siedziała samotnie od jakiejś pół godziny i popijała zdrowo, usiłując stępić wymowę gróźb, jakie usłyszała od Pepperdyne'a.

Jeśli coś straszego przydarzy się pani Burnwood i jej dziecku, powiedział, ona będzie winna. Jeśli chce zobaczyć przyjaaciółkę żywą, powinna grać z nim uczciwie i wyznać wszystko, co wie.

Jeśli zginą, nigdy nie uwolni się od wyrzutów sumienia. Ich życie zależy tylko od niej.

Mówił i mówił, roztaczając straszliwe perspektywy i w końcu ogarnęło ją pragnienie, by uciec od jego głosu. Kiedy wreszcie wyszedł, doznała uczucia klaustrofobii. W całym domu panoował bałagan; Pepperdyne obiecał przysłać następnego dnia ludzi, by jej pomogli usunąć proszek na odciski palców, ale nie była w stanie ani chwili dłużej patrzeć na obraz zniszczenia. Świadomość, że naruszono jej prywatność, że ktoś dotykał należących do niej rzeczy, wywołała rzadki u Ricki Sue stan niepewności. Poza tym, choć za nic nie przyznałaby się do tego Pepperdyne'owi, była zbyt przestraszona, by zostać w doomu sama.

Musiała wyjść. Dlatego znalazła się w tym barze. Rzadko tu przychodziła. Nie pragnęła towarzystwa dzisiejszego wieczoru, wolała więc unikać miejsc, gdzie z pewnością natknęłaby się na znajomych. Miała zamiar się upić. Sama. Kilku mężczyzn zwróciło na nią uwagę, ale zgasiła ich zapraszające spojrzenia nieprzyjaznym wzrokiem. Żaden nie odważył się podejść.

Podniosła głowę i przyjrzała się uważnie mężczyźnie, który się do niej przysiadł. Rozpoznała go natychmiast i serce jej lekko podskoczyło. Wulgarna odprawa zgasiła na jej ustach, nachmurzona mina przerodziła się w uśmiech.

- Znaleźliście Sunset Street?

- No. Dzięki tobie. Ale znajomy, co go szukaliśmy, wyniósł

się gdzieś z tego miasta. - Henry Crook wzruszył obojętnie ramionami. - No i dobra. Wędrujemy sobie trochę po świecie i pomyśleliśmy, że do niego wpadniemy.

- Gdzie twój brat?

- Ma na imię Luther. A ja Henry.

- Ricki Sue Robb.

- Śmiesznie nadziać się na siebie dwa razy w jeden dzień.

Jakieś przeznaczenie albo co?

- Na pewno - wdzięczyła się Ricki Sue.

Miał niesamowicie niebieskie oczy i piękne blond włosy. Nie był może orłem, ale co z tego?

Pepperdyne ze swoją inteligencją był jak wielki wrzód na zadku. Zresztą czuła się gorsza w towarzystwie naprawdę inteligentnych facetów. Woolała już tych na równym z nią poziomie. Zwykle odstręczało ją od mężczyzny, jeśli się kiepsko wysławiał, ale złości bliźniacy o wystających kościach mieli dla niej jakiś swoisty urok.

- Właśnie kończę drinka - zatrzepotała rzęsami.

- Mogę ci postawić jeszcze jednego?

- Bardzo miło z twojej strony. Poproszę whiskey z wodą.

Złożył zamówienie przy barze, a potem odwrócił się i uśmiechnął nieśmiało, po chłopięcemu, aż jej się gardło ścisnęło. Nieśmiali mężczyźni zawsze ją ekscytowali. Tyle ich mogła nauczyć!

Kiedy wrócił z drinkami, pociągnęła parę łyčzków i spytała:

- Skąd jesteście?

- Ee... z Wirginii Zachodniej.

- Aha. Myślałam, że dalej na południe, sądząc po wymowie.

- Wychowaliśmy się w Karolinie Południowej, ale rodzice wyprowadzili się, jak Luther i ja byliśmy w średniej szkole. - Czym się zajmujecie?

Robimy w samochodowym interesie.

_ Och, jakie to interesujące! - wykrzyknęła. - Fascynują mnie samochody, silniki i cała reszta.

Prawdę mówiąc, nie fascynowały jej ani trochę, ale udając zainteresowanie mogła pochylić się ku młodemu mężczyźnie i oszołomić go szczodrym widokiem odsłoniętych piersi. Miała na sobie czarną bluzeczkę, tak pomyślaną, by rozchyłała się, ukazując czarny biustonosz. Zahipnotyzowany tym, co zobaaczył rozlał nieco piwa, gdy podnosił kufel do ust.

.- Wiesz, wróciliśmy z bratem, żeby się z tobą zobaczyć.

_ Tak? Kiedy?

_ Jak się okazało, że ten znajomy już tu nie mieszka. Ale wyglądało na to, że w całym twoim mieszkaniu jest pełno glin.. -

_ I było. - Nachmurzyła się. - Ktoś się do mnie włamał.

_ O, cholera! Co ukradli?

_ Henry, skarbie - odchyliła się z powrotem do tyłu - nie będziemy o tym rozmawiać, dobrze? To mnie przygnębia. - Wyciągnęła dłoń, a on pochwycił ją skwapliwie.

_ Nie jestem zaskoczony. Od razu sobie z Lutherem pomyśleliśmy, że coś się dzieje niedobrego, jakżeśmy zauważyli tych prywatnych detektywów, co to obserwowali twój dom przez ulicę.

Choć oszołomiona alkoholem, natychmiast oprzytomniała. Wyszarpnęła dłoń z jego uścisku.

_ Jacy prywatni detektywi? O czym ty mówisz?

_ Nie chciałem cię zezłościć. Myśleliśmy z Lutherem, że twój były ich nasłał.

_ Nie ma żadnego byłego.

_ Nie? - Ściągnął brwi zakłopotany. - Ktokolwiek ma powód cię śledzić, właśnie to robi.

Przyszli tu za tobą.

Burnwoodowie! Tutaj! Widzą ją! Trzymają na celowniku lunetki jednej z tych obrzydliwych strzelb używanych do polowania, o których jej mówiła Kendall.

_ Gdzie? - wychrypiała.

_ A tutaj. Są przy automacie z papierosami. - Wskazał kierunek ruchem głowy. - Możesz się odwrócić. Akurat nie patrz.

Rzuciła szybkie spojrzenie w stronę automatu. Jeden z męż-czyzn był człowiekiem Pepperdyne'a, drugiego widziała po raz rierwszy, ale nie miała wątpliwości, że również jest agentem FBI.

Idiotycznie wyglądali w czystoiteńkich nowiutkich czapkach z daszkami, które miały ich upodobnić do klienteli baru.

- Cholerny dupek! - wysyczała. - Nie do wiary! Kazał mnie śledzić, jakbym to ja była przestępcą.

- Kto? O co chodzi? Co za dupek? Jak się nazywa? Chcesz, żebyśmy go z Lutherem uszkodzili?

- Nie, nie... To nic takiego, naprawdę...

- Słuchaj, jak masz jakieś kłopoty...

- Nie ja, moja przyjaciółka. Ci faceci są z FBI. Myślą, że coś wiem i nie chcę powiedzieć.

- A wiesz?

- Nawet gdyby, to i tak bym nie powiedziała.

Ryzykowne umawiać się na randkę, skoro już wiedzieli, że została wplątana w sprawę na tyle poważną, by interesowała FBI, pomyślała. Ale Henry zamiast ostrożności okazał entuzjazm.

- No, no. Ekscytujące życie prowadzisz, madame.

- Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo, kochany - skrywając ulgę, obdarzyła go promiennym łobuzerskim uśmiechem.

- Chętnie bym się dowiedział...

- No to chodźmy stąd - podjęła spontanicznie decyzję. Potrzebowała wypoczynku i relaksu dzisiejszego wieczoru. _ Znam wiele miejsc stosowniejszych do prywatnych spotkań. - Przełknęła jednym haustem resztę alkoholu i w tym momencie przypomniała sobie o śledzących ją agentach Peppperdyne'a. - Cholera! Nie chcę, żeby się za mną wlekli!

Henry zastanawiał się przez chwilę.

- Mam pomysł. Brat gra w tylnej sali w bilarda. Co ty na to, żebyśmy tam poszli? Zostanę chwilę, a potem tu wrócę i będę udawał, żeśmy się nie dogadali, rozumiesz? Ty z Luutherem wysłiznicie się tylnym wyjściem. Ja wyjdę potem przez frontowe drzwi. Zanim ich zaciekawii, co tam robisz, i zajrzą do bilarda, ty już będziesz daleko.

- Fantastycznie! - Zachwiała się, wstając. - Ops...! Jesstem na najlepszej drodze, żeby się zalać.

- Nie jesteś ni cholery zalana - oświadczył, obejmując Ricki Sue w talii, żeby ją podtrzymać. - Wiesz, jak się zabaawić, i tyle.

- Niezły z ciebie musi być rozpustnik - powiedziała opierając się na nim.

Plan Henry'ego w pełni się powiódł. Nie minęło pół godziny i dołączył do niej i Luthera na umówionym rogu. Gdy samoochód podjechał do krawężnika, wskoczył na przednie siedzenie camaro. Luther nacisnął na gaz i ruszyli z piskiem opon.

Ricki Sue uznała, że Luther jest tak samo przystojny i czarujący jak jego bliźniaczy brat. Siedzieli wszyscy ściśnięci na przednim siedzeniu, musiała więc okraczyć lewarek dźwigni biegów, co dało pretekst do żartów i lubieżnych komentarzy. Samochód podskakiwał na wybojach, podrzucając ją niemal do sufitu, co wywoływało ich hałaśliwą wesołość. Trzymała przytkniętą do ust butelkę jacka danielsa, gdy przejeżdżali przez tory kolejowe, i rozlała na siebie allkohol.

- No i zobaczcie, coście ze mną zrobili - powiedziała, śmiejąc się tak serdecznie, że prawie nie mogła złapać tchu.

- Ty, Luther, przez twoją wariacką jazdę pani jest wilgotna.

- Możemy jej pomóc się osuszyć.

- Z ochotą.

- Ale jesteście niegrzeczni! - Wymierzyła im po klapsie w udo. - Dobrze wiem, o czym myślicie.

- To miało być to? - Henry pochylił się i zaczął lizać ją po szyi. - O tym myśleliśmy?

Ricky Sue odchyliła głowę, pojękując i popiskując.

- Ej wy, to nie fair! - zawołał Luther. - Muszę jeechać. - Zdołał jednak jakoś prowadzić jedną ręką, a drugą włożył po omacku między jej uda.

Ricki Sue nie mogła sobie przypomnieć, kto zaproponował przystanek na motelowym parkingu. Być może ona. Nie pierwszy raz zatrzymywała się w tym właśnie motelu. Recepcjoonista narkoman był zwykle zbyt oszołomiony, by zwracać uwagę na to, co się wpisywało do książki lub czy w ogóle cokolwiek się wpisywało; obchodziło go tylko, czy dwudziestka leży na ladzie. Ale po raz pierwszy znalazła się tutaj, zresztą w ogóle gdziekolwiek, z bliźniakami. Urok nowości wzmagał podniecenie. Chwiejnie wkroczyła do pokoju, który wynajęli.

Luther... a może Henry - im więcej piła, tym bardziej stawali się do siebie podobni - powiedział coś, co wywołało jej histeryczną wesołość. Targana paroksyzmami śmiechu, paddła na łóżko.

Luther położył się z jednej strony, Henry z drugiej. Pocałował ją jeden, i zaraz drugi. Potem znowu pierwszy. W końcu nie mogła odróżnić jednych ust od drugich.

- Ej, ej, zaraz, zaraz! - Odsunęła ich na bok w dobbrodusznym proteście i usiadła. Pokój

zawirował; przycisnęła dłoń do głowy, jakby miała jej to pomóc utrzymać równowagę. Z uroczystą powagą, do jakiej zdolny jest wyłącznie człowiek w stanie całkowitego upojenia, oświadczyła: - Cierpliwości, chłopcy. Odtąd nic bez gumek.

Bliźniacy pochwycili pakieciki, które wyciągnęła z torebki, a ona osunęła się omdłym ruchem na łóżko, myśląc o zainteresowaniu, jakie wzbudzi rano przy automacie z kawą. Oby zawsze miała jakąś zadziwiającą historię do opowiedzenia!

Rozdział czterdziesty pierwszy

Matt prowadził samochód, dopóki Gibb nie polecił mu, by się zatrzymał na przydrożnym parkingu. Przestrzegając limitów prędkości i zwracając baczną uwagę na znaki drogowy, oddalili się wreszcie od Sheridan na bezpieczną odległość.

Gibb nie mógł się doczekać, kiedy pozna zawartość pudełka po butach znalezione pod łóżkiem Ricki Sue. Wytrząsnął karty i listy na siedzenie samochodu. Rozdzielili je między sobą i zaczęli czytać. Szybko stało się dla nich oczywiste, że Ricki Sue przechowywała wszystko, cokolwiek napisali do niej mężczyźni. W końcu ich to znużyło.

- Nic tu nie ma - powiedział Matt znudzony.

- Nie powinniśmy ominąć żadnego listu - upierał się ojciec. - To może być właśnie ten jedyny, który zawiera wskazówkę.

Pośród wielu przedziwnych listów od byłych kochanków znaleźli nabazgraną notkę od kolegi szkolnego o imieniu Jeff, zawierającą prośbę, by Ricki Sue pokazała mu majtki. Kuzyn Joe, odbywający służbę na okręcie John F. Kennedy, w długim, napisanym bez składu liście obiecywał solennie, że przekaże jej adres samotnym kolegom. Była też kartka od nauczyciela ze szkółki niedzielnej z uwagą, że nie przyszła ostatniej niedzieli. Matt podniósł kolejną pocztówkę i natychmiast rozpoznał charakter pisma.

- Ta jest od Kendall.

Nadal był apatyczny i obojętny. Działał automatycznie, niezdolny do jakiejkolwiek samodzielnej decyzji. Łatwiej przychodziło mu wykonywać polecenia. Automatyzm czynności był jak tarcza chroniąca przed bólem.

Zachowywał się tak od momentu, gdy została zamordowana Lottie.

Wydawało mu się, że sam umarł. Nie wyobrażał sobie, by mógł jeszcze kiedyś napisać artykuł wstępny, wydać kolejny numer gazety. Nie sądził, by cokolwiek wzbudziło jego entuzjazm: jedzenie, picie, polowanie, sprawy Brotherhood... w ogóle życie. Czuł pustkę i nikt poza Lottie nie mógł jej wypełnić. Ojciec twierdził, że poczuje się inaczej, kiedy odnajdzie syna, ale on sam w głębi ducha w to wątpił. Czuł szarpiący ból, równie ostry jak wtedy, gdy byli jeszcze nastolatkami i ojciec zabronił mu widywać się z Lottie; zawsze jednak pozostawała słaba nadzieja, że któregoś dnia to się zmieni i będą razem. Czepiał się tej myśli kurczowo. Poozwalała mu przetrwać trudne dni, kiedy umierał z niezaaspokojonego pożądania.

Teraz stracił ją na zawsze; nie było już na co oczekiwać.

Ojciec pocieszył go przypomnieniem, że prawdziwa nagroda czeka ich po śmierci, w Niebiesiech, ale Matt znalazł już niebo - z Lottie. I wcale nie był pewien, czy pragnie życia wiecznego, skoro miało trwać bez niej.

To Kendall odpowiadała za śmierć Lottie. Ojciec mu to uświadomił. Gdyby nie wtrącała się do spraw, których nie była w stanie pojąć, gdyby zachowywała się, jak na posłuszną, łagodną żonę przystało, nic z tego, co dotąd, by się nie wydarzyło. Lottie nadal by żyła, wciąż obdarzając go uśmiechami, pocałunkami i uściskami, dla których żył.

Ileokroć pomyślał o tym, co stracił, dławiała go nienawiść do Kendall. Zapłaci mu za to. Już on

tego dopilnuje. Sama na siebie ściągnęła karę, jak wszyscy ukarani przez Brotherrhood.

Spojrzał z obrzydzeniem na pocztówkę, ponieważ pochodziła od niej.

Rozpoznaję jej charakter. - Kiedy ją napisała?

- Stempel pocztowy jest zamazany - powiedział Matt, podnosząc kartkę do lampki nad deską rozdzielczą - ale chyba dawno, bo papier pożółkł na brzegach.

- Tak czy owak, przeczytaj.

„Bawimy się wspaniale, jeśli nie liczyć okropnego upału i moskitów. Mało mnie nie pożarły, kiedy poszliśmy wczoraj z B. na nasze ulubione piknikowe miejsce”.

- „B” oznacza zapewne „babcia” - stwierdził Gibb. - Jest coś poza tym?

- Miała za mało miejsca, litery są ściśnięte. - Matt zmrugał oczy, by odcyfrować drobne pismo. - „Opowiadałam ci o nim: działo Konfederatów, wodospad itd. Całusy”. To wszystko. Narysowała małe serce zamiast podpisu.

- Działo Konfederatów? Wspominała ci kiedykolwiek o tym miejscu?

- Może. - Matt wyteżył pamięć, ale umysł wciąż poddsuwał mu obraz martwych oczu Lottie. - Chyba tak. Mówiła, że spędzały z babcią wakacje w starym wiejskim domu.

- Stary dom, położony blisko konfederackiego działka i wodospadu. - Podekscytowany Gibb otworzył skrytkę na dokumenty, wyciągnął mapę drogową Tennessee i rozpostarł ją sobie na kolanach. - Nauczyłeś się czegoś o dzikiej przyrodzie, Matt - stwierdził. - Kiedy zwierzę zostało zranione, gdy czuje strach, co robi? Gdzie się chroni?

- W legowisku.

- Innymi słowy w domu. Ale ona nie wróciła do domu.

Nie mogła. Zatem podążyła do innego, podobnego miejsca. Musimy znaleźć pomnik z czasów wojny domowej i wodospad. - Oczy mu się roziskrzyły. - Synu, pomyśl tylko: zanim wstanie świt, będziesz trzymał swoje dziecko w ramionach.

Matt próbował wykrzesać z siebie choć odrobinę entuzjazmu. Wyobrazić sobie, jak podrzuca synka na kolanach i śmieje się, szczęśliwy i wolny. Wolny? Właśnie. Przez całe życie nigdy nie był wolny.

I nigdy bardziej mu to nie doskwierało.

Kendall uwolniła się z objęć Johna. Wymamrotał niezrozumiałe pytanie.

- Idę do łazienki - wyszeptała. - Zaraz wracam. Odplynał z powrotem w sen. Pochyliła się i pocałowała go w czoło, a potem przyjrzała jego twarzy, zapamiętując każdy szczegół.

Jeśli wszystko pójdzie, jak zaplanowała, widzi go ostatni raz. Poczwała wzbierający w gardle szloch. Zdławiwszy go, wyśliznęła się z łóżka i po cichutku szybko ubrała w ciemnościach.

Od chwili gdy Ricki Sue powiedziała jej o ucieczce Gibba i Matta z więzienia, wiedziała, że musi odejść. Nie miała czasu do stracenia. I tak zwlekała zbyt długo. Mimo to podarowała sobie ostatnią noc z Johnem.

Matt i Gibb będą ją tropić i na pewno znajdą. Była o tym przekonana. Bardziej obawiała się ich myśliwskiego instynktu niż nowoczesnych komputerów i sieci agentów FBI.

Gdyby tylko o jej życie chodziło, mogłaby ryzykować i zostać z Johnem. Ale musiała myśleć o Kevinie. Kiedy Burnnwoodowie ich znajdą, zabiją ją, a synka uprowadzą. Była to zbyt przerażająca myśl, by ją rozważać. Jeśli zaś FBI złapie Burnwoodów, Kevin pozostanie pod rządową kuratelą, a jego przyszłość będzie zależała od obcych.

Musi chronić dziecko, choćby łączyło się to z porzuceniem mężczyzny, którego kocha. Odejdzie, niczego nie wyjaśniając, nawet nie mówiąc „do widzenia”. Kiedy rankiem John odkryje jej zniknięcie, będzie zdenerwowany, pewnie wręcz zły. Ale krótko. Zostawiła mu wiadomość z

obietnicą, że pomoc w drodze. Dzisiejszego popołudnia wysłała kartę pocztową do miejscowych władz i podała, gdzie znajdują Johna McGratha, zaginionego szeryfa Stanów Zjednoczonych. Gdy tylko ją otrzymają, natychmiast wyślą kogoś do wiejskiego domku. Jego przyjaciel, Jim Pepperdyne, dopilnuje, by John dostał najlepszego neurologa. W swoim czasie pamięć mu wróci. Świadomość, że może nie pamiętać ich wspólnych szczęśliwych dni, rozkrwawiała jej serce, niemniej rozumiała, że tak byłoby dla niego najlepiej. Nie będą mogli pociągnąć go do odpowiedzialności za to, co się zdarzyło; nie będzie się czuł odpowiedzialny ani przed przełożonymi, ani przed samym sobą.

Poszła bezszelestnie do pokoju Kevina i wzięła torbę z zapakowanymi ubrankami, pieluszkami i drobiazgami codziennego użytku, które uznała za niezbędne. Chciała mieć jak najlżejszy bagaż. Zostawiwszy na razie Kevina w prowizorycznej kołysce, pośpieszyła do tylnych drzwi. Po drodze zajrzała do sypialni; John spał głęboko.

Do świtu zostało wprawdzie jeszcze kilka godzin, ale teraz liczyła się już każda minuta. Umieściła torbę w aucie. Znalazła wczoraj w szopie za domem trochę farby i przemaalowała dwie trójki na tablicy rejestracyjnej na ósemki. Przy pierwszych oględzinach zostanie to wykryte, ale może zapobiegnie zatrzymaniu jej do czasu, gdy zdoła porzucić samochód i kupić nowy.

Wróciwszy do domu, zajrzała do spiżarni, gdzie czekały torby z butelkami wody i żywnością o przedłużonej trwałości. Będzie mogła jeść i pić podczas jazdy bez konieczności zastrzymywania się, chyba że dla nakarmienia Kevina albo skorzystania z toalety. Oczywiście muszą gdzieś spać - wybierze oddalone od drogi motele, gdzie płacenie gotówką nie wzbudzi podejrzeń. Jeśli zabraknie jej pieniędzy, porozumie się z Ricki Sue. Ufała przyjaciółce ślepo, ale dla jej bezpieczeństwa wołała jak najrzadziej się z nią kontaktować: tylko wtedy, gdy okaże się to bezwzględnie konieczne.

Zapakowała torby z żywnością do samochodu i po raz ostatni wróciła do domu. Ukłękła przed paleniskiem kominka w pokoju dziennym, sięgnęła do komina i wyciągnęła rewolwer. Dawał szansę na obronienie się przed Gibbem i Mattem, mimo to wciąż wzdragała się go dotykać. Trzymając broń z największą ostrożnością, wsunęła ją do kieszeni spodnicy.

Nagle uderzyła ją niepokojąca myśl: a jeśli Burnwoodowie trafią na jej ślad, nim pomoc dla Johna nadejdzie? Wiedzą już pewnie, że „uprowadziła” szeryfa ze szpitala w Stephenville. Zamordują go bez litości.

Wyjęła rewolwer z kieszeni i zaniósła go do kuchni. Zoostawiła broń na stole, oparłszy o nią kopertę z wiadomością dla niego. W jakiś sposób puentowała tym to wszystko: ostatnią rzeczą, jaką miała mu do przekazania, była pierwsza rzecz, jaką mu zabrała, gdy leżał nieprzytomny na nasiąkniętej deszczem ziemi.

Daleko od tamtej pory zaszli.

Czując wzbierające łzy, poszła po cichutku do sypialni Kevina i wyjęła synka z kołyski. Zakwilił protestując, ale utuliła go w ramionach i od razu usnął z powrotem.

Rzuciła ostatnie spojrzenie na mroczny pokój, gdzie John leżał nie poruszywszy się nawet, i poszła szybciotko holem do kuchni. Choć tak się wysilała, by nie płakać, pojedyncze łzy spłynęły jej po policzkach.

Spędzała ostatnie sekundy w domu, z którym wiązało się tyle wspaniałych wspomnień. Nigdy więcej nie będzie się tu mogła schronić. Nigdy nie powróci do pokoi, w których buudziły się echa śmiechu babci. Do pokoi, w których zaznała miłości - babci i Johna.

Czy zawsze musi być tak, że porzuca wszystko i wszystkich, których kocha?

Kevin zakwilił.

- Nie wszystkich - wyszeptała. Pocałowała synka w główwkę i ruszyła zdecydowanie do drzwi. Wyciągała już rękę do klamki, gdy nagle zapaliła się lampa na suficie. Odwróciła się, ale

oślepiąca nagłą jasnością dostrzegła tylko nierozpoznawalną sylwetkę zbliżającego się do niej i Kevina mężczyzny.

Rozdział czterdziesty drugi

Bliźniacy odbywali w motelowej łazience krótką naradę: jak spoić grubego rudzielca na tyle skutecznie, by rozwiązał jej się język, ale żeby nie straciła przytomności.

- Ej, chłopaki - zawołała Ricki Sue z łóżka wysokim, śpiewnym głosem. - Co wy tam robicie, he?

- Chyba nigdy więcej mi nie stanie. - Luther popatrzył z rozpaczą na swój miękki penis. - W życiu nie widział baby, co by tyle wytrzymała. Myślisz, że to jakiś wybryk natury czy co?

- Przestań skamleć. Trzeba ją zmusić, żeby się rozgadała o tej Burnwood.

- A jak to chcesz zrobić, Henry? - Luther masował łagodnymi ruchami dłoni jądra. - Wydudliła prawie całego jacka danielsa i nic jej to nie zmiękczyło, tylko się zdrowo na nas napaliła.

Henry zastanawiał się przez chwilę. Ricki Sue zawołała ich ponownie.

- Lepiej do niej wrócić, zanim nabierze podejrzeń. Coś wymyślę. Tylko pogrywaj tak samo jak ja.

Nadaśana Ricki Sue leżała rozciągnięta na łóżku.

- Zaczęłam myśleć, że się zabawiacie beze mnie.

Henry zauważył, że już nie wymawia słów tak wyraźnie jak przedtem. Pokazał ukradkiem wzniesiony kciuk bratu i ułożył się przy jej boku.

- W życiu! Co za zabawa bez naszej dziewczuszki? No nie, Luther?

- Jasne, stary. Żadna zabawa. Nie pora na następną kolejkę? - Bliźniak udał, że pociąga tęgi łyk, zanim podsunął butelkę Ricki Sue.

- Co wy, chłopcy? Chcecie mnie upić czy jak? - Obrzuciła ich obu podejrzliwym spojrzeniem, ale zanim zdążyli cokolwiek odpowiedzieć, roześmiała się głośno i uniosła butelkę do ust. - Klnę się na Boga, możesz wypić więcej niż każdy, kogom znał, Ricki Sue. - Henry puścił oko do brata ponad jej bładym, usianym piegami, obfitym ciałem. - Co nie, Luther? - Jasne.

- Prawdę mówiąc, zrobiłaś na mnie wrażenie pod każdym względem. Na przykład to, jakieś przechytrzyła tych fedsów. Warto to było zobaczyć. Dobrze im tak, po co węszą w cudzych sprawach.

- Ten Pepperdyne myśli, że jest cwany jak jasna choleera. - Ricki Sue parsknęła pogardliwie. - „Wie pani, gdzie znaleźć panią Burnwood”. To pani wie, tanto pani wie _przedrzeźniała. - Skąd niby wie, co ja wiem, jak tylko ja sama to wiem.

- Taa... - mruknął Luther. - Dlaczego go nie pošlesz w diabły za to, że ci zadaje osobiste pytania na temat twojej najlepszej przyjaciółki?

Henry rzucił mu jadowite spojrzenie. Dlaczego ten jego cholerny brat nie może po prostu trzymać gęby na kłódkę? Mama ma rację: jest tak ograniczony, że aż niebezpieczny. Jedno zdanie, i prawie naprowadził dziewczynę na to, że nie uganiał się za nią wyłącznie dla rozrywki. Na szczęście za bardzo była otępiała alkoholem, by zauważyć, że Luther się zdradził.

- Będę chronić Kendall - oświadczyła i zaszlochała. „Moja przyjaciółka. Nie powiedziałabym Pepperdyne’owi, gdzie ona jest, nawet gdybym wiedziała. - Pociągnęła następny łyk i omal się nim nie zadławiła, bo zaczęła się równocześnie śmiać. Podniosła palec do góry, żeby podkreślić kwestię, którą miała wygłosić: - A-le się do-myś-lam. - Starła się wypoowiadać wyraźnie każdą sylabę.

- Przed nami nie musisz blefować, Ricki Sue. Nie jesteśmy gliniarzami, no nie, Luther?

- Pewnie, że nie, do cholery.

- Nie myśl już o tym głupim fedsie. - Henry zaczął całować ją po szyi. - Lepiej wrócić do pieszczotek..

- Nie blefuję. - Ricki Sue odsunęła go od siebie. - Naprawdę wiem, gdzie może być Kendall.

Jestem jedyną osobą na świecie, która to wie.

_ Pewnie, pewnie, złotko. My ci wierzymy, no nie, Luuther? - Henry mrugnął do brata konspiracyjnie, ale ten niczego nie pojął; psychologiczne zawilości do niego nie trafiały. - Ee... no ta... Jak Henry mówi...

- Bo tak jest. - Żeby to potwierdzić, podjęła wysiłek, by usiąść w łóżku. - Założę się, że pojechała w miejsce, gdzie zawsze spędzała wakacje z babcią.

- W porządku, dziecinko, w porządku. - Henry poklepał ją protekcyjnie po udzie. - Jak tak mówisz...

- Bo wiem. - Zabębniła pięściami w materac. - Może nie całkiem dokładnie... Ale to gdzieś koło Morton. Tam jest...

- Co?

- Wodospad.

- Wodospad?

- A co ja innego powiedziałam? - Przekrzywiła głowę i spojrzała karcąco, zezując przez nos na Henry'ego.

- Ależ tak, złotko. Nie chciałem cię zezłościć.

- I jeszcze tam jest... wielkie działo. Na kołach. Używali takich w dawnych czasach.

- Działo?

- Zgadza się! - Wbiła paznokiec wskazującego palca w pierś Henry'ego. - Wygrał pan! Główna nagroda! - Rozłożyła ręce, oferując jako trofeum swe ciało. Wywróciła oczy białkami do góry i opadła nieprzytomna na łóżko.

- Kurna mać! - wrzasnął Henry. - Zagrało! Jedziemy do Morton.

- Gdzie to jest?

- Nie wiem. Ale powinno być na mapie. Gazu, Luther, ubieraj się.

- A co z nią?

- Wiesz, co mama kazała?

- Cholerny wstyd, żeby niszczyć coś' takiego. - Luther, patrząc na Ricki Sue, oblizał z żalem wargi. - W życiu żem się nie załapał na takiego gorącego rudzielca.

_ Co powiedziałeś? - Pepperdyne zazgrzytał zębami i zaacisnął dłoń na słuchawce tak mocno, że aż kostki palców mu zbielały. - Będziesz łaskaw powtórzyć, co powiedziałeś?

- No, my... zgubiliśmy ją. Weszła do tego baru, właściwie speluny, usiadła osobno i zaczęła wlewać w siebie whiskey jak wytrawny pijak.

- Streszczaj się.

- Tak jest. Ten facet...

- Jaki facet?

- No... facet. Wysoki, bardzo chudy, o włosach koloru słomy i niesamowitych niebieskich oczach. Przysiadł się do niej i zafundował drinka. Siedzieli i gawędzili.

- Spytałeś chociaż kogoś, jak się ten człowiek nazywa?

- Oczywiście, ale nikt go nie zna.

- Ma samochód?

- Też o to pytaliśmy. Nikt nie widział, kiedy przyjechał z bratem, więc nie znamy marki.

- Z bratem...?

- Tak. Bliźniakiem.

Pepperdyne wrzucił do ust dwie aspiryny i przełknął je wraz z haustem maaloXu. Czy to wszystko musi się tak cholernie komplikować? Nie zwyczajnie brat, co i tak gmatwa sprawę, ale bliźniak.

- Bardzo do siebie podobni?

- Powiedziano nam, że nie sposób ich odróżnić.

- No tak...

- W ogóle nie widzieliśmy tego drugiego. Był w sali bilardowej, z tyłu. - Agent wyjaśnił, w jaki sposób Ricki Sue i jej towarzysz się wymknęli.

- Czym płacili za drinki?

- Gotówką.

- Mogłem się tego spodziewać - zamruczał Pepperdyne. - I nikt tutaj nie ma pojęcia, co to za jedni?

- Nie. Żadnego nazwiska. Nic. Najwyraźniej nie są stąd. - Podwładny Pepperdyne'a przerwał, jakby w oczekiwaniu bury, której się spodziewał. Ponieważ szef się nie oddzywał, zaryzykował wygłoszenie opinii: - Cóż, myślę, że spotkała się z tymi facetami i wyszła z nimi.

- To oczywiste, nie? - warknął Pepperdyne.

- To znaczy... myślę, że ci bliźniacy nie mieli nic wspólnego z włamaniem. Nie przypominają Gibba i Matta Burnwoodów. Wygląda mi to na przypadkowy podryw. Świadkowie twierdzą, że panna Robb dość szybko zaprzyjaźnia się z mężczyznami... sam pan rozumie. Jeden z nich udzielił nam poufnych informacji na jej temat. Powiedział, a wielu innych to potwierdziło, że znana z niej latawica. Chętna do tego. To dla niej normalne, wyjść z baru w towarzystwie nieznanego.

- Słuchaj no! - Cierpliwość Pepperdyne'a się wyczerpała. - Gównu mnie obchodzi, co robi panna Robb, nawet jeśli pieprzy się z setką facetów na głównym placu miasta w każdą sobotę! Jest obywatelką Stanów i mamy obowiązek ją ochraniać, niezależnie od tego, czy ukrywa przed nami jakieś informacje, czy nie! Mieliście rozkaz nie spuszczać jej z oka i spieszyć sprawę! Zniknęła! Nie wiemy, z kim jest ani gdzie, nie wiemy też, gdzie przebywają ci dwaj maniacy, przekonani, że są wysłannikami Boga i mają prawo mordować każdego, kto im wejdzie w drogę, a zatem i pannę Robb, skoro jest najbardziej zaufaną przyjaciółką naszego głównego świadka! - Przestał krzyczeć, żeby złapać oddech. - Dotarło to do ciebie? - Jego spokojny głos zmroził agenta bardziej niż groźby.

- Tak jest, oczywiście.

_ Żeby uniknąć niedomówień, pozwól, że jeszcze raz wyjaśnię: jeśli coś się przydarzy Ricki Sue, przybiję cię za jaja do podłogi, jasne?

- Tak jest, oczywiście.

- Zabieraj się do roboty.

- Tak jest.

Pepperdyne cisnął słuchawkę, po czym wysłał jeszcze kilku agentów do baru w nadziei, że wpadną na ślad nieznanymi bliźniaków. Przekazał im zwięzły opis:

- Wysocy, chudzi, włosy koloru słomy, jasnoniebieskie oczy sprawiające niesamowite wrażenie, całkowicie do siebie podobni. Kobieta rudowłosa, przy tuszy. Każdy kto ją zobaczył, z pewnością zapamiętał, więc rozmawiajcie z każdym.

Przemierzał biuro, pociągając maaloX z butelki, i rozmyślał.

Czy był to prosty zbieg okoliczności, że w dniu, gdy splądrowano mieszkanie Ricki Sue, została poderwana w pijackiej spelunie przez nie zidentyfikowanych bliźniaków? Jaki może być związek między tymi dwoma zdarzeniami? Czy bliźniacy są członkami Brotherhood, wypełniającymi zadanie zlecone przez organizację, czy też to czysty przypadek?

Instynkt podpowiadał mu, że powinien przewidywać najgorsze. Jeśli bliźniacy działali w porozumieniu z Burnwoodarni lub mieli jakikolwiek związek z całą sprawą, musiał się obawiać o cztery życia: Johna, pani Burnwood, jej dziecka i Ricki Sue Robb.

Jeśli Burnwoodowie wpadną na ich ślad przed jego ludźmi... Nie mógł do tego dopuścić.

Przeniesienie Ricki Sue z motelowego łóżka do camaro było całkiem niezłym wyczynem, ale udało im się tego dokonać i nie rozbudzić jej. Nie mieli tego szczęścia wyciągając ją na powrót z samochodu. Odzyskała świadomość i natychmiast zaczęła się z nimi szarpać.

- Ej, co się dzieje? - zapytała zrzędliwie, usiłując się zorientować w sytuacji; samochód stał zaparkowany przy rowie biegnącym wzdłuż ciemnej, wąskiej drogi. - Gdzie my, do cholery, jesteśmy? Co tutaj robimy? Gdzie moje ubranie?

Luther odpowiedział zwykłym dla niego niemrawym, gapioowatym spojrzeniem.

- Ee... żeśmy myśleli... może chciałabyś popływać? - wystękał Henry.

Luther zagapił się na brata, a potem odwrócił do Ricki Sue i skwapliwie pokiwał głową.

- Na golasa, kapujesz?

- Popływać? - Zlustrowała wzrokiem otoczenie. - Tu, na tym zadupiu?

- Dobrze wiemy, gdzieśmy cię przywieźli - powiedział Henry chępliwie. - Byłem tu z Lutherem dzisiaj. Z pięćdziesiąt jardów dalej przez las płynie śliczny strumyk.

Ricki Sue popatrzyła w kierunku, który wskazywał palcem, ale widok nie dodał jej otuchy: ciemny, przerażający, głęboki las. Przedzieranie się przezeń nago, wśród dzikich zwierząt zupełnie nie pasowało do jej wyobrażeń o przyjemnym spędzaniu czasu. Uwielbiała przygody, wolała jednak przeżywać je w miejscach ograniczonych czterema ścianami i sufitem. Nie przepadała za aktywnością na świeżym powietrzu. Słońce było prawdziwym przekleństwem dla jej jasnej, delikatnej skóry. Dobsypywało ją piegami lub bąblami oparzeń. Uczulenie na sumaka jadowitego i ukąszenia moskitów objawiały się ohydnyymi czerwonymi wykwitami, które na ogół się jątrzyły i wymagały leczenia antybiotykami.

Z drugiej strony... te dwa bliźniacze kościste, chude ciała budziły w niej pożądanie. Leżenie między nimi było takie podniecające. Nadzy, oblani wodą, śliscy jak węgorze, oplotą każdą jej bujną krzywizną. Zadrzała.

- No to prowadź.

- Udawajmy Indian - zaproponował Henry. - Zostawimy za sobą tylko pojedynczy ślad stóp. Ty prowadzisz, Luther, ja zamykam tyły. - Wsunął dłonie pod jej gołe pośladki i ścisnął je.

Zapisała z zadowolenia i stanęła między nimi. Henry napierał na jej plecy. Objęła Luthera mocno w talii i pomaszerowali przez las. Kiedy zbliżyli się do koryta strumienia, usłyszała delikatny poszum płynącej wody. Westchnęła.

- Takie to romantyczne... A może jestem po prostu pijana? Henry natychmiast dojrzał szansę na wyciągnięcie butelki. - Nie jesteś. Po tej wędrówce należy nam się łyczek. Butelka zatoczyła krąg, ale alkohol nie rozluźnił bliźniaków.

Ricki Sue spostrzegła ich nerwowość, która jakby się wzmogła, gdy ujęła ich za ręce i pociągnęła w stronę strumienia.

- Co się dzieje, chłopaki? Rozmyśliliście się? Myślicie, że jest mnie za dużo nawet jak na was dwóch?

- My... ee... mieliśmy braciszka, który utonął, jak był malutki. Były z nas jeszcze dzieciaki, ale to pamiętamy. Żaden z nas nie kocha wody.

Gdyby myślała przytomniej, pewnie zaczęłaby się zastanawiać, dlaczego zaproponowali jej

orgię w strumieniu, skoro bali się wody. Zamiast tego zareagowała współczuciem.

- Och, biedne dzieciaki. Chodźcie do Ricki Sue.

Henry przypadkiem poruszył naj szersze uczucia Ricki Sue; pragnienie, które głęboko skrywała, uważając, że nie ma żadnych szans, by je zaspokoić. Tęskniła za tym, by ktoś się opiekował, być mu pociechą, nieść pocieszenie: mężowi, dzieciom, nawet rodzicom. Miała w sobie niewyczerpane pokłady miłości, której nikt nie chciał, więc skrywała je głęboko w sercu. Dlatego właśnie kłamstwo Henry'ego o braciszku, który utonął, wywołało głęboką emocjonalną reakcję. Łzy napłynęły jej do oczu. Przyciągnęła ich do siebie, zaczęła gładzić po głowach i mamrotać słowa pocieszenia.

- Nie myślcie o swoim malutkim braciszku. Jego mała dusza żyje w niebie.

Wkrótce bliskość ciał zrodziła erotyzm. Objęła ich mocniej. - Nie martwcie się, skarby - zaszepiała. - Nim noc się skończy, całkiem inaczej spojrzycie na sporty wodne. Zostawcie to Ricki Sue. - Pobrnęła chwiejnie przez wodę, ale kiedy ruszyli za nią, powstrzymała ich, uniósłszy dłoń. - Jak to się stało, że jestem jedyną nagą osobą w tym trio?

Luther spojrzał na Henry'ego, który, wzruszywszy ramionami, zaczął się rozbierać, rzucając rzeczy wprost na błotnisty brzeg strumienia. Brat poszedł w jego ślady. Henry pierwszy dołączył do Ricki Sue, stojącej po kolana w wodzie.

- Słodki jesteś - stwierdziła i zaczęła go pieścić, ale bez rezultatu.

- Daruj - powiedział. - Chyba go całkiem wykończyłaś, tam, w motelu. Może by jakiś trik pomógł?

Zaśmiała się ochryple i opadła na kolana.

- Nic nie mów. Spróbujemy tego... - Muł w korycie strumienia był zimny i śliski. Woda rozkosznie opływała jej ciało. Unosząc głowę uśmiechnęła się do Henry'ego i potarła piersiami jego uda.

Nagle wyczuła ruch powietrza tuż przy swej głowie, a potem poczuła ból, który przeniknął w głąb czaszki. Gwałtownie złapała powietrze. Whiskey podeszła jej do gardła, wypełniła usta i pociekła po policzku, gdy krzyknęła. Upadła ciężko na bok; woda plusnęła.

Oszołomiona, czując nadciągającą ciemność, popatrzyła w górę. Luther stał nad nią, trzymając w rękach krótki, gruby kij. Uniósł go ponad głowę i opuścił, wkładając w to wszystkie siły.

Przez moment czuła zdumienie; na strach nie zostało jej już czasu.

Rozdział czterdziesty trzeci

- John...! - Krzyk zamarł Kendall na wargach.

- Zgadza się, John. Sprytne, że użyłaś mojego prawdziwego imienia. W ten sposób było ci łatwiej, prawda?

- Przypomniałeś sobie.

- Tak. Zaraz po przebudzeniu.

Wpatrywali się w siebie, a odległość, która ich dzieliła, wydawała się ogromna. Dotąd miała nad nim przewagę - teraz szanse się wyrównały.

- Myślałam... że śpisz.

- Tego właśnie chciałem.

- Wiedziałaś, że zamierzam odejść?

- Uciekanie weszło ci w krew, co?

Twarz miała kredowobiałą w świetle kuchennej lampy.

Obronny gest tuliła Kevina do piersi. A może próbowała użyć dziecka jako tarczy obronnej, gdyby chciał jej zadać fizyczny ból. Wściekły, rzeczywiście poczuł taką pokusę, ale sięgnął tylko po rewolwer zostawiony na kuchennym stole i wsunął go za gumkę szortów, które naciągnął, zanim

wyszedł z sypialni.

- Co cię skłoniło do zostawienia mi broni?

- Pomyślałam, że możesz jej potrzebować.

_ Niezwykle uprzejmie z twojej strony. - Podparłszy się na kuli, wyciągnął krzesło zza stołu i podsunął w jej stronę. - Siadaj.

- John, może byś mnie wysłuchał...

- Siadaj! - krzyknął.

Obserwując go podejrziwie, podeszła do krzesła i szybko usiadła.

- Wszystko pamiętasz?

- Wszystko - powiedział. - Całe moje życie przed utratą pamięci i to, co się zdarzyło potem. John McGrath. Drugie imię Leland, tak jak panińskie nazwisko matki. Urodzony dwudziestego trzeciego maja tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego drugiego roku w Raleigh, w Karolinie Północnej.

Osiemnaście lat później ukończyłem tam szkołę średnią. W siedemdziesiątym dziewiątym zrobiłem doktorat z psychologii.

- Psychologii? Jesteś psychologiem? Zignorował jej pytanie.

- Moja praca doktorska dotyczyła syndromu opóźnionej reakcji na stres i poprzedziły ją lata praktyki w Bethesda. Dlatego właśnie zwrócił na mnie uwagę agent Jim Pepperdyne i zwerbował do drużyn specjalnych. Często razem pracowaliśmy. Dwa lata temu odszedłem ze stanowego biura FBI i zacząłem pracę w biurze szeryfa. - Po krótkiej, wymownej pauzie oświadczył: - Zostałem uprowadzony dwunastego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku. Ale przecież to już wiesz, prawda?

- John, mogę to wyjaśnić.

- Jestem cholernie pewny, że możesz. I zrobisz to. Najpierw jednak zajmij się Kevinem.

Dziecko niepokoiło się. John nie chciał, by im cokolwiek przeszkadzało w rozmowie. A jeszcze bardziej nie chciał, by maleństwu coś doskwierało.

- Ma mokro. Przewinę go. - Wstała, zamierzając przejść obok Johna, ale złapał ją za ramię.

- Niezła wymówka, ale to nie zagra. Przewiń go tutaj.

- Na kuchennym stole?

- Nie będziemy już więcej na nim jedli.

Rozwinęła kocyk i wyjęła mokrą pieluszkę. - Czyste mam w samochodzie.

- To idź po nie.

- Nie boisz się, że ucieknę? - spytała szyderczo.

- Nie bez Kevina. A on zostaje ze mną. Pośpiesz się.

Spojrzała najpierw na dziecko, potem na niego.

- Albo przyniesiesz te pieluszki z samochodu, albo Kevin będzie leżał golutki. Nie wygląda, by mu to sprawiało jakąś różnicę, a mnie już na pewno żadnej.

Nie zamknęła za sobą drzwi od kuchni; pozwoliła, by zaatrasnęły się same.

Rozbudził się w momencie, gdy wstawiała z łóżka. Czekał, aż zacznie realizować punkt numer dwa swego planu, nieistotne zresztą jaki. Nie zdziwiło go oczywiście, że znowu próbuje uciec, zaskoczyło natomiast, jak boleśnie on sam czuje się urażony. Był wściekły nie tylko dlatego, że chciała odejść, ale i dlatego, że to go tak zraniło.

Nie powinien pozwalać sobie na osobiste odczucia, zaciemniające osąd sytuacji. Musi okazać pragmatyczne, całkowicie pozbawione emocji, bezstronne, profesjonalne podejście. Na tym polegała jego praca i złamał wszystkie reguły, poczynawszy od momentu, gdy nie zawiadamiając nikogo powziął decyzję o pojechaniu objazdem, a skończywszy na tym, że dwie godziny temu kochał się z

powierzonym jego opiece świadkiem.

Wróciła z paczką pieluch i szybko przewinęła dziecko. Potem ułożyła sobie synka na piersiach i usiadła z powrotem na krześle.

_ Tak więc, szeryfie McGrath, zostałam osadzona w areszcie domowym, o chlebie i wodzie, jak sądzę.

_ Nie dowcipkuj, Kendall. W nic tu nie gramy. To wcale nie jest zabawa. Gdybyś mi nie ukradła kajdanek, przykułbym cię do tego krzesła. Pewnie zabrałaś mi je wtedy, gdy uwalniałaś mnie od ciężaru rewolweru.

_ Nie mogłam pozwolić, żebyś w szpitalu wymachiwał bronią, prawda?

_ Pewnie nie. Wywołałoby to pytania, na które nie umiałabyś odpowiedzieć. Więc uprościłaś całą historię.

- Staralam się.

_ Kiedy zdecydowałaś się podawać mnie za swojego męża? W karetce?

_ Nie. Wtedy zupełnie nie wiedziałam, co im powiem. Ale kiedy lekarz w szpitalu zapytał, kim jesteś, nagle nasunęła mi się odpowiedź. Całkiem wiarygodna. Noworodek, wspólna podróż, odpowiadamy sobie wiekiem. - Wzruszyła ramionami, jakby podkreślając oczywistość konieczności kłamstwa.

- No i ja nie mogłem tego zakwestionować.

- Właśnie..

- Jako moja żona kontrolowałaś wszystko...

- Takie było generalne założenie.

- Co im powiedziałaś o szeryf Fordham?

- Że jest twoją siostrą.

- Hiszpanka...?

- Nie wiedzieli o tym.

- Ano tak, prawda. Nie mogli dotrzeć do samochodu z powodu powodzi.

- To też działało na moją korzyść.

- Taa... wszystko szło po twojej myśli. Fajnie, że szeryf Fordham nie żyła, co?

- To ohydne, co mówisz! - krzyknęła.

- A nie żyła?

- Co takiego?

- Nie żyła, gdy auto osunęło się do wody?

Odwróciła głowę i zapatrzyła się w ścianę. Widział, że jest wściekła. W oczach miała łzy złości, kiedy znów odwróciła do niego twarz.

- Pieprzę cię.

- Fakt - odpalił równie pogardliwym tonem. - Zdarzyło się parę razy. - Ich płonące oczy się spotkały. - Pozwoliłaś, żeby Ruthie Fordham utonęła?

Milczała.

- Odpowiedz mi, do cholery! - wrzasnął. - Nie żyła, kiedy...

- Tak! Tak! Zginęła w zderzeniu. Raport koronera z pewnością to potwierdzi.

Chciał jej wierzyć. Wydawało mu się, że mówi prawdę. Miał nadzieję, że mówi prawdę, ale z profesjonalnego punktu widzenia nie dowierzał jej. Cholernie dobrze umiała kłamać.

- Dlaczego nie zostawiłaś mnie w samochodzie, żebym się utopił? - spytał. - Mogłaś spokojnie odejść. Minęłoby wiele dni, zanim odnaleziono by nasze ciała. O całe mile w dół rzeki od miejsca wypadku. Sporo czasu upłynęłoby, nim by nas zidentyfikowano. Miałabyś szansę zniknąć bez śladu.

Dlaczego mnie wyciągnęłaś?

Oblizwała kącik ust, w który spłynęła łza. Nie wyglądała już na rozszoszczoną. W jej oczach pojawiły się łzy żalu.

- Spałeś przy mnie, kochałeś się ze mną i pytasz, dlaczego uratowałam ci życie? Dlaczego ratowałabym każde życie? Naaprawdę myślisz, że jestem zdolna odejść i pozwolić, by ktoś ranny umarł? Nie znasz mnie na tyle?

- W ogóle cię nie znam. - Pochylił się ku niej. - Jesteś mi tak samo nieznajoma jak wtedy na tym podwórku w Denver, gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy w życiu.

Potrząsnęła głową, protestując przeciwko temu, co powiedział.

_ Wymyśliłaś tyle kłamstw, ułożyłaś tyle historyjek, Kendall, że już nie wiem, co jest prawdą, a co fikcją.

- Kevin chce jeść.

_ Co? - Gwałtownie odsunął się od niej. Dziecko szarpało przez bluzkę pierś Kendal. Zupełnie go to rozbroiło. - Och! No to go nakarm.

Nie tak dawno się z nią kochał. Pieścił jej ciało ustami, dłońmi. Mimo to nie był w stanie patrzeć, jak odpina bluzkę i podaje głodnemu niemowlęciu pierś. Czuł się winny, niczym klęczący koło konfesjonału nastolatek, doznający mimowolnej erekcji przy wyznawaniu grzechu cudzołóstwa. Cholernie ciężko było zachowywać się profesjonalnie patrząc, jak karmi dziecko. Na szczęście odwróciła jego uwagę, wprawiając go jednocześnie w osłupienie pytaniem:

- Kto to jest Lisa?

- Skąd o niej wiesz?

_ Mówiłeś przez sen. Kilka razy coś tam o niej mamrotałeś. Kim jest? Twoją żoną? Jesteś żonaty?

Roześmiał się, tak zabawne wydało mu się jej zaniepokojenie.

_ Porwałaś oficera policji federalnej, a martwisz się, że popełniłaś cudzołóstwo?

- Więc jesteś?

- Nie.

- Kim jest Lisa?

_ No... kobietą po prostu. - Wpatrywała się w niego pytającym wzrokiem, więc wyjaśnił jej pokrótce naturę swojego związku z Lisą. - Odeszła, ot tak sobie - powiedział, pstrykając palcami. - Nie poruszyło mnie to specjalnie.

_ Jednym słowem, ciepłe ciało, z którym sypiałeś?

_ Właśnie. Całkowicie nie zobowiązujący układ seksualny. Nawiasem mówiąc, nie sprawiło ci to różnicy... Mówiłem o niej przez sen, a ty i tak się ze mną zabawiałaś, co? - zaatakował. - Taka sama moja wina, jak twoja.

_ Niezupełnie. Nie prosiłem cię, żebyś wkroczyła w moje życie. Zrobiłem Jimowi piekło, że mnie tobą obarcza. Gdyby to ode mnie zależało, umyłbym ręce już w Dallas. Dlaczego wtargnęłaś w moje życie, Kendall?

_ Może pamiętasz, że nie miałam wyboru - odcięła się. - Próbowałam wysliznąć się ze szpitala, ale mnie złapałeś i nalegałeś, żeby pójść ze mną.

- Miałaś bardzo wiele okazji, żeby się mnie pozbyć, zanim tu dotarliśmy. Na przykład za każdym razem, kiedy poszedłem do toalety. Dlaczego zwyczajnie nie odjechałaś?

- Bo im dłużej nad tym myślałam, tym sensowniejsza wydawała mi się twoja obecność. Nawet o kulach potrafiłbyś chronić mnie i Kevina.

- Nie mógłbym się do niego zbliżyć, a co dopiero dotknąć!

- Tego nie wiedziałam, dopóki nie znaleźliśmy się w tym domu. - Spojrzała na niego z namysłem.

- Bardzo jestem ciekawa, skąd ta twoja niechęć do Kevina?

- Nie do niego szczególnie. Do wszystkich dzieci.

- Dlaczego?

Potrząsnął energicznie głową, dając do zrozumienia, że temat jest tabu.

- Właściwie gdzie jesteśmy? - zapytał. - Jak się nazywa najbliższe miasto?

- Morton. To wschodnia część stanu Tennessee, niedaleko granicy z Karoliną Północną. -

Opowiedziała mu historię domu. - Nikt oprócz mnie i babci nigdy tu nie przyjeżdżał. Doskonałe miejsce, by się ukryć. Słuchaj, John - powiedziała przejętym głosem - naprawdę nie mogłam pojechać do Karoliny Południowej, by zeznawać przeciwko Mattowi i Gibbowi.

- Twoje zeznanie jest potrzebne, żeby ich skazać.

- Jestem pewna, że do tej pory Pepperdyne znalazł już materiały, które zostawiłam w mieszkaniu w Denver - oświadczyła, potrząsając głową. - Zbierałam je przez rok. Są dość obszerne i zawierają informacje o najważniejszych członkach Brotherhood. Nawet jeśli są niewystarczające do skazania za morderstwo, na ich podstawie można oskarżyć tych ludzi o inne popełnione przez nich przestępstwa. Tak jak usadzili Al Capone za niepłacenie podatków. Byłam świadkiem tego, co zrobili, John, i nie ma słów, które oddałyby grozę ich czynu. Rozmawiałam z Michaeliem Li parę godzin przed dokonaną na nim egzekucją. Inteligentny, wrażliwy, dobrze wychowany młody człowiek. Kiedy myślę o strachu, jakiego doświadczył, o jego agonii... - Odwróciła głowę i zapatrzyła się smutno w przestrzeń. - Odebrali mi wszystko, John. - Spojrzała znowu na niego. - Stałam się uciekinierką i kryminalistką. Praktyka prawnicza jest przede mną zamknięta. A byłam w tym dobra - powiedziała z naciskiem. Łzy wypełniły jej oczy. - Wierzyłam w to, co robię. Chciałam pomagać ludziom, zmienić coś. Okradli mnie z tego. Naprawdę bardziej niż ktokolwiek chciałabym wpakować te potwory na resztę ich życia za kraty. Chciałabym się zachować jak na dobrą obywatelkę przystało, ale nie zamierzam za to umierać. - Przerwała i przycisnęła synka mocniej do piersi. - Nie chcę, by Kevin podobnie jak ja wychowywał się jako sierota. Ale jeśli pojawię się gdziekolwiek w pobliżu Matta i Gibba, zabiją mnie. W brutalny i okrutny sposób.

Zrozumiał. I odpowiedział, jak mogła się spodziewać:

- Nie mogą cię skrzywdzić, Kendall - jego głos brzmiał łagodnie. - Są w więzieniu.

- Już nie. Dwa dni temu uciekli.

Był zdumiony, ale i podejrziwy: może znowu kłamała?

- Skąd wiesz?

- Rozmawiałam z Ricki Sue przez telefon i powiedziała mi.

- Kiedy?

- Dzisiaj.

- To z tego powodu wróciłaś tak mocno zdenerwowana z miasta?

- Tak. Nie znam szczegółów, bo rozłączyłam się natychmiast, gdy to usłyszałam.

Przeczesał palcami włosy i zaczął kuśtykać po kuchni, usiłując rozważyć wszelkie implikacje tego, że Burnwoodowie wydostali się na wolność. Kiedy podszedł z powrotem do Kendall, zapinała bluzkę, a Kevin spał w kołysce jej ramion.

- Jak daleko stąd do twojego rodzinnego miasta? Sheridan, zdaje się?

- Około dziewięćdziesięciu mil.

- Tylko tyle?

- W dodatku oni już się tam pojawili. - Opowiedziała mu o pułapce FBI w domu babci. - Nie rozpoznano włamywaczy, jednak prawdopodobnie to Matt i Gibb.

- Nie dziwię się, że chciałaś dziś w nocy wyjechać. Gdybym wiedział, że uciekli, już parę dni temu bym to zrobił. Myślę, że... - Zaraz, zaraz! Co powiedziałaś? - Kendall'wstała. - Że wyjechałbyś już parę dni temu?

Bezradnie patrzył, jak zmienia się wyraz jej twarzy w miarę, jak dociera do niej znaczenie jego słów.

- Czyli pamięć... wcale nie wróciła ci dopiero teraz. Wiedziałaś... - Zatchnęła się i podniosła rękę do ust. - Wiedziaałaś, a mimo to... Niech cię cholera! - Uderzyła go mocno w twarz. - Od jak dawna?

- Kendall! - Schwycił ją za nadgarstek, nim zdążyła udeerzyć ponownie. - Posłuchaj mnie! Nie mamy czasu, żeby się teraz handryczyć!

- Ależ tak, sądzę, że mamy, doktorze McGrath - szydziła. - Dlaczego nie miałabym się położyć na łóżku, żebyś mógł popraktykować nade mną jako psycholog? Ciekawy przypadek, prawda? Z rozkoszą mnie otwierałaś, sprawdzałaś, jakie bodźce na mnie działają. Cały poświęcony analizowaniu... Praca idzie ci najlepiej, kiedy na mnie leżysz!

- Żeby nie wspomnieć o tym, jak świetnie udajesz, kiedy na tobie leżę! - wrzasnęła.

- Ty dupku!

- Słuchaj, przecież sama chciałaś bawić się w dom z nieznanym facetem, którego uprowadziłaś. To ty wymyśliłaś historyjkę o małżeństwie. Cholernie byłaś przekonująca, muszę przyznać. Więc nie mnie obwiniaj, że zachowałem się jak na męża przystało. - Oparł kulę o stół, położył ręce na jej ramionach i przyciągnął ją do siebie, przytulając jednocześnie Kevina. - Możesz mnie tylko oskarżać, że zagrałem wyznaczoną przez ciebie rolę, Kendall.

- Pogrywałeś ze mną, żeby poznać moje sekrety i wykoorzystać to przeciwko mnie. Zamierzałeś opowiedzieć wszystko swojemu przyjacielowi Pepperdyne'owi. Przedyskutować, przeanalizować. Manipulowałaś mną.

- Nie bardziej niż ty mną - zrewanżował się.

- Kiedy ci pamięć wróciła? Powiedz mi. Kiedy?

- Do tej pory nie zorientowałaś się, jak nieodpowiednią osobę wybrałaś do odgrywania roli męża i ojca? - zapytał, zaciskając palce na jej ramieniu. - Ale ty byłaś perfekcyjna: cierpliwa żona, trwająca przy rannym mężu, mimo że złamał małżeńską przysięgę i kłamał dla innej kobiety. Udręczona, ale dająca nadzieję na przebaczenie i pojednanie. Zachowująca rezerwę, ale do pewnych granic. Skromna, ale nie niedostępna. Emanująca seksem madonna, której żaden mężczyzna nie jest w stanie się oprzeć. Niech cię licho, Kendall, uwodziłaś mnie na wszystkie sposoby i dobrze wiedziałaś, co robisz. Sprawiałaś, że zacząłem cię pożądać. Zacząłem pragnąć, abyś należała do mnie. Pragnąć... żeby Kevin był mój. Pierwszy raz w życiu chciałem tworzyć z kimś jedność... Nigdy nie umiałem budować związków, prawdę mówiąc, byłem pod tym względem obrzydliwy. Nie dopuszczałem do wzajemnej bliskości. Zmieniłem się. Wiem teraz, jakie to uczucie potrzebować kogoś i być samemu potrzebnym. Nie chcę wracać do tego, co było. Głos mu się lekko załamał; oparł czoło o jej czoło, jakby wyczerpany tym monologiem. - Sypiając z tobą, złamałem Bóg wie ile rozporządzeń, reguł, praw. Zażądają wytłumaczenia, kiedy będzie po wszystkim. Oświadczę, że wypełniałem tylko swoje obowiązki, tak jak sytuacja tego wymagała, ale z pewnością tego nie kupią. - Odsunął się i spojrzał jej prosto w oczy. - Oszukiwałem cię, zgoda, ale nie bardziej niż siebie samego. Do diabła z obowiązkiem. Kochałem się z tobą, bo tego pragnąłem, a nie dlatego, że musiałem.

Nie sądził, aby potrafiła docenić oświadczenie, jakie właśnie złożył. Na swój sposób wyznał jej miłość, na co dotąd nigdy w życiu się nie zdobył. A może jednak, ponieważ nagle opuściła ją wola

walki. Popatrzyła na niego pociemniałymi oczami i dotknęła jego ust.

- Bezwstydnie tobą manipulowałam, fakt. Ale przysięgam na życie Kevina, że to, co się między nami zdarzyło, było prawdziwe.

Zaczęli się całować; nawet gdy ich wargi się rozdzieliły, nie odsunęli się od siebie.

- Kocham cię, John - zamruczała tuż przy jego ustach - muszę jednak chronić Kevina. I ciebie. I choćbyś miał mi nigdy nie wybaczyć, będę się tego trzymać.

Zanim się zorientował, odepchnęła go, wyszarpując pistolet zza gumki jego spodenek. Przechylił się w stronę kuchenki gazowej, stracił równowagę i osunął się na podłogę, wydając okrzyk bólu i wściekłości.

Kendall kopnięciem odsunęła kulę, by nie mógł po nią sięgnąć. - John, wybac - zaszlochała - ale nie mogę pozwolić, żebyś zawiózł mnie tam z powrotem. - Wypadła przez drzwi; zamknęły się za nią z trzaśnięciem.

Ból z podudzia zaczął promieniować na udo, brzuch, aż eksplodował jak nieoczekiwany wybuch wulkanu w jego czaszce. Objął złamaną nogę i przyciągnął ją do piersi.

- Kendall! - zawołał z suchym szlochaniem bólu. - Kendall! - powtórzył głośniej.

Ani przez sekundę nie spodziewał się, że wróci, i nie wierzył własnym uszom, gdy usłyszał skrzyp otwieranych drzwi. Otworzył oczy i mrugając z bólu odnalazł ją wzrokiem.

Wróciła. Ale nie sama. I nie z własnej woli.

Rozdział czterdziesty czwarty

Jeśli się znało rozkład dnia Elmo Carneya, można było według niego regulować zegarek. Wstawał co rano o wpół do piątej, wypijał filiżankę kawy i deszcz czy słońce, śnieg czy żar, szedł do obory wydoić czeredkę mlecznych krów. Za pięć szóstą, co do sekundy, wsiadał do półciężarówki i jechał dwie mile do miasta zjeść śniadanie w kawiarni, którą otwierano o szóstej.

Tak to wyglądało od czasu śmierci żony Elmo Carneya.

Nienawidził sobót, ponieważ kawiarnia pozostawała zamknięta do siódmej, i niedziel, kiedy to natychmiast po udoju zamieniał kombinezon na garnitur, wiązał krawat i jechał do kościoła. Zawsze burczało mu w brzuchu podczas mszy.

Ranek zaczął się jak zwykle. Wydoił krowy i ruszył do miasta, nie przeczuwając, co go spotka za zakrętem. Pograżony w marzeniach o biskwitach i kielbaskach, nagle zauważył maaterializującą się niemal tuż przed maską półciężarówki zjawę. Wychylnęła z gęstwiny krzaków porastających przydrożny rów, zakotwiczyła na środku szosy i zamachała wzniesionymi nad głową ramionami.

Elmo gwałtownie wcisnął hamulec i pedał sprzęgła. Opony na chwilę straciły przyczepność. Stare hamulce zadziały opornie jak artretyczne stawy. Samochód zdołał się zatrzymać zaledwie o cale przed fantasmagorią. Serce podeszło Carneyowi do gardła, gdy podbiegła do szoferki i otworzyła drzwiczki po stronie pasażera.

- Bogu niech będą dzięki, że pan nadjechał. - Zjawa wdrapała się na siedzenie i zatrzasnęła drzwiczki. - Czekam całe godziny - poskarżyła się. - Czy tutaj nikt nie mieszka? A w ogóle, gdzie jesteśmy, do cholery? Całe życie spędziłam w Sheridan, a nie pamiętam, że bym tu kiedyś była. I za choolerę nie chciałabym się tu więcej znaleźć, to pewne... - przeerwała i spojrzawszy na Elmo wskazała dźwignię biegów. - Na co czekamy? Ruszamy stąd, dziadku. Muszę być gazem w mieście.

Elmo, oglupiał, wpatrywał się w nią gamoniowato z dłońmi przyrośniętymi do kierownicy. Poruszała się, mówiła, czuł nawet jej zapach, mimo to nie wydawała mu się realna.

- Wspaniale - wymamrotał przerażony. - Jakby mi jeszcze wszystkiego było mało, musiałem złapać na pasażerkę przygłupa. Kurewski tydzień.

- Eje-jej! - Zjawisko zamachało mu ręką przed oczami. - Dziadziu! W porządku pod dachem?

Zamrugaj. Rusz się, na litość boską! Co z tobą? Nie widziałeś nigdy w życiu nagiej kobiety? A może nie widziałeś naturalnie rudych włosów?

Zamieszanie w sąsiednim pokoju przebudziło Pepperdyne'a.

Godzinę temu ostatecznie poddał się zmęczeniu i położył na składanym łóżku. Nie spodziewał się, że zapadnie w drzemkę; chciał tylko dać wypocząć oczom. Tymczasem zasnął głęboko i choć obudzono go gwałtownie, czuł się wypoczęty. Usiadł i spuścił nogi na podłogę. W tym samym momencie wpadł przez drzwi policjant.

- Panie Pepperdyne, niech pan tam natychmiast idzie.

- Co się dzieje? Znaleźli ich?

„Ich” mogło się odnosić do bardzo wielu ludzi, ale Pepperdyne nie próbował tego uściślać; poszedł za policjantem do pokoju, w którym inny policjant rozmawiał z kościstym farmerem w kombinezonie, a wszyscy pozostający na służbie tłoczyli się przy oknach wychodzących na trawnik przed raatuszem.

- Co tu się do cholery wyrabia? - zaryczał wściekle, natychmiast zwracając na siebie uwagę wszystkich wokół, nie wyłączając farmera, który podszedł do niego, pokornie zdejmując czapkę.

- Pan Pepperdyne?

- Tak. Kim pan jest?

- Elmo Carney. Kazała mi tu przyjść i sprowadzić pana Pepperdyne'a. Nikogo innego, powiedziała. Klnę się panu na grób mojej świętej pamięci żony, że nie zrobiłem niczego naganne ani nielegalnego. Jechałem sobie na śniadanie, a tu nagle wyskoczyła mi przed nosem, prosto na środek drogi, golusieńka, jak ją pan Bóg stworzył, i zaczęła wymachiwać rękami. O małym nie dostał ataku serca. Wlazła mi do ciężarówki...

- Przepraszam, kto?

- Rudowłosa kobieta. Raczej taka pulchna. Mówiła, że pan...

- Coś jej się stało? - Pepperdyne, nie czekając dłużej, skierował się szybkim krokiem do drzwi.

- Tak, ale jak panu powiedziałem, ja jej nic złego nie zrobiłem.

- Nich mi ktoś da płaszcz. Marynarkę. Cokolwiek - zażądał Pepperdyne.

Jeden z policjantów podał mu żółty płaszcz przeciwdeszczowy. Pepperdyne złapał go i popędził korytarzem do drzwi frontowych. Zatrzymał się przy wyblakłym błękitcie karoserii półciężarówki zaparkowanej przy parkometrze.

- Co to tak długo trwało? - spytała zrzędliwie Ricki Sue, otworzyła drzwiczki i wyrwała mu z ręki deszczowiec. - Gały wyjdą na wierzch tym głupkom - rzuciła pogardliwe spojrzenie na okna i przyklejone do nich twarze.

Pepperdyne poszedł za jej wzrokiem. Na widok jego groźnej miny twarze zniknęły. Odwrócił się z powrotem do Ricki Sue. Trudno ich było winić, że się gapili jak ogłupiali: jak stary farmer powiedział, była nagusieńka jak ją pan Bóg stworzył i przedstawiała sobą naprawdę niezwykły widok.

On również zareagował typowo po męsku: tyle odsłoniętego ciała naraz, pomyślał, ale jednocześnie jego umysł zarejestrował kilka profesjonalnych spostrzeżeń. Stopy miała oblepione błotem. Cała była podrapana i posiniaczona. Totem na głowie rozplątał się i włosy spływały na nagie ramiona i obfite piersi; nie sposób było ich obfitości zignorować, nawet jeśli przyglądało się im w obiektywny profesjonalny sposób... Włosy na tyle głowy pokrywała zaschnięta krew.

- Powinna pani iść do lekarza.

- Później. Musimy porozmawiać.

- Ale najwyraźniej nie czuje się pani dobrze.

- Pepperdyne, fenomen geniuszu - oświadczyła sarkastycznie. Rozłożyła ramiona, odsłaniając znowu swoje bujne ciało. - Wiadomo, że nie jestem olśniewającą piękną i nigdy nie wyglądam wspaniale z samego rana, ale też nie a' tak źle. Oczywiście, że nie czuję się dobrze, ty debil! - wrzassnęła. - Chcieli mnie zabić!

- Bliźniacy?

- Twoi faceci już ci naplotkowali?

- Taa... naplotkowali.

- Staje ci od tego, że śledzisz ludzi? To jakiś szczególny afrodyzjak?

- Poleciłem panią obserwować dla pani własnego bezpieczeństwa.

- Tylko że nie zdało to egzaminu, co?

- Zdałoby, gdyby nie poderwała pani w barze dwóch nieznajomych. W dzisiejszych czasach... Co jeszcze głupiego pootrafi pani zrobić?

- Nie wiedziałam... - Wojowniczość Ricki Sue nagle gdzieś zniknęła; jej twarz się wykrzywiła i zaczęła płakać. `Nie wiedziałam, że chcą mnie skrzywdzić...

Pogrzebał w kieszeni, wyciągnął zmiętą chusteczkę i podał jej niezręcznym gestem.

- Czysta? - zapytała, biorąc ją od niego.

- Sama zobacz.

Nie trudziła się. Wytarła oczy i wydmuchała nos. Przestała płakać, ale wciąż była roztrzęsiona. Przesunęła zębami po dolnej wardze, a Pepperdyne pomyślał, że jej usta nie pokryte purpurową szminką wyglądają znacznie ładniej.

- Mogłam umrzeć - powiedziała wzdrygając się. - Naaprawdę chcieli mnie zabić.

- Kim oni byli, Ricki Sue?

- Henry i Luther, tyle wiem. - Opowiedziała mu o motelu, picciu alkoholu. - Oprzytomniałam, kiedy wyciągali mnie z samochodu. Powinnam była się wtedy domyślić... Ale tyle wypiałam... W każdym razie weszliśmy do tego strumienia. Pamiętam, że Luther... chyba on, przyłożył mi kijem w głowę. Uchyliłam się przed następnym ciosem, podciąłam mu nogę i zwałam do wody. Nie spodziewali się, że będę walczyć. Ciężko było, bo skurwysyńsko bolała mnie głowa. Parę razy o mało nie zemdlałam. Tak czy owak, nie udało im się rozwalić mi łba.

- Dokąd pojechali?

_ Pojechali? - zaśmiała się ochryple. - Nawet nigdzie nie poszli. Są tam dalej. W każdym razie byli, gdy odchodziłam. Walnęłam ich obu tak, że stracili przytomność i przywiązałam ich własnymi spodniami do drzew.

Pepperdyne wybuchnął śmiechem. Zdawał sobie sprawę, że to niewłaściwe, ale nie mógł się powstrzymać.

_ Biuro Federalne powinno zatrudnić z parę tysięcy takich panien Robb.

Ale ona nie podzielała jego radości. Zmartwiona, przygryzła wargę.

_ Nie takich. Obawiam się, że nie lepiej dochowałam sekretu niż dziewictwa.

_ Jakiego sekretu? - spytał, natychmiast poważniejąc. - Boję się, że te bliźniacze sukinsyny mają coś wspólnego z Burnwoodami.

- Czemu tak sądzisz?

_ Zatrzymali się przed moim domem i wypytywali o drogę na moment przedtem, nim odkryłam, że się do mnie włamano. - Dlaczego nic o tym nie wiedziałem?

_ Nie skojarzyłam tego. I przestań na mnie krzyczeć. Głowa mi pęka.

_ Wypytywali cię w nocy o miejsce pobytu pani Burnwood? _ Nie pamiętam szczegółów, ale

myślę, że spili mnie po to, by wyciągnąć informacje. Może ty powinieneś spróbować tej metody, zamiast polegać wyłącznie na swoim wdzięku - dodała uszczypliwie.

_ Rozmawiałaś z kimś poza nimi? Dzwoniłaś do kogoś?

- Nie. W każdym razie nie pamiętam.

- Co im powiedziałaś, Ricki Sue? Muszę wiedzieć.

_ Nie tak szybko. Zamierzasz wsadzić Kendall do więzienia, kiedy ją znajdziesz?

- To nie ode mnie zależy.

Splotła ramiona pod biustem i przyjęła zdecydowaną poostawę. Pepperdyne przygryzł policzek.

- Zrobię, co będę mógł - powiedział.

- To za mało. Nie chcę, żeby zamknęli mi przyjaciółkę tylko za to, że próbowała ocalić własną skórę.

_ W porządku. Postaram się załatwić, żeby poszli z nią na ugodę. Tylko tyle mogę obiecać, a i to zależy od stanu, w jakim będzie John, gdy go znajdziemy.

Zastanawiała się przez chwilę, po czym oznajmiła:

- Jeśli jej albo dziecku stanie się jakaś krzywda...

- Właśnie temu usiłuję zapobiec. Cały czas staram się ich ochronić. Proszę. Powiedz mi, Ricki Sue.

- To cię będzie kosztować.

- Cokolwiek.

- Obiad i tańce.

- Ja z tobą?

- Nie. Fred Astaire z Ginger Rogers - powiedziała z jadowitym sarkazmem.

- Zgoda - skinął głową. - Ale mów.

Rozdział czterdziesty piąty

Dwóch mężczyzn wprowadziło Kendall do kuchni, z której przed chwilą wybiegła. Matt wyrwał jej Kevina, a Gibb szturchnął w plecy tak silnie, że upadła na podłogę, omal nie padając na Johna.

- Ona nigdzie nie wychodzi, szeryfie McGrath. Macie towarzystwo. - Gibb Burnwood uśmiechnął się uprzejmie, jakby po prostu wpadł nie zapowiedziany przygotować śniadanie, jak to miał w zwyczaju rankiem. - Może zaparzyłabyś kawę, Kendall? Mamy za sobą długą, nużącą noc. Z chęcią bym się napił, a i Matt, jak przypuszczam, też.

Emanowało z niego zło. Zawsze tak było? Nie widziała tego dotąd, bo podobna rzecz nie przyszlaby jej na myśl? Czy dopiero ostatnio się to objawiło? Jego oczy rozświetlało złoowrogie światło, które mroziło. Przypomniała sobie nagle koszmarną nocną egzekucję Michaela Li i ogarnęło ją pragnienie, by wydrapać te jarzące się oczy. Spojrzała na Matta trzymającego Kevina. Była bezsilna - mogła zrobić tylko to, co jej kazano.

Mięśnie odmawiały jej posłuszeństwa ze strachu, zdołała jednak podnieść się na nogi i zupełnie automatycznie nastawić kawę. Kiedy płyn ściekał do dzbanka, Gibb w oczekiwaniu przysiadł na kuchennym krześle, opierając na kolanach myśliwską strzelbę.

- Nazywam się Gibb Burnwood - zwrócił się do siedzącego na podłodze Johna. - Nie spotkaliśmy się dotąd, ale ostatnio dużo pisano o panu w gazetach, tak że czuję się, jakbym pana znał. Miło mi.

John popatrzył na starszego mężczyznę. Nie mógł wiedzieć, że zachowując milczenie po uprzejmym przedstawieniu się Gibba, obraża go śmiertelnie.

- Jak widzę, nie jest pan zadowolony z naszego widoku - oświadczył sztywno były teść Kendall - choć nie rozumiem dlaczego. Wkrótce uwolnimy pana od mojej niezrównoważonej umysłowo

synowej i wcale nie oczekujemy podziękowań. Ale im bardziej wrogo będzie się pan wobec nas zachowywał, tym łatwiej przyjdzie nam pana zabić, gdy nadejdzie właściwa pora. - Uderzył dłonią w udo, jakby wyrażał zadowolenie z rozstrzygnięcia niezwykle ważnej sprawy. Kendall, kawa gotowa?

Swobodny ton rozmowy i przyjacielskie zachowanie Gibba przerażały ją bardziej, niż gdyby plótl patetyczne brednie czy w inny sposób okazywał swoją nienawiść. Opanowani zabójcy mordowali zazwyczaj w najbardziej bezlitosny sposób. Gibb sprawiał wrażenie człowieka całkowicie przy zdrowych zmysłach, ale naj widoczniej stracił poczucie rzeczywistości. Całym sercem i duszą wierzył w credo Brotherhood. Upoił się własną fanatyczną propagandą. Uważał samego siebie za człowieka całkowicie odmiennego od reszty ludzi.

I w istocie był takim człowiekiem.

Kendall podeszła do niego z parującym dzbankiem kawy, zastanawiając się, co by było, gdyby ją na niego wylała. Zeerwałby się pewnie z krzesła i mogłaby w zamieszaniu porwać Kevina, a John skoczyłby na Gibba. Spojrzała na Johna. Obserwował ją. Wiedział, o czym myśli.

Ale Gibb także. Nie odwracając głowy, nie patrząc na nią, powiedział:

- Kendall, ufam, że nie zrobisz niczego głupiego. - Doopiero teraz na nią popatrzył. - Rozczarowałaś mnie pod wieloma względami, oprócz jednego: jesteś bardzo inteligentna. W gruncie rzeczy zbyt inteligentna. Byłoby znacznie lepiej dla ciebie, gdybyś nie miała tak błyskotliwego intelektu. Więc postaraj się nie rozczarować mnie znowu i nie rób nic głupiego. Inaczej będę musiał zastrzelić twojego przyjaciela.

- Nie żałuj sobie, strzelaj - oświadczyła, stawiając filiżankę z kawą na stole z prowokującym stuknięciem. - Żaden z niego przyjaciel. Gdybym miała broń, sama bym go zastrzeliła. - Spojrzała na Johna z pogardą. - Oszukał mnie. Cierpiał na amnezję w następstwie wypadku, ale zaniedbał mnie poinformować, kiedy odzyskał pamięć. Cały czas starał się mnie na coś przyłapać.

Kula leżała wciąż poza zasięgiem Johna i musiał posłużyć się krzesłem, żeby podnieść się z podłogi.

_ Tato...? - Matt, nie spuszczać z McGratha oczu, dał krok do przodu.

- W porządku, synu. - Gibb powstrzymał go ruchem dłoni. - Nie jest w stanie nic zrobić.

- To prawda, panie Burnwood - odezwał się wreszcie John. - Nie jestem. Przed nią też nie byłem w stanie się obronić, gdy mnie uprowadziła - powiedział szyderczo. PPrzywiozła mnie tutaj i zaczęła udawać - skierował wzrok na Matta i mówił dalej przeproszającym tonem - że jest moją żoną. Nie wiem dlaczego, skoro mogła mnie tu zostawić i uciekać dalej sama.

_ Czekala, aż osłabnie pierwszy impet pościgu i władze zwrócą uwagę na coś innego - wysunął przypuszczenie Gibb.

_ Prawdopodobnie ma pan rację - zgodził się John. _W każdym razie nie mogłem zaprzeczyć niczemu, co mówiła, ponieważ niczego nie pamiętałem. Żyłem więc z nią, jakbym był jej mężem. Z wszelkimi tego konsekwencjami.

Rozzłoszczony Matt dał następny krok naprzód, ale Gibb znowu powstrzymał go ruchem ręki.

_ Trudno o to obwiniać pana McGratha, Matthew. To ona ponosi winę.

- To prawda, Matt - potwierdził John. - Reagowałem stosownie do jej kłamstw. Skąd miałem wiedzieć, że nie jesteśmy małżeństwem?

_ Wiedziałeś! - wykrzyknęła Kendall. - I to od dłuższego czasu. Pamięć ci wróciła, ale...

_ Ale uwiodłaś mnie przedtem - przerwał jej John; wciąż zwracał się tylko do Matta: - Nie muszę ci mówić, jaka jest dobra w łóżku. W każdym razie ze mną była. Może macierzyństwo tak dobrze jej zrobiło. Hormony lub coś takiego, sam rozumiesz. Mogę ci tylko powiedzieć, że nigdy nie

miała doosyć...

_ Ty dziwko! - Matt odwrócił się i stanął naprzeciwko Kendall. - Kurwiłaś się na oczach mojego syna?

_ Wiele razy leżał z nami w łóżku - odpowiedział John.

W piersi Matta wezbrał pomruk wściekłości. Kendall słuchając, jak John go prowokuje, zastanawiała się, czemu to służy, ale obydwójce nie przewidzieli tak gwałtownej reakcji. Matt uderzył ją na odlew w twarz. Nie spodziewając się ciosu, nie zdołała się uchylić i dosięgnął ją z całą siłą. Krzyknęła i upadła na stół. Matt podniósł znowu ramię, ale John rzucił się na niego, próbując sięgnąć rękami do gardła.

- Ty cholerny maniaku - zawarczał. - Jeszcze raz ją dotkniesz, a zabiję.

Nie doszło do walki; Gibb podniósł kulę i walnął Johna w nerki. Kendall usłyszała jęk straszliwej męki i zobaczyła, jak pod Johnem uginają się kolana. Opadł na czworaki, głowa zwisała mu luźno między ramionami.

Kevin zaczął głośno płakać; wystraszyło go zamieszanie i podniesione głosy. Gibb wziął malca od Matta i trzymając go przy piersi przemawiał do niego pieszczotliwie, jakby siedział na popołudniowej sobotniej wizycie. Ale Kevin nie dał się zwieść temu słodkiemu gruchaniu i wrzeszczał nadal.

Nie mogła nic zrobić dla synka, Gibb by jej go nie oddał, ukłękła więc przy Johnie i oplotła go ramionami.

- Przepraszam - wyszeptala mu w ucho. - Przepraszam. Nie byłoby go tutaj, gdyby nie kłamała. Umrze z jej powodu.

Gibb mu to obiecał. Mieli zakończyć życie w tym pokoju. Nic nie byli w stanie zrobić. Ale nie okaże strachu Burnwoodom. Podniosła głowę. Po jej policzku ściekała krew. Popatrzyła z pogardą na Matta. Nosila jego nazwisko, nazywała go mężem, ale był jej całkowicie obcy. Powie mu, zanim umrze, jak żałośnie nie sprawdził się w roli męża i kochanka.

- Przez ostatnie tygodnie zaznałam miłości, o jakiej nie miałam pojęcia, będąc twoją żoną.

- Przed Bogiem wciąż nią jesteś.

- Ty hipokryto - szydziła. - Przecież się ze mną rozwiodłeś.

- Bo mnie porzuciłaś.

- Uciekłam, chroniąc siebie i dziecko.

- To moje dziecko.

- Niezły byłby z ciebie tatuś! Dzielący czas między syna, Brotherhood i kochankę.

Ramiona Matta uniosły się i opadły. Odetchnął chrapliwie i zabrzmiało to niemal jak szloch.

- Lottie nie żyje.

Kendall zamilkła ze zdumienia, widząc, jak Matt zakrywa twarz dłońmi i zaczyna rozdzierająco płakać. John z grymasem bólu zdołał usiąść na podłodze, opierając się o szafkę. Oboje z Kendall wymienili spojrzenia. Mogłaby przysiąc, że wybuch Matta zaskoczył go nie mniej niż ją.

- Synu, dość tego!

Ponieważ Matt nie zareagował na ojcowskie polecenie, Gibb je powtórzył. Matt odjął ręce od zalanej łzami, podpuchniętej twarzy.

- Dlaczego musiałeś ją zabić? - spytał.

Kendall się wzdrygnęła. Gibb zabił Lottie Lynam? Kiedy? W jakich okolicznościach?

- Mażesz się jak baba - skarcił syna Gibb. - To niemęskie i haniebne. Natychmiast przestań.

- Nie musiałeś jej zabijać.

- Rozmawialiśmy już o tym, synu, nie pamiętasz? Była narzędziem szatana. Zrobiliśmy, co do nas

należało. Służba Bogu wymaga poświęceń.

- Kochałem ją. - Głos Matta był ochryply od płaczu. - Była... była...

- Zwykłą dupą do łóżka.

- Nie nazywaj jej tak! - krzyknął Matt.

Widać było, że załamał się zupełnie. Drżał na całym ciele. Pyskał śliną, gdy mówił, twarz miał ziemistą. Łzy dalej płynęły mu z oczu, nie zdawał sobie sprawy, że z nosa mu leci. Rozzchwiany emocjonalnie, wyglądał odpychająco, ale zarazem trudno było oderwać od niego oczy.

- Kochałem ją - jęknął z rozpaczą. - Bardzo. Kochałem Lottie i ona mnie. A teraz odeszła...

Jedyna osoba, która mnie rozumiała.

- Nieprawda, synu - powiedział Gibb uspokajająco. PJa też cię rozumiem. - Skierował strzelbę ku jego piersi i pociągnął za spust.

Kula trafiła Matta prosto w serce; padł martwy, nim na jego twarzy zdążył pojawić się wyraz zdumienia. Gibb obserwował, jak ciało syna osuwa się na podłogę, a potem spokojnie umieścił broń ponownie w zagięciu ramienia. Kevin leżał na jego kolanach krzycząc przeraźliwie.

- Bo widzicie - zwrócił się całkowicie opanowany do Kendall i Johna, zdjętych grozą - rzeczywiście rozumiałem Matthew. Ta kobieta zaszczepiła w nim chorobę. Stał się słaby. Nie można tolerować słabości nawet u tych, których kochamy. - Objął pozbawionym emocji spojrzeniem nieruchome ciało. - Pod wszelkimi innymi względami był idealnym synem. Robił wszystko, co mu kazałem, i to dobrze. Był świetnym myśliwym. Wspaniale walczył o naszą sprawę.

- Istny księżę niezłomny - oświadczył John. - I do tego niezły damski bokser.

- Niech pan nie traci śliny na prowokowanie mnie, szeryfie McGrath. - Gibb utkwiał w Johnie lodowaty wzrok. - Pańskie szyderstwa mogły podziałać na mojego syna, ale ja jestem bardziej odporny. Matthew nie wiedział, kiedy się nim manipuluje. Ja tak - uśmiechnął się. - Ale doceniam, że pan próbuje. Co do ciebie - utkwiał oczy w Kendall - za grosz mnie nie obchodzi, komu prowadzisz gospodarstwo domowe. Zależy mi tylko na tym maleńkim chłopczyku. - Podniósł Kevina, który płakał nieprzerwanie i tak głośno, że musieli go przekrzykiwać rozmawiając. - Z charakterem z niego jegoomość. Im silniejszy chłopak, tym głośniej płacze. Popatrz na te piąstki. - Gibb chrząknął z dumą. - Zrobię z niego prawdziwego mężczyznę.

- Nigdy - zapewniła go Kendall gorąco. Nagle przestała się bać. Krótco miał trwać ten przyływ odwagi; tylko do momentu, gdy umrze. Ale uchwyciła się tego, jakby mogła w ten sposób przeciwstawić się przeznaczeniu. Zdobyła się nawet na uśmiech. - Będziesz miał szansę zrobić z Kevina wyłącznie sierotę. Znajdą cię, Gibb, chociaż nas zabijesz. Agent FBI, Pepperdyne, nie spocznie, dopóki cię nie odnajdzie. Może zostaniesz przy życiu, ale i tak zabiorą ci Kevina i więcej go nie zobaczysz. Boleję nad tym, że mój syn nigdy mnie nie pozna, ale dziękuję Bogu, że ciebie też nie. Nie będziesz miał okazji poddać go indoktrynacji, spaczyć mu umysł, przepełnić nienawiścią, zmienić w zimnokrwistego potwora, takiego jak ty. Nie udało ci się z Mattem i wiesz o tym. Okazało się w końcu, że nie jest pozbawionym serca, zobojętniałym, poosłusznym automatem, jak chciałeś. Był ludzką istotą, miał słabości, kierował się emocjami, jak my wszyscy. Kochał Lottie może bardziej niż ciebie. Tego właśnie nie byłeś w stanie znieść. I nie uda ci się także z Kevinem. Zresztą nie będzie nosił twojego nazwiska. W ogóle nie będzie go znał.

- Przemawiasz zupełnie jak moja świętej pamięci żona stwierdził Gibb. - Laurelann tak jak i ty była ciekawa naszych nocnych ekspedycji do lasu. Odkryła Brotherhood i niestety, nie pojęła doniosłości naszych celów. Ostrzegła mnie, że odejdzie. Przysięgała, że zabierze Matta i nigdy go więcej nie zobaczę. Rzucała puste pogroźki, jak ty. - Wskazał głową krzesło. - Siadaj i weź dziecko. Mój wnuk potrzebuje matki.

Zawahala się, targana desperackim pragnieniem, by wziąć od niego synka, i jednocześnie zastanawiając się, jaką szykuje pułapkę. Niechętnie odsunęła się od Johna, niepewna następnego posunięcia Gibba. Ale instynkt macierzyński zwyciężył. Podniosła się na nogi i wzięła Kevina. Przytuliła dziecko do piersi i przesunęła dłonią po jego ciało; niewiele jej już czasu zostało, by go dotykać. Kevin przestał zanosić się płaczem.

Zmiana w zachowaniu niemowlęcia zrobiła wrażenie na Gibbie.

- Zostawię ci prawo wyboru, Kendall - powiedział. pZważywszy na okoliczności, zmuszony jestem okazać ci więcej szlachetności, niż na to zasługujesz. Potrwa trochę, nim będzie można odłączyć chłopca od piersi. Z czasem przyzwyczai się do mnie i będzie we wszystkim polegać na swoim dziadku. Mogę to zrobić i dokonam tego: będzie należał wyłącznie do mnie. Niestety na tym etapie rozwoju potrzebuje jeszcze matki. Dlatego masz prawo wybrać. Albo umrzesz natychmiast, razem ze swoim nieprawym kochankiem, albo pójdziesz ze mną i przez jakiś czas zaopiekujesz się dzieckiem. I tak zapłacisz życiem za grzech zdrady i cudzołóstwa, jednak zostanie ci dane więcej czasu dla dziecka. Nie robię tego, ponieważ sobie na to zasłużyłaś, ale dla dobra mojego wnuka.

- To ja mam dokonać wyboru?

- Musisz szybko pojąć decyzję. Przy całej swej opieszałości FBI mogło także natrafić na twój ślad.

- Odejdę z tobą, Gibb, i będę współpracować - zobowiązała się. - Może ci się nawet przydam. Jestem świetna w znikaniu, wiesz o tym, ale pozwól żyć Johnowi.

- Obawiam się, że nie mogę ci tego obiecać - zmarszczył brwi Gibb. - Popełnił cudzołóstwo z żoną mojego syna. Musi umrzeć.

- Nie byłam już żoną Matta. Rozwiódł się ze mną.

- Niemniej, jak powiedział Matt, w oczach Boga... - Wymierzył strzelbę w Johna.

- Nie, poczekaj! - krzyknęła Kendall.

- Nie błagaj tego sukinsyna o moje życie - powiedział John ze złością. - Wolę, żeby mnie zastrzelił, niż żebyś go błagała.

- John nie wiedział, że byłam zamężna. Przypomnij sobie, Gibb? - mówiła z naleganiem. - Cierpiał na amnezję. Okłamałam go, że jest moim mężem. To moja wina.

- Ale odzyskał pamięć - spierał się Gibb. - Sama przyznałaś.

- Kłamałam w obronie przed Mattem. Aż do dzisiejszego ranka nic nie pamiętał.

- Nieprawda, Burnwood. Od tygodnia mam świadomość, kim jestem i kim ona jest. Spałem z nią, bo tego chciałem. - On kłamie, Gibb.

- Po co? - spytał Gibb.

- Żeby odwrócić twoją uwagę. Ma nadzieję, że w ten sposób ochroni Kevina i mnie. Przysięgał, że nas będzie chronił, i chce się z tego wywiązać. Wszystko mu jedno, co mówi.

- Wie pan, jaka z niej kłamczucha, panie Burnwood rwał John. - Byłby pan głupcem, gdyby jej uwierzył.

- Nie kłamię, Gibb. Naprawdę dopiero tego ranka po obudzeniu stwierdził, że odzyskał pamięć. Wpadł we wściekłość, kiedy zrozumiał, jak go zwiodłam. Miał zamiar oddać mnie w ręce władz, ponieważ go uprowadziłam. Uciekałam, kiedy się zjawiliście. - Jej głos przybrał błagalny ton. - Jeśli go zabijesz, zamordujesz niewinnego człowieka, który tylko wypełniał swój obowiązek. Jesteście zresztą pod pewnym względem podobni: John przestrzega kodeksu honorowego podobnie jak ty. Wierzy w to, co robi, i nic go nie powstrzyma od spełnienia tego, co uważa za słusne. Gibb, proszę... Przysięgam, że mówię prawdę. Nie wiedział, że w oczach Boga jestem żoną Matta.

Gibb zastanawiał się długo, wpatrując się ciężkim wzrokiem w Johna. Wreszcie westchnął

głośno.

- Kendall, nie kłamiesz już tak dobrze. Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Mężczyzna, który zrobił rozacza z mojego syna, musi umrzeć. - Położył palec przy cynglu, ale powstrzymał go nagły, nieoczekiwany dźwięk. Odgłos, który Gibb rozpoznał nieomylnie: szczęknięcie odwodzonego spustu. Zamarł i utkwiał oczy w Kendall.

- Jeśli go zabijesz, wystrzelę. - Nie mówiła już wysokim, cienkim, histerycznym głosem. Brzmiał spokojnie, równo i zdecydowanie.

- Boże święty - wyszeptał Gibb. Jego rumiana twarz pobladła lekko.

- Właśnie tak, Gibb. Uchronię Kevina przed tobą, nawet jeśli jest to jedyny sposób, jaki mi pozostaje. Wolę, żeby umarł, niż spędził z tobą choćby minutę.

Wyczerpane płaczem maleństwo zasnęło na jej piersi. Półprzezroczyste powieki chłopczyka były zamknięte, na rzęsach wciąż błyszczały łzy. Rozchylone usteczka miał jeszcze leciutko wykrzywione. Jego skroni dotykała lufa rewolweru Johna.

Kiedy wypadając z kuchennych drzwi omal nie zderzyła się z Burnwoodami, byli równie zaskoczeni jak ona. Wepchnęli ją z powrotem i wtedy właśnie udało jej się wsunąć broń do kieszeni spodnicy. Do tej pory nie miała pojęcia, w jaki sposób jej użyć.

Gibb odzyskał panowanie nad sobą. Śmiał się z niej. - Nigdy nie będziesz do tego zdolna.

- Owszem, będę.

- Za bardzo go kochasz, Kendall. Tyle dla niego dotąd zrobiłaś... ucieczka z Denver, wyślizgnięcie się szeryfom, ukrywanie tutaj... wszystko, by go ochronić.

- Właśnie. Przed tobą. Jeśli zabijesz Johna... - Przestraaszył ją nieoczekiwany huk. Zerwała się gwałtownie z krzesła, które przewróciło się i runęło na podłogę.

- Jeśli zastrzelę Johna, to co? - szydził Gibb. Przerazona Kendall cofała się na niepewnych nogach, aż dotknęła kuchennej lady. Z niedowierzaniem zapatrzyła się na skurczonego Johna. Upadł na bok, policzek miał przyciśnięty do podłogi, krew spod niego wyciekała.

- No? - Gibb stał blisko i patrzył jej prosto w twarz. Oddaj mi mojego wnuka.

Zdołała utrzymać dziecko, kiedy zerwała się z krzesła. Płaakało, znowu bezceremonialnie wyrwane ze snu. Rewolwer zwisał bezwładnie w jej opuszczonej dłoni.

John się nie rusza - myślała. - Jego krew płynie po podłodze. John nie żyje. To on go zabił...

Gibb wyrobionym instynktem myśliwego wyczuł, że ofiara się poddaje. Zbliżył się jeszcze bardziej. Uniosła rękę. Drżała tak gwałtownie, jakby rewolwer zacisnął się na jej dłoni, a ona nie mogła go strząsnąć.

- Nie zmuszaj mnie do tego, Gibb, proszę.

- Nie zabiłabyś swojego dziecka, Kendall.

- To prawda. Nie zabiłabym swojego dziecka.

Skierowała broń na niego i w małym domu rozległ się trzeci wystrzał.

Rozdział czterdziesty szósty

John! Kendall przeskoczyła ciało Gibba i uklękła przy Johnie.

- John? John? - Przekręciła go na plecy.

- Ten sukinsyn nie żyje?

- Bogu dzięki, nie zastrzelił cię. - Pochyliła się i przytuliła do niego, trzymając między nimi Kevina. - Bogu dzięki. Myślałam, że cię zabił.

- Czy on nie żyje?

Spojrzała na ciało; nie było wątpliwości.

- Tak.

- To dobrze.

Roześmiałyby się z ulgi, ale nie mogła; łzy spływały jej po twarzy.

- Och, John, jesteś ciężko ranny.

- Czuję się dobrze. - Nie było to prawdą; przy każdym słowie wydobywał się z jego piersi słaby

świs. - Co z dzieckiem? W porządku? Nic mu nie jest?

Kevin wydierał się jak nigdy dotąd. - Miał ciężki ranek.

- A my nie? - uśmiechnął się John mimo bólu.

Nagle dom zaroił się agentami FBI. Pierwszy wbiegł pędem Pepperdyne, ciężko tupocząc. Rzucił okiem na Johna, zaklął soczyście, wsadził palce do ust i gwizdnął przeraźliwie.

- Sprowadzić personel medyczny! Gazem!

- Cóż to tak cholernie długo trwało? - utyskiwał John, gdy przyjaciółka przy nim przykucnęła. -

Myślałem, że się wykrwawię na śmierć, zanim wejdziecie. Podkradaliście się pod dom tak cichusieńko, jakby się zbliżał spłoszony bizon, a potem siedzieliście na tyłkach, prasując sobie jaja i czekając, aż ten sukinsyn mnie postrzeli.

Pepperdyne zdjął kask kuloodporny i roześmiał się.

- Nie dziękuj, John. I tak wiemy, że jesteś nam wdzięczny.

- Wiedziałeś, że są na zewnątrz, John? - spytała zaskoczona Kendall.

- Tak - skinął głową. - Dostrzegłem ruch przez zasłonę i wiedziałem... miałem nadzieję, że to oni.

Dlatego robiłem wszystko, żeby zająć uwagę Burnwoodów.

- Nie powinieneś być atakować Matta. Mogli cię od razu zabić.

- Nie myślałem o tym. Kiedy cię uderzył... Z wielu powodów żałuję, że nie mogłem go sam zabić.

Wymienili długie, znaczące spojrzenia; przeszkodził im doopiero pielęgniarz, który wbił igłę w ramię Johna.

- Uau! Cholera, to boli!

- Które z was dwojga wypełni mi białe plamy? - spytał Pepperdyne. - Muszę dokładnie wiedzieć, co tu zaszło.

Kendall obserwowała medyków, daremnie szukających oznak życia u Matta. Nie czuła żalu z powodu śmierci byłego męża, ale napełniała ją smutkiem myśl o jego zmarnowanym życiu.

- Gibb go zastrzelił.

- Widzieliśmy. Czy z powodu pani Lynam?

- Tak. Matt powiedział, że Gibb ją zabił.

- Została znaleziona w motelowym pokoju z poderżniętym gardłem - wyjaśnił Pepperdyne.

- Matt naprawdę ją kochał - stwierdziła ze smutkiem Kendall. - Nie miał szansy, żeby zaznać szczęścia w życiu. Nie przy takim ojcu jak Gibb.

- Jeden z naszych strzelców wyborowych z pewnością dosięgnąłby starego po tym, jak załatwił Matta - powiedział Pepperdyne. - Ale było to zbyt ryzykowne, bo trzymał dziecko.

- Cały czas mieliście go na muszce? - spytała Kendall.

- Tak. Potem jednak pani usiadła na krześle z dzieckiem - pokazał palcem - akurat na linii strzału. Kiedy trafił w Johna... - Och, to nic wielkiego - zamamrotał John, którego pielęgniarze układali na noszach.

Pepperdyne odburknął, żeby przestał wreszcie skamlać, ale dla Kendall było oczywiste, że dwóm starym przyjaciółom sprawia przyjemność wymienianie zgryźliwych uwag.

- Kiedy stary Burnwood trafił w Johna - podjął inspektor - przesunęła się pani w kierunku blatu.

- Mieliśmy nadzieję, że pani blefuje z tym rewolwerem wymierzonym w dziecko.

- Oczywiście, i Gibb dobrze o tym wiedział. Nagle zdałam sobie sprawę, że wystrzeliwszy do

Johna zostawił broń na stole. Stał nie uzbrojony. Wymierzyłam z rewolweru i zabiłam go.

- Nie pani. Nasz człowiek załatwił go czyściutkim strzałem prosto w głowę.

Kendall wiedziała, że długo nie opuści jej straszliwe wspomnienie widoku przestrelonej głowy Gibba. Zadrżała i przycisnęła do siebie mocniej Kevina.

- Jak pani weszła w posiadanie broni Johna? - spytał Pepperdyne.

- Ja jej dałem - skłamał McGrath.

- Tak - potwierdziła skwapliwie. - Żebym była bezpieczniejsza.

- Dlaczego? - domagał się wyjaśnień Pepperdyne. - I pomyśleć, że podobno cierpiałeś na amnezję. Zupełnie o tym zapomniałem. Żadnych dowcipów od tej pory. Kiedy odzyskałeś pamięć?

- Daj nam chwilę oddechu, Jim - jęknął John. - Kendall złoży ci zeznanie później. Na razie powinna zająć się dzieckiem, a mnie należy się, jak sędzę, parę szwów.

Pepperdyne zrobił im przejście, po czym odsunął się, by umożliwić wstawienie noszy z Johnem do karetki.

- Wyzdrowiejesz? - spytała Kendall nerwowo.

- Na pewno - uspokoił ją. Poklepał Kevina po pupce. - A z nim wszystko dobrze?

- Nawet tego nie zapamięta.

- Za to ja nigdy nie zapomnę - powiedział cicho. - Niczego.

Patrzyli na siebie, dopóki drzwi karetki się nie zamknęły, a potem odprowadzała samochód wzrokiem, aż wyjechał z podjazdu na drogę.

- Pani Burnwood... - Pepperdyne dotknął jej ramienia. - Mój wóz czeka, żeby panią zawieźć do miasta.

- Dziękuję.

Usiadł przy niej na tylnym siedzeniu. - John to twardy facet. Wytrzyma.

- Wiem - uśmiechnęła się leciutko.

- Że jest twardy czy że wytrzyma?

- Jedno i drugie.

- Hmm... Naprawdę się rozpromienił na widok pani synka. Nigdy nie widziałem, żeby się czuł tak swobodnie przy dziecku.

- Dlaczego?

Opowiedział, co się zdarzyło w Nowym Meksyku.

- Wciąż się o to obwinia.

- Tak, to możliwe - stwierdziła, kiwając głową w zadumie. - Traktuje swoje obowiązki bardzo poważnie.

- Przesadza z tą obowiązkowością. Każdego dnia. Jestem pewien, że obarczy się także winą za śmierć Ruthie Fordham, kiedy tylko będzie miał czas o tym pomyśleć.

- Mam nadzieję, że nie. To by było straszne.

Pepperdyne nic nie powiedział, patrzył tylko na nią z ciekawością.

- Chyba powinienem pani przypomnieć, że wciąż jest pani świadkiem pozostającym pod nadzorem Ministerstwa Sprawiedliwości.

- Zeznam, co widziałam tamtej nocy w lesie koło Prosper, panie Pepperdyne.

- Notatki, które pani zostawiła w Denver, okazały się dla nas bezcenne przy formułowaniu oskarżeń.

- Cieszę się. Brotherhood powinno się zniszczyć. Pomogę doprowadzić ich przed oblicze sprawiedliwości bez względu na to, ile by to miało mnie kosztować osobiście.

Skinął głową i na moment zapatrzył się w okno.

- Pozostaje jeszcze sprawa uprowadzenia oficera federalnego...
- Fakt. Zrobiłam to.
- Hmm... Władzom z pewnością się to nie spodoba.
- Straszliwie bałam się mojego byłego męża i teścia - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy - i teraz już pan wie, że słusznie. Sądziłam, że jedyne, co mi pozostaje, by ochronić siebie i Kevina, to zniknąć i ukrywać się przez resztę życia. Nie żałuję tego, co zrobiłam. Gdyby wynikła taka konieczność, zrobiłabym to znowu. Z jednym wyjątkiem: nie wplątałabym w to Johna. Naraziłam jego życie i nigdy sobie tego nie wybaczę.
- Wypełniał swoje obowiązki.
- Właśnie. Znowu obowiązki.
- Pani Burnwood, kiedy on właściwie odzyskał pamięć?
- Sama żałuję, że nie wiem - odparła uczciwie.
- Pani Burnwood...
- Nienawidzę tego nazwiska. Proszę, niech pan się dłużej tak do mnie nie zwraca.
- W takim razie jak powinienem panią nazywać? - Peppperdyne patrzył na nią surowym wzrokiem.

- Nazywają się Crook - powiedziała Kendall.
- Aha - potwierdziła Ricki Sue. Trzymała Kevina na kolanach, pozwalając mu wpychać do buzi swoje purpurowe paciorki. - Sukinsyny chcieli mnie zabić.
Pepperdyne poprosił Kendall, by zidentyfikowała dwóch mężczyzn zatrzymanych w areszcie w Sheridan. Znaleziono ich dokładnie w miejscu, które wskazała policjantom Ricki Sue, przywiązanych do drzew, nagich i pokrytych bąblami od ukąszeń moskitów.
- To Henry i Luther - oświadczyła, a potem opowiedziała o procesie Billy'ego Joe oraz o tym, jak tragicznie się zakończył. - Rodzina powzięła do mnie urazę, domyślałam się więc, że ruszyli w pościg, aby ubiec Matta i Gibba - zakończyła.
- Dzięki mnie prawie im się udało. - Oczy Ricki Sue zaszyły łzami. - Za każdym razem, jak pomyślę, co się mogło stać tylko dlatego, że się upiłam i rozpuściłam jadaczkę...
Kendall wyciągnęła ręce ponad zasłanym papierami biurkiem Pepperdyne'a i z czułością uściśnęła ramię Ricki Sue.

- Na odwrót. Gdyby nie ty, pan Pepperdyne ani jego ludzie nie przybyliby na czas. Dopóki do nas nie dotarli, John... doktor McGrath zwodził Burnwoodów znakomicie i skończyła niezręcznie.

John, który odmówił pozostania w szpitalu dłużej niż jedną noc, stał podparty na kuli, trupio blady, ze świeżą szraamą na skroni; złamaną wcześniej nogę wciąż miał w gipsie, a lewe ramię spoczywało na temblaku. Kula ze strzelby Gibba przeszła przez pierś, mijając o włos arterię. Kendall ścisnęła go w gardle za każdym razem, kiedy pomyślała, jak blisko był śmierci.

Pepperdyne odchrząknął, by przerwać denerwującą, naładowaną emocjami ciszę.

- Rząd proponuje pani oddalenie wszelkich oskarżeń w zamian za zeznanie przeciwko Brotherhood - oznajmił.

- Szczodra oferta - zauważyła.

- Cóż, trudno udowodnić fakt uprowadzenia, kiedy jego ofiara nie umie określić, od jakiego momentu współuczestniczyła w nim dobrowolnie. - Pepperdyne posłał przyjacielowi pełne rezerwy spojrzenie.

- Nic nie pamiętam - odparł John uprzejmym tonem.

- Bardzo śmieszne - stwierdził agent specjalny, zamknął skoroszyt i wstał, zamierzając zakończyć

spotkanie. - Panno Robb, dziękuję za okazaną nam pomoc.

- Nie myśl sobie, że mnie tak łatwo spławisz, Pepperrdyne - oświadczyła Ricki Sue. - Będziesz przyjeżdżał na rozprawy sądowe do Karoliny Południowej, nie?

- Od czasu do czasu.

- Ja też tu czasem będę - obdarzyła go uśmiechem. - Zostałam zaproszona, żeby wpadać, no i pomogę opiekować się Kevinem, gdy Kendall będzie musiała pójść do sądu.

- Aha.

- No, nie musisz robić od razu ponurej miny. Poza tym, jesteś mi winien wieczór.

- Jak mógłbym o tym zapomnieć, kiedy mi przypominasz co piętnaście minut?

Nagle otworzyły się drzwi i wpadł przez nie młody mężczyzna. Kendall zbladła.

- No nie - jęknęła Ricki Sue. - Teraz to naprawdę tkwimy po uszy w gównie.

- Cześć wszystkim. - Nowo przybyły mężczyzna wodził wzrokiem od jednej kobiety do drugiej. - Cześć - odpowiedziały obie.

- Jak wam leci?

- W porządku - stwierdziły zgodnie.

- Co to za facet? - wtrącił się John.

- Kto pełni służbę? - spytał młody mężczyzna.

- Ja. - Pepperdyne dał krok do przodu.

- Co się do cholery dzieje? Nic nie rozumiem. Dlaczego się tu znalazłem? Myślałem, że zdjęliście mnie już z widelca.

- Proszę się uspokoić - mitygował go Pepperdyne.

- Uspokoić? Niby jak, do cholery! Pilnuję swojego nosa, jem akurat makaron w swoim apartamencie w słonecznym Rzymie, a tu wchodzi dwóch goryli, przedstawiają się jako szeryfowie Stanów Zjednoczonych i następne, co pamiętam, to podróż samolotem z pozdrowieniami od Wuja Sama. Złapał się pod boki, by dobitniej wyrazić oburzenie, i zapytał: - No, co się wyrabia?

- Myślę, że wszyscy tu pana znają, oprócz Johna - poowiedział Pepperdyne i zwróciwszy się do przyjaciela oznajmił: - Doktorze McGrath, proszę poznać KendaIIa Deatona.

Rozdział czterdziesty siódmy

- Raczej trudno to wyjaśnić.

- Spróbuj.

Siedziała z Johnem w biurze. Ricki Sue złapała prawdziwego KendaIIa Deatona za rękę i wyciągnęła go z pokoju. Wciąż wyrzucał z siebie jakieś pytania, domagając się wyjaśnień, i w końcu obiecała, że mu ich udzieli, jeśli się zamknie i da jej wtrącić choć słowo. Pepperdyne wraz z dwoma szeryfami również się wynieśli.

- KendaII Deaton był prawnikiem zatrudnionym w Bristol i Mathers - zaczęła. - Miał pewne problemy z partnerami, gdy powstało domniemanie, że manipuluje dowodami. Nigdy mu tego nie udowodniono, niemniej powszechnie uznano, że nadużył swoich uprawnień. Nie sformułowano oskarżenia, ale został zwolniony z firmy. Przez kilka miesięcy rozsyłał oferty do różnych firm, ale żadna nie była zainteresowana prawnikiem z plamą na zawodowym życiorysie. Parę miesięcy po jego wyjeździe nadszedł list z Prosper w Karolinie Południowej. Wyglądało to jak odpowiedź na jego ofertę, więc przesłałam mu go natychmiast. Zadzwoił, podziękował, potwierdził, że istotnie zaproponowano mu pracę, ale nie jest zainteresowany jej podjęciem. Wiódł wesoły żywot kawalera w Rzymie, gdzie zatrudniono go jako konsultanta do spraw marketingu, co niezwykle mu się podobało. Wtedy zdecydowałam się w to wejść. - Spojrzała na Johna, mając nadzieję, że dostrzeże choć cień zrozumienia, ale jego twarz pozostawała obojętna. - Ukończyłam z trzecią lokatą studia

prawnicze. Byłam jedną z najbardziej obiecujących prawniczek w Bristol i Mathers, mimo to powierzano mi tylko podrzędne sprawy. Nie budziły we mnie ani krzty zainteresowania, bo nie stanowiły żadnego wyzwania, poza sprawą kobiety chorej na AIDS, która tak bardzo potrzebowała pomocy. Wtedy zorientowałam się, że nie pasuję do wielkiej, nastawionej jedynie na zarabianie pieeniędzy firmy. Chciałam sprawiedliwości dla wyrzuconych poza nawias. Zaczęłam rozsyłać oferty do różnych stanów, ale nie udzielano mi zachęcających odpowiedzi. Kiedy Kendall Deaton zrezygnował z propozycji zatrudnienia w Prosper, wyglądało to dla mnie jak... jakby przesłano mi znak. Babcia i Ricki Sue stwierdziły, że oszalałam, ale ja oczywiście odpowiedziałam na tę ofertę, podpisując się jako Kendall Deaton. Przybranie cudzego nazwiska okazało się niezwykle łatwe, chociaż teraz wiem, dlaczego w Prosper nie sprawdzili dokładnie przesłanego im dossier - dodała kwaśno.

- Potrzebowali skorumpowanego obrońcy publicznego powiedział John.

- Otóż to. Skaza na jego życiorysie przekonała ich do niego. Tego właśnie szukali. Kiedy zobaczyli, że jestem kobietą, zareagowali odrzuceniem. Ale gdy to rozważyli, doszli jak sądzę do wniosku, że kobieta będzie im bardziej powolna. Albo bezradniejsza... - Zamyśliła się na moment. - Może motyw, którymi się kierowałam, nie wyglądają w oczach doktora psychologii na tak altruistyczne, jak sądzą inni. I jak ja bym chciała je widzieć. Może kierowała mną ambicja prymuski. Chciałam wszystkim pokazać, jaka jestem zdolna, zadowolić rodziców... Dopiero ty pozwoliłeś mi dostrzec, że to niemożliwe. A może nie dano mi wykorzystać tej możliwości, ponieważ powodował mną egoizm, wbrew temu, co twierdziłam. Babcia ostrzegała mnie, że nic dobrego nie wynika z kłamstw, i miała rację.

Usiadła na brze~u biurka Pepperdyne'a. Kevin spał w noosidełku. Uświadomiła sobie, że John podchodzi bliżej, usłyszała znajome jej już kroki, poprzedzone stukotem gumowej końcówki kuli. Stał za nią, wyciągnął rękę i delikatnie zakotył nosidełkiem. Poglaskał policzek Kevina. Serce jej stopniało na widok jego opalonego palca dotykającego gładkiej dziecięcej skóry. Nie tylko dlatego, że okazał w ten sposób uczucie jej synkowi - także dlatego, że przewyciężył własne zmory.

- Zdawałaś sobie sprawę, że stracisz wszelką wiarygodność w oczach władz i sędziów przysięgłych, gdy wyjdzie na jaw twoja fałszywa tożsamość?

- Oczywiście. Bo kto by uwierzył w dziwaczną opowieść osoby, która sfabrykowała własny życiorys? Nie miałam innego wyboru, jak uciec i ukryć się. Najpierw w Denver, a pootem... - spojrziała na niego przez ramię i wyszeptwała: _ . z tobą.

Wziął ją za rękę i wyciągnął zaa biurka. Kiedy stanęła naaprzeciw niego, przesunął palcami po krótkich, postrzępionych włosach. Jego oczy błędziły po jej twarzy. Przytulił ją do siebie porywczym ruchem i objął mocno.

- Mogli cię zabić - powiedział gniewnie. - Myślałem, że będę na to musiał patrzeć.

- A gdybyś to ty umarł przeze mnie? Co by było, gdybyś ty umarł? - Oplotła go ramionami i schowała twarz na jego szyi.

Przez długi moment trwali tak, przytuleni do siebie. Wreszcie John odstąpił krok do tyłu.

- Nie wiń się za to, co mnie spotkało.

- Jeśli ty nie będziesz się winił za śmierć szeryf Fordham.

- To trudne - skrzywił się. - Będziemy nad tym oboje pracować.

- Oboje?

- Myślę, że możemy we troje spróbować stworzyć rodzinę. Co ty na to?

- Potrzebujemy cię z Kevinem. A ty nas. - Poglaskała go po twarzy, lekko dotykając blizny po ranie, z której wyjęła szwy. - Nie mam nic do zyskania kłamiąc, więc wiesz, że to prawda. Kocham

cię, John.

- Ja też cię kocham. - Odchrząknął, by opanować wzruszenie. - Przyjemnie byłoby poznać twoje imię.

- Zdradzę ci je, jeśli mi powiesz, kiedy wróciła ci pamięć. Powoli uśmiech rozjaśniał jego twarz. Pochylił głowę i całował ją długo i mocno w usta. Łatwo by jej przyszło zatracić się w tym pocałunku, ale odchyliła twarz, by na niego spojrzeć.

- No, John?

Wciąż się uśmiechając, pocałował ją znowu.